KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

ANTONI ANDRZEJOWSKI

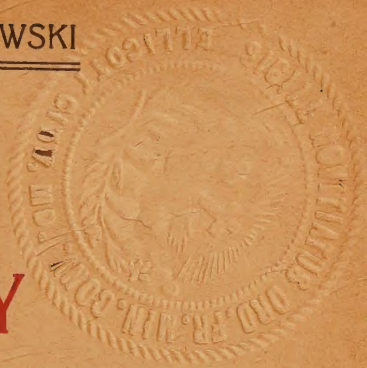

RAMOTY STAREGO DETIUKA O WOŁYNIU

WYDAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
FR. RAWITA GAWROŃSKI

TOM I

Printed in Poland

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WILNO — 1921
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ, LWÓW

Antoni Andrzejowski.

KILKA SŁÓW O AUTORZE I O JEGO PAMIĘTNIKACH.

Pamiętnikarz głucho tylko wspomina, że rodzina jego pochodziła z Litwy, może ze Słonimia. Ubogie to musiało być szlacheckie gniazdo, skoro za chlebem, starym zwyczajem, wędrowali na Wołyń i Ukrainę. Historyczne wiadomości o tej rodzinie są także bardzo chude. Jeśli autor naszych pamiętników należał do herbu Prus, to może Hieronim Andrzejowski, cześnik słonimski (1658) był jego niezbyt dalekim protoplastą. Na wyższych urzędach publicznych ani później ani wcześniej nie znajdujemy Andrzejowskich, a na kartach pracy publicznej swoje nazwisko zapisał tylko Antoni. Na nim męska linja wygasła, zdaje się. Wspomina wprawdzie o młodszym bracie, z którym odbył podróż botaniczną w dawnych Dzikich polach, ale innych wiadomości o nim zdobyć nie zdołałem.

I.

Dlaczego autor pamiętników nazwał się Detiukiem? Nie umiem rozwiązać tej zagadki. Nie wiem czy to było imionisko, czy przydomek, ale o ile z opowiadań autora wnosić wolno, i w potocznych stosunkach używano tego nazwiska. Do matki Antoniego Andrzejowskiego mówiono niekiedy: „moja kochana Detiukowo". Ta, czy inna nazwa autora na wartość pamiętników niema wpływu.

Autor urodził się na Wołyniu w r. 1785 [1]). „Wołyń— powiada — był moją kolebką, tam wyrosłem i na tej miłej ziemi pół wieku przeżyłem w trudach i pracy, do jakich Opatrzność zdolnością i usposobieniem obdarzyć mię raczyła".

Ojciec autora, Łukasz, służył w kawalerji narodowej pod chorągwią Szczepana Turny. Ożenił się z córką porucznika Ostrogskiego regimentu, Kazimierza Sobińskiego, mieszkającego w Dubnie we własnym dworku. Byli to ludzie miernego stanu, ale prawi, uczciwi i szanowani powszechnie. Z kilku córek pana porucznika, jedną wziął za żonę ojciec Antoniego Andrzejowskiego. Ożeniwszy się, wystąpił z wojska. Był to okres, w którym Prot Potocki rozwinął ogromną działalność przemysłową i handlową. P. Łukasz, skwitowawszy z wojska, przyjął urząd kasjera w banku Prota Potockiego w Warkowiczach. Trzy lata pozostał na tym urzędzie. Gdy interesy wojewody zachwiały się i musiał sprzedać Warkowicze podkomorzemu Mołodeckiemu, zrezygnował z kasjerstwa i zamieszkał w Warkowiczach, wstąpiwszy znowu do wojska pod chorągiew Turny, już jako namiestnik, ze względu na poprzednią służbę. Ponieważ zwyczajem owoczesnym było absentowanie się z pułku, korzystał z tego i p. Łukasz i za półtora tysiąca złotych rocznej tenuty dzierżawił od kasztelana Popiela wioskę Kryłów, położoną między Dubnem a Warkowiczami. Po trzyletniej dzierżawie opuścił ją w marcu 1792 r., wyniosłszy z niej 30.000 złotych gotówki.

Posiadanie tego, na owe czasy znacznego, kapitaliku pozwoliło p. namiestnikowi mieszkać w Warkowiczach, jak to mówią, „na bruku". Rodzina namiestnika składała się z trojga dzieci p. Łukasza, dwuch sióstr, matki i Sobińskiej, matki żony. Młody Antoni Andrzejowski w siódmym roku życia nosił szlify i szablę przy boku, ja-

---

[1]) Z listu prywatnego ze Stawiszcz do autora wstępu.

ko towarzysz kawalerji narodowej, gdyż ojciec dał za niego poczet sowity.

Wybuchła wojna 1792 roku. Pan Łukasz udział w niej przyjął, jakkolwiek syn, z ostrożności zapewne, nie pisze o tem wcale. Skutkiem przechodów wojsk obcych i swoich, skutkiem niepokojów, kraj cały ogarniających, wiele rodzin wyjeżdżało do Galicji. Opuściła też domek swój w Warkowiczach i pani Andrzejowska, chroniąc się z dziećmi do Galicji, gdzie zamieszkała w miasteczku Stojanowie u parocha unickiego — nałogowego pijaka, który, upiwszy się, piekło z domu robił, a wytrzeźwiony, płakał, przepraszał i na intencję swoich komorników akafist śpiewał.

Po ukończeniu wojny, rodzina wyczerpana z funduszów doszczętnie, wróciła do Warkowicz. Antoni Andrzejowski miał wówczas lat osiem. W miesiąc po powrocie z Galicji, p. Łukasz objął zarząd majątku kasztelanowej Bierzyńskiej i zamieszkał w Ludwipolu, zaś Antoniego zabrał do Korca, na początkową naukę, brat pani Andrzejowskiej, który, jako rysownik, znalazł miejsce w fabryce porcelany w Korcu.

Po dramatycznych przejściach w rodzinie kasztelanowej Bierzyńskiej, która powtórnie wyszła zamąż za wojewodzica Ponińskiego, p. Łukasz objął urząd marszałka dworu u wojewody sieradzkiego Michała Walewskiego w Tuczynie, na zalecenie Prota Potockiego, z którym p. Łukasza łączyły dawne służbowe stosunki. Gdy Kościuszko odwiedził w Równem księżnę Józefową Lubomirską, z którą go dawniejsze a przyjazne łączyły wspomnienia, Antoni mało co starszy nad osiem lat, miał sposobność poznać Kościuszkę, i chwilę tę ze wzruszającą prostotą w pamiętnikach swoich opisał.

Gdy już ukończył czwartą klasę w szkole Międzyrzeckiej, a z promocją do piątej przyjechał na wakacje do Tuczyna, był to rok przełomowy w jego życiu. Niewiadomo z jakich powodów do Międzyrzecza już nie wrócił, a w kilka miesięcy potem utracił ojca, który na

polowaniu, wywróciwszy się z sanek, potłukł się i ten wypadek życiem przepłacił. Matka pozostała nadal, jako ochmistrzyni w Tuczynie, a młodym chłopcem zaopiekowali się hr. Chodkiewiczowie, którzy, wyjeżdżając do Wilna, zabrali ze sobą Antoniego.

Tu przyszła jego droga życia, wybór jej i przygotowanie długo nie mogły się ustalić. Hr. Chodkiewiczowa chciała, ażeby młodzieniec „przykładał się do jakiego talentu", zaś hrabia życzył sobie, ażeby dalsze nauki kończył. Przeważyła opinja hrabiny. Oddano go pod opiekę niejako i naukę malarstwa do Oleszkiewicza. Nie sporo mu jednak szło z malarstwem. Zetknięcie się z rodziną Śniadeckich, gdzie znalazł zachętę do dalszego kształcenia się naukowego, zdecydowało i umocniło w nim zamiłowanie do innej nauki, niż malarstwo. Musiał jednak ulegać kierownictwu swoich opiekunów. Malarstwo nie zadowoliło go wcale. Oleszkiewicz, uprawiający rodzaj kompozycyjny, lekceważył pejzaż, który odpowiadał temperamentowi i poetycznemu nastrojowi młodego ucznia. Śród takiego wahania się, gdzie iść, jaką drogę wybrać — zostać w Wilnie dla dalszego kształcenia się, czy też trzymać się klamki protektorów, przeważył wzgląd drugi. Nie bez przykrości dla młodzieńca, który nabierał zamiłowania do studjów bardzo odmiennych od malarstwa, poszedł za radą Hr. Chodkiewiczów i wraz z nimi na Wołyń wrócił.

Między Pekałowem a Tuczynem czas mu schodził. Opisuje te chwile szczegółowo sam autor w swoich ramotach.

Około r. 1806 — „w tym to właśnie czasie" — pisze — z biegiem rozmaitych okoliczności (których nie wymienia), dostałem się do Krzemieńca, bez żadnej myśli, bez żadnego istotnego celu". Ten wszakże przyjazd zdecydował o przyszłości młodzieńca. Jedyną nauką, którą jako-tako posiadał, było malarstwo. Z pędzlami przeto i farbami wybrał się do Krzemieńca. Malowanie pięknych okolic miasteczka zetknęło go przypadkowo

z młodzieżą szkolną. Młodość łatwo nawiązuje przyjazne stosunki. Zapoznanie się z uczniami pociągnęło za sobą znajomość z nauczycielami. Tu i owdzie otrzymał lekcje rysunków i zanosiło się na to, że rysunkowi będzie musiał poświęcić całe życie. I tu wszakże, jak często w życiu się zdarza, przypadek pokierował inaczej.

Zbliżenie się przyjazne do uczniów i profesorów skończyło się na tem, że do gimnazjum w Krzemieńcu wstąpił. Twarde wiódł dalej życie, zarabiając lekcjami, przerywając naukę szkolną dla chleba i wracając do niej. Botanika, z którą już się był w Wilnie zetknął, stała się jego ulubioną nauką. W Krzemieńcu pod tym względem miał światłą pomoc prof. botaniki Wilibalda Bessera. Już w r. 1816 delegowany został na ekskursję botaniczną na Podole, Pobereże i Ukrainę kosztem hr. Platera i Wacława Rzewuskiego, a końmi księcia Maksymiljana Jabłonowskiego, komisarza komisji funduszowej edukacyjnej.

Podróż do Warszawy w r. 1819 zetknęła go osobiście z księciem kuratorem Adamem Czartoryskim, który go mianował aktualnym nauczycielem botaniki w niższych szkołach gimnazjum krzemienieckiego. Zdaje się, że od tej chwili został także asystentem Bessera.

Od chwili zamknięcia liceum w Krzemieńcu, Antoni Andrzejowski, w roli asystenta prof. botaniki i zoologji przeniesiony został do Kijowa, gdzie do roku 1839 pozostał, a stamtąd do Nieżyna, do słynnego liceum ks. Bezborodków [1]).

Od czasu opuszczenia murów krzemienieckich, wiadomości o losach autora „Ramot starego Detiuka“ są bardzo skąpe, a często brak ich zupełny. Pamięć starych ludzi, do których się odwoływałem, nie wiele dostarczyć mogła, a imiennicy autora, których o pokrewieństwo z autorem pamiętników podejrzewać mogłem, nie raczyli

---

[1]) Słów kilka poświęcił mu Marjan Dubiecki (Młodzież polska w uniw. Kijow. przed rokiem 1863. Kijów. 1909. Data urodzenia, jako rok 1786 mylna).

nawet odpisać: nie jestem krewny. Tak obojętnie zaciera się pamięć o ludziach i czynach. Stare zamki i dwory rozsypują się w gruzy, pajęczyna zapomnienia osnuwa te kąty, które były świadkami chwały praojców, a nad tem wszystkiem rozrasta się rak narodowy — obojętność.

W Nieżynie dosłużył się emerytury i prawdopodobnie w tym samym czasie przeniósł się do Niemirowa. Starzy ludzie pamiętają, że już około r. 1852 tu mieszkał.

Przybywszy do Niemirowa, Andrzejowski nabył stary i lichy domek na ul. Lipowej i tu zamieszkał. Rodzina jego składała się wówczas z żony, syna Antoniego i córki Hanny [1]).

Według opowiadań ludzi współczesnych, jakieś fatum nieszczęścia prześladowało rodzinę Andrzejowskiego. Domowe pożycie nie należało do szczęśliwych. „Żona — pisze świadek naoczny tego pożycia, — dotknięta ciężkim nałogiem pijaństwa, nie umiała utrzymać w domu ładu i porządku, tak, że mimo wcale przyzwoitych dochodów, jakie miał Andrzejowski, rodzina jego pogrążoną była prawie w nędzy“ [2]). Żona, Julja z Radziszewskich, zmarła w Niemirowie 21 listopada 1860 r. [3]).

Po zamieszkaniu w Niemirowie i osadzeniu rodziny już we własnym dworku, Andrzejowski przyjął posadę botanika-ogrodnika w Ilińcach, w majętności Konstantego Platera, i oprócz emerytury pobierał wysoką na owe czasy sumę 800 rs. rocznie. Z Iliniec dojeżdżał tylko do Niemirowa. Nawiasem godzi się wspomnieć, że w Ilińcach, wcześniej wprawdzie, przemieszkiwali dwaj poeci, nierównej miary, ale wielkiego rozgłosu: Tymko Padurra, poeta mierny bardzo, ale dużego mniemania o so-

---

[1]) Z relacji pisemnej pani M. Z., zamieszkałej w Niemirowie.

[2]) Z listu ks. proboszcza Stawińskiego do autora wstępu.

[3]) Relacja pisemna M. Z., w posiadaniu autora.

bie, i Seweryn Goszczyński, głęboki znawca ducha ludu ukraińskiego.

„Z dzieci — pisze osoba znająca rodzime stosunki Andrzejowskiego — nie miał autor Ramot pociechy. Syn, po ukończeniu gimnazjum w Niemirowie, wkrótce na suchoty życie zakończył. W niedługim czasie potem nastąpiła śmierć żony. Została tylko córka Hanna z głęboką czułością ukochana przez ojca, Haneczka". Po śmierci żony i syna, Andrzejowski wrócił do Niemirowa i z córką zamieszkał. W owym to czasie niewątpliwie, przygnębiony nieszczęściem domowem, osamotniony na starość, począł pisać swoje „Ramoty starego Detiuka", uciekając pamięcią w czasy swojej młodości. Niepokój ducha, zgryzoty i nieszczęścia rodzinne wycisnęły piętno swoje na pamiętnikach. Starzec pisał je dorywczo, śród bezładu i trosk, nie trzymając się najczęściej wcale porządku chronologicznego — zapisywał to, co mu pamięć przynosiła i w miarę jak je przynosiła, nie troszcząc się o uporządkowanie tego materjału.

Wkrótce po śmierci żony i syna, nowy cios uderzył w skołataną duszę starca. Z obowiązkiem u Platera, już zapewne w czasie choroby syna i żony, rozstał się i z powodu osamotnienia córki w Niemirowie zamieszkał. Haneczka — według opowiadań współczesnych ludzi — zakochała się nieszczęśliwie w Tytusie Mieleniewskim, geometrze z fachu, który nie cieszył się najlepszą opinją w towarzystwie niemirowskiem. Wbrew radom i woli ojca oddała mu swą rękę 7 stycznia 1862 r. „Po wyjściu zamąż córki, nie chcąc patrzeć na cierpienia swojej jedynaczki, oddał nowożeńcom domek ze wszystkiem, co się tam znajdowało, a sam wyjechał do Stawiszcz, majętności hr. Branickich, gdzie spełniał takie same obowiązki, jak u hr. Platera.

Po niedługim czasie doszła go smutna wiadomość o śmierci córki, z którą mąż nietylko w najwyższym stopniu brutalnie się obchodził, ale czynnie znieważał, czem

się przyczynił do jej śmierci [1]). Ksiądz Stawiński, którego łaskawości zawdzięczam najlepsze, bo faktyczne wiadomości, opowiada, że, szukając w nocy krowy zaginionej, wpadła do rowu błotnistego i, nie mając siły wydostać się, przenocowała w rowie. Skutkiem tego zaziębiła się, dostała galopujących suchot i 26 lipca 1862 r. umarła. „Wtedy stary Andrzejowski powrócił na czas krótki do Niemirowa, sprzedał domek i znowu do Stawiszcz wyjechał.

Stali mieszkańcy Niemirowa pamiętają dotychczas sympatyczną postać staruszka o siwej, niezbyt długiej, brodzie, gdy w towarzystwie swojej ukochanej Haneczki, z nieodstępną zieloną skrzynką odbywał w okolicy długie botaniczne wycieczki. Polskie towarzystwo w Niemirowie, liczne jeszcze dotychczas, złożone z ludzi światłych i rzeczy ojczyste miłujących, wysoko ceniło zasługi i charakter Andrzejowskiego, otaczając czcią i szacunkiem jednego z nielicznych już krzemieńczanów.

W Stawiszczach dokończył swego długiego życia. Dzięki szczodrobliwości hr. Aleksandra Branickiego, zajmował tam takie samo stanowisko, jak u hr. Konstantego Platera. Tu przygotował do druku pracę swoją z zakresu botaniki p. t. „Flora Ukrainy“. Na cmentarzu Stawiskim położył zwłoki swoje na wieczny spoczynek. Pamięć jego uczcili hr. Braniccy pomnikiem, na którym położono napis:

Antonius Andrzejowski, profesor emerit. natus anno domini 1785, obiit anno 1868 die 12 Decembris [2]).

II.

„Ramoty Starego Detiuka“ w wydawnictwie wileńskiem [3]) obejmują tylko okres młodości autora, prawdo-

---

[1]) Z relacji księdza proboszcza Stawińskiego.

[2]) Szczegóły, udzielone mi listownie, zawdzięczam p. Pęczkowskiemu ze Stawiszcz.

[3]) Dalsza serja ukazała się w Krakowie w r. 1866, t. 2.

podobnie do chwili jego ożenienia się — okres lat dziecinnych, młodzieńczych, ogarniających czasy szkolne i początki prac dojrzałej młodości.

Nie bez powodu nazwał autor pamiętniki swoje „ramotami", gdyż, oprócz wspomnień przeżytych, oprócz faktów i zdarzeń widzianych, w których autor jest zawsze prawie osobą czynną — aktorem, znajdujemy tam ustępy obszerne, wplecione do pamiętnika z opowiadań innych. Posiadają one charakter literacki poniekąd, są mieszaniną fantazji i rzeczywistości, a jakkolwiek pozbawione charakteru materjału historycznego, są jednak ciekawe, jako rysy współczesnego społeczeństwa.

Okres młodości, ujęty w wydawanych obecnie „Ramotach Detiuka", sięga od końca XVIII w. m. w. do roku 1830. Wogóle, o ile pod względem treści, opowiadania Detiuka są dużej wartości, o tyle chronologja szwankuje w nich bardzo. Autor posługuje się zwrotami literackiemi, że tak powiem. Gdy pisze: „za powrotem z wakacji", lub „wróciwszy z Krzemieńca", pomija zupełnie chronologję wypadków, gdyż większe dla pamięci autora ma znaczenie sam wypadek i jego osobisty stosunek do niego, niż czas, w którym miał miejsce. Wystarczy to dla czytelnika, którego zajmuje przedewszystkiem obraz współczesnego społeczeństwa, ale przy pomocy takich ogólnikowych zwrotów, rzadko da się sprawdzić fakt lub zdarzenie, które miało miejsce. Trzeba jednak przyznać, że w ważniejszych wypadkach autor bywa ścisłym.

Wydzielony z literackich dodatków i odpowiednio do skróceń ugrupowany, materjał z „Ramot Detiuka" stanowi doniosłą wartość dla życia i obyczajów Wołynia pierwszej ćwierci XIX wieku. Nie dość tego, Należy jeszcze podnieść, że sfera, którą autor przedstawia, wyłącznie prawie jest do pewnego stopnia arystokratyczną — nie magnacką wszakże, chociaż i ta sfera nie jest autorowi obcą.

Znajdzie tu czytelnik obfity i ciekawy materjał do

historji i koligacji niektórych rodzin wołyńskich: do ich życia, pracy, a niekiedy i zasług. W Korcu, majętności Józefa ks. Czartoryskiego, istniała, jak wiadomo, fabryka fajansów i porcelany, autor dość szczegółowo opisuje jej powstanie, rozwój i losy. Dość obfity materjał znajduje się do rodziny Bierzyńskich z Ludwipola. Autor w obszernym ustępie, z romantycznym zacięciem traktowanym, opisał losy kasztelanowej Bierzyńskiej, dając może bezwiednie obraz tego rozprzężenia obyczajów, jakiemi koniec XVIII w. odznaczał się u nas. Również szczegółowo przedstawił autor dzieje rozpadania się rodziny Michała Walewskiego, wojewody sieradzkiego, a w opisie wesela panny Teresy, ukochanej córki wojewody, dał obraz tak dokładny zwyczajów weselnych, panujących na wielkopańskich dworach, że, jako zabytek tradycyjny, miły będzie każdej polskiej rodzinie.

Bliższe zetknięcie się autora z rodzinami Chodkiewiczów, Śniadeckich, Jabłonowskich, Malczewskich i wielu innych, przyczyniło się niemało do wartości jego pamiętników.

Młodzieńcze lata Detiuka przypadły na początek wieku XIX, na okres w naszych dziejach ciekawy, pełen nadziei i rozczarowań. Rdzenne prowincje Królestwa i Wielkopolska zaciągnęły pod zwycięskie sztandary Napoleona. Nie tu miejsce na opowiadanie o przebiegu tych złudzeń. Godzi się wszakże podnieść, że nie cała Litwa podzielała te złudzenia. Tu wpływy Aleksandra I były silniejsze, entuzjazm dla nadziei, jakie budził i dla jego osobistego charakteru były szczere i wielkie. Ogarniał on niektóre sfery arystokratyczne. Środowisko, śród którego żył autor pamiętników, panujące w niem myśli, uczucia, poglądy, nadzieje udzielały się bezkrytycznie młodzieńcowi. Powtarzał to, co słyszał, w pięćdziesiąt lat prawie później, z gorącością uczuć młodzieńczych. Można tu znaleźć garść wrażeń i nastrojów pewnej części społeczeństwa naszego, a poniekąd charakter stosunków polsko-rosyjskich na Wołyniu i Litwie.

Nie było wówczas zupełnie prawie ze strony biurokracji, ani tembardziej wojskowości, tego szowinistycznego rozwydrzenia, które interesom politycznym Rosji tylko szkodę przynosiło. Zdawała się nawet zapowiadać jakaś możliwość wspólnego pożycia zwycięzców i zwyciężonych. Ten odcień złudzeń znalazł w Detiuku swego opowiadacza.

Pobyt autora w Wilnie nie był obfity w doniosłe wspomnienia, ale zetknął się tam z malarzem Oleszkiewiczem, z którym później połączyły go ściślejsze węzły powinowactwa.

Nieraz słyszeć się daje zarzut o próżniaczem życiu wielkopańskich i wielkoszlacheckich dworów Wołynia, Podola i Ukrainy, o braku tam kultury umysłowej, o egoizmie tej najzamożniejszej warstwy polskiego społeczeństwa. W zarzutach tych tkwi więcej złośliwości i nieznajomości, niż prawdy, a w „Ramotach starego Detiuka" znaleźć można bodaj najwięcej dowodów, jak skorzy jesteśmy do uogólnień w potępianiu. Autor maluje wielkopańskie dwory w całej ich wytworności i przepychu, na jaki stać było ludziom bardzo zamożnym, ale widać także, że ci ludzie od spraw narodowych nie stali zdaleka, że hojnie swoją kieszenią i wpływem wspierali naukę, sztukę, szkolnictwo wówczas, kiedy oprócz ich hojnej ręki nie było jeszcze nikogo, ktoby umiał pożytek ich cenić i ku pożytkowi publicznemu iść z pomocą. W dworach wielkopańskich Wołynia, gdzie musiano bawić się pod jakiemś zaklęciem prawie, które zamykało oczy na przyszłość, istniały całe galerje obrazów pierwszych mistrzów naszego malarstwa, a nie jedna kopja z arcydzieł, ich ręką robiona, tuła się jeszcze między antykwarjuszami. Gdzie, po klęskach i rozbiciu, podziały się oryginały? — trudnoby dziś orzec.

Ofiarność na cele szkolnictwa była nadzwyczajną. Umiał ją rozbudzić Tadeusz Czacki i wpoić przekonanie, że wykształcenie młodzieży — to przyszłość narodu. Setki tysięcy płynęły na odezwę znakomitego oby-

watela z chwilą, gdy okazała się możliwość utworzenia własnego szkolnictwa. Szczególną opieką potrafił otoczyć Czacki swoje ukochane dzieło — najpierw gimnazjum, a potem liceum w Krzemieńcu. Z tego ogniska buchnął nagle olbrzymi płomień oświaty, podsycany hojnemi darami i zapisami. Szafy „Ksiąg funduszowych", zgromadzone w archiwum uniwersytetu w Kijowie, a nietknięte pono przez naszych historyków, są najlepszym świadectwem nigdy nieugasającej ofiarności narodu naszego za wielkie cele i prace.

Krzemieńcowi poświęcił Detiuk dużą część swoich wspomnień. Patrzył na rozkwit i upadek szkoły. Przypatrując się zblizka działalności Czackiego, powziął dla tego męża pełnego zasługi i poświęcenia się cześć, jaką go otaczali wszyscy, którzy rezultaty tej działalności ocenić potrafili. Najlepsze siły pedagogiczne zdołał tam skupić, najlepsze metody kształcenia rozumu i ciała potrafił zastosować. Zrobił rzecz niezwykłą prawie: nauczył młodzież kochać naukę. Jego metoda, jego duch ogarniał każdą szkołę, którą stworzył. Już nie stało Krzemieńca, już zamknięto szkoły w Winnicy, Humaniu, Międzyrzeczu etc., a jeszcze długo, bo przeszło do połowy XIX w. w szkołach już zreformowanych, unosił się nad nimi duch Czackiego. Takie jeszcze cechy, acz z bardzo dalekiem podobieństwem, odszukać się dały w gimnazjum kijowskiem, otwartem przez Czackiego, gdzie w nauce panował, ze zwyczaju, system wzajemnej pomocy (audytorowie), a zabawy młodzieży (rozmaite gry w piłkę, nieznane szkołom rosyjskim, i majówki, jako wspólne zabawy) nosiły na sobie, acz zdefigurowane znamiona urządzeń szkolnych początku XIX w. do roku 1864.

Do historji szkoły Krzemienieckiej znajdzie czytelnik w „Pamiętnikach Detiuka" dużo szczegółów, dużo barw do życia profesorów i uczniów, do tej szlachetnej wspólności koleżeńskiej, dla której węzły przyjaźni i życzliwości, nawiązane w szkole, nie rozluźniają się przez całe życie.

ków polsko-rosyjskich na Wołyniu i Litwie.

We wspomnieniach Detiuka o Krzemieńcu uderza przedewszystkiem ów ton niezmiernie sympatyczny, jaki panował we wzajemnych stosunkach uczniów do ciała nauczycielskiego. Uczniowie kochali swoją szkołę i profesorów, nawzajem kochani. Dobra cześć szkoły i miłość ku niej, były pewnego rodzaju świętością dla wszystkich. Znałem jeszcze ostatnich krzemieńczanów, którzy z najwyższą czcią i szacunkiem wspominali o szkole, nie jako o miejscu bezpłodnych męczarni, lecz o ognisku wysokiego napięcia naukowego, o chwilach przeżytych w niej górnie i szlachetnie.

Uroczysty obchód zakończenia roku szkolnego autor „Ramot" opisuje szczegółowo, z plastyką i z tem czułem umiłowaniem, które tylko wzajemna miłość nauczycieli, przewodników młodzieży i uczniów wytworzyć może. Szkoła Krzemieniecka nie odrywała ucznia od rodziny i społeczeństwa, nie tworzyła ciała zamkniętego w sobie, jak klasztor, w radościach i zabawach szkolnych brali udział rodzice i krewni uczniów, tworząc pewną całość spojoną miłością i wyrozumiałością. Pedagogja szkolna była nie wrogiem, ale przyjacielem młodzieży.

Autor pamiętnika znał wszystkich kierowników szkoły Krzemienieckiej, znał ludzi dla tej szkoły życzliwych i ofiarnych. Przed oczyma czytelnika przesuwają się postacie Czackiego, szefa Drzewickiego, Platera, w perspektywie ukazuje się postać księcia Adama Czartoryskiego, jako kuratora. Znajdzie tu czytelnik także nieco szczegółów do pobytu w Krzemieńcu Wacława Rzewuskiego, słynnego złotobrodego Emira. Wogóle Krzemieniec pod piórem Detiuka nabiera ogromnego ożywienia. Widać, że z tej małej wołyńskiej mieściny Czacki potrafił stworzyć środowisko nietylko szkolne, nietylko naukowe, ale i towarzyskie. Wszystko, co jest na Wołyniu zamożnego, światłego, ożywionego szlachetną chęcią podniesienia się z upadku, skupia się w Krzemieńcu i nadaje mu charakter ogniska współczesnej kultury i towarzyskości.

Gdy koło szkoły Krzemienieckiej unosiły się groźne widma niesłusznych podejrzeń, Czacki powagą swoją i wykazaniem bezinteresowności celów naukowych, jakie szkoła miała przed sobą jedynie, potrafił je, bodaj na czas swego kierownictwa, usunąć. W Detiuku odbija się rys wspólny całemu prawie ówczesnemu społeczeństwu Wołynia, Podola i Ukrainy — nadzwyczajny optymizm w ocenianiu istniejących warunków życia, a nigdzie śladu ani chęci spoglądania w przyszłość. Widział tylko dobrobyt wszędzie. Narodowych aspiracji nie dotknął nigdzie. Przeciwnie, widać u autora ogromne zadowolenie z tego, co jest. „Dobre to były czasy, — pisze — wesoło było wszędzie. Lata urodzajne, handel kwitnął, grosz za groszem wpływał do skrzyń obywatelskich".

W tym samym czasie — na początku XIX w. biły pioruny zwycięstw Napoleona I, upadały stare państwa, powstawały nowe, a zwycięskie orły cesarza Francji przelatywały przez całą Europę od ponizia Lombardji po Dunaj i Sprewę. Jeszcze trochę, a wielka armja miała przejść Niemen. Ale Detiuk z Ludwipola, z Tuczyna, z Pekałowa, a nawet z Wilna nie widział tego. Do lasów Wołynia i Polesia, do stepów Wasylowa nie dochodziły nawet echa tych walk i przewrotów. Rozczula się natomiast, jako zdeklarowany nieprzyjaciel Wielkiej Rewolucji francuskiej, nad „okrucieństwem Robespiera i Murata", nad tem, że „nie oschły jeszcze strumienie krwi pomazańca Boskiego, Ludwika XVI". Przerażony tem, że „Francja obmywa się krwią", tembardziej ceni spokojny nastrój, panujący w społeczeństwie polskiem na Rusi, tem chętniej ceni „dzielny umysł, wzniosłe uczucia, prawdziwą mądrość cechujące Pawła", a Napoleonowi I przeciwstawia „bohaterstwo Aleksandra, które objawiło się ojcowskiem sercem dla tylu miljonów ludów, podległych berłu jego". Wjazd tego cesarza do Wilna opisuje z entuzjazmem.

Mimo to szkole Krzemienieckiej od czasu do czasu groziło niebezpieczeństwo. Zażegnywał je Czacki.

Rok 1812 o mało nie stał się fatalnym dla szkoły, a jeżeli nie stał się, to tylko dzięki temu, że Czacki zetknął się urzędowo z rozumnym i wyrozumiałym człowiekiem. Gubernator wołyński Kumburley niechętnym okiem patrzył na szkołę. Wolałby był niewątpliwie, ażeby kilkuset kształcącej się młodzieży utworzyło bataljon dzielnych ochotników. Oskarżono Czackiego także o nieprawomyślność polityczną. Drobne zdarzenia, bez żadnej cechy politycznych manifestacji, jak śpiew Te Deum w czasie Bożego Ciała, wysunięto, jako niebezpieczne objawy. Gdy Wołyń ogłoszono na stopie wojennej, a książę Bagration został głównodowodzącym armji wołyńskiej, wezwał Czackiego do usprawiedliwienia się. Uczynił to z godnością i powagą zarówno dla swego wysokiego stanowiska, jak i dla stanowiska Czackiego. Był to człowiek wyrozumiały. Wysłuchał tedy usprawiedliwienia się bez złośliwego uprzedzenia i zarówno Czackiego, jak i szkołę pozostawił w spokoju.

Nie brak było i później ludzi niechętnych, którzy z uprzedzeniem patrzyli na rozwój szkoły, ale autor pamiętnika upatrywał w tej akcji tylko intrygi osobiste.

Nie będziemy śledzić wszystkich „od zwycięstw do upadku stopni". Nie szkoła Krzemieniecka jest tematem niniejszego szkicu, lecz próba scharakteryzowania Pamiętników Detiuka, a poniekąd umysłowości autora.

Andrzejowski zostawił kilkanaście dzieł, streszczających w sobie rezultaty jego badań:

1) Rys botaniczny krain, zwiedzonych w podróżach pomiędzy Bohem i Dniestrem od Zbrucza do morza Czarnego, odbytych w latach: 1814, 16, 18, 22.

2) Coquilles fossiles do Volhynie et de Podolie.

3) Czackia, genre determiné et décrit. Jest to praca o roślinie odnalezionej i określonej po raz pierwszy przez Andrzejowskiego, nazwanej imieniem uwielbianego człowieka. Wśród wielu innych poważną bardzo pracą An-

drzejowskiego jest „Flora Ukrainy“. Skłoniło go do niej ogólnie uznana w nauce potrzeba klucza do oznaczania roślin krajowych, bo nie wystarczały istniejące dotąd Kluka „Dykcyonaryusz roślin“ (XVIII w.) i Jundziłła „Opisanie roślin“ (1798 r.).

Doszła nas tylko pierwsza część „Flory Ukrainy“ z podaniem rodzajów. Następna część, o której wspomina sam Andrzejowski w przedmowie do pierwszego tomu z wyszczególnieniem bardzo dokładnem gatunków „systematem naturalnym Decandolle'a“, — zaginęła. Może się znajduje jeszcze egzemplarz w bibljotece Branickich [1]).

Fr. Rawita-Gawroński.

d. 29 marca, 1913.

Lwów.

---

[1]) „Ziemia“ 26 kwiet. 1913 r., artykuł L. Berezowskiej p. t. Antoni Andrzejowski.

ROZDZIAŁ I.

Wołyń był kolebką moją, tam się urodziłem, tam wyrosłem i na tej miłej ziemi pół wieku przeżyłem w trudach i pracy, do jakich Opatrzność zdolnością i usposobieniem obdarzyć mię raczyła.

Od dzieciństwa zblizka patrzałem na wielkie domy polskie. Przeznaczenie chciało, ażebyśmy i ojciec mój i ja na pańskich wzrośli pokojach. Patrząc więc na magnatów życie, tak jak czytać i pisać, nauczyłem się znać ich obyczaje, tryb życia, sposoby myślenia, wzajemne ich wpływy i związki, a tem samem, złą i dobrą stronę ich serc i charakterów i wpływ na społeczne w kraju stosunki.

Księga to była wielka, znakomita, w której zrazu składając zgłoski, zwolna czytać i rozumieć co czytam, wyuczyłem się.

Dziecinna i młodzieńcza pamięć wiernie zachowała wszystkie z owych czasów wypadki i towarzyszące im okoliczności. Niekiedy rozpamiętywając te lata ubiegłe, więcej pół wieku przesuwa się tak żywo przed mojemi oczami, jak gdybym te obrazy ledwo dopiero wczoraj widział. Kreślę je więc takiemi, jakiemi oczy je moje widziały, jakiemi je umysł mój pojmował.

Pierwsze lata ostatniego dziesiątka zeszłego stulecia zdawały się rokować pokój i swobodę w kraju, i wywie-

rając wpływ swój dobroczynny na przyszłość, pomyślność trwałą zabezpieczać. Nowe ustawy, mądrych i o dobro ojczyzny gorliwych mężów dzieło, wiekopomnej świętości uczuć i wielkości duszy naszych rodaków zabytek, zaprzysiężone przez króla i naród, wzniosły nas w oczach Europy i błogi byt kraju zdawały się zapewniać. W uniesieniu wdzięczności dla tych dobroczyńców ojczyzny, tych ojców narodu, naród cały ustami i sercem śpiewał hymn wesela:

Rzucajmy kwiaty po drodze,
Kędy przechodzić mają
Szczęścia narodu wodze,
Co nowy rząd składają.
Wdziejmy weselne szaty!
Dzień to kraju święcony,
Jakże ten król nasz bogaty
Skarb jego serc miljony — i t. d.

Budził się jak z letargu duch narodowy, odradzało się męstwo naddziadów, a zabezpieczone każdemu stanowi, równość w obliczu prawa, rozsądna wolność i swoboda osobista, ożywiały rolnictwo, przemysłowi i handlowi nowy popęd dawały. Siła narodowego wojska zwiększona i uorganizowana, wywoływała młodzież z pod strzech ojczystych pod święte znaki orłów i pogoni. Ocknęły się i muzy nasze. Dobroczynna ustawa o oświeceniu narodowem otworzyła przybytki nauk dla wszystkich stanów.

Kraj żył, oddychał swobodnie, i pojąć się nie mógł w radości swego odrodzenia. I pomnę, jak Wołyń naówczas oddawał się radości. Wszędzie z synowską życzliwością mówiono o królu, uwielbiano twórców konstytucji 3 maja i zbawienne jej ustawy przywieść do skutku starano się. O! jakież święte uczucia napełniały serca Polaków, jakie świetne nadzieje te uczucia ożywiały! Czytać jeszcze dobrze nie umiałem, a umiałem już na pamięć

pieśni ułożone stosownie do tych błogich, do tych pamiętnych okoliczności.

Ojciec mój służył wojskowo w regimencie Ostrogskim; ale ożeniwszy się uwolniony od służby, został kasjerem w banku Prota Potockiego w kantorze Warkowickim. Gdy zachwiane interesa wojewody zmusiły go do skoncentrowania kantoru w Wadmowce i sprzedania Warkowicz [1]), mój ojciec po trzech latach kasjerstwa wrócił znowu do wojska do kawal. nar. pod chorągiew Szczepana Turny, przyjęty namiestnikiem ze względu na służbę poprzedniczą. A że naczelnik był pewnym wierności i gotowości mojego ojca, ani jaka podówczas groziła Polsce wojna, pozwalał więc absentować się z pułku, i ojciec mój otrzymał dzierżawę od kasztelana Popiela, niewielką wioskę Kryłów, za półtora tysiąca złotych rocznej tenuty. Korzystne między Warkowiczami a Dubnem położenie wioski intratną czyniło dzierżawę. W r. 1792 w marcu, wyszedłszy z dzierżawy trzyletniej z 30,000 złotych, nim się co pomyślnego nadarzy, a raczej nim rzeczy krajowe do zupełnego przyjdą ładu, zamieszkał mój ojciec na rok w Warkowiczach w ładnym dworku, nad główną ulicą, jak to mówią na bruku. Rodzina nasza składała się: z matki mojego ojca, moich rodziców, nas trojga dzieci i dwuch sióstr mojej matki, młodych jeszcze panienek. Żyliśmy sobie skromnie, po szlachecku, ale uczciwie, a uprzejmość i gościnność narodowa, były wrodzonym obojga rodziców przymiotem.

W tym czasie część naszych wojsk odebrała rozkaz przeniesienia się do Wielkiej Polski. Główny pochód z Ukrainy do Warszawy szedł przez Warkowicze. Nowy właściciel tego miasteczka podkomorzy Mołodecki, dla choroby żony obległej w drugiej majętności, nie mieszkał w Warkowiczach; co tylko więc było oficerów wyższych i niższych w przechodzących pułkach, wszystko to opie-

[1]) Miasteczko w dzisiejszym pow. Dubieńskim.

rało się o nasz chudopacholski dworek, a wielu z nich byli naszymi, gdyż i ja liczyłem się towarzyszem kawalerji nar., bo ojciec dał za mnie poczet sowity; w siódmym roku życia mojego szlify i szablę przy boku nosiłem. Generałowie i pułkownicy nie gardzili uprzejmą gościnnością p. namiestnika. Raczył ojciec z serca miłych gości, zasilał wyższych pieniężną pożyczką, z równymi czem mógł tem się podzielał. Dość było, aby który powiedział: Panie Łukaszu, daj! a p. Łukasz, chętnie choćby i grosz ostatni oddawał. Jednego z takowych szczególniej pamiętam, był to pułkownik artylerji, p. Bielicki, wielce miły i światły człowiek. Przez dwa tygodnie pobytu swego w Warkowiczach, rodzina ich zaprzyjaźniła się z naszą i cały ten czas jak jedna familja żyliśmy z sobą. Bieliccy mieli synka Rudolfa jednych lat ze mną, a młody bombardjer Wiewiorowski był naszym mentorem i szczerze nas pilnował i bawił. Po odjeździe Bielickich, długo tęskniliśmy za nimi, a odjeżdżającemu pułkownikowi mój ojciec sto dukatów pożyczył. Tak więc grosz za groszem się wytaczał, a natomiast zostawały na świstkach rewersa! — 30,000 złotych, lubo w owych czasach wielką były sumą, wyczerpać się musiały, a po przejściu wojsk naszych ku zimie, ledwie niewielki zapas w gotówce pozostał. Ale mój ojciec nie żałował swojej usługi, i tem się pocieszał, że swoim mógł być jakąś pomocą, i że kiedyś oni pamiętać będą w jakiej przygodzie pomoc znaleźli.

Po przejściu wojsk naszych, za nadejściem zimy, armja rosyjska przyciągnęła na Wołyń. Pułki regularne szły w porządku, i przyznać potrzeba, że się żadnych nadużyć nie dopuszczały. Piękność jednak rodowa i wyższe ukształcenie naszych Polek, ściągały na się uwagę i raziły serca niezlodowaciałe jeszcze podarkturowych mieszkańców. Wielu z wyższych oficerów namiętnem okiem poglądali na nasze młode Sarmatki i kusili się o wykradzenie niejednej szlachetnej panienki. Nawet

w Warkowiczach, przechodzący pułkownik Stryłenko, ujrzawszy ładne siostry mej matki w kościele, podobny względem nich zamiar powziął. Ale się nie udało. Młody podoficer, synowiec pułkownika skrycie ostrzegł moją matkę. Rodzice udali się do właściciela miasta, i obecna naówczas sama podkomorzyna zabrała panny do zamku. Przez szpiegów dowiedział się pułkownik o ich ukryciu, ale na mieszkanie magnata natrzeć nie było śmiałości. Odgrażał się wprawdzie zemstą, ale ukaz śpiesznego pochodu groźbą tylko wszystko zakończył.

Ale o ile ze strony wojska regularnego było bezpieczeństwo, o tyle wlokący się przy pułkach Dońce kozacy, choć jeszcze wojny nie było, trwożyli mieszkańców. Napadali po drogach, rabowali domy i ciężkich dopuszczali się bezprawiów, tak dalece, że dla zabezpieczenia się od tych napadów, potrzeba było u naczelników regularnego wojska prosić o załogę. Trwoga stąd wielka powstała. Mieszkańcy odbiegali domów i dobytku, unosząc życie i co z ruchomości unieść się dało. Bliżsi granicy wsi i miasteczek właściciele w sąsiedniej Galicji przytułku szukali. Ojcu memu do wojskowej swej służby w Ukranie udać się potrzeba było, do tego więc zagranicznego schronienia, wyprawił wraz po Wielkiejnocy matkę moją, z nami dziećmi i siostrami. Babka moja jechać nie chciała, a gdy jej wystawiano napady rabujących Dońców, z rezygnacją pokazywała na krzyż, dany jej z błogosławieństwem od ciotki jej pułkownikowej Kościowej, na Litwie, skąd była rodem, mówiąc: „w tym znaku zwyciężysz! wam młodym niebezpieczno tu zostawać, bo to naród bezbożny, a mnie starej baby, to się nastraszy i nie zaczepi". I tak było w istocie, bo dzicz ta jednak starość uszanować umiała.

Smutny był nasz wyjazd z domu i smutny pobyt w Galicji. W podróży od Warkowicz mieliśmy towarzyszami dwuch polskich oficerów naszych pokrewnych. Żal nam było rozstawać się z nimi, bo zdawało się, że się zry-

wa ostatnia nić wiążąca nas z krajem rodzinnym. Jużeśmy ich więcej nie ujrzeli, obaj zginęli później na Pradze.

Kilka miesięcy naszej emigracji przemieszkaliśmy w miasteczku Stojanowie [1]), w domu parocha Unickiego, dobrego człowieka, ale podległego nałogowi. Skoro tylko podprószył sobie, staczał wojnę ze wszystkimi, wyrzucał nas z domu swego i dziwne sceny wyrabiał. Nikt go nie mógł uhamować, siostra tylko moja starsza, dziewięcioletnia dziewczynka, miała dar uspokojenia go; a natenczas płakał, przepraszał i na intencję swoich komorników w cerkwi akafest śpiewał. W Stojanowie wiele zè szlachty wołyńskiej zamieszkało. Między innymi, podstolina Rohozińska z córką i synem małoletnim, najbliższą naszą była sąsiadką, a jako znajoma oddawna, jeszcze w ściślejszych z matką moją żyła stosunkach. Ale, mimo liczne zebranie osób, mimo spokojność i bezpieczeństwo pod rządem austrjackim, wesołość wszystkich odbiegła. Zasmucające były wieści z Korony i Litwy. Gazeta warszawska nie wiele pocieszających nowin zwiastowała. Zawiązana konfederacja Targowicka, szerzyła się po kraju. Król udał się na sejm do Grodna. W Warszawie duch miłości ojczyzny ożywiał upadające umysły; w Grodnie egoizm, zarozumiałość i chciwość owładnęły sejmującymi, i biada temu, kto się z uczuciami szlachetniejszemi śmiał odezwać. Ukraina zajęta była przez wojska rosyjskie, rzadko gdzie było widać pułk polski, a i ten pewnie należał do stronnictwa Targowickiego. Na Wołyniu i na Podolu trzymała się jeszcze garstka wiernych ojczyźnie wojsk narodowych. Ale nic tak nie rozdzierało serc naszych, jak wiadomość o ustąpieniu przez sejm grodzieński 17 czerwca, 4,550 m. kw. dla Rosji, 1,060 m. królowi pruskiemu. To państwo niedawno obszerne i tak świetne, w jakichże szczupłych granicach zamknęła bezbożność Grodzieńskiego sejmu! W Wielkiej Polsce zbierano się pod dowództwo Kościuszki i z Krakowskiego pod jego cho-

[1]) Miasteczko w Galicji, st-wo Kamionka Strumiłowa.

rągwie nieliczne ciągnęły hufce; w nich i w ich naczelniku cała nadzieja kraju złożona była, nadzieja ta ożywiała i biednych emigrantów. Jeżeli błysła kiedy wieść jakaś pocieszająca, to wszyscy zbierali się do kościoła na dziękczynne Panu Zastępów modły i dzień ten uroczyście obchodzili.

Silnie jeszcze podówczas krążyła w Galicji powieść o porwaniu i umorzeniu Gertrudy z Komorowskich Potockiej [1]). Podstolina Rohozińska, z domu Romanowska, pokrewna Komorowskich i z Potockimi spowinowacona, historję Gertrudy matce mojej ze szczegółami opowiadała. Podług jej powieści matka p. Szczęsnego nie była mniej winną od męża, owszem nawet, pomysł porwania i wywiezienia gdzieś daleko synowej, był płodem przewrotnego jej serca. A dowiedziawszy się o śmierci Gertrudy, miała wyrzec: że sam Bóg nie chciał poniżenia rodu magnata przez taki mezaljans. Uduszenie Gertrudy nie zgadza się z powieścią p. Rohozińskiej, współczesnej temu wydarzeniu. Podług ich rodzinnych podań, p. Potocka była przy nadziei, przestrach przyśpieszył przedwczesne rozwiązanie, a oziębienie zadało śmierć; i kiedy Wilczek postrzegł, że wiezie trupa, zatrzymał się, i kazawszy przerąbać płonkę na Bugu, tam małżonce pana swojego sprawił pogrzeb. Po tem okropnem wydarzeniu wrócił Wilczek do Krystonopola [2]), o wypadku doniósł, i natychmiast i jego i wspólników wyprawiono na Ukrainę, lub na granicę węgierską, gdzie wojewoda miał także majętność, i wszystko się ukryło, i ukryło się na długo! Podług opowiadania p. podstolinej, na wiosnę, czy też rokiem później, dziwnym sposobem wykryła się tajemnica. Niedaleko Krystonopola ku Sokalowi [3]), w nadbrzeżnej wios-

---

[1]) Szczegóły do tej sprawy: J. I. Kraszewski: Starościna Bełzka, opowiadanie historyczne 1770—1774 tomów dwa Warszawa 1858.

[2]) W Galicji, st-wo Sokolskie.

[3]) W Galicji, m. powiatowe.

ce Buga, po oczyszczeniu z lodów tej rzeki, wieczorem, paroch tamtejszy, przechadzając się ponad brzegiem, odmawiał pacierze. Jednym razem postrzega coś płynącego, i po ostatnim odbrzasku zachodowego światła, rozpoznaje płynące ciało ludzkie, biało odziane. Pośpieszył kapłan ku cerkwi, uderzył w dzwon, i w mgnieniu oka zbiegła się czeladź, rzuciła się do czółen, i popędziwszy się za topielcem, dognali go i do brzegu przyciągnęli. Była to kobieta, której pięknych rysów woda popsuć nie zdołała. Ubrania na niej mało było, na palcu złota obrączka, na szyi na cieńkim złotym łańcuszku medaljon, ale tak szczelnie zamknięty, że się woda pod szkło nie wcisnęła i minjatura mężczyzny nie zmienioną została. Ale nikt we wsi ani utopionej, ani odmalowanego mężczyzny nie znał. Paroch, spisawszy akt tego wydarzenia przy świadkach, dołączył do niego medaljon i obrączkę, i złożył to w Złoczowie [1]) w cyrkule, a utopioną, w grobie murowanym pochował. Wieść jednak o tem gruchnęła w okolicy i doszła do Komorowskich. Pośpieszyli oni do Złoczewa, ale stronnicy Potockich szczodrze opłaceni poznawszy w minjaturze portret Szczęsnego, starali się dowody te zniszczyć. Ale, jeżeli w cyrkule załatwił się interes, bo drogo był okupiony, to z księdzem trudna była sprawa. Potrzeba mu było tajemnicę Potockich powierzyć i do niej go wciągnąć, a ślad aktu zupełnie zniszczyć. Ale ani obietnice, ani datki, ani groźby, nic na zacnym kapłanie nie zdołały, i okropna nieprawość wyjawiła się. Pogorszyło to wielce sprawę Potockich. Komorowscy udali się do parocha, widzieli i poznali trupa Gertrudy, otrzymali kopję aktu, złożonego w cyrkule, z podpisami tychże samych co i na akcie świadków, i z tym dokumentem jawili się w Złoczewie. Nie można było utaić aktu, skonfrontowano z nim kopję, wszystko było to samo, ale do dowodów służyła tylko obrączka, bo medaljon zniknął z

[1]) W Galicji m. powiatowe.

kancelarji cyrkułu. Możeby i obrączka była znikła, gdyby się rozpatrzono w jej wnętrzu, gdzie litery G. S. dzień miesiąca i rok były wyryte. Komorowscy obrączkę Gertrudy poznali, o znajomym medaljonie domyślili się. Wszystko to jednak dowodziło tylko, że była utopiona. Podejrzenie padło na Potockich, ale zbrodni nie było jeszcze czem dowieść. Poznali wprawdzie domownicy w czasie napadu Wilczka, dworzanina Potockich, bo ten nieraz posyłany bywał od p. Szczęsnego do p. Gertrudy, ale gdzież go znaleźć, kiedy tyle poszukiwań daremnemi były, kiedy i wieść o nim zaginęła. I czas uchodził, i proces leniwie się przeciągał. P. wojewodzina tryumfowała, Komorowscy martwieli smutkiem i kłopotami.

W historji starościny Bełzkiej przez Kraszewskiego, zjawia się oskarżenie Potockich, potem dekret ferowany w tej sprawie, ukaranie Wilczka i jego wspólników. Ale jakim sposobem zbrodnia ich wykrytą została? Czyżby Wilczka pojmawszy jako porywacza Gertrudy, nie zapytano: gdzieś podział nieszczęśliwą małżonkę twojego pana? czyżby nie znalazły się sposoby wydobycia z więźnia zeznania prawdy? Tu w historji p. Bełzkiej taka jest przerwa, że po przeczytaniu dwuch tomów, zostaje jeszcze zapytanie: no! i cóż dalej? — Smutną tę powieść, w dzieciństwie ciągle po kraju krążącą, wielokrotnie i rozmaicie słyszałem opowiadaną. Wypadków tych, na wiele lat przed mojem urodzeniem wydarzonych, nie mogłem być świadkem, relata refero. Zdaje mi się jednak, że osoba, od której najwięcej okoliczności tej historji słyszałem, największą mieć może przewagę i wiarę w tym względzie.

Chrząszczewski Franciszek, niegdyś sekretarz Szczęsnego Potockiego, później konfederacji Targowickiej, miał brata ożenionego z Cyrynianką, siostrą p. Ksawerowej Malczewskiej. Chrząszczewscy odumarli w dzieciństwie córkę swoją Eleonorę, a ciotka Malczewska wychowała ją wraz z córką swoją. P. Franciszek odwiedzał u Mal-

czewskich w Tarnorudzie [1]) swoją synowicę, tam poznałem tego szczególnego człowieka i miałem szczęście przypaść mu do serca. Niepiękna twarz, zaniedbana powierzchowność, nie mogły u patrzących na niego wywołać jakiejś sympatji; ale skoro p. Chrząszczewski usta otworzył w jakimby to nie było języku (bo ich biegle kilka posiadał), albo w jakim tylko wydarzyło się przedmiocie, natenczas rozjaśniało się jego oblicze, a ucho zachwycone przedziwną jego wymową, oczarowania swego i oczom udzielało. Polubił mię i zniewolił ażebym go odwiedził. W kilka lat ledwie potem, zwiedzając nadbrzeże Dniestru, od Raszkowa do Jaorlika, zajechałem do Saracei, gdzie mieszkał p. Chrząszczewski. Osiem dni upłynęło, jak osiem godzin w miłem jego towarzystwie. Dniem obiegaliśmy piękne tamtejsze okolice, wieczory zajmowała przyjemna pogadanka. Najczęściej jednak rzecz toczyła się o Szczęsnym Potockim, o Tulczynie, a stąd i o Komorowskiej, a to wspomnienie, wywoływało na Chrząszczewskiego uciskający smutek. Opowiadanie jego zawierało wiele okoliczności opisanych dziś przez Kraszewskiego, najwięcej jednak zgadzało się z opowiadaniem p. Rohozińskiej. Ale i p. Chrząszczewski utrzymywał i dowodził, że całą sprężyną tego okropnego dramatu była wojewodzina i cieszyła się ze śmierci Gertrudy, że wojewoda był machiną działającą jedynie podług nastrojenia żony. Opowiadał dalej, że mimo wziętości i uważenia, w jakiem p. Kossakowska była u Wiedeńskiego dworu, zniechęceni ostrem jej obchodzeniem się urzędnicy Lwowscy, przechylili się na stronę Komorowskich, i sprawę ich z tak dobrej strony w Wiedniu wystawić umieli, że ta samego nawet cesarza zainteresowała, co i całemu procesowi inny obrót nadało. Proces Komorowskich stanął na lepszej drodze; ale co się rzeczywiście stało z Gertrudą, o tem sami Potoccy wiedzieli, a stroskany ojciec coś wiedział, wiele się domyślał i przeczuwał jeszcze więcej. Nie było

[1]) W Galicji m. pow. Skałacki.

jednak czem wyświecić całej niegodziwej sprawców jego nieszczęścia. Wykrycie winowajców dziwnym się stało sposobem. Tu wyraźnie okazał się sąd Boży. Rzecz działa się we Lwowie, był dzień niedzielny, u św. Jerzego na nabożeństwie mnóstwo było ludzi. Przy wejściu do kościoła siedział przychodzień wybladły, schorowany, ledwie mogący się utrzymać na nogach. Pobożni chcieli go jałmużną opatrzyć, ale on wsparcia przyjąć nie chciał i błagał w mię Boga, ażeby mu przyprowadzono księdza, przed którym mógłby się ze swoich ciężkich grzechów wyspowiadać. Jakaś litościwa dusza oddała mu tę usługę, wyszedł kapłan i odprowadziwszy nieco na stronę, słuchał go spowiedzi; a po ukończeniu wyznania, z pomocą ludzi kościelnych, wprowadził go przed ołtarz, opatrzył Sakramentami, a potem do klasztornej infirmerji zawieźć rozkazał. Chory zażądał urzędowych świadków, ażeby wobec ich zeznać ważną tajemnicę, ciężącą na jego sumieniu. Sprowadzono urzędników duchownych i świeckich; chory odezwał się w te słowa: „jestem jeden z tych, którzy porwali z domu ojca Gertrudę z Komorowskich Potockę, żonę pana mojego JW. Szczęsnego, za wolą osobistą JW. wojewodziny matki mojego pana. Rozkaz p. wojewodziny był, ażebyśmy porwaną wywieźli na granicę węgierską i osadzili w klasztorze, którego przełożona miała wielkie obowiązki dla p. wojewodziny. Pani moja przestrachu i zimna znieść nie mogła a w bólach macierzyństwa i jednego jęku nie wydawszy, ducha Bogu oddała, zaledwie może o mil parę od domu rodzicielskiego. Wilczek postrzegłszy, że już trupa tylko wieziemy, z przestrachu utracił przytomność, ale nie było już nad czem rozmyślać. Spodziewaliśmy się za nami pogoni, niebezpieczeństwo groziło, zwróciliśmy więc nad Bug i przerąbawszy obszerną w lodzie płonkę, wsunęliśmy śpiesznie pod lód trupa. Strach nas pędził, i lotem ptaka stanęliśmy w Krystonopolu. Uwiadomiona p. wojewodzina wesołą twarzą przyjęła wieść o zgonie synowej, nas w różne dalekie porozsyłała strony. Wilczka zdaje się do Wiednia,

mnie do Tulczyna [1]) wysłała. Mnie gryzło coś w sercu, do niczego nie byłem sposobnym, zdrowie mię opuściło, wałęsałem się po kraju, ale wszędzie widziałem obok siebie trupa pani naszej, naszej dobrej pani. Moc jakaś niewidoma ciągnęła mię w te strony, a czując się blizkim śmierci, pragnąłem wyznać moją zbrodnię i pokutować za nią do wyjścia ducha". Całe to zeznanie spisano urzędownie z podpisami świadków i gubernjum złożono. Powiadano, że arcybiskup dał znać Potockim, ale zeznania urzędowego zataić nie można już było. Układy z Komorowskimi sprawiły, że w dekrecie o tem zeznaniu przemilczano. Potoccy przegrali, i byliby może ciężko karani, gdyby nie względy na ich ród, i na Komorowskich bezinteresowność. Szczęsny kochał Gertrudę, a lubo cytują jego listy, uznające nieprawość z nią małżeństwa, on nigdy nie miał zamiaru zerwania poprzysiężonych wobec Boga ślubów. Całe życie nie mógł zapomnieć Gertrudy i nieraz w samotności łzę jej pamięci poświęcił. Chrząszczewski widział te łzy, których wdzięki i miłość Zofji otrzeć zupełnie nie zdołały. Takie było opowiadanie p. Chrząszczewskiego, i musiało być prawdziwe, bo on kochany był od Potockiego i całą ufność jego posiadał. Ustęp ten przedwcześnie w opowiadanie moje wtrąciłem; ale wspomniawszy o Komorowskiej, sądziłem, stosownem będzie opowiedzieć, co tylko wiedziałem w tym względzie, a czego w dziele p. Kraszewskiego nie znalazłem. Wracam do mojej historji.

Nie mogę tu nie wspomnieć o jednem dziwnem wydarzeniu, którego sobie i dziś wytłumaczyć nie umiem i nikt podobno objaśnić go nie potrafi. P. podstolinę Rohozińską odwiedzili w Stojanowie braterstwo jej p.p. Ro-

[1]) M-stko Podolskiej gub. dawny Nesterwar. Pałac z napisem frontowym: oby zawsze wolnych i szczęśliwych był siedzibą. Nigdy taką nie był. Zbudowany około 1765. Ogród Chorosza. Tulczyn był siedzibą konfederacji Targowickiej. Ostatnie lata spędził tu Trembecki. Obecnie własność rządu. Pałac i ogród w opuszczeniu.

manowscy i z nimi pokrewna samej, panna Grzymalanka, dziwnie pięknej urody, pięknych duszy przymiotów i wyższego ukształcenia, ale nader wątłego zdrowia dama. Z tego powodu, po kilkunastu dniach bawienia, rodzina ta cała, z żalem współ-emigrantów przeniosła się do Lwowa. P. Grzymalanka zostawiła po sobie we wszystkich najprzyjaźniejsze uczucia. Długo nie mieliśmy o nich żadnej wiadomości, a tymczasem odebraliśmy list od mego ojca, donoszący o zwinieniu, czyli jak naówczas mówiono dezarmacji, części wojsk naszych w Ukrainie, z pozwoleniem wejścia w służbę rosyjską w tychże samych rangach. Pisze dalej: że wziął dymisję, wraca do domu i prosi, ażeby i matka z nami wracała; że przejazd już swobodny, bo wojska rosyjskie pociągnęły ku Brześciowi, zostawiwszy gdzie niegdzie załogi dla bezpieczeństwa tej części Wołynia. Potrzeba więc było i nam zbierać się do domu.

Właśnie w czasie tego wybierania się w drogę, matka moja i ciotki cały ranek zajęte były układaniem swoich rzeczy, a my dzieci bawiliśmy się w cieniu drzew na obszernym dziedzińcu. Służąca była przy nas z robotą, a nasz furman zajęty był przyrządzaniem do podróży powozu i uprzęży. Było około południa. Wtem z rogu dziedzińca wychodzi dama w ciemnej materjalnej sukni, w białym półsalopku, w kapeluszu ryżowym z czarną szeroką koronką. Postrzegliśmy ją wszyscy i krzyknęliśmy: „P. Grzymalanka!“ Służąca pobiegła dać znać mojej matce, furman przechodzącą nizkim ukłonem pozdrowił. Dama spojrzała na nas z pełnym wdzięku uśmiechem, i nie doszedłszy do wrót, w pośród dziedzińca znikła, i nikt jej z sąsiadów na ulicy nie widział. Gdy moja matka i ciotki wybiegły, już jej nie było, furman tylko zmięszany tem zjawiskiem żegnał się i modlił. Na nas dzieciach szczególnego to wrażenia nie zrobiło, ale starsi żywą niespokojność uczuli. Wyjazd nasz odwlókł się jeszcze na dni kilka, w przeciągu których odebraliśmy list od podstoliny ze Lwowa, donoszący o zgonie pięknej Grzymalanki, którym

na długo zasmuciła rodzinę i przyjaciół, a wieszczowi wojownikowi smutne nad stratą Telimeny natchnęła Emroda żale [1]).

Wyjechaliśmy ze Stojanowa w początkach sierpnia z błogosławieństwem i modlitwami naszego gospodarza, ale ze szczupłym nader zapasem pieniężnym; a choć do Warkowicz ledwie dwadzieścia mil było i droga letnia wyborna, trudno jednak było pośpieszyć trzema już tylko końmi, które i ciężki powóz i nas osób ośm i duży pakunek dźwigać musiały. Dnia trzeciego naszej podróży, dzień był gorący, znużone konie prawie ustawały, i wcześnie przed zachodem słońca na nocleg stanąć potrzeba było. Na całej przejechanej przestrzeni, od granicy prawie, zastawaliśmy ślady rabunku. Karczmy i dwory pustkami stały, i po wieśniaczych chatach przytułku na noc szukać musieliśmy. Szczęśliwym trafem austerja, pomiędzy Radomyślem a Targowicą w tak pięknym była stanie, jak gdyby na nowo zbudowana i na przechodzie Dończów nie stała, i tam właśnie stanąć na nocleg potrzeba nas zmusiła. Gospodarze, dwoje młodych i pięknych ludzi, najuprzejmiej nas powitali; dano nam obszerny, czysty pokój z wygodnemi łóżkami, i gdy gospodyni prowadziła nas do stancji, gospodarz pomagał konie wyprzęgać i rzeczy poznosić. Zaledwieśmy się cokolwiek rozgościli, gospodyni przyniosła dla nas, dzieci, trzy filiżanki mleka i trzy piękne bułeczki, i zapytała matki mojej, czy nie zechcą panie czem się posilić, nim wieczerza będzie? Matka moja, znając smutny stan swoich finansów, bo już tylko dziesięć złotych miała, a do domu jeszcze dwa dni drogi było, nie śmiała nadużyć uprzejmości gospodyni; ale w tem nadszedł i sam gospodarz i oboje usilnie nalegać zaczęli. „Ludzie dobrzy! — rzecze matka moja, — od popasu niewieleśmy ujechali i jeszcześmy nie głodni". Ale gospodarz, patrząc na nas chciwie zajadają-

[1]) Aluzje do stosunków towarzyskich bliżej nieznane i niedające się wyjaśnić.

cych nasz podwieczorek, domyślał się, że popas nasz nie musiał być wielce obfity.

Słońce było na zachodzie i powiew wieczorny ochładzał dzienne gorąco. Blizko austerji był lasek i z niego widok na piękną wioskę starosty Zagórskiego, do którego i austerja należała. Tam całą naszą gromadką wyszliśmy na przechadzkę, w ciągu której i matka i ciotki przypominały sobie, gdzie i kiedy tego gospodarza i jego żonę widzieć mogły, bo tak nieobce im były ich twarze. Już się ściemniało, kiedy wróciwszy zastaliśmy stół nakryty i zastawioną wyborną wieczerzę. „Jeść, to dobrze, mówiła do sióstr moja matka, ale jak się potem wypłacić?“ Uprzejmość jednak miłych gospodarstwa i potrzeba posiłku przemogły; jedliśmy smaczno, a gospodarz poglądał na nas z takiem rozczuleniem, że to i starsi zauważyli, a nawet naszych dziecinnych postrzeżeń nie uszło. A gdy moja matka chciała go o przyczynę wzruszenia zapytać, już go w pokoju nie było, aniśmy go tego wieczora więcej nie widzieli; gospodyni tylko sama służącej naszej w usłudze pomagała.

Nazajutrz, ledwieśmy powstawali, gospodyni wniosła w porządnym przyborze, wyborną kawę z wyborną śmietanką i ślicznemi świeżemi bułeczkami. Co się w sercu matki mojej działo, trudno wypowiedzieć. Tyle dogodności, tyle dostatku, taka uprzejmość, a czem to opłacić? Bo nietylko dla nas, ale dla ludzi naszych i koni dostatnia była wygoda. Słudzy nasi z pomocą gospodarza pakowali rzeczy w powozie, a gdy już wszystko było gotowe, matka moja zaprosiła gospodarza do obrachunku. Na twarzy jego widać było wielkie wzruszenie. Zapytany, co się za nocleg należy, — odpowiedział z mocą: „Nic“. — „Jakto, nic?“ — zawołała matka. — „Niech pani będzie łaskawa posłucha mię, — rzekł mocno wzruszony młody człowiek, — a potem niech pani sama osądzi, czy mogę wymagać jakiejkolwiekbądź zapłaty. Żył przed niewielu laty w Dubnie pan porucznik Ostrowskiego regimentu Sobiński, mieszkał w pięknym domu własnym na Piekar-

skiej ulicy. Miał szanowną małżonkę i kilka córek, takich miłych, takich zacnych, jak i rodzice. Zacne dusze tych państwa znane były w całem Dubnie. Obok w sąsiedztwie mieszkał szewc Weryński, niemłody już człowiek, dobry majster; ale (mówił dalej ciężko westchnąwszy) Bóg przypuścił na niego nałóg pijaństwa. Miał on syna Jasia, i tego do swego rzemiosła sposobił. Jaś miał już może lat ze trzynaście, dobry musiał być chłopiec, bo go p. porucznik bardzo lubił i sam go czytać i pisać wyuczył. Niech w Bogu spoczywa ten dobry pan (mówił dalej ze łzami), Jaś uczył się czytać i pisać w domu czcigodnych, bogobojnych państwa, i tam się nauczył bać Boga, kochać bliźniego i poczciwie pracować na kawałek chleba. Jaś osierociały od ojca, wziął się szczerze do rzemiosła i ciężko pracował na utrzymanie chorowitej matki, siostry i siebie. Bóg mu pomagał pod ojcowską opieką szanownego p. porucznika. Kochał go Jaś synowskiem sercem i całą rodzinę jego kochał, a dla panien poruczników wien najpiękniejsze trzewiczki robił. Temi dziećmi p. porucznika wy panie jesteście, a ten Jaś jest przed oczyma waszemi, u nóg waszych", — dodał rzucając się do nóg mojej matki. Rozrzewnienie nie dało nikomu słowa przemówić; ale nakoniec matka moja odezwała się: „Panie Weryński! to wszystko, coś powiedział, nie uwalnia mię od zapłacenia tak wygodnego noclegu. Wszak na to wzięliście traktjer na wielkim gościńcu, ażeby stąd mieć przyzwoite utrzymanie, a każdy przyjezdny, jeżeli używa gościnności, opłacać ją powinien" — „O, nie! — zawołał Weryński z płaczem, — pani płacić mi nie będziesz, pani mi tej krzywdy nie zrobisz. Pan Bóg błogosławi pracy naszej, jesteśmy na nasz stan dość bogaci, czemuż nie mamy Bogu dziękować za Jego Opatrzność nad nami, dowodząc wdzięczności naszym dobrodziejom? A pamiętasz pani, kiedy matka moja ciężko chorowała, a ojcem nałóg jego o łóżko uderzył, kto nas karmił swym chlebem, kto doktora sprowadzał, kto lekarstwa opłacał? pan porucznik! Kto przy chorych z nami noce przesiadywał i o chorych naj-

troskliwsze miał staranie? pani porucznikowa i pani. A kiedy ojciec mój biedny życie zakończył, kto pogrzebem się zajął, kto koszta opłacał? i oficer z całą rodziną swoją ubogiego szewca do grobu odprowadził, i życzliwą garstkę ziemi na ten grób rzucił? Pani to sobie przypominasz, widzisz nasze uczucia i chcesz, ażebym ja przyjął zapłatę za ten kawałek powszedniego chleba, który wam winienem i za ten kąt do odpoczynku po trudzącej podróży. A jest że w tem sprawiedliwość?“ To rzekłszy zasłonił oczy i głośno płakał, i przez płacz to jeszcze wyrzekł: „Gdybym od pani wziął zapłatę, coby na to stamtąd rodzice moi powiedzieli?“. Mowa Weryńskiego wywołała powszechne rozrzewnienie, płakaliśmy wszyscy i była chwila uroczystego milczenia; — nareszcie podniosła się matka moja i, objąwszy głowę poczciwego Jasia, po-macierzyńsku ją ucałowała: „Rozpoznaję cię, Jasiu, — rzekła; — rysy twojej twarzy się nieco zmieniły, ale twoje poczciwe serce zawsze toż same. Kochał cię nasz ojciec, bo przewidział, że będziesz poczciwym człowiekiem, jak byłeś dobrym synem, i pewnym był, że ci Bóg błogosławić będzie. Przyjmuję twoją uprzejmość wdzięcznem sercem i takiemże sercem ci dziękuję. Niech ci Bóg stokrotnie nagrodzi, niech ci dopomaga i szczęści we wszystkiem, a ja do zgonu twojego czynu nie zapomnę“. Weryński nie posiadał się z radości, całował ręce mojej matki, ciotek, starszej siostry, a nas dwoje mniejszych chwycił na ręce, i przyciskając do serca, nosił na ręku po pokoju, śmiejąc się i płacząc. Po chwili tego rozrzewniającego uniesienia, matka moja zapytała Weryńskiego: „Kto jest twoja żona? bo mi i jej twarz znajoma.“ A to Kasia Biesiadecka, którąś pani, będąc jeszcze niewielką panienką, z p. porucznikiem do chrztu trzymała i dałaś jej swoje imie... Kasiu! — zawołał, — idź, ucałuj nogi twojej kochanej matki chrzestnej!“ Weszła hoża Kasia, niosąc dwie serwet nawiązanych podróżnemi dla nas zapasami, a postawiwszy to na stole, do nóg mojej matce upadła, ta ją podniosła i serdecznie uścisnęła. Nakoniec

najczulej pożegnawszy pięknych i poczciwych Weryńskich, w dalszą puściliśmy się drogę. Na noclegu jeszcze mocniej przekonaliśmy się, że wdzięczność tych poczciwych ludzi nieograniczyła się samą w ugoszczeniu nas uprzejmością, i że ich przezorność umiała z całą delikatnością wyśledzić nasz niedostatek. W podróżnym worku swoim znalazła matka moja pięć dukatów i list taki: „Racz Pani Dobr. łaskawie nam odpuścić, że podstępnie wywiedzieliśmy się od Anusi (tak się zwała nasza służąca), że państwo ze szczupłym bardzo zapasem pieniędzy do domu wracacie. W drodze może się wydarzyć, Boże uchowaj! jaki przypadek. Ośmieliliśmy się więc włożyć pieniądze do worka Pani Dobr. nie jako dar, ale jako pożyczkę. Daruj Pani Dobr. nam tę śmiałość, ale nam ją podyktowała wdzięczność i serdeczne przywiązanie do państwa. Może nam Bóg pozwoli kiedy odwiedzić naszych najukochańszych Państwa, naszych Dobrodziejów, to dług ten nam wypłacicie, czego życząc zostajemy do zgonu i t. d. Weryńscy". List ten tak prosty, ze łzami czytaliśmy, i moja matka długo zachowała ten dowód pięknych uczuć Weryńskiego. A jednak, był to tylko prosty szewczyk, a żona jego córka rzeźnika. Co za przykład do naśladowania! Iluż to wyższych rodem i wychowaniem, tak wzniosłych uczuć nie posiada! Ja ledwie że to zapamiętam, ale matka moja lubiła często powtarzać tak miłe wydarzenie, i ja go sobie co do słowa wypisałem.

Wróciwszy do Warkowicz, zastaliśmy spokój w kraju i babkę zdrową, ale dom nasz jak w smutnym stanie! Ojciec wyjeżdżając do wojska, co było kosztowniejszego z rzeczy i sprzętów, ukrył w podziemnych izbach naszego dworku, suchych i czystych, oddał od nich klucz swej matce, i zdawało się, że wszystko zabezpieczył. Ale co uniknęło rabunku, to przepadło wylewem bliskiego stawu, w którym wody wezbrane ś-to-jańskiemi deszczami, na kilka łokci się podniosły i wszystkie nadbrzeżne budynki zalały. Powódź ta tak nagle się roztoczyła, że nie było sposobu co uratować. W naszem mieszkaniu

woda przez drzwi sienne na ulicę płynęła; a nim wodę wyczerpać z izb dolnych można było, wszystko w nich zachowane, zniszczeniu uległo. Ta klęska do reszty nas zrujnowała, nie było sposobu utrzymania się dalej, bo ledwie para set złotych całego funduszu pozostało na życie, i kilkadziesiąt rewersów, bez nadziei odebrania zapisanej na nich należytości. Nie było co robić. Ojciec zmuszony był starać się o jaki obowiązek, ażeby wyżywić matkę, żonę i dzieci. W tym czasie wrócił z Warszawy brat mojej matki, który służąc w biurze Komisji Cywilno-Wojskowej lat kilka, siaki taki uzbierał sobie fundusik. A że z zamiłowaniem oddawał się sztuce malarskiej i pięknie malował minjatury i pejzaże, książę Józef Czartoryski, na rekomendację p. Peszki, przyjaciela i przewodnika mego wuja w malarstwie, wezwał go na dyrektora malarni przy fabryce porcelany, założonej przez księcia w Korcu, z piękną pensją i mieszkaniem. Szczególne obstalowania zaś osobny przychód przynosiły. Po dwutygodniowem bawieniu u nas, zabrał wuj do siebie dwie siostry, i oświadczył ojcu memu, że skoro znajdzie obowiązek, ażeby i mnie przywoził do Korca na dalsze moje wychowanie. Smutno było ciotkom moim rozstawać się z siostrą, która im matkę zastępowała i którą jak matkę kochały. Ale to rozstanie się nie nadługo było.

ROZDZIAŁ II.

Korzec [1]).

Nie jest moim zamiarem pisać historję tego miasta: na to potrzebaby wyższych usposobień, wielkiej biegłoś-

---

[1]) M-stko, gub. Wołyńska, pow. Zwiahelski (Nowogradwołyński). Własność niegdyś rodziny Koreckich, wiodącej ród swój od Narymunta Giedyminowica. Leży nad rzeką Korczykiem. Ruiny zamku Olgierdowica Butawa (Stryjkowski). Od

Korz

niu.

ci w dziejach ojczystych i przejrzenia się w archiwum książąt Koreckich i ich spadkobierców. Za obszerneby to było dzieło i za ciężkie na 70-letniego, a nieuczonego starca. Ja to tylko chcę o Korcu powiedzieć, co moi, a później ja sam mogliśmy widzieć i zauważyć w Korcu, jako w mieście, które przez lat kilkanaście w końcu zeszłego stulecia, rozsławiło się po całym kraju.

Z wdzięcznością wyznać potrzeba, że panowanie Stanisława Augusta lubo tak nieszczęśliwie zakończone, podniosło w kraju oświecenie, ośmieliło talenta, zachęciło sztuki i rękodzieła i dało silny popęd przemysłowi. Światli obywatele wiernie wspierali zbawienne zamiary monarchy, zakładali po swoich majętnościach użyteczne fabryki, sprowadzali z zagranicy biegłych mistrzów, krajowych zachęcali i kształcili. Do takowych mężów zasługi, sprawiedliwie należy między innymi, książę Józef Czartoryski stolnik Lit. właściciel Korca. Zamieszkawszy w zamku zbudowanym za Zygmuntów przez książąt Koreckich na skale, nad Korczykiem, podupadłe miasto pięknie odnowił i przyozdobił, a na przedmieściu od imienia księcia Józefin zwanem, założył fabrykę fajansu i porcelany, która nagle wzniosłszy się, dorównywała fabrykom zagranicznym. Dziwnie piękne położenie Korca nad rzeką Korczykiem, wpośród skał granitowych, niemało wsparło zamiary księcia upięknienia i podniesienia miasta. Też same skały, zdobiące nadbrzeża, dostarczyły obficie i ziemi porcelanowej.

I pięknież bo to było miasto. Rynek w okrąg kamienicami piętrowemi zabudowany prowadził na ośm ulic; z tych, wiodące do zamku i do Franciszkanów, najlepiej były zabudowane porządnemi dworkami i kamienicami. Kościół farny piękne przechowuje dotąd obrazy olejne

niego ród Olgierdowiców-Koreckich, który w r. 1651 wygasł. Przeszedł po Koreckich do Leszczyńskich, potem do Czartoryskich. Ostatni z linji Koreckich Czartoryski Józef założył fabrykę porcelany, słynnej i poszukiwanej.

i freski, niewspomnianego może dotąd nigdzie artysty naszego Józefa Mańkowskiego, godnego osobnej karty w dziejach sztuk pięknych naszego kraju. Oprócz fary, były jeszcze w Korcu kościoły: Franciszkański w pół ledwie ukończony i Panieński (tak go zwano) zakonnic, podobno Brygidek. Gmach fabryczny na Józefinie był ogromny. W prawem skrzydle, było mieszkanie dyrektora obszerne, wygodne i ozdobne i laboratorjum; na lewem skrzydle był magazyn wyrobów; środek na dole zajmowały galerje robocze, na górze sale malarni, z tyłu dziedziniec ogromny z licznemi fabrycznemi zabudowaniami.

Do zarządu fabryki książę sprowadził znakomitych nauką i doświadczeniem Polaków: Franciszka i Michała Mezerów, na dyrektorów, tego nowego jeszcze, w kraju naszym zakładu. Mezerowie składali wzorową rodzinę, i uczuć wyższych i wyższych umysłowych usposobień, i światowego ogładzenia. Mieli piękną bibljotekę i kilka gazet ówczesnych utrzymywali. I dom ich na wyższą skalę prowadzony, ugaszczał znakomite w kraju osoby i za rządu Polskiego i pod panowaniem rosyjskiem.

Fabrykantów największa część była z Warszawy, ale byli i Saksończycy, i Rusinów tutejszych przy tamtych wielu szczęśliwie przyuczało się i kształciło.

Fundusze od księcia łożone na fabrykę były znakomite, ale zwiększyły się jeszcze przez akcje, do których książę przyjmował sumy szlacheckie od 100 do 10.000 złotych i więcej nawet. Tak zwiększony fundusz pozwalał zwiększenia nakładów, stąd też liczba pracujących była ogromna, materjały obfite i wybornie przygotowane, a zatem wyroby trwałe i piękne. W r. 1793, samych siedzących za toczydłami było do tysiąca, w malarni 73, z których odznaczali się pięknem rysowaniem pod przewodnictwem mego wuja, Grzegorz Chomicki, Antoni Gajewski i Bluman. Wkrótce, bo we cztery lata od założenia swego, fabryka korecka pod dyrekcją Mezerów, tak

się podniosła i wsławiła, że wyrównała saskiej, a nie tylko dla prowincjonalnej szlachty, ale i na stoły magnatów naszych, porządnego fajansu i pięknej porcelany dostarczała, i znakomite przynosiła dochody. Olbrzymio procentujące akcje, prawie sto na sto przynosiły zysku. Stąd też akcjonarjusze chętnie budowali sobie domy w Korcu i na zimę tam się na mieszkanie zjeżdżali.

Oprócz porcelanowej, były jeszcze w Korcu fabryki sukienna i tabaczna nie ustępujące austrjackim. Dwuch doktorów Goltz i Żyle, bogata i słynna apteka Krakusa, wielu znakomitych mistrzów w rzemiosłach, zamożni kupcy Izraelici i zagraniczni, wszystko to składało bogatą ludność Korca, i to miasto emulowało z Dubnem sławnemi kontraktami. Od r. 1793 konsystencja wojska rosyjskiego jeszcze więcej zaludniła i wzbogaciła Korzec. Tylu mieszkańcami i tylu użytecznemi zakładami bogate miasto, nie mogło nie zakwitnąć i podnieść się wysoko. A mieszkańcy, chociaż i różnorodni, zawiązywali między sobą stosunki, i utworzyli społeczeństwo, jak na owe czasy świetne i wesołe.

Dyrekcja malarni wręczona memu wujowi, przynosiła mu po 15 czerw. zł. miesięcznie, dom z opałem, światłem i stróżem. Kosztowniejsze obstalunki, sam malował i osobne za to wynagrodzenie odbierał. Mieszkał tuż obok fabryki w sąsiedztwie Mezerów, z którymi ścisłą związany był przyjaźnią. Ciotki moje bawiące przy bracie, jak własne siostry kochane były od obydwóch pań Mezerowych, i pod ich opieką we wszystkie towarzystwa wchodziły. P. Franciszek Mezer miał kilkoro dzieci; dwóch starszych synów, Józef i Kazimierz, starsi rodziny swojej, brali nauki przy Józefie Skoczkowskim, robiącym zaszczyt szkole Międzyrzeckiej, jako jeden ze znakomitych jej uczniów. Szczęśliwe w nim było zmięszanie narodowego, bogobojnego wychowania, z maksymami szerzącej się już podówczas francuskiej rewolucyjnej filozofji. Tłumaczył się i pisał pięknie ojczystą

Porcelana Korecka

na wystawie ceramicznej w Warszawie, w r. 1913.

mową, w łacinie był biegłym jak uczeń szkoły Pijarskiej, po francusku sam się nauczył. Korzystając z bogatej Mezerów bibljoteki, czytaniem doskonalił się w tem, czego mu ze szkół niedostawało. W wykładaniu uczniom nauk elementarnych, z dziwną tłumaczył się łatwością. Z moim wujem w ścisłej byli przyjaźni, i ja z Mezerami młodymi szkołę jego składaliśmy, z wielką naszą korzyścią i zadowoleniem naszych rodziców.

W tym czasie kwaterował w Korcu generał dywizji, czy podobno korpusu, Lewanidow, wiekowy już, bogaty i hojny. Utrzymywał dwór wielki, dobrą muzykę, miał nawet swój teatr. Miłego był ułożenia i wyższej cywilizacji, uprzejmy w swym domu, nie dumny z wysokiego stopnia, chętnie znosił się z mieszkańcami miasta i z okolicznem obywatelstwem. Sprzyjał Polakom, szacował ich uczucia i nikt nie słyszał z ust jego przechwałek zwycięzkich, ani urągania naszemu losowi, a co tylko było pod jego komendą, starało się naśladować zacnego naczelnika. Można też powiedzieć, że w jego dywizji najwięcej znajdowało się pięknie ukształconych oficerów, synów znakomitych rodzin rosyjskich. To też cała przestrzeń kraju, jego wojskiem zajęta, żadnej od żołnierstwa przykrości nie doznawała, a dom generała był zebraniem naszej szlachty, znajdującej w nim uprzejme przyjęcie i bratnie współczucie obecnej niedoli. Podobnym mu był pułkownik książę Łabanow, konsystujący w Międzyrzeczu. Ale nie wszyscy wyżsi naczelnicy tym dwum byli podobni. W tejże samej dywizji pułkownik Tekutjew, gwałtownego był charakteru, nienawidział Polaków; i skutki tej nienawiści, mimo protekcję Lewanidowa, nie mało mieszkańcom okolicznym uczuć się dały.

Z przyjaźniejszych nam, jeszcze jednego dobrze pamiętam; był to major Murawjew, także zamieszkały w Korcu. Majętny z siebie, dom swój utrzymywał na tym stopniu co i Lewanidow. Dwór miał liczny, wyborną muzykę i dwóch Włochów, wysoko opłaconych, ale dziel-

nych śpiewaków. Miał żonę Rosjankę, niewysokiego rodu, ale wielce ukształconą, rozsądną i dziwnie dobrą; to też Darja Michajłowna poważaną była od wszystkich. Uprzejmość jej równie jak i majora miłym czyniła pobyt w ich domu, i pełno u nich zawsze było gości i bawiono się wybornie. Jednego tylko mieli synka Aleksandra w latach siedmiu. Śliczne to było dziecię, ale pieszczone i w żądaniach swych granic nie miało. I Mezerowie i moja rodzina w przyjaźni byli z majorostwem; ciotki moje, sama bardzo lubiła i nawet projekt sobie układała ożenienia siostrzeńca majora Stepana Prokopowicza, bogatego jedynaka możnej rodziny, z młodszą ciotką moją. Mimo piękność młodzieńca mogąca zająć młode serce panienki, różnica religji i niektóre wyskoki wolne kawalera, na przeszkodzie projektom majorowej stanęły. Mały Sasza był ze mną druh, bo rodzice jego bardzo mię lubili, a stary Niemiec Saszy, mnie zawsze wychowańcowi swemu za przykład do naśladowania stawił. Saszę ubierali po angielsku, i majorostwo wymogli na moim wuju, że jakie sukienki dla Saszy sprawią, żeby takie Sasza i mnie zaraz od siebie przysyłał. Major był człowiek wyższego ukształcenia i mało mu było podobnych, otwartość charakteru jednała mu u wszystkich szacunek, a uprzejmość — życzliwość powszechną. Bawiono się w ich domu wesoło, ale i w karty grano. Sam nawet lubił grę, ale nie zawsze grał szczęśliwie. Raz nawet tak się zdarzyło w obcym jakimś domu, że mu do gdy zabrakło pieniędzy, u mego wuja wziął 15 czer. zł. i dał mu na małym papierku rewersik. Nie naglony potrzebą mój wuj nie upominał się długo, a tymczasem pod jego niebytność, major wyjechał zupełnie z Korca, upewniając przez p. Mezera, że dług będzie oddany. Na długo jednak i słychu o majorze nie było.

Piękne i okolice Korca. Poniżej komisarji nad rzeką, dolina otoczona od strony miasta skałami, zarosła wierzbami i topolami jakby umyślnie ugrupowanemi, po-

między drzewami ścieżki i drogi piaszczyste i do chodzenia wygodne. To była przechadzka publiczna i w dni świąteczne bardzo, rozmaitego stanu ludźmi ożywiona. O pół mili od Korca w Hołownicy był ogród książęcy, w dawnym smaku ze strzyżonemi szpalerami i świerkowemi figurami. Tam była i oranżerja, bogata mnóstwem drzew cytrynowych rodzących. Całe wyższe towarzystwo koreckie, odwiedzało Hołownicę, księcia to wielce zadawalało; pielgrzymka ta nazywała się: *promenade du beau monde*. Książę sprzyjał mieszkańcom, podzielał ich zabawy, i choć między nimi nie było żadnej wysokiego rodu rodziny, ożywiał swoją bytnością każde zgromadzenie. I Korzec równie jak Dubno słynął zabawami. Słynął i fabryką porcelany, której formy i malowidła i sama porcelana swoim gatunkiem nie ustępowała saskiej. Tutołmin gen.-gubernator obstalował był Kaftier na 12 osób z portretami cesarzowej i stosownemi do tego ozdobami, za 1,000 rb. Piękność tego wyrobu przeszła oczekiwanie. Zadowolony generał umówioną sumę wypłacił memu wujowi, za trafne zaś podobieństwo i gładkość pędzla w medalach 100 czer. zł. ofiarował, a dyrektor Mezer w krótkim czasie piękną złotą tabakierkę z portretem monarchini, bogato oprawnym, w upominku otrzymał. Ale ta tak wysoko podniesiona pomyślność fabryki, musiała się przesilić. Książę wyjechał do Drezna na mieszkanie. Fr. Mezer utracił żonę, a choć w powtórne małżeńskie wszedł związki z panną Honoratą Golczówną, Korzec jednak stał mu się niemiłym i o opuszczeniu tego miasta szczerze zamyślał. W tym właśnie czasie zjechał do Korca wspomniany już wyżej Józef Mańkowski, malarz artysta, dla malowania kościoła farnego. Znajomy był memu wujowi jeszcze z Warszawy, i szanowny starzec przyjął u nas mieszkanie ze wszystkiemi wygodami, za co wywdzięczając się wymalował dwa pokoiki, dając im podobieństwo znanych mu dobrze i ulubionych okolic Neapolu. W pierwszym pokoju, piec z kominkiem

umyślnie na to przerobionemi, wyobrażały grób Wirgiljusza, drzwi do drugiego pokoju były wejściem do chatki strażnika grobu, jaka tam za czasu bytności Mańkowskiego istniała. Na głównej ścianie widok Neapolu, a w dali Wezuwjusza, na innych ścianach inne okolice Neapolu, a wszystko najwierniej podług natury przez samego Mańkowskiego oddane. W drugim pokoju na ścianach pomiędzy kolumnami, na pięknych konsolach, cztery popiersia, Woltera, Monteskiego, Kochanowskiego i Naruszewicza, tak oddane, że wchodząc zdawały się rzeźby prawdziwe. Mój wuj pomagał Mańkowskiemu i wiele z tej pracy skorzystał. Wkrótce rozgłosiła się sława naszego domku, mnóstwo ciekawych odwiedzało nasze kąty, i wielu prawdziwych znawców oddawali talentowi Mańkowskiego sprawiedliwie należne pochwały. Malowidła tego znakomitego mistrza, znajdowały się w farze w Korcu, w Międzyrzeczu [1]) w pałacu i w kościele Pijarskim, a szczególniej grób Pański, cudnie zachwycającej perspektywy linjowej i światła, osobliwie przy blasku lamp. Corocznie w Wielki Piątek, dla widzenia grobu Bożego, był zjazd i z okolic i z dalszych stron nawet, i dla nabożeństwa i dla nasycenia oczu pięknem malowidłem.

Józef Mańkowski [2]), jakim go zapamiętam w 1794 r. był to staruszek (jak sam mówił) 70-letni, wzrostu miernego; mimo wiek, prosto się trzymał i chód miał pewny i skory. Rysy twarzy regularne, cera świeża, oczy ciemne pełne życia i rozumu, okazywały, że pięknym był

---

[1]) Gub. Wołyńska, p. Rowieński. Słynęły tu niegdyś szkoły Pijarskie, skasowane w r. 1832. Założył je właściciel Międzyrzecza Józef Stecki w r. 1814. Steccy posiadali tu wielki i piękny pałac. Dziś ubogie miasteczko. Zamek w opuszczeniu; do niedawna był siedzibą wojska.

[2]) Józef Mańkowski, malarz. Urodził się około 1724 r. Później dożył starości. Kształcił się we Włoszech. Obrazy jego znajdują się w Sieciechowie i w Górze pod Nowym Dworem.

w młodości, że życie jego było czynne i namiętnościami nie zużyte. Charakter miał łagodny, młodzieńczą wesołość przy wytrawnym rozsądku, a dar opowiadania tak bogaty i miły, że się go nasłuchać nie można było. Oddawna wdowiec, jednego tylko miał syna, i ten służył w Polskiem wojsku rotmistrzem. Uczył się w Rzymie dokąd był wysłany jeszcze za Augusta III, ale czy kosztem króla, czy kogo z naszych magnatów, nie pomnę. Całe Włochy zwiedził piechotą, a bogata teka jego, zawierała najpiękniejsze widoki Włoch, kopje przedchrześcijańskich malowideł i rysunki rozmaitych starożytności Herkulanum i Pompei, a wszystko własną jego ręką akwarelą albo guaszem wypracowane. Zbiór ten obejmował do 400 sztuk rozmaitej wielkości przedmiotów. Mańkowski biegle znał język włoski, mówił nim z wdziękiem, a nawet w mowie ojczystej dawał się poznać ślad długiego pobytu w Auzonii. Czechowicza znał osobiście i z uwielbieniem mówił o jego malowidłach. Znał Smuglewicza [1]), ale go niżej daleko stawił od Czechowicza [2]). Czyż zdanie prawdziwego artysty, nie może być zdaniem powszechnem? Wielu miał uczniów Mańkowski, ale najwięcej do mistrza swego przybliżył się Burkiewicz. Taż sama metoda, tenże koloryt, takież wykończenie, ale niema tego życia, jakie Mańkowski krajobrazom swoim nadawać umiał. W tym względzie mój wuj więcej pojął Mańkowskiego i pejzażami swemi przypominał Mańkowskiego malowidła.

Świetność Korca poczynała już przygasać. Książę wyjechał do Drezna i zdaleka tylko i to z mniejszym już

---

[1]) Smuglewicz Franciszek, malarz, urodził się w 1745 r. Kształcił się w Rzymie. W r. 1797 został profesorem malarstwa w uniwersytecie Wileńskim.

[2]) Czechowicz Szymon, malarz, urodził się w Krakowie 1689 r., umarł w Warszawie 1774. Kształcił się we Włoszech kosztem Maxymiljana Ossolińskiego. Malował przeważnie obrazy treści religijnej. Obrazy znajdują się w kościele Wizytek, u Karmelitów na Lesznie, w po-Kapucyńskim i w. in.

zapałem, na piękne dzieło swoje poglądał. Dawni akcjonarjusze powychodzili, nowych bardzo niewiele przybywało, nie zachęceni od księcia, innym spekulacjom się oddawali, i fabryka przed niewielu laty tak sławna, traciła swoją wziętość, chyliła się do upadku i wszystko się na ten upadek sprzysięgło. W r. 1795 Franciszek Mezer wezwany do Zamojskich, przeniósł się do Tomaszowa, majętności w Galicji i tam nową fabrykę otworzył. Słabego zdrowia p. Michał, z trudnością takiemu ogromowi pracy mógł podołać, ciągnął jeszcze rok cały, ale w nocy z 1 na 2 stycznia r. 1797, okropny pożar zniszczył piękną budowę, ogromne zapasy materjałów, i dwa magazyny gotowej porcelany i fajansu. Zgorzała malarnia z całym zasobem najpiękniejszych wzorów saskich, francuskich i chińskich. Ten smutny wypadek dobił fabrykę: bo rezolucja od księcia na odbudowanie nie prędko przyszła i jeszcze znalazła trudności w egzekucji. Zniechęcony obojętnością księcia Mezer, uwolnił się z Korca, przeniósł się do Baranówki, gdzie na własne imię i własnym kosztem, szczęśliwie i do dziś dnia istniejącą fabrykę otworzył.

Wkrótce i książę stolnik życie zakończył. Spadkobiercy starali się zaprowadzenie tak korzystne podźwignąć, sprowadzili dyrektora Francuza z *Sevres;* ale koszta ogromne na jakie wyciągał, sprowadzenie z daleka potrzebnej gliny, bo kopalnia Korecka ze zmianą fabrykantów zatraciła się, utrudniały postęp, a chociaż i wedżwody [1]), robiono i posążki *en biscuit* [2]), spieniężenie jednak

---

[1]) Wedgwood — wyroby porcelanowe angielskie końca XVIII w. Posiadały tło 1) ciemnobłękitne; 2) kawowe i 3) czarne. Na tem tle postacie i drzewa en demi relief z motywów mitologicznych i klasycznych grecko-rzymskich. Wyrabiano talerze, dzbanki, filiżanki, flakony. Figur nie było.

[2]) W pierwszem wydaniu e n b i s a r i t — błędnie, zamiast e n b i s c u i t. Tak nazywano delikatne wyroby porcelanowe.

wyrobów nie tylko nie robiło właścicielom przychodu, ale i na wydatki konieczne dla utrzymania fabryki niewystarczało. Podziękowano więc p. Francuzowi, a Korzec został tylko przy wyrobach dość nizkiego fajansu, który trwa i dotąd.

Książę Eustachy Sanguszko chciał wziąć Korzec w posagu żony z zamiarem podniesienia fabryki zaprowadzeniem akcji, coby mu nader łatwo przyszło, bo był kochany od obywateli i zaufanie ich posiadał. Ale schedy były przez samego księcia stolnika ułożone, a córka, której się dostał Korzec, ani go cenić umiała, ani do ustąpienia księciu szwagrowi nie dała się niczem nakłonić. Musiała więc upaść fabryka i upadła, a z nią i miasto, którego pięknych kamienic ledwo połowa i to przez Żydów zamieszkana, a reszta murów w gruzy się rozsypuje! Świątynia tylko Pańska stoi cała; i zamek jeszcze cały stoi i wzniosłą wieżą swoją panując nad upadłym miastem, zdaje się urągać walącym się budowom, o dwa stulecia od niego młodszym; a pomny bohaterów, którzy go wznieśli, niezorane czoło dumnie ku niebu podnosi i stamtąd odrodzenia wzywać się zdaje.

ROZDZIAŁ III.

Ludwipol [1]).

W miesiąc po naszym powrocie z Galicji, mój ojciec objął zarząd majątku kasztelanowej Bierżyńskiej, majątku pięknego, choć na Polesiu. Pani to była książęcego rodu, siostra Adama i Kaliksta Ponińskich; wdowa, lat led-

---

[1]) M-stko powiatu Rowieńskiego na Wołyniu. Dawniej zwał się Sieliszcze. Od Ponińskich przeszedł do Bierzyńskich. Aleksander Bierzyński, stolnik Owrucki przezwał Siedliszcze Ludwipolem, od imienia swej żony Ludwiki Ponińskiej.

wie czterdzieści liczyła, piękna jeszcze i do piękności ciała szlachetność uczuć i wysokie ukształcenie łączyła. Była matką trojga dzieci. Starsza córka Eleonora, od lat dwuch wydana za p. Jeraczewskiego zamożnego obywatela w Poznańskiem. Młodsza Apolonja, czyli jak ją zwykle z francuskiego zwano, Poneta, miała dopiero lat piętnaście. Najmłodszy z rodzeństwa Adam, trzynastoletni młodzieniec, w Warszawie w Collegium Nobilium na naukach zostawał. Wszystkie troje odznaczali się pięknością familijnych rysów i jeszcze piękniejszemi przymiotami umysłu i serca. Wychowanie odebrali staranne, i szczęśliwym trafem, osoby trudniące się pierwiastkowem ich wychowaniem, nie zachwyciły jeszcze goszczącej już u nas mody myślenia i tłumaczenia się po francusku, i w uczniów swoich znajomość tylko obcego języka, a uczucia i sposób myślenia, nasz ojczysty przelać potrafiły. Nim Adasia do szkół oddano, wychowaniem jego zajmował się powinowaty kasztelana p. Węgierski, brat sławnego poety, wysoko uczony człowiek. Z tęgością ducha i słodyczą charakteru łączył szczególniejsze zaniedbanie siebie, i z litością spoglądał na niedowarzonych zwolenników ówczesnej francuskiej filozofji, spaczone opinje narodowe. Mało dbający o siebie, poświęcony dla drugich, skromny a gruntowny w sądzeniu, miły w towarzystwie, p. Węgierski powszechną życzliwość i szacunek posiadał. Bawił ciągle w domu kasztelanowej, a znający się na wszystkiem, we wszystkiem był jej poradą. P. Poneta miała jeszcze guwernantkę Francuzkę p. *Robertin*. Dobra to była osoba, ale oprócz swego języka, nie wiele co umiała. Nie młoda już i nie piękna, ale panna, z wielkiem staraniem zawsze ubraną była, bo nadzieja znalezienia męża, choćby to był *un ours de Polonais*, jedyne jej marzenie, życie jej utrzymywało. Jak zwykle w owych czasach, kasztelanowa miała liczny fraucymer, na którego czele była panna stołowa p. Dziusówna, z rodziny szlacheckiej, nie młoda, bez pretensji.

gruntownie rozsądna i poczciwego serca. Zaprzyjaźniła się z moją matką i w ścisłej były zażyłości.

Przy kasztelanowej bawił bratanek jej wojewodzic Poniński. Miły z postaci, ukształcony podług ówczesnej metody, posiadał wszystkie przymioty do świetnienia w salonach potrzebne. Wychowanie brał od Francuzów, których napływ do Polski, pod ostatniem panowaniem, był już niepospolity. Wojewoda chciał mieć syna Polakiem, ale wojewodzina, mając wpływ silny na męża, potrafiła przeważyć swojem zdaniem, i podług swego widzimisię wychowawszy jedynaka, jednego z takich napływowych Francuzów, wyprawiając syna na wojaż, za mentora mu dała. Podróżując po obczyźnie nie dla nauki, a dla rozrywki, wojewodzic wywiózł ze swoich kilkoletnich wędrówek nienawiść i wzgardę dla swojej ojczyzny i wszystkiego co Polskie, zasady ówczesnej francuskiej filozofji, przewrotność Włochów, zarozumiałość angielską i zepsucie obyczajów wszystkich europejskich narodów. Gdy wrócił, rodzice już nie żyli, objął więc piękny majątek i przywiązał się do dworu króla Stanisława. Mieszkał w Warszawie, żył na wielką skalę i żył wolno, a prowadzeniem się swojem nie wiele różnił się od znanego podówczas w całym kraju Henryka Niemirycza. Wojewodzic tak się umiał zastosować do wszelkich form towarzyskich, i tak posiadał dar przybrania na siebie charakteru, jakiego okoliczności wymagały, że istotny charakter jego trudno było odgadnąć; ale w gruncie był dumny, zarozumiały, chytry i zawzięty; — stąd to ile w salonach był poszukiwany, unikano jego przyjaźni, a nieprzyjaźni lękano się, jak śmierci. Co najgorsza, żadnej nie miał religji. Bawiąc przy kasztelanowej, potrafił łatwo zjednać sobie jej ufność i przywiązanie. Dama ta, podobnież jak on ukształcona, czuła i exaltowana, naczytana Russa, Woltera i angielskich romansów, nie mogła być obojętną na zabiegi i nadskakiwania nader miłego bratanka. Panna Robertin słodkie do niego robiła oczki, a i panny Apolonji młode serduszko czuło może więcej, niż bra-

terski afekt dla kuzyna, ale stosunki familijne i dość bliskie, upoważniały jakoś to przywiązanie i poufałość.

Dom kasztelanowej mało był uczęszczany, bo sąsiedztwa nie wiele było w okolicach Ludwipola. Najbliższy Niewirków, po wyrznięciu Wyleżyńskich opustoszały, oczekiwał przybycia p. rejenta Kor., który miał tę majętność po bracie odziedziczyć. Z Tuczynem nie było stosunków, bo p. wojewoda Sieradzki lubo z kasztelanem był w przyjaźni, z Ponińskim niesympatyzował. Słucki chor. Kor. tertio voto ożeniwszy się z młodą i piękną kasztelanką Popielówną, jeszcze był w miodowych miesiącach. Platerowie, Worcelowie, ks.ks. Lubomirscy, byli dalszymi. Brat kasztelana podkomorzy mieszkał daleko w Andruszówce [1]) pod Berdyczowem i zdaje się bratowej nie bardzo sprzyjał. Siostra kasztelanowej, księżna Kasprowa Lubomirska, stęskniwszy się swojem wdowieństwem, świeżo wyszła za szambelana Winnickiego, i kasztelanowa z nią dla takiego mezaljansu zobojętniała. Pruszyńscy, Lubieniccy, Trzebuchowscy, Jabczarski, składali najbliższe sąsiedztwo; ale szlachta dawna i zamożna, nie bardzo sprzyjała arystokratycznemu domowi, wojewodzica nie lubili i pańskich progów zbijać nie byli skwapliwi. Towarzystwo więc Ludwipolskie nieliczne było; z tem wszystkiem nie zbywało na ubiegających się o rękę pięknej Ponety, ale ona o tem i słyszeć nie chciała, a matka znajdowała córkę zanadto młodą dla zmiany stanu i tym sposobem zbywano się konkurentów.

Pałacu w tych dobrach kasztelanowa nie miała, ale w Ludwipolu był dom obszerny i porządny, choć bez piętra, i wcale wygodny. Każdy z domowych miał swój apartament, a i dla gości jeszcze kilka pokojów zostawało. Rodzice moi w oficynie mieszkali, osobne swoje wiedli gospodarstwo; ale matka zmuszona była najwięcej przebywać we dworze, bo kasztelanowa zajęta jużto interesami z moim ojcem, jużto lekturą z wojewodzicem, Po-

[1]) Wieś pow. lipowieckiego, gub. kijowska.

netę z jej guwernantką przy mojej matce zostawiała. Nie rozumiała matka moja po francusku, bo przy niej mało nim mówiono, Francuska nawet lubiła mówić po polsku, choć mową swoją wszystkich śmieszyła.

W takim składzie rzeczy rok prawie upływał. Ojciec mój szczęśliwie rządził, kasztelanowa zadowolona była, miała kasę pełną, bo wydatki połowy intraty nie dochodziły, oddawała sprawiedliwość mojemu ojcu, a do matk. coraz się więcej przywiązywała, a nawet, nam dzieciom, często na pańskich pokojach bawić się wolno było.

P. wojewodzic zawsze przyjemny, układny, zajmował się czytaniem książek francuskich (lekturą) z kasztelanową, prowadził ją na spacery, lub towarzyszył w konnych przejazdkach. Panna Poneta z guwernantką czytała, lub grała na klawikordzie. P. Węgierski polubił moich rodziców i częstokroć prostą z nimi rozmowę lub pogadankę z babką moją o Litwie przenosił nad te modne, jak je nazywał, Wolteryzmy salonowe. Wojewodzic nie cierpiał Węgierskiego, bał się go nawet, bo w nim widział surowego sędziego swego sposobu myślenia, ale że wielce był cenionym od kasztelanowej, wojewodzic okazywał mu wysoki szacunek. Poznawał się na tej komedji Węgierski, i za okazywane grzeczności, dworacką obojętnością odpłacał.

Jesień w naszych stronach zwykle najpiękniejszą jest porą, często bardzo ciepłą. Jednego takiego w październiku wieczora, kasztelanowa wróciwszy z przejazdki konnej z wojewodzicem, uczuła się niezdrową, a opuściwszy wcześnie kompanję, udała się do swego pokoju i matkę moją ze sobą wezwała. „Kochana pani Detiukowa!“ — rzeknie pomięszana, ściskając matkę moją za rękę — „spuść drzwi na klucz, bo mam ci powierzyć ważne odkrycie, nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć!“ Zamilkła, spuściła głowę, a po niejakiej chwili zanosząc się od płaczu zawołała: „Czy mego stanu nie zauważyłaś?“ — „JW. pani ma dość ciała“. — „Tak! ale ta otyłość, czemże jest? Nieszczęśliwa; znowu będę matką!“ i jeszcze moc-

niej płakać zaczęła. Osłupiała na to wyznanie p. Detiukowa, nie śmiała oczu podnieść, ledwie oddychać śmiała. — „Przeraża cię moje wyznanie? może i pogardzasz mną, wszak prawda?“ — Matka płakała. — „O! widzę współczucie we łzach twoich! tak, twoje poczciwe serce lituje się nieszczęsnej. Słuchaj więc dalej. Ojcem tej biednej istoty jest wojewodzic, którego kocham, uwielbiam! miłości mojej zwalczyć nie umiem, ani chcę nawet. Ach! on potrafił do serca mego przemówić, opanować je i od wszystkiego oderwać! Czytaliśmy razem nową Heloizę Russa!“ — Jęk przerwał mowę kasztelanowej, pochyliła głowę na piersi i jeszcze rzewniej płakać zaczęła. Matka moja całowała jej ręce płacząc, i łzy obydwóch zmieszały się; ale po chwili jakby natchniona zawołała: „Pani jesteś niezależną, wolną, czemużby z ulubionym śluby małżeńskie nie miały cię połączyć i miłość waszą uprawnić?“ Podniosła głowę kasztelanowa, w oczach jej podziwienie, nadzieja, radość nawet z pod łez błysnęły. — „Małżeńskie śluby! O jaki duch niebiański tę myśl ci natchnął i pocieszające słowa do ust podał? Czemuż wśród tylu marzeń mojej namiętności, marzenie o ślubach małżeńskich nigdy się do myśli mojej nie wcisnęło! — „Boś pani o to nigdy myśli do Boga nie wznosiła“, — odpowiedziała nieśmiało matka moja. „Bóg widzi nasze błędy i skory do odpuszczenia, czeka tylko, ażebyśmy się jak dzieci przed ojcem upokorzyli!“ — „O! prawda, prawda! oddana całkiem uczuciom ziemskim, zapomniałam o Bogu! Ale tyś we mnie natchnęła bogobojnego ducha! Dzięki ci! nigdy serce moje tych braterskich rad nie zapomni, nigdy nie zapomni religijnego twego dla mnie współczucia! Tak, poślubię Karola, i odtąd, pomna mojej ułomności, modlitwą i dobremi uczynkami winę moją zgładzić będę się starała. Ale dla spełnienia tego zamiaru, potrzeba mi opuścić te okolice; szanowny nasz pasterz, choć powinowaty, pozwolenia swego odmówi, bo nas z wojewodzicem związki krwi łączą; a wyznać przyczynę zniewalającą mię do tego małżeństwa, za nic, nigdy, nigdy się nie odważę!

Powracaj do salonu, oświadcz, żem niezdrowa i nikogo dziś widzieć nie mogę. Ponetę sama odprowadź do jej pokoju, a przyszlij mi swego męża, potrzeba mi z nim i o tym interesie i o innych się naradzić". Matka moja ucałowała rękę kasztelanowej i wyszła.

W salonie nie było już nikogo, w przyległym pokoju p. Węgierski z p. Robertin żywą prowadzili rozmowę, a gdy weszła matka moja, nie przerywając rozmowy, nieznacznem skinieniem wskazał na buduar kasztelanki. Drzwi były otwarte, lampa alabastrowa księżycowym blaskiem słabo oświecała przedmioty: kasztelanka siedziała na sofie, piękne jej ramiona, zarzucone były na szyję klęczącego przed nią wojewodzica, twarze ich zbliżone. Można sobie wyobrazić jakie na ten widok musiało być zdumienie wchodzącej. Tu dopiero miała przed oczyma występną matkę, tu jeszcze występniejszą córkę. Zerwała się Poneta żywo i rzuciwszy się na szyję mojej matce. — „Ty mię nie zgubisz! — zawołała z płaczem,— ty nie wydasz tego, coś tu widziała!". Gdy tych słów domawiała, wojewodzic z piorunującem wejrzeniem i z wybladłem obliczem, tak się do mojej matki odezwał: „Masz w. pani teraz w ręku los całej naszej rodziny, i jednem słowem możesz zerwać wszystkie węzły krwi, miłości i honoru. Ale jedno słowo z ust w. pani, a biada wam i dzieciom waszym! Ja w połowie tylko mścić się nie umiem!" To rzekłszy wyszedł, kasztelanka nie wypuszczając matki mojej ze swego objęcia. — „O! przyrzecz mi, przyrzecz, — wołała, że tę tajemnicę w sercu swojem ukryjesz! u nóg twych o to błagam! — to mówiąc osunęła się na kolana. Matka podchwyciła klękającą i przyciskając ją do piersi swoich. — „Panno Poneto! — rzeknie, — ten sekret odtąd staje się moim, bądź spokojna! i milczeć umiem i cierpieć potrafię". — „Nie lękaj się pani uniesień Karola: nie, on mię kocha, on mojemi uczuciami powodować się będzie, zaufajmy!" — Scisnęły sobie ręce, matka moja odprowadziła Ponetę do jej pokoju, a tej całej sceny nie było świadka żadnego. Wzruszona i utrudzona tylu

tak dziwnemi wieczora tego okolicznościami, wcześnie udała się na spoczynek, ale zasnąć nie mogła. W godzinę wrócił ojciec, stąpał pocichu, ażeby żony nie obudzić, ale usłyszawszy, że czuwa. — „Ty nie śpisz, rzekł: wielką ciekawość przynoszę". — „Cóż takiego?" — „Kasztelanowa wybiera się do Warszawy, może nawet na mieszkanie". — „Mówiła mi o tem" — odparła matka, ale ze słów męża zmiarkowała, że tajni istotnej kasztelanowa nikomu powierzyć nie chce. — „A wiesz z jakiego powodu?" — „Żeby wyjść za wojewodzica". „To pokazuje się nam obojgu ten sekret powierzony. Mnie poleca zupełny zarząd majątkiem i interesów wszelkich, i jutro jadę z panią do Łucka, gdzie ma przed aktami przyznać mi plenipotencję". — „Daj Boże tylko, ażeby ten związek przyniósł jej szczęście" — rzekła smutnie moja matka.

W dziesięć dni potem dziedziniec zapełniały powozy, rój ludzi uwijał się po dziedzińcu, ci wynosili kufry i paki, drudzy układali je na powozy i bryki, wszędzie był ruch, było działanie, ale był ład, a mój ojciec był wszędzie. Kiedy już wszystko gotowe było do wyjazdu, kasztelanowa wezwała rodziców moich do swego gabinetu, gdzie nikogo nie było, i tak do nich przemówiła: „Żegnam was, moi dobrzy przyjaciele, i żegnam z żalem i za wami i za moim kochanym Ludwipolem. Dziękuję wam za waszą tak poczciwą dla mnie przychylność, a tobie kochana pani Detiukowa za dochowanie sekretu. Odjeżdżam unosząc z sobą wdzięczność dla was i szacunek, zostawiam spokojna mój majątek pod okiem w. pana, bo w ciągu jego tu pobytu, przypatrzyłam się i uczciwości i gorliwemu działaniu w zarządzie dóbr moich, i odjeżdżam z tem przekonaniem, że los mojej fortuny w ręku przyjaciela złożyłam. Jeżelibyś miał w czem jakąś wątpliwość, naradzaj się z p. Węgierskim, który i moim i waszym jest przyjacielem. Skoro wyjadę, proszę zaraz przenieść się do tego dworu, i jakby w domu, sposobu życia nie zmieniać. Bądźcie zdrowi i mnie zawsze życzliwi! przyjmijcie uściśnienie i te bagatele na pamiątkę". To powiedziawszy

uściskała z rozrzewnieniem obojga, ojcu wręczyła śliczny złoty repetjer Gogenmusa, a matce błam pięknych lisów i czarny atłas na szubę. Ucałowali oboje ze łzami ręce dobrej pani, a matka dodała: „JW. pani pozwoli mi jeszcze parę słów powiedzieć?“ — „Mów! mów! pewnie to jest rada jakaś, i pewnie dobra“. — „Pani przyjechawszy do Warszawy zaraz weźmiesz ślub z p. wojewodzicem?“ — „Niezawodnie“. — „Czy nie byłoby przyzwoiciej, żeby od tego dnia p. Poneta, aż do wiadomego pani terminu bawić mogła u ciotki której, albo u siostry? — „Słusznie mówisz i bardzo słusznie: ale z Winicką nie jesteśmy dobrze, Bironowa za granicą, więc ją zawiozę chyba do Leosi, a gdyby i to nie dało się zrobić, to przez ten czas zabawi u przełożonej Wizytek mojej ciotki. Dziękuję ci serdecznie za to przypomnienie!“. I jeszcze raz ściskała moją matkę. Przeszła pani do sali, a z nią i moi rodzice, kasztelanowa żegnała zostających się dworskich i oddawała ich w opiekę mojemu ojcu. Poneta rzuciła się na szyję mojej matki i całując ją w twarz, szepnęła do ucha: „Pamiętaj o mnie!“ — „Zawsze!“ odpowiedziała matka moja oddając uściśnienie za uściśnienie. Wojewodzic zimną grzecznością pożegnał moich rodziców, wejrzeniem tylko przemówił do mojej matki: lękaj się i milcz! W karecie usiadła kasztelanowa z córką, wojewodzic i p. Węgierski, który odprowadził ich do Uściługa; w koczu umieścili się Francuska, Dziusówna i p. Lesiecki od niedawna gatunek konfidenta, niby marszałka wojewodzica, w rzeczy samej pieczeniarz, próżniak i intrygant. Dziusówna nim siadła do powozu, pobiegła jeszcze raz pożegnać moją matkę, ucałować ręce babuni i wziąć na drogę jej błogosławieństwo. Wzięła adres mego ojca i jeszcze uściskawszy obojga: „Bądź zdrowa Kasiu! bądźcie zdrowi! — rzeknie — nie zaniedbam żadnej okazji doniesienia wam, co się z nami dziać będzie“.

Podług żądania kasztelanowej, rodzice moi przenieśli się zaraz do dworu, i my, dzieci, swobodnie bawiliśmy się w tych senatorskich komnatach. Nadeszła zima,

zbliżały się święta, a po nich kontrakty. Korzystna sprzedaż drzewa, z nietkniętych siekierą lasów Ludwipolskich, podniesiona arenda, sprzedana pszenica szyprowi łowczemu Jabczarskiemu, przysposobiły piękną gotówkę w kasztelańskiej kasie. Ojciec mój zajmował się gorliwie gospodarstwem i interesami, a w wolniejszych chwilach, z jednym lub drugim sąsiadem zapolował. Bo też go lubili sąsiedzi, a osobliwie Lubienieccy, szczególniej mu sprzyjali. Dwa miesiące upływało już od wyjazdu pani, a ojciec mój żadnego od niej nie miał zgłoszenia. A chociaż wcześnie zawiadamiał o przygotowanych na kontrakty 20,000 czerw. zł., któremi z mocy plenipotencji miał prawo rozrządzić, zapytywał jednak, co z temi pieniędzmi zrobić? ale ani na list, ani na doniesienie o złożonej sumie, żadnej nie odebrał odpowiedzi.

Tejże zimy w grudniu silne było trzęsienie ziemi, u nas dotąd rzadkie, bo babka moja sześćdziesięcioletnia, żadnego w swem życiu na Litwie nie pamiętała, ani u nas starzy ludzie przypomnieć sobie takowe mogli. Trwało dość długo i nas dzieci ten ruch mebli i wszystkiego, co na nich stało, wielce zabawiał, a gdy się skończyło, bardzo nam się chciało powtórzenia tej sztuki. Smutnie rozpoczęte okoliczności krajowe, dziś jeszcze w smutniejszym stanie zostawały. Większą część Ukrainy zajęły wojska rosyjskie. Wielko-Polska, Krakowskie i połowa Litwy jeszcze były nasze. Na Wołyniu i Podolu wojska polskie ożywione powodzeniem pod Dubienką i Zieleńcami, trzymały się jeszcze i zbierały pod naczelstwo Kościuszki. Dziwne też to były czasy! Dwuch narodów, które już miały sobie wypowiedzianą wojnę, wojska przeciągały temiż samemi drogami, jedno drugiego nie zaczepiając. Dońce tylko dopuszczali się łupieztw i rabunków. Napływ ten wojska obcego, i stan zamięszania w kraju, taka zmiana polityczna, przywykłemu do pokoju przez czas długi obywatelstwu, a tem więcej pospólstwu, nie zdawały się naturalnemi: wszelkie przeto zjawiska natury uważali jako złowieszcze przepowiednie klęsk i nieszczęść; i trzęsienie ziemi świe-

żo wydarzone, do tych przepowiedni zaliczone, trwogą i smutkiem napełniło. Ale nadzieja jeszcze miała przewagę.

Nadeszły święta, zjechał mój wuj z bawiącemi przy nim siostrami i ze mną, i nasze kółko familijne zwiększyło się. Prócz naszej rodziny, zaprosił ojciec imieniem swej pani miejscowego plebana, rachmistrza i kluczowego ekonoma nie żonatych, a tem samem domu swego nie utrzymujących. Starodawnym zwyczajem, mniej dwunastu potraw na wieczerzę wigilijną, u szlachty być nie mogło, ubodzy nawet na sześć się zdobywali. Z łaski kasztelanowej wigilja nasza była pańska. Gdy już podano wieczerzę, ojciec wziąwszy talerzyk z opłatkami podszedł z nim do swojej matki. Powstała staruszka, przeżegnawszy się wzięła opłatek i postąpiła z nim do plebana, a potem błogosławiąc syna, synowę i wnuki, łamała z nimi ten chleb uroczysty; potem z przybraną rodziną, mojemi ciotkami i wujem, dla których macierzyńskie miała uczucia; szła dalej do zaproszonych oficjalistów, nakoniec do sług naszych. Rodzice moi tąż samą koleją za matką postępowali. Uroczysty to obchód! przy łamaniu się opłatkiem wynurzają się najżyczliwsze uczucia, jednają poróżnieni i równają się wszelkie stany; dzieci u nóg rodziców składają serdeczne życzenia, i odbierają równie serdeczne błogosławieństwa. Tak było i u nas: oboje rodzice i nas troje dzieci, pokłoniliśmy się do nóg sędziwej naszej babuni i z opłatkiem błogosławieństwo jej odbierali. Było nas osób dwanaście: na pierwszem miejscu siedziała nasza babka i ks. pleban, my dzieci na szarym końcu. Stół sześcią jarzącemi świecami był oświecony. Długo ciągnęła się wesoła wieczerza, i podawano już kucję, kiedy pod oknami odezwały się skrzypce i gęśle i kilka głosów zgodnie zakolendowały: „Anioł pasterzom mówił".

Noc była śliczna zimowa, czysty i jasny księżyc lał swe srebrzyste światło po ubielonych grubą warstwą śniegu Słuczy nadbrzeżach, droga sanna była wyborna, mróz niewielki, powietrze ciche. Łaskawi sąsiedzi, uwi-

nąwszy się wcześnie u siebie z wieczerzą, najechali nas pocichu i kolendą pozdrowili. Wyszedł ojciec na spotkanie miłych gości i z całą naszą narodową uprzejmością do pokoju zaprosił. Goście nasi, była zacna rodzina Lubienieckich, trzech braci i trzy siostry, i dwuch Trzebuchowskich, których siostra była za średnim Lubienieckim. Nastąpiły przy opłatku życzenia i przyjacielskie uściski. Wszedł kielich ze starym malinnikiem, a z nim i buteleczka nie dzisiejszego węgrzyna postąpiła. Damy matka kawą i gruszkami zimowemi przyjmowała, a panny Lubienieckie nas dzieci wybornemi pierniczkami i domowemi suchemi konfiturami zasypały. Podochoceni muzykanci uderzyli w skrzypce i gęśle, wdzięcznie brzmiały pod palcami Kamińskiego żelazne struny, w ręku ociemniałego Lewandowskiego miło śpiewały skrzypce, czternastoletni syn mu wtórował. Obaj ci muzykanci, była szlachta z Ludwipolskiego zaścianka, znajomi w okolicy i od wszystkich lubieni. Kolenda szła za kolendą, nakoniec wesoły ozwał się mazurek. Panien było cztery, młodzi Lubienieccy i Trzebuchowski, mój wuj i rachmistrz Wojakowski, ochoczo stanęli do koła. „Za pozwoleniem! przepraszam ww. państwa!“ — ozwie się powstawszy ze swego krzesła babka nasza. — Nie tak bywało za moich czasów na Litwie, u ś. p. ciotki mojej, pani pułkownikowej, Kościowej. Panie! świeć nad jej duszą. Mości wojski! — proszę z sobą, — mówiła do starszego Lubienieckiego: — Nie dla tego żebyś nas laty przewyższał, ale żeś najdystyngowańsza między nami osoba, służę ww. panu dobr. panie Lewandowski! *„W żłobie leży!“* Zabrzmiały struny tę poważną kolendę, wszyscy patrzają co to będzie; staruszka, zacząwszy śpiew drżącym głosem, posuwa kilka kroków, wszyscy podziwiają, że kolenda w taniec się zamienia, poglądają po sobie, ale babka posuwa się dalej i stanąwszy przed obrazem Narodzenia, który wpośród innych główną ścianę sali przystrajał, zatrzymała się i wzniesionemi do obrazu dłoniami

prześpiewawszy parę strof, w czem już i cała kompanja dopomagała, — „Teraz panie Lewandowski! narodowego, — rzeknie, a obracając się do mojej matki: — Kasiu kochana! pani synowo, wyręcz mię do tańca! a w. pana dobr. — mówiła dalej — przepraszam za moją śmiałość, ale przypomnijcie sobie, że żłobek nowonarodzonego Zbawiciela, i króle i pasterze, zarówno śpiewem i pokłonem witali. Nie od tegoż i nam szlachcie zacząć należało?“ — Ucałował wojski ręce staruszki, i — „p. Łukaszu! — zawoła — szafuj wina, wypijemy zdrowie mamy dobr., a my tymczasem z namiestnikową dobr. jaki raz i drugi wywiniemy się narodowego. P. Lewandowski! Kościuszkowskiego!“ — Musnął wąsa, poprawił wyloty i posunął w pierwszą parę z moją matką, za nimi ruszyli i drudzy. Ze słodkiem uczuciem ja to wspominam, bo zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę, te zacne polskie posuwiste pary, słyszę miły dźwięk strun gęśli pod biegłemi palcami Kamińskiego, że jeszcze patrzę na piękne rysy Piotrusia Lewandowskiego, bolejącego nad kalectwem ojca. Zdaje mi się jakbym był jeszcze obecnym poważnej wesołości szanownej matrony, ukochanej babki mojej. Ustęp ten, jako wspomnienie drogie sercu mojemu, proszę mi wybaczyć. Chwile dzieciństwa, były to chwile szczęścia, których trudno zapomnieć! Obrazy te skreślone dla mnie miłe, może dziś kogo rozśmieszą, ale skreślić je serce kazało.

Po skończonym Polskim, młodzi stanęli ankatr-mazura (en quatre) we cztery pary, starsi pociągali węgrzyna, to za zdrowie naszej dobrej babuni, to za gospodarstwa, to za reszty kompanji, i miła przyjacielska toczyła się pogadanka, to o tem, to o owem, nareszcie z kolei i o kasztelanowej wspomniano. Zerwał się z krzesła p. wojski i uderzając się po głowie: „P. Łukaszu! — zawołał — przepraszam! zapomniałem: wszak to ja do ciebie mam ekspedycję. Oto listy z Warszawy, które przed trzema dniami na poczcie w Warkowiczach odebrałem“. W samej rzeczy, był to list do mego ojca od pani, a dru-

gi do mojej matki od Dziusówny. Rozpieczętował zaraz ojciec pismo, w którem kasztelanowa dziękowała za pomyślny kierunek interesów, polecała żeby pieniądze złożyć w kantorze banku Teppera, mającego być w Dubnie na kontraktach i wziąć od niego weksel. Zresztą rządzić wszystkiem tak jak mu rozsądek i uczciwy jego charakter każą. Trybu życia nie zmieniać i na porządne utrzymanie się kasy jej nie oszczędzać. Pozdrawia żonę i dzieci. Podpisano L. P. Pan wojski czytał wraz z moim ojcem, a doczytawszy się podpisu: — „Cóż to? — zapyta — omyłka jakaś? P. zamiast B.?“ — „Nie, nie omyłka, istotna prawda“. — „Cóż to za zmiana?“ — „Zmiana smutna, — ozwie się matka moja, — p. kasztelanowa jest tylko wojewodzicową“. — „Jakto? wyszła za p. Karola?“ zawołano chórem. — „Tak, — rzecze mój ojciec — wiedzieliśmy o tem przed ich wyjazdem, to ich nawet i do Warszawy popędziło“ — „Tfu! — zawoła p. wojski, — oszalała, czy co? No! potrzeba jej zdrową głowę... — „No!“ — „Ale daj Boże, żeby jej nieboraczce na złe to nie wyszło! — rzeknie starsza panna Lubieniecka“. — „Mnie się ten p. wojewodzic — mówił dalej p. wojski — wcale nie podobał. Nie widziałem, żeby się kiedy choć przeżegnał w kościele, a Woltera, na pamięć umie“. — „Co się p. brat dziwuje, — ozwie się starszy Trzebuchowski, — cały świat wie, że on Farmazon, a czyż Farmazoni wierzą w Pana Boga?“ — „A prawda, prawda!“ — odezwali się drudzy. Tymczasem w kościołku odezwały się dzwony i muzyka umilkła. — „Na pasterską kto łaskaw“, — rzekł mój ojciec, i całe towarzystwo udało się do kościoła. Po mszy, na której wszyscy jednogłośnym śpiewem, kolendą Boga chwalili, goście wymogłszy przyrzeczenie, że babka moja, rodzice i cała nasza rodzina, jutro do p. wojskiego na obiadek przyjacielski zjadą, odjechali; nasi udali się na spoczynek do domu.

„Przeczytaj!“ — rzeknie matka podając ojcu niedo-

czytany jeszcze list Dziusówny. Ojciec czytał te słowa: — „Wstrzymałam się z pismem do was, oczekując waszej odezwy, a jeszcze bardziej, ażeby zebrać więcej coś, dla doniesienia wam o nas. Piszę nareszcie, i ażeby was ten list pewniej doszedł, sama go na pocztę odnoszę, bo mi się zdaje, że są tu u nas osoby, chcące wszelką komunikację z Ludwipolem rozerwać; ale o tem potem. We trzy tygodnie po przyjeździe naszym do Warszawy, pani nasza zmieniła swój tytuł, prywatnie, i wieczorem u Kapucynów ślub wzięła z wojewodzicem. Poneta, starościna Bilska i ja asystowałyśmy na tej ceremonji. P. Węgierski, którego pani uprosiła, że nas do Warszawy odprowadził, nieodstępny wojewodzica Lesiecki, jakiś ogromnie wąsaty p. rotmistrz, i jakiś Niemiec, czy Francuz, licho tam jego wie, bo nie katolik, jak to widać było z jego prezencji w kościele, ze strony wojewodzica świadkami byli. Poneta, zachodziła się od płaczu w czasie ślubu matki; na twarzy wojewodzica, było coś takiego nieludzkiego, że patrzeć na niego było straszno. Adasia na ślubie nie było. Nie myślcie jednak, że wszystko poszło łatwo i gładko, i że p. młody w pretensjach swoich był tak umiarkowany, jak się okazywał w sentymentach gorący. O! nie, było przeciwnie; sentymenta ostygły, a pretensje rozgorzały. Trzy dni trwały narady i targi, nie mało było sporu i swarów. P. Węgierski z całą swoją zacnością utrzymywał stronę pani; stanęło nakoniec jednak na tem, że pani jedną wieś swoją w Poznańskiem oblubieńcowi darem darować musiała. Odbył się więc ślub, ale nie powiem wesele, bo smutek jakiś i przymus na wszystkich twarzach rozlane były. Pani nawet, lubo tak pragnęła i tak potrzebowała tego połączenia, ze zmiany położenia swego niekontenta. Wszyscy jesteśmy jak pod obuchem, nikt nikomu nie ufa, a mnie mimowolnie dreszcz jakiś po ciele przechodzi, jak pomyślę co dalej jeszcze będzie. P. Jaraczewska ze słabą matką mężowską wyjechała do Włoch na całą zimę. Trzeciego dnia po

ślubie pani z Ponetą odwiedziła księżniczkę Annę przełożoną Wizytek, ciotkę swoją i na usilne (niby) jej nalegania, Ponetę na trzy miesiące tam zostawiła. Gdy wróciła do domu sama, zadziwił się wojewodzic, i pół z gniewem, pół z szyderstwem zapytał żony, co z córką zrobiła? — „Ciocia żądała mieć Ponetę u siebie na parę miesięcy". — „A toż co znowu, na parę miesięcy? mamy teraz mały karnawał, ona się tam zanudzi." — „Ciocia jest tak dobra, tak ją kocha, że znajdzie sposoby rozerwania jej, a nawet zabawienia." — „Przeorysza Wizytek! — rzekł drwiąc wojewodzic. — „Księżniczka Anna." — odrzekła z powagą pani. — „Ależ w klasztorze — mówił łagodniej — jakież zabawy? Czyż to są bale, te świetne bale stolicy, na których wyższy świat się zbiera, na którychby Ponetka pięknością swoją brylować mogła". — „Ponetka jeszcze za młoda do tych balów, a gdyby nawet dorosłą była, z kimżeby teraz pokazać się mogła? Ty wiesz, że zdrowie moje na tych zabawach bywać mi nie pozwala. Więcej ci powiem, Ponetka ochotnie przy babuni została". — Nic więcej nie odpowiedział wojewodzic, ale widziałam, jak się nachmurzył, zagryzł usta, nie małżonka czułego okiem spojrzał na żonę i wyszedł. O! niema tu miłości, niema i spodziewanego szczęścia; daj Boże! żeby choć spokojność została. Pani mówiąc ze mną, nie tai się, że jej żal za Ludwipolem, wspomina was z życzliwością, nieraz łzy ją obleją, ale się nie użala, cierpi, ale tego dać poznać nie chce. Święta się zbliżają, życzę wam przepędzić je zdrowo i wesoło, zacząć rok podobnie, i nadal wszystkiego dobrego. - - Tekla Dziusówna". — „O! to już miesiąc jak ten list pisany; data listu kasztelanowej późniejsza. Chwała Bogu! jeszcze to wszystko dobrze" — mówił ojciec składając list - - „obaczymy, co z tego dalej będzie".

Nazajutrz po mszy ś. pojechaliśmy do Chołop, do Lubienieckich, gdzie i całą ich rodzinę zebraną zastaliśmy. Dzień u nich przeszedł, jak wieczór wczorajszy

u nas. Narodowa uprzejmość, otwartość prawdziwa, uczucia szczere, cechowały przyjęcie w tym zacnym szlacheckim domu, a zamożność dodawała materjałów do uczciwego ugoszczenia zaproszonych. Wesoło było starszym, ale nam dzieciom, to i opisać trudno, bo to mało, że nas łakociami nasycono, ale najmłodsza z panien Lubienieckich Teodora, trzynastoletnia panienka, bawieniem nas zajęta była. Były tam i obrazki z książek i figurki meblowe w użyciu, i w gry graliśmy, słowem cały dzień na ślicznej dziecinnej zabawie szybko przeleciał, i z żalem opuszczaliśmy i my i starsi przyjacielski dom Lubienieckich.

Trzeciego dnia odebrali rodzice miłe nader wezwanie do Mezerów, zaczęcia z nimi roku. „A kiedyście zrobili nam przykrość, zabierając p. Kazimierza z siostrami na święta, niechże to nam nagrodzeniem będzie, odwożąc ich sami na Nowy Rok". Tak się też stało: i mnie z sobą zawieźli, ale do szkoły, matka aż do postu w Korcu została. Z zaczęciem roku nie słychać było nic gorszego o interesach krajowych, owszem jakiś promyk lepszej nadziei z pośród chmur przeświecać się zdawał. Oddawano się więc wesołości, a dwa narody w wojennych stosunkach ze sobą będące, przez cały Karnawał w Korcu, najprzyjaźniej się ze sobą bawiły.

Na kontrakty do Dubna wyjechał mój ojciec z pięknym zapasem dukatów. W rzeczy samej, został już kantor Teppera zawiadomiony o przywiezionej sumie, wręczył więc ją do banku, i odebrane weksle wysłał zaraz na pocztę do Warszawy do kasztelanowej, od której jednak na ten raz przez Teppera żadnego pisma nie odebrał. Jaki był obraz ówczesnych kontraktów, o tem powiedzieć nie umiem. Były sprzedaże, kupna, ustępstwa, były pyszne magazyny zagranicznych kupców, był teatr i inne widowiska. O teatrze pamiętam jedno wydarzenie, nie wiem tylko jakiego to było roku; ale od rodziców moich, naocznych świadków to wydarzenie nieraz opowiadane sły-

szałem i tu przytaczam. Sławny w dziejach naszego teatru Owsiński, grał *Bewerkia*. Dramat ten z wielkiem zajęciem przyjęty był. Niejaki p. Cześnik ze znacznym groszem przybywszy na kontrakty, poszedł także na teatr. Energiczna gra Owsińskiego zachwyciła poczciwego szlachcica. Szczerze płakał nad energiczną pasją gracza, ale kiedy już miano brać Bewerkia z całą rodziną do więzienia, wzruszony do głębi serca Cześnik, niedolą winnego i niewinnych, podnosi się z miejsca i z płaczem zawoła: „Mości panowie! wstrzymajcie się, oto jest połowa sumy przegranej przez p. Bewerkia, drugą natychmiast przywiozę i wypłacę wszystko. Mnie Bóg to nagrodzi, ale nie krzywdźcie tych nieszczęśliwych“. Mógłże świetniejszy oklask uwieńczyć talent artysty? Cała publiczność zawrzała czcią dla gry Owsińskiego i dla naiwnych, a tak wzniosłych uczuć Cześnika. Podniesiono go na ręku, hucznemi oklaski, i głośnem: wiwat! rozlegał się teatr, szlachcic żałował, że to jest tylko udane, i prosił, żeby choć sto dukatów przyjął od niego Owsiński.

Rodzice matki mojej mieli w Dubnie [1]) piękny dom na Piekarskiej ulicy, przynoszący corocznie 100 czerw. złot. za najem kontraktowy. Po śmierci rodziców, ojciec mój spłacił rodzeństwo i sam został właścicielem domu; wynajęli go potem rocznie rodzice moi, i od lat dwuch już w nim nie mieszkali. Zastał go ojciec w dobrym stanie i najętym za staraniem architekta Słoniewskiego, sąsiada i przyjaciela, który i kupca na dom za 500 czer. zł. nastręczył. Warunki były łatwe, przedaż korzystna, umowa prędko stanęła, spisano kontrakt i wyliczono pieniądze. Zjazd był wielki w Dubnie i wielu znajomych znalazł mój ojciec. Sławny poświęceniem się sprawie prze-

---

[1]) M-stko powiatowe na Wołyniu, leży nad Ikwą. Do roku 1794 odbywały się tu słynne czterotygodniowe jarmarki, zwane kontraktami — przeniesione do Kijowa.

mysłu i handlu, Prot Potocki w-da kijowski [1]) znajdował się także na kontraktach. Znał wojewoda dobrze ojca mego kiedy jeszcze był kasjerem Warkowickiego kantoru banku wojewody i szacował go, bo mój ojciec z kasjerstwa swego ledwie 20,000 zł. wyniósł, kiedy kasjerowie Machnowieccy, miljonowe na swym urzędzie porobili majątki. Interesa wojewody skłaniały się już do upadku, ale nadzieja zawsze ożywiała tego zacnego pana i nie upadał na duchu. Mile przyjął mego ojca, i przyrzekł mu, że skoro interesa narodowe i jego przyjdą do ładu, weźmie mnie na swoją opiekę i losem się moim na przyszłość zajmie. Czcigodna to była dusza, tchnąca poświęceniem się dla drugich z zupełnem o sobie zapomnieniem. Był z nim ks. Ossowski znany w kraju z swej uczoności i przedsiębierczego umysłu; ale, przebąkiwano na kontraktach, że wojewoda na tym socjuszu dobrze nie wyjdzie. Czy tak było w istocie, niech powiedzą zbliska patrzący na życie wojewody.

Przybył między innymi pułkownik Bielicki dla odebrania posagu żony. Uradował się obaczywszy mego ojca i pożyczone w przeszłorocznym przechodzie 100 czer. zł. najrzetelniej wypłacił, ale procentu ojciec nie przyjął. Ten też jeden tylko się uiścił! Bogaty 600 czer. zł. mój ojciec, porobiwszy do domu nie wielkie sprawunki, w wilję wyjazdu na cały wieczór wybrał się do Słoniewskich, gdzie też się zeszło i wielu ze szlachty kontraktowej. Tamże był i p. Jabczarski łowczy, szyper, sąsiad ludwi-

---

[1]) Prot Potocki, jedna z najbardziej wybitnych postaci końca XVIII w. w prowincjach ruskich Rzptej. Objawił ogromną rzutkość na polu ekonomicznem i przemysłowem. Zakładał banki w Warszawie, Machnówce (gub. kijowska) i Chersoniu. Z nowo powstającą Odesą zorganizował handel zbożowy wbrew tradycji posyłania do Gdańska. W Machnówce założył fabryki powozów, sukna, mebli, kapeluszy etc., drukarnię. Nieszczęścia publiczne i osobiste zachwiały jego interesami. Był to ostatni, który od r. 1791 nosił tytuł wojewody kijowskiego. Umarł w 1801.

polski z Druhowej. Ujrzawszy mego ojca: — „Ach! mości namiestniku! zawoła, jakże mi w. pana dobr. potrzeba było!“ — i usunąwszy się na bok: — „Czy jegomość dobr. myśli i nadal zostawać u p. wojewodzicowej (bo już nie kasztelanowa)? Czy może gdzie indziej życzyłbyś sobie tentować szczęścia?“ — „Jestem jeszcze w roku i trudno mi porzucać obowiązek tak mi dogodny i tak spokojny“. — „A jednak żebym ja w. p. dobr. naraił korzystniejszy u chorążego Kor. w Międzyrzeczu? Pełnomocny jego jw. stolnik Karwosiecki mocno mię obligował, ażebym z jegomością dobr. w tym interesie pomówił. Estymuje on wmp. dobr. wielce i radby przybrać go sobie za socjusza, oddając jegomości zarząd klucza Kiliniowskiego“. — „Mości łowczy, w niczem nie zawiodłem zaufania czcigodnej mojej pryncypałki i najmniejszej dotąd od niej przykrości nie doznałem, nie widzę więc potrzeby zmienienia miejsca; a potem, wyznam szczerze p. łowczemu dobry interes mój jedyny, jest dowieść mojej bezinteresowności i uczciwości mojego charakteru, bo to droższem mi jest nad wszelkie korzyści i zyski. Miło mi i szczycę się tem, żem potrafił służyć sobie na łaskawą opinję jw. stolnika, ale pewny jestem, że przez to odmówienie, zaszczytnej o mnie jego opinji nieutracę i może na więcej względów zasłużę“. — „E!... bo widzisz asindziej, — ozwał się nieukontentowany łowczy, — tu u nas coś na odmiany zakrawa. Słychać, że wasi nowożeńcy mają zagranicę wyjechać, może majątek puścić w posesję zechcą?“ — „Natenczas, z łaskawej rady p. łowczego dobr. korzystać nieomieszkam“, — odrzekł ojciec i na tem się rozeszli.

Po powrocie ojca do domu wszystko szło po dawnemu. Po zapustach i matka z Korca wróciła, a z Warszawy żadnej wiadomości. Tymczasem rzeczy krajowe szły gorzej, konfederacja Targowicka działała silnie, bo i król do niej, niepomny na zaprzysiężoną konstytucję 3 maja, przystąpił. Wojska pruskie weszły już do Wielkiej Pol-

ski, i już głucha wieść chodzić zaczęła, o nowych zaborach sąsiednich na naszej biednej ojczyźnie. Napływ wojsk rosyjskich coraz się powiększał i wszystkiemi szli drogami, i na Ludwipol szły pułki. Starszyźnie oficynę dworską na kwaterę dano. Wielu tych starszych poznaliśmy, trzech jednak najwięcej w pamięci zostało. Jeden, kapitan Gromow, trzy dni kwaterował i tak się w domu naszym oswoił, że z siostrami mojemi ciągle się bawił, a osobliwie ze starszą dziesięcioletnią sprytną dziewczynką, i gdy ta podając mu kawę, przelała na miseczkę, matka ją zgromiła tem słowem: „jakażeś niezgrabna!“ Odtąd kapitan ciągle ją nazywał „prekrasna niezgrabna“. Odjeżdżając, przy najczulszem pożegnaniu, samowar i funt wybornej herbaty w upominku rodzicom moim zostawił. Od niego nauczyli się użycia herbaty i poznali dogodność samowaru; ale z wyjazdem Gromowa, samowar został tylko sprzętem nieużytecznym, bo nikt się obejść z nim nie umiał. Następnie po nim był młody jeszcze bardzo porucznik, dobry chłopiec, ale jeszcze bardzo nie otarty, o wszystko co postrzegł pytał się: „co to? i na co?“ i gdy wieczorem podano świece, uderzyły go w oczy jasne, stalowe szczypce, a gdy mu siostra moja słownie tylko wytłumaczyła ich użycie, dobry porucznik, urwał knot napalony, palcami wrzucił do rozwartych szczypców, i silnie zacisnąwszy, z radością wielką zawołał: „prekrasnaja maszynka“. Nieudana była ta nieznajomość rzeczy. Był to jedynak bogatych i skąpych rodziców, wychowany w domu, jak to i u nas bywało, *domator!*

Ale jeden z tych starszych znamienitą po sobie zostawił pamięć. Był to Łabanow, brat (jak mówił o sobie) księcia Łabanowa pułkownika, mającego zimową kwaterę w Międzyrzeczu, ale się księciem nie nazywał, znać jednak było na nim i ród wysoki i staranne wychowanie. Mówił dobrze po polsku, i mnóstwo miał książek cudzoziemskich, które długo zawsze w noc przy woskowych

świecach czytywał, — jedną nawet z takowych siostrze mojej darował; później nauczyliśmy się, że to było dziełko Florjana *Galatea*. Prędko przystał do naszej rodziny i przez tydzień swego pobytu, zaprzyjaźnił się, można powiedzieć, z moim ojcem, lubił z nim gawędzić i polować. Często zamyślał się, ale tak głęboko, że nawet nieuważał co się w koło niego dzieje, i nieraz na zapytanie, ni w pięć, ni w dziewięć, jak mówią, odpowiadał. Matka moja prześladowała go, że gdzieś tam daleko w Rosji, przedmiot swoich myśli i uczuć zostawił. — „O! nie pani“ — smutnie odpowie: — nie w Rosji, nie. Ta która spokojność moją zatruła, zniweczyła życie moje, była waszą rodaczką! Kochałem ją całą miłością duszy i zdawało mi się, żem jej wzajemność posiadał. Oświadczyłem się matce, ale ani słuchać nie chciała. Nigdy, mówiła, nigdy córki mojej za w. pana nie wydam! „Cóż było robić? Ciotka mojej Elżusi i powiernica, p. Gertruda, sprzyjała mi i radą swoją pomagała. Z jej to porady, ułożyliśmy się: że wykradnę Elżusię, weźmiemy ślub, i ciotka przyjmowała na siebie przebłaganie matki. Tymczasem, zbliżał nam się czas opuszczenia Warszawy i pochód, potrzeba było pośpieszać z wykradzeniem. Dzień czwartkowy naznaczony był na spełnienie naszego zamiaru. O! nigdy ten dzień bolesny z pamięci mojej nie wyjdzie!“ — „Cóż to? przerwała matka moja, Elżusia umarła?“ — Gdyby tak było, wieczna okryłaby mię żałoba! Ale proszę słuchać dalej. Matka Elżusi, niedaleko Ujazdowskiego pałacu mieszkała, nie wielkie więc zaludnienie tej części Warszawy, układom naszym wielce sprzyjało. Noc była ciemna, deszcz lejąc dzień cały, ledwie że się ujął potrochu wieczorem. Na rękę nam była ta słota, nie mogłem jednak być spokojnym, jakieś smutne przeczucie gwałtem się do serca cisnęło. O jedenastej zostawiwszy powóz na głuchej uliczce przyległej, podszedłem ku domowi. Serce mi biło gwałtownie, twarz pałała, szumiało w uszach, a dreszcz ustawny całe ciało

przebiegał. W domu przez szpary okienic światło jeszcze błyskało. Czekałem drżący, i jak na toż, deszcz rzęsisty puścił się znowu. Nareszcie światło pogasło w domu, podstąpiłem bliżej, ciotka miała wyprowadzić Elżusię, — czekałem jeszcze. Nareszcie po godzinie może, postrzegam samą Elżusię owiniętą w salopę, zwolna wychodzącą z domu; poskoczyłem ku niej, pochwyciłem na ręce i zaniosłem do powozu. Elżusia była drżąca i zdaje mi się, że płakała; uspokajałem, całowałem jej ręce, powtarzałem moje oświadczenia i przysięgi wiecznej i wiernej miłości. Elżusia milczała, kiedy niekiedy tylko drżącą ręką, rękę moją ściskała. Konie leciały, znikały nam domy i ulice, ja nie posiadałem się z radości, chociaż w gruncie trwoga mię jakaś przejmowała. W Wilanowie czekały nas świeże konie, zatrzymaliśmy się, towarzyszka moja odchyliła kapiszon, — spójrzałem!... Sądź pani o moim przestrachu. Zamiast ulubionej, siedziała koło mnie szanowna ciocia, czterdziestoletnia i brzydka jak noc obecna, p. Gertruda. Wyskoczyłem z powozu, ciocia za płaszcz mię zatrzymała. „Nie uciekaj kochany kapitanie od tej, która ciebie jedynie kocha: tamta nigdy miłości twojej nie podzielała, a jeśli zgadzała się na wykradzenie, to jedynie dla mnie robiła, ażeby szczęście moje zapewnić, podstawiając na swojem miejscu godniejszą twojego serca. Oto masz w tym woreczku moje własne 1,000 czer. zł., mój posag, a to list, który cię o wszystkiem objaśni". Ledwiem słyszał te słowa ostatnie, zrzuciłem płaszcz i uciekłem machinalnie ściskając podany mi bilecik. Niewiem jak długo i którędy biegłem, i znalazłem się na mojej kwaterze. Służący, który jeszcze się za mną nie wybrał, zdumiony moim okropnym stanem, rozbierał przemokłego pytając, gdzie płaszcz podziałem? Opamiętałem się trochę, zacząłem powoli zbierać myśli, przypominać okoliczności, i uczułem, że mam coś w ręku, i wtedy dopiero postrzegłem mój dekret. Elżusia najgrzeczniej wyznaje, że mię wcale nie kochała, że przyjmując moje

zaloty, zaraz projekt o ciotkę ułożyła i całą tę komedję ze mną dla niej wygrała. Przeprasza mię za swój postępek, do którego i matka należała, życzy mi szczęścia w pożyciu i zapewnia o swojej przyjaźni na zawsze". — „Może jednak byłbyś wolał unieść z tej awantury woreczek z 1,000 czer. zł.?" — wtrącił żartobliwie mój ojciec. — „A niech ją licho weźmie z jej dukatami, czy mnie pieniądze były potrzebne? Wściekałem się ze złości, wyobrażając sobie, jak się musi śmiać ze mnie Elżusia; ale i w tym złośliwym uśmiechu jeszcze tysiące wdzięków znajdowałem i do zemszczenia się nie miałem serca. Przeniosłem się natychmiast na inną kwaterę, ażeby Gertruda znaleźć mię nie mogła, a po kilku dniach opuściłem Warszawę, unosząc obrażoną miłość własną, może urazę, może zawziętość, nie wiem, ale w sercu wiecznie obraz Elżusi. Dwa roki już odtąd mija, mnie to tak świeżo w pamięci, jakby dopiero wczoraj się stało". -- Rodzice moi i babka wiele współczucia starali się okazać kapitanowi, ale potem razem z nim śmieli się z pociesznej jego awantury. Odjeżdżając Łabanow, całe to wydarzenie własną ręką spisane, zostawił mojej matce, i z tego właśnie rękopisu, zapamiętawszy okoliczności, chociaż tak dawne, tu opisałem.

Jużeśmy potem przechodu wojsk nie mieli. Ucichło wszystko, ale na straszniejszą burzę się zanosiło. Prusacy zajęli Wielką-Polskę i już o podziale nowym biednej naszej ojczyzny mówiono! Smutno, wśród smutnych wieści czas uchodził, a u nas z Warszawy żadnej wiadomości, jak niema, tak niema. Nareszcie około ostatnich dni kwietnia, wrócił p. Lesiecki i pierwszą wiadomością z ust jego była wiadomość o drugim podziale Polski i o wyjeździe króla do Grodna. Wręczył potem mojemu ojcu list wojewodzica w tych słowach: „Interesa nasze tak się złożyły, że wyjeżdżamy do Poznania i dalej. Majątek Poleski puściliśmy w dzierżawę p. Lesieckiemu, jemu więc WMPan oddasz i zarząd dóbr i kasę i papiery, a sam wol-

ny od obowiązku u nas, innego szukać możesz; póki zaś go nie znajdziesz, pozwala mu się mieszkać w dworskiej oficynie. K. P.“ Zmartwił taki list moich rodziców, tem bardziej, że od kasztelanowej ani słowa. Rada w radę, ojciec tegoż samego dnia oddał wszystko p. Lesieckiemu, mieszkania nie przyjął i na zaścianku blizko miasteczka, u wdowy po oficjaliście Zawadzkim, siostry Dziusówny, najął porządny dworek, gdzieśmy się wygodnie umieścili.

Wróciła wiosna. Piękna, ciepła kwietniowa pogoda ożywiła naturę, drzewa się rozwijały i w blizkim lasku pełno już było wiosennych kwiatów; a że to już był ostatni tydzień przed Wielkanocą, to i ja byłem do domu z Korca przywieziony. Dzień był śliczny; rodzice, babka i gospodyni domu siedzieli w ganku, my biegaliśmy sobie po niewielkim, ale czystym dziedzińcu. W tem z poza domu pokazał się nam kozak dworski: był to Szełest, który z panią jeździł do Warszawy, znajomy nam dobrze, bo nieraz, a osobliwie mnie na ręku nosił i bawił. „Szełest, Szełest“ — krzyknęliśmy wszyscy troje. Obrócili się rodzice. — Kozak oglądając się ostrożnie na wszystkie strony: — „A można?“ — zcicha zapyta. — „Chodź! chodź, mój kochany! — zawołał ojciec — nie bój się“. Podszedł kozak; nizko się pokłonił, każdego w rękę pocałował. — „Cóż tam u was? masz jaki list?“ — „Mam, od p. Dziusówny. O, nie dobrze tam u nas w Warszawie. Pełno zgrai, a pani odkiedy poszła za p. wojewodzica, zawsze płacze po kątach; a on na wszystkich swarzy się, łaje na panią fuka; jedna tylko panna kasztelanka jego się nie boi, ale jej teraz niema, jeszcze w klasztorze, to też pan strasznie się gniewa, a z madamą coś raz wraz szwargoczą. Jeszcze to było jako tako, póki był p. Węgierski, ale on po zapustach wyjechał w Krakowskie i u nas teraz takie nieszczęście“. — Rozpieczętowała matka list Dziusówny, w którym donosi, że ostatnich dni lutego pani powiła syna, że na wojewodzicu nie było widać ojcowskiej radości, i że nawet wymógł na żonie, ażeby w maju dziecię odesłane było z mamką do dóbr Poleskich, lub odda-

ne było komu z sąsiadów. Pani żądała, żeby tobie oddać go zupełnie na wychowanie, ale wojewodzic ani chciał tego słuchać. Dla czego syna usuwa od starań i pieszczot matki, od swojego oka, jest zagadką, której nikt odgadnąć nie zdoła. Mały ma imię Juljusz, i śliczne dzieciątko! Z tego na co tu patrzę, przewiduję, że nas coś jeszcze okropniejszego czeka. Mamy wyjeżdżać do Poznania. Pani smutna, wojewodzic coraz nieznośniejszy, wziął panowanie nad wszystkiemi; jedna tylko Poneta mu nie ulega. P. Węgierski nas opuścił, — jakże to opuszczenie czujemy! On umiał jeden trzymać naszego despotę na wodzy. P. Eleonora wróciła z Włoch i wzywa nas na wieś do siebie; jutro wyjeżdżamy, a tam zabawiwszy czas jakiś, do Poznania na mieszkanie. Coś tu bardzo często i o Berlinie mowa, czy nie myślą i tam się udać? O! upadam do nóg! pomiędzy szołdrów, Lutrów, jechać nie myślę; a jeżeli mię do Ludwipola nie odeszlą, to tu zostanę, i albo dogodnego sobie miejsca szukać będę, albo wstąpię do klasztoru. Ale, ale, jeszcze jedna rzecz. Posesja Lesieckiego jest tylko komedją, a istotnie z narady jego z wojewodzicem wypadło, ażeby się was pozbyć, bo pani wymówiła się, że z waszej rady Ponetę wywiozła i że do powrotu siostry gościem była u matki, na co wściekał się wojewodzic i na was się pomścił. Pani długo na wasze usunięcie zgodzić się nie chciała, ale po wyjeździe p. Węgierskiego, dla spokoju domowego ustąpić musiała. Kazała mi wam to napisać i upewnić, że w jej sercu też same przyjazne uczucia na zawsze zachowa. — Bądźcie zdrowi! do zobaczenia, daj Boże. T. D.“ — I Szełest o tym wyborze mówił, i to nie uszło jego uwagi, że wojewodzic i kasztelanka mają się do siebie i że nawet sama pani zdaje się to zauważyła. Szełest uwolniony od służby dworskiej, miał pozwolenie od samej pani służyć u mego ojca. Przyjął go chętnie, bo był przywiązany do nas, zręczny i stateczny chłopiec, a ojciec mając przed sobą częstą podróż dla szukania obowiązku, właśnie takiego sługi potrzebował.

Po świętach, ojciec odwiózł matkę i mnie do Korca,

siostry z babką zostawił, a sam to wyjeżdżał, to wracał, szukając obowiązku. W czerwcu matka wróciła do Ludwipola, pooddawszy siostry swoje: starszą do szambelanowej Strojnowskiej do Zytynka, młodszą do p. wojewodziny Walewskiej do Tuczyna, a że wuj miał potrzebę wyjechać na Ukrainę, więc i ja z matką wróciłem. Nie dała mi matka próżnować i wszystko, com się uczył przy Skoczkowskim, przy matce powtarzałem, a czasem siostra starsza matkę zastępowała, i oprócz tego poduczywszy się sama czytać po francusku przy p. Węgierskim, mnie swojej umiejętności udzielała. Miło nam lato na wsi schodziło. Co rana z babką i matką godzinę klęcząc modliliśmy się, potem ja brałem się do moich lekcji, siostry przy matce siadały z robotą. Wieczorem była przechadzka do sąsiedzkiego lasku. Ojciec mój za każdym powrotem przywoził wiadomości krajowe, najczęściej smutne, czasem jednak jakąś nadzieją ożywiające. Nie mówiono jednak nic przy dzieciach, i tylko niepocieszające wieści poznawaliśmy po smutku naszych, a lepszych następstwem była dziękczynna modlitwa przed obrazem Zbawiciela. Odwiedzali nas sąsiedzi, nie zmienni w uczuciach, przy zmianie naszego losu; ale najmilsze dla nas, w naszem ustroniu były odwiedziny p. wojewody Kijowskiego, który umyślnie dla widzenia moich rodziców kilka mil zboczył z drogi. Interesa p. Potockiego w okropnym już były stanie, i on sam mocno był zmieniony, zacnej jednak duszy jego okoliczności nie zmieniły. Użalał się przed matką moją, że wojewodzina go porzuciła, że kim innym zajęta, chce iść do rozwodu, że dla naradzenia się wyjechała do Tuczyna, do p.p. Walewskich, i że on tam za żoną dąży. Powtórzył matce mojej, obietnice względem mnie dane ojcu na kontraktach, i zostawił 15 czer. zł. dla mnie na książki, nim lepsze czasy obietnicę spełnić dozwolą. Egzaminował mnie z tego, com się uczył, i pogłaskawszy po głowie powtórzył to znane nam wyrażenie, jakoby Stefana Batorego: disce puer! ego te faciam Mościpanie. Smaczno podzielał nasz skromny obiadek, a po-

żegnawszy nas czule, z żalem naszym i błogosławieństwami odjechał.

Nie mogę tu pominąć jednego dziwnego wydarzenia, na które zbliska patrzaliśmy, a które na moim młodocianym umyśle silne zrobiło wrażenie i całe życie w pamięci utkwiło. Obok naszego dworku, mieszkał bogaty włościanin Ohij imieniem. Najzamożniejszym był we wsi, wszystko mu się wiodło, miał kilka córek i jednego 4-letniego synka Iwasia. Znaliśmy to piękne dziecię, bo często do nas zabiegał. Wszyscy go lubili, i zawsze był u moich rodziców dla niego kawałek pięknej bułki, albo cukru, albo obwarzanek. Ohij miał węża domowego, który ssał krowę i zawsze wyłaził do dzieci i z jednej z niemi miski mleko popijał. Mały Iwaś nie bał się węża i owszem lubił go, a gdy wąż do miski się przysuwał, malec brał go za głowę i bijąc łyżką: „nie pij ptasiu mleka“ — mówił. Widywaliśmy nieraz tę scenę i sami z wężem oswoiliśmy się. Zdarzyło się, że Ohij przyjął nowego parobka, ten dostrzegłszy węża ssącego najpiękniejszą z trzody Ohija krowę, nic nikomu nie mówiąc, skoro się wąż od krowy oddalił, ubił go i wziąwszy na kij przyniósł do izby, ażeby się oddaną usługą pochwalić. Splasnęła rękami biedna Ohijowa i słowa przemówić nie mogła. Iwaś chwycił węża, a dziwiąc, że się nie rusza, z wielkim płaczem wykrzyknął: „niema ptasi!“. Po trzech dniach ryku i niejednym płaczu powtarzając: „niema ptasia“ — życie zakończył. Rozpacz rodziców była nie do opisania, i my sąsiedzi szczerześmy ich żal podzielali.

W końcu lata, jednego wieczora pod niebytność mojego ojca, po odmówionych pacierzach, wszyscy siedzieliśmy sobie na ganku; wtem otwierają się wrota: Krakowska bryka z budą zajeżdża prosto przed ganek, z niej wysiada dama porządnie ubrana, i rzuca się w objęcie mej matki, a potem p. Zawadzkiej. „Dziusówna! siostra! zawołały obie razem. W rzeczy samej była to Dziusówna, zadziwił wszystkich jej przyjazd, a po mocno wypakowanej bryce, poznać było można, że już zupełnie do domu

wróciła, co i natychmiast oświadczyła siostrze. „O! nie macie wyobrażenia okropności, na jakie przez te kilka miesięcy oczy moje patrzyły!“ — „A kasztelanowa? — zapytała żywo matka moja — cóż się z nią dzieje? — „Módlcie się za nią!“ — „Jakto? nie żyje?“ — „Żyje ciałem, ale umysł jej uległ pod ciężarem trosk i zgryzot. Zwarjowała!“ — „Jak? co? mów! mów, kochana Teklusiu!“ — „Pisałam do was, że się wybieramy do Poznania i tak się stało. Zabawiwszy w Omęcinie u p. starościny Eleonory, najprzyjemniejszych dwa tygodnie, na usilne nalegania wojewodzica wyjechaliśmy na mieszkanie do tego przeklętego Poznania, i szczęśliwie stanąwszy, rozlokowaliśmy się w kamienicy naszego pana, i od pierwszego dnia uczuliśmy nad sobą żelazną jego rękę. Poneta miała zostać u siostry, ale wojewodzic tak umiał zawładnąć wolą swej żony, że córkę z sobą wziąć zmuszoną była. O! czemuż Bóg nie natchnął ją stałością i uporem w tej okoliczności! Teraz, odkryło się jawnie, cośmy dotąd tylko podejrzewali! wojewodzic oddawna kocha się w pasierbicy i jej wzajemność posiada. Zaślepiona matka długo tej intrygi nie dostrzegała, i nikt jej w tem ostrzedz nie poważył się. Piekło wrzało w domu przez dwa miesiące; nakoniec, jednej nocy wojewodzic i kasztelanka zniknęli. Co się u nas wtedy działo, opowiedzieć nie umiem. Bóg mię natchnął przytomnością i męstwem uzbroił. Posłałam po ks. prałata Wolickiego, koligata i wielkiego przyjaciela pani, i sztafetę wysłałem do p. Eleonory. Trudno było znaleźć środki wlania jakiegokolwiek pokoju do duszy nieszczęśliwej żony i matki; ani słodkie i bogobojne refleksje ks. prałata, ani najczulsze starania i pieszczoty drugiej córki, nie wywołały uspokojenia w udręczonem macierzyńskiem sercu. Ale to, co nas czekało, było jeszcze straszniejsze. Starościna zabrała nas na wieś; tam otoczyła matkę najrzewniejszą i najgorliwszą troskliwością, i usuwała wszystko, coby jej ranę rozdrażnić mogło. Kasztelanowę opuścił ten pierwszy wybuch silnej rozpaczy, zimna tylko i cicha boleść została.

Serce uciśnione, we łzach ulgi nie miało, sen ją odstąpił, umysł upadał pod ciężarem cierpienia. Obojętna na wszystko, na wszystko zimnem okiem spogląda, a o ile pierwej wyrzekała na męża i córkę, tyle teraz wspomnienia ich unika! Religja nie przyszła w pomoc udręczeniu i nie otarła łez rozpaczy. Dwa tygodnie przeszło bez żadnej odmiany. Ledwie kiedy na kilka minut sen zamykał jej oczy, i natychmiast budziła się z nowem cierpieniem, tem straszniejszem, że w ponurem milczeniu. Cierpiało serce, umysł upadał, ciało jedno zdrowe i czerstwe zostało. Wyobrazić sobie nie możecie, jak wpośród tych udręczeń piękną była. Na jej twarzy ani wieku, ani śladów cierpienia nie widać było. Ale nadeszły dni okropne. Była to niedziela. Po przepędzonej bezsennie nocy przy pani, poszłam tylko przebrać się do mego pokoju; lecz zaledwie bieliznę zmieniłam, i narzucić zdołałam suknię, aż wbiega pokojowa p. Eleonory z krzykiem: „Ach! p. Dziusówna! biegnij, ratuj moją panią, bo umiera“. Nie wiem już jak wleciałam do pokoju starościny, zastałam ją leżącą na kanapie w okropnej opresji serca. Mąż z całem przywiązaniem i najczulszą troskliwością niósł jej ratunek. Skoro mię postrzegła. — „Dziusiuniu! — zawołała — Poneta została Kalwinką i ślub wzięła z Karolem!“ — „A poczwary! — przerwała opowiadanie babka moja; — o Boże! i tyż to cierpisz! przeklęci!“ — I jam toż pomyślała, a możem i wyrzekła — mówiła dalej Dziusówna — tego nie pamiętam, bo com uczuła, opisać nie umiem. Uspokoiwszy nieco starościnę, i gorzko z nią zapłakawszy, pierwszem mojem staraniem było, otoczyć kasztelanowę ostrożnością, ażeby ta wieść do niej nie doszła. Ani na krok jej nie odstępowałam, tem więcej, że p. Eleonora nie miała ani dosyć sił, ani dosyć męstwa odwiedzić matkę. Sam starosta podzielał czas swój między żoną i kasztelanową; a to serce anielskie, ta dusza szlachetna, oddała się cierpieniom drugich. Kilka dni tak przeszło. Jednej nocy, o Boże! straszno wspomnieć... siedziałam przy pani, nie imał się sen moich oczu, snuły się czarne myśli, do modlitwy

ducha zebrać nie mogłam. Już było po północy; dziewczyna służąca weszła po cichu dając znać, że w przyległym pokoju staruszka jakaś chce ze mną mówić. Ze wstrętem jakimś słuchałam tego wezwania, odprawiłam dziewczynę i zostałam przy pani; ale po chwili pokazała się we drzwiach uboga głucha staruszka, którą pani bardzo lubiła, wiele ją wspierała. Podeszła ku drzwiom, dając jej znak, żeby się nie odzywała, bo kasztelanowa od wyjazdu Ponety, pierwszy raz spokojnie usnęła. „Pójdź, odpocznij trochę w drugim blizkim pokoju; ja tu posiedzę i pani pilnować będę". — Nie bardzo się opierałam jej oświadczeniu, bo znałam ją i nieraz już w słabościach pani przesiadywała z nami po nocach; ani spójrzałam na twarz staruszki, w ledwie słabo, jedną lampą oświeconym pokoju. Dawszy się namówić do spoczynku, zostawiłam ją na mojem miejscu i w przyległym gabinecie rzuciwszy się na sofę, mocno zasnęłam. Jak długo trwał mój sen, powiedzieć nie potrafię, ale krzyk przeraźliwy w pokoju pani uderzył moje uszy i ze snu obudził. Zerwałam się i jednym krokiem byłam przy jej łóżku. O! straszno powiedzieć, wspomnieć straszno! Lampa stała na gierydonie przy łóżku, pani w najokropniejszych konwulsjach miotała się na pościeli; staruszki już nie było, a na posadzce koło stolika leżał list otwarty i zmięty. Porwałam go bez myśli, i w pierwszych słowach wyczytałam przyczynę okropnego stanu kasztelanowej. Nieprzytomna sobie, zamiast nieść ratunek cierpiącej, krzyczałam na cały głos wzywając pomocy. Zbiegli się słudzy, nadbiegli starostwo. Na szczęście doktór, przyjaciel ich i sąsiad, z własnej woli odwiedzający państwa, znalazł się pod ręką, i zajął się troskliwie ratunkiem kasztelanowej. W niemem osłupieniu czekaliśmy wyroku doktora. Po dwóch śmiertelnego oczekiwania godzinach, wróciło życie, ale zdrowie umysłu nie wróciło! Gorączki żadnej nie miała, ale nie poznawała nikogo, mówiła od rzeczy, śmiała się, śpiewała, zrywała się z łóżka — „Puśćcie mię! — wołała, puśćcie! na wesele Ponety! O, idą do ślubu; moja córka z Karo-

lem, jaka piękna para! jak pięknie postrojeni! Ale gdzież mój Adaś? gdzież mój Julek? O! jego matka nie warta była mieć go obok siebie! O! biedny Julek! biedna matka! Ale wy cicho! cicho! nic, nic o tem! nie gadajcie, bo będzie wam od p. wojewodzica, będzie bieda, wielka bieda!... Hej Karolu! dalej na twojem z Ponetą weselu, dalej ze mną Menuette à la Reine! ze mną. Czegoż się odwracasz? Nie poznajesz Ludwiki? Czym ja nie twoja? Twoja i nowa Heloiza... A nasz Julek, śliczne dziecię! niedźwiedziom Ludwipolskim oddamy go na edukację, i znowu będzie wesele Ponety z Julkiem. Wesele, wesele! muzyka, graj skocznego!" — Takie i tym podobne brednie plotła kasztelanowa, śpiewała, klaskała w ręce, zrywała się do tańca i znowu wpadała w bezsilność i okropne osłupienie. Po trzech dniach nakoniec oświadczył doktór państwu, że warjacja się zupełnie zdeklarowała, że ten stan obłąkania pochodzący z tak silnych uderzeń na umysł, był nieuleczony, a że konstytucja ciała mocna i żadnym defektom nie podlega, ta choroba długie lata pociągnie. Biedna p. Eleonora ciężko ten cios odcierpiała, aniby więcej na zgon matki uczuć i boleć mogła; nie odstępowała jej jednak i ja z nią czuwałam, ale pilnując chorej pani i sama na zdrowiu upadać zaczęłam, musiałem więc żądać uwolnienia. Widziała to starościna, i choć z żalem, na moje oddalenie zezwoliła. Panią umieszczono na pensji u Sióstr Miłosierdzia, a mnie, hojnie udarowaną, ze łzami pożegnawszy, przez Galicję do domu wyprawili. O! złote to serce tych p.p. Jaraczewskich. Wspomnieniu ich dobroci, w sercu mojem, towarzyszy zawsze modlitwa, aby im Bóg błogosławił. Z Brodów odesłałam im powóz, ludzi i konie, a tym Żydem najętym tu do was przyjechałam". — „A list od kogo był? cóż się ze staruszką zrobiło?" — zapytała moja matka. — „List był bez podpisu i bez daty, a staruszki nigdzie odszukać nie mogli".

Tyle było opowiadania Dziusówny, przerywanego częstemi łzami, opowiadającej i słuchaczów, — i na tem skończyła się historja smutna kasztelanowej, której ser-

ce i umysł najpiękniesze, idąc po drodze życia ówczesnem wychowaniem wytkniętej, zmyliły się, i obłąkały, a religja ich nie wspierała. Kilka lat jeszcze męczyła się kasztelanowa; a o wojewodzicu wieść chodziła, że się sam zastrzelił.

ROZDZIAŁ IV.

Tuczyn.

Pierwszych dni września, ojciec mój miał już obowiązek marszałka dworu u p. wojewody Sieradzkiego Michała Walewskiego w Tuczynie, z rekomendacji w. Prota Potockiego, który nie mogąc nic sam pomódz mojemu ojcu, u przyjaciela go umieścił. P. wojewoda Sieradzki, był to pan, prawdziwy pan. Imię jego piękną zajmuje kartę w dziejach naszych za panowania ostatniego króla. Imię to, ze czcią jeszcze wspominają sąsiedzi obywatele, którzy go pamiętają; bo dzisiejsze pokolenie, jak obojętnem okiem spogląda na pamiątki narodowe, tak i mężów dostojnych, przed półwiekiem żyjących, ledwie kiedy z nazwiska pamięta. P. wojewoda skoligacony był ze wszystkiemi domami pierwszych magnatów Wołyńskich i od wszystkich kochany i ceniony wysoce, a rady jego były prawie wyrocznią. Nie liczył nieprzebranych dostatków i wielości ziem obszernych, jakiemi ukraińscy bogacze słynęli, bo cała fortuna jego, trzech miljonów zł. nie dochodziła; żył jednak okazale, po senatorsku, jak to naówczas jeszcze mówiono, jako mądry, przezorny i sumienny gospodarz. Zamożność włościan Tuczyńskiego klucza wzorowa na całą okolicę, wzbudzała smutne uczucie zawiści we włościanach sąsiednich majętności. Pięknie utrzymał i spadkobiercom swoim zostawił czystą nieobciążoną fortunę. P. wojewoda od niewielu lat jeszcze zamieszkał w Tuczynie, przedtem pobyt jego ciągły był w Krakowskiem, skąd cały ten dom pochodził, i teraz jeszcze miał tam dobra i dlatego, to w nich, to na Wołyniu przemiesz-

kiwał. Piękna to była ta majętność Tuczyńska: ziemia żyzna, lasy obfite i stare, rzeka Horyń donośna, obracała ogromnie intratne młyny. Sześć było folwarków w nich umiarkowanej obszerności, łany wybornie zawsze uprawione, bogatym plonem nagradzały trudy uprawy. — Na folwarkach, panie ekonomowe utrzymywały pacht bydła i drobiu, skąd i oznaczone dyspartymenta obficie wystarczały na pańską kuchnię, i znaczna część pachtu sprzedawała się po jarmarkach na korzyść skarbu, i p. ekonomowa miała jakie sto złotych uczciwego zarobku. Ale p. ekonomowe ówczesne, nie sadziły się na modne kapelusze, salopy: dyma domowa na codzień, od święta jakaś kartonowa sukienka, rzadko wełniana, a jedwabna darem chyba tylko była jw. pani za porządne prowadzenie pachtu. Sto złotych rocznie brał ekonom, znaczną ordynarję i wolność przychowku bydła i koni. Ten ostatni artykuł tak podniesiony u chorążego Kor. dla tych tylko ekonomów i innych oficjalistów miał względy, których zauważał przyjeżdżających do kościoła porządną bryczką i dobremi końmi. Umiarkowane życie, nieskrzywione naśladownictwem panów, pozwalało szlachcie i utrzymać się stosownie do położenia swego i jakiś grosz na przyszłość oszczędzić. Ale bo też i pieniądz w owych czasach był drogi. Dziś 150 rubli jest bagatelą, a tamtych czasów 1000 złotych był piękny posażek szlacheckiej panienki, z którym i na posesję iść można było. To był jeszcze wiek XVIII! I położenie Tuczyna dziwnie piękne. Na obszernej błoni łąk, Horyń kilku korytami zawracał się i skrytemi nurtami liczne tworzył jeziora. Brzegi wód zarosłe rozmaitemi wierzbami, srebrną i czarną topolą, przerywały jednostajność zielonej równiny. Od prawego brzegu rzeki wysokie wznoszą się nadbrzeża okryte gajami. Na jednym z takowych wznosi się pałac wojewody wielki i wspaniałej budowy, i przybywających z za Horynia zdaleka w oczy uderza. Gmach ten, nie wytrzymałby zapewne ścisłego estetycznego względu, ale całość była gustowna i okazała. Przed pałacem obszerny dziedziniec, za

nim wielka droga, za tą znowu dziedziniec, a na nim budynek nieco od pałacu mniejszy, mający na dole stajnie, na górze porządne mieszkania. Pałac Tuczyński był może największym z pałaców wołyńskich, i póki żył wojewoda, miał ten gmach jakiś pociąg dla wszystkich; dziś, w trzeciem od tego czcigodnego pana pokoleniu, w ruinie!..

P. wojewoda dwa razy wdowiec po Walewskiej i Turównie, żonaty z trzecią z domu Michałowską, wdową po Ślaskim; z pierwszej miał dwuch synów Józefa i Wojciecha i córkę Teodorę, po raz drugi zamężną za ks. Stanisławem Jabłonowskim. Pierwszy jej mąż był Stecki, chorąży koronny, pan ogromnej fortuny, sąsiad wojewody i lat z nim prawie równych; z tym się rozwiodła, i pozostałą z nim córkę Dorotę przy sobie starannie wychowywała. Rozwód nie zniweczył przyjaźnych stosunków, jakie do zgonu i księżna dla chorążego i on dla księżnej dochowali. Z Turnówny miał p. wojewoda syna Hieronima i dwie córki Teresę i Karolinę, obie panny w młodym jeszcze wieku. Z synów, żaden nie był żonaty, a wszyscy trzej, daleko od domu, w kawalerji narodowej służyli.

Rzeczy narodowe szły coraz to gorzej, zmniejszona drugim rozbiorem Polska, liczyła jednak jeszcze 11 województw w Koronie, a ośm na Litwie. W ręku przezornego i gorliwego rządcy, co za piękna fortuna jeszcze! Ale Bóg na ukaranie nierządu naszego i niedbałości o dobro ojczyzny, zesłał nam króla, którego dość długie a nieszczęśliwe panowanie, wymazało nas z liczby państw europejskich, i bolesne dalekim nawet pokoleniom wspomnienie zostawiło. Budził się jednak w Polakach duch miłości ojczyzny. Naczelnik Kościuszko z ostatkami wojsk narodowych bronił upadającej matki. Wysilali się prawi obywatele na poświęcenie bez granic: majątki, swobody, życie nieśli w ofierze, na zachowanie tej reszty kraju, niegdyś tak potężnego i sławnego. Właśnie w tym czasie p. naczelnik był na Wołyniu. Odwiedził on w Równem księżnę Józefową Lubomirską z domu Sosnowską. Kiedyś,

dawniej, księżnę i Kościuszkę łączyły ogniwa miłości i nadzieja poprzysiężenia sobie wiary w obliczu ołtarza, ale los maczej zdziałał. Kościuszko walczył pod chorągwiami Washingtona; panna Helena Sosnowska z woli rodziców oddała rękę ks. Józefowi Lubomirskiemu. Ale bohater walczył z całem poświęceniem się, z całą energją wielkiej duszy; Helena wyszła za mąż bez żadnej skłon-

Jan Stecki.
Chorąży wielki koronny.

ności dla księcia i serce unosiło uczucia jej na drugie półsferze. Ani czas, ani okoliczności uczuć ich nie zmieniły: przygasła miłość lat młodych, i wiele, wiele lat potem szacunek wzajemny, przyjaźń braterska, jednoczyły tych dwoje zacnych ludzi. Wieść o przybyciu Kościuszki do Równego, w parę godzin obleciała całe sąsiedztwo. P. wojewoda wybierał się także. „Wypada i w. panu, rzekł do

ojca, prezentować się p. naczelnikowi, wszak także służyłeś w wojsku, a takiego męża widzieć i poznać i honor jest i szczęście". Rozmowa ta była na ganku pałacowym; ja stojąc blizko słyszałem. Lat mnie było już ośm, i młodemu sercu nie obce były uczucia ożywiające serca rodziców. Skoro ojciec odszedł, podbiegłem do p. wojewody i rzuciłem się do nóg jego. Zdziwiony pan, podnosi mię i słowami pełnemi ojcowskiej dobroci: „Czego chcesz moje dziecię?" — zapyta. — „Widzieć Kościuszkę". P. wojewoda poglądał na mnie z czułością. „Maszże ty piękne ubranie?" — „Mam mój mundur" — „Dobrze". — Posłał pan po mojego ojca. „Proszę w. pana wziąć także do Równego i Antosia, a ubrać go w jego mundurek". — Zdziwił się ojciec, skąd to polecenie, ale ja zaraz przyznałem się do mojego postępku; chciał mię ojciec połajać, ale i śmiech go brał i miłą mu była moja śmiałość. Nigdy nie wyjdzie z pamięci mojej ta ważna epoka mojego dzieciństwa! Przemarzyłem noc całą. Znałem rysy twarzy Kościuszki, bo byłże choć jeden dom od najbogatszych do najuboższych, gdzieby wizerunku tego bohatera nie było? Nazajutrz o 9-tej wyjechaliśmy, i tę odległość dwuch mil od Tuczyna do Równego szybko przebyliśmy. Cóż to za dzień był uroczysty. Co za okazałe zebranie znakomitych obywateli, co za świetne towarzystwo dam! Jakieś niewypowiedziane uczucie czci, uwielbienia i nieograniczonej ufności dla naczelnika, grało w obliczu mężów. Płci pięknej uczucia łzami się objawiały. Wszedł p. wojewoda, bratersko się z p. naczelnikiem uścisnęli. — „P. namiestnik kaw. nar. z regimentu Szczepana Turny, p. Dietiuk"— rzekł p. wojewoda przedstawiając mojego ojca; — „po zwinieniu wojsk naszych w Ukrainie, nie przyjął służby w wojsku imperatorowej, i teraz zostaje na moim dworze". Kościuszko podał rękę mojemu ojcu, rozmawiał z nim, ale ciągle patrzał na mnie, i nie dziw, byłem bowiem osobliwością w mojem dzieciństwie. Włosy moje nadzwyczaj czysto czerwone, kręciły się wolno w duże kędziory wokoło twarzy pełnej, świeżej, rumianej, ponad duże-

mi błękitnemi oczami, w ciemne oprawnemi rzęsy. Było tam wiele równolatych chłopczyków, z którymi piękną urodą ani mi w porównanie iść można było: fizjonomja moja przecież ściągnęła na siebie uwagę p. naczelnika. „To synek w. pana?“ — zapytał mojego ojca“. — „Tak

Tadeusz Kościuszko.

jest jw. naczelniku“. — Kościuszko wziął mię za rękę i przyprowadziwszy do księżnej, — rzeknie — nic podobnego jeszcze widzieć mi się nie zdarzyło, to osobliwość! Bo rude włosy bardzo często zdarzają się i przechodzą familijnem następstwem, ale to, to jest żywy kolor ognia“.

Pyta mię potem: — „Na cóż ten mundur nosisz?“ — „Bo mię starosta Turno zrobił towarzyszem kawalerji narodowej“. — „Maszże ochotę służyć w wojsku?“ — „Jak podrosnę.“ — „A na wojnę pójdziesz“ — „Za Kościuszką i za Kościuszkę!“. — Ojciec zmięszał się tą moją odpowiedzią tak śmiałą, ale p. naczelnik, pogłaskał po twarzy, objął ognistą moją główkę i w czoło pocałował, poznał bowiem, że moje słowa wiernie oddawały uczucia tych, którzy mię wychowali. Wziął potem brzoskwinię ze stołu i dał mi mówiąc: „to lepsze, niż kule na wojnie“. Pocałowałem go w rękę i rówieśnicy wzięli mię do swego koła. Odpowiedź moja Kościuszce nie była żadnym wyskokiem dziecinnego dowcipu, było to hasło wszędzie powtarzane, nauczyłem się go ze słuchania, wierna pamięć w swoim czasie ustom go poddmuchnęła, a w ustach ośmioletniego dziecka naiwną się wydała. — Wyjeżdżającego naczelnika ze łzami żegnali, a błogosławieństwa duchownych, obywatelów i pospólstwa powóz jego otaczały. Nadzieja kraju była jedynie w tym wielkim mężu! — Kościuszko był więcej niż miernego wzrostu, rysy twarzy mniej kształtne, pełne były życia i wyrazu cnót zdobiących bohatera naszego. Nie wiem, czy wrażenie, jakie zrobiły na młodej wyobraźni rysy uwielbionego męża, czy napatrzenie się później na jego portrety, ale rysy te pamiętne, tak zostały mi obecnemi, że nie tylko podówczas z łatwością rozróżniałem portrety podobne od niepodobnych, ale i dziś jeszcze po upływie lat tylu, rysy te żywo wydatne w pamięci mojej zostały.

Kiedy tak w kraju panował duch męstwa i poświęceń, kiedy świątynie Pańskie rozlegały się modłami o zbawienie ojczyzny, w Ukrainie i bracławskiem wrzał duch Targowicki. Nie wiele obywateli z województw Wołyńskiego i Podolskiego zgubny akt tej konfederacji podpisało. P. wojewoda Sieradzki, na wezwanie Szczęsnego Potockiego, temi słowy odmówił: „Widzę chylącą się do upadku Polskę; wszyscy trzej synowie moi walczą w jej obronie; i ja byłbym z nimi, gdyby mię starość nie przygnia-

tała. Czuję żal do króla, ale nie mniej przeto kocham moją ojczyznę! Do aktu konfederacji nie przystąpię, bo jej cel ani z mojem przekonaniem, ani z mojemi uczuciami się nie zgadza. Kto podczas Barskiej konfederacji za swobody kraju piersi nadstawiał, kto przywodził Krakowskiej, kto ustawy 3 maja ze czcią religijną przyjął, możesz bez hańbienia się Targowicki akt podpisać? Los naszej ojczyzny jest w ręku Boga! jednem skinieniem może ją podźwignąć i zbawić. A jeżeli podoba mu się wymazać ją z listy narodów, to, z czołem pokornie schylonem i bijąc się w piersi ze łzami, jako plagę sprawiedliwości Boskiej za winy nasze i ojców naszych przyjmując, oczekiwać będę pod strzechą moją, jak los tę sprawę rozstrzygnie. Synów nie odwołam, niech bronią upadającą ojczyznę za mnie i za siebie. A kiedy już i piędzi ziem swobodnej nam nie zostanie, zdam się na wspaniałość wielkiej monarchini. W troskach moich, ta mi zostanie pociecha, że ręka moja nie łączyła się do rąk, które ojczyznę naszą do grobu wtrąciły". List ten z archiwum ś. p. wojewody wypisałem, a później u p. Franciszka Chrząszczewskiego własnoręczny oryginał ze czcią winną czytając, ze łzami ucałowałem ślady ręki nieocenionych cnót męża. Odpowiedź ta świadczy o szlachetnym sposobie myślenia, i zbija zarzuty, jakie zawiść na tego dostojnego męża potwornie rzuciła.

Kiedy ojciec mój objął obowiązek w Tuczynie, bawiła tam przez całe lato p. wojewodzina kijowska Potocka, córka księcia Kaspra Lubomirskiego. Dziwnie to piękna była pani i anielskiej dobroci. Wdziękami swemi mogłaby była i nad panującym panować, ale ukochała jednego i poświęcając związki małżeńskie, ojczystą ziemię i wszystko, rękę mu swoją oddała. Pani Potocka wezwała p. wojewodę z żoną, całą rodziną i całym dworem do Zwiahla, gdzie p. wojewoda Sieradzki między rozwodzącymi się polubownie interesy układał. Cała zima przeszła w Zwiahlu. Zjazd był wielki, sale i stroje świetne, ani pomyśleć można było, że tam się agituje sprawa ważna o losy tak

znakomitych osób, i że okoliczności krajowe tak były zasmucające. Przeszła zima i wiosenny zawitał skowronek. Rozjechali się goście ze Zwiahla. Rodzice moi zostawiwszy mnie w Korcu, wrócili do Tuczyna, p. wojewoda z żoną i z córkami udał się do dóbr swoich w Krakowskiem i tam wkrótce rozwiódł się z trzecią żoną. Ciotka moja będąca przy wojewodzinie, wróciła do Tuczyna z wojewodziankami, i odtąd jako rezydentka przy nich została. P. wojewodzina nie mogąc jej przy sobie zatrzymać udarowawszy ją wspaniale, ze łzami z nią się rozstała. P. wojewoda w miesiąc dopiero po córkach wrócił do domu.

Rok 1794 czarną kartę dziejów naszych przedstawia: klęski jedne po drugich, powstania, upadki, rzezi, wysilenia ostateczne poświęconych obronie kraju, były to wieści wyciskające łzy Polaków i grożące nieuniknionem powszechnem nieszczęściem! Kościuszko jeszcze walczył, jeszcze nadzieja jakaś go ożywiała. Ale uderzyła fatalna godzina. Bitwa i klęska pod Maciejowicami ostatnią zniszczyły jego nadzieję. Bohater Kościuszko dostał się w niewolę. Rozległa się Wielka i Mała Polska boleśnym płaczem nad klęską stanowiącą zupełny upadek, nad uwielbionym wodzem. Wołynia jeszcze ta wieść nie doszła. Najmłodszy syn p. wojewody Hieronim, ledwie z Collegium nobilium wyszedłszy, zaciągnął się pod chorągwie narodowe. Bił się mężnie młodzieniec, zasłużył rangę porucznika, i pod Maciejowicami dostał się w niewolę. Odartego przez kozaków z munduru i przyodzianego w stary kozacki długi i szeroki ubiór, pędzono wraz z innymi jeńcami do Lublina. Pędzący jeńców Dońce znęcali się nad biednym młodzieńcem, a naśmiewając się z postaci niedzwiedziej w okropnym tym stroju, tańcować mu z sobą kazali. Wywijał kozaka z Dońcami pierwszy uczeń Skurczyńskiego, łzy lały się po twarzy, serce mu się z boleści krajało, a nogi skakać musiały. Nie uszedł uwagi oficera prowadzącego oddział, taniec wojewodzica, i z większą odtąd dla niego był delikatnością. W Lublinie stawiono jeńców przed jenerałem Ferzenem. Na szczęście wojewo-

dzica, przy Ferzenie adjutantem był Gruszecki, który po zniszczeniu wojsk naszych na Ukrainie, przeszedł w służbę rosyjską. Poznał on młodzieńca, bo dawniej nieraz w domu wojewody miłego doznał przyjęcia, wyrobił mu więc pierwszeństwo przedstawienia. Biedny szesnastoletni Heruś małego wzrostu, dziwnie wyglądał w ogromnym stroju kozackim, do tego z natury zająkliwy, w przelęknieniu ledwie kilka słów wyjąkać potrafił.

„Kto ciebie oddał do wojska?“ — zapytał Ferzen. — „Ja sam“. — „Dla czego?“ — „Ażebym bronił mojej ojczyzny“. — Zamilkł jenerał; po chwili znowu zapytał: —„Cóż mam z tobą zrobić?“ — „Do papy odesłać.“ — „Gdzie mieszka twój papa?“ — „Na Wołyniu“. — „Jakiż będzie okup za ciebie?“ — „Papa da p. jenerałowi tysiąc złotych“. — „Nie drogi z ciebie towar, ale cóż ty umiesz?“ — „Nic“. — „Umie pięknie tańcować“, — ozwie się oficer prowadzący oddział. — „A więc tańcuj!“ — rzekł jenerał i muzyka huczno zabrzmiała kozaka, a biedny Heruś z płaczem puścił się w uczone skoki. Lekkość i zwinność młodzieńca, choć w tak ciężkim stroju, wybór kroków, któremi w pośród uczniów sławnego tancmistrza celował, podziwienie, oklaski, zadowolenie i życzliwość jenerała tańcującemu zjednały. Gdy skończył, Ferzen własną chustką łzy i pot jego otarłszy, ucałował go i obok siebie u obiadu posadził. Po obiedzie kazał mu przebrać się w mundur właściwy, ale wojewodzic prosił, żeby mu kozackiego nie odbierano, bo ten świadczył o jego bytności w działaniu, o jego niewoli i oswobodzeniu. Nazajutrz Ferzen odprawił Hieronima do Tuczyna z Gruszeckim na kurjerskich koniach i do p. wojewody list pełen grzeczności napisał. Wszystko ta tak prędko się stało, że gdy wojewodzic do domu wrócił, p. wojewoda o smutnych wypadkach Maciejowickiej bitwy jeszcze nie wiedział.

Otworzył szanowny starzec ramiona na witający uścisk syna; ale, gdy ten wyjąkał: „p. naczelnik wzięty“, — ojciec odtrącił go od siebie: „I tyż śmiałeś wracać

pod ojcowską strzechę? Twoje miejsce było na pobojowisku, w mogile. Możebym łzę jaką uronił, aleby mi ta została pociecha, żeś poległ w dobrej sprawie". — Gruszecki pośpieszył z rozpowiedzeniem szczegółowem wszystkich okoliczności wzięcia Kościuszki i męstwa Hieronima. Uspokojony tem p. wojewoda o syna, poddał się całej goryczy żalu i boleści po stracie ostatniej nadziei. Po tej wieści, wiadomości były jedne od drugich coraz smutniejsze. Wzięcie Pragi, kapitulacja Warszawy, nakoniec zupełny wyjazd króla do Grodna, ubiły na duchu i mieszkańców Wołynia.

Tutołmin wysłanym był dla odebrania wdztwa Wołyńskiego na imię imperatorowej Katarzyny. Wychodzono naprzeciw niego z chlebem i solą, bito we dzwony po kościołach i cerkwiach. Jenerał zapewniał mieszkańcom imieniem swej monarchini ich wiarę, język, prawa i swobody. Słuchał naród ze łzami słów Tutołmina, i jakaś otucha zdawała się łzy boleści osuszać. Kapłani wznosili po kościołach hymn dziękczynny. Na Podolu jakiś niemieckiego nazwiska jenerał spełniał ten obowiązek, ale dumny, zimny egoista, nie posiadał uczuć szlachetnych jenerała i obywatela Rosjanina.

W tymże samym roku pamiętne w naturze mieliśmy zjawisko. Było to od nikogo nie przepowiedziane całkowite zaćmienie słońca. We Francji rewolucja wstrząsła narodem i sparaliżowała nauki. Niemcy nie dość widno zapuszczali się w te głębokie podania natury. Akademja Krakowska rozpierzchła się po świecie, a w Wilnie jedyny obserwator ks. Poczobut był u wód w Baden. Szwecja tylko (może i Anglja) zapowiadała to zjawisko; ale wiadomość ta, ani do nas, ani, ile mi wiadomo, do Petersburga, nie doszła. Byłem wtedy w Korcu na naukach z Mezerami, synami Franciszka, przy Skoczkowskim. Dn. 11-go czerwca, bo ten dzień zanotował nasz nauczyciel, w najpogodniejszy dzień o 2-ej z południa zaczęło się ściemniać na dworze, choć żadnej chmury nie było. Skoczkowski wyszedł z pokoju i po chwili wróciwszy, okopcił ka-

wałek szkła nad świecą i znowu wyszedł, a my za nim. Więcej się jeszcze ściemniało nie nocnym zmierzchem, bo odbicie światła było żółte i przykre dla oczu. Jak długo trwał ten przechód, tego oznaczyć nie potrafię, ale pomnę dokładnie, jak raptem znikło słońce i gwiazdy się pokazały. Ta chwila nocy wśród dnia, ta ciemność nienocna, trwogą napełniły ludzi i zwierzęta. Nikt nie śmiał w domu pozostać, wszystkie drzwi raptem się otwarły, fabrykanci hurmem runęli od swoich warsztatów. Jęk i płacz ze wszech stron się rozlegały wśród pospólstwa, padali z krzykiem twarzą do ziemi, a ten krzyk rozpaczy zdawał się wzbijać do nieba i z grozą dopominać zwrócenia swojego światła. Bydło z rykiem uciekało z pola, ptastwo mięszało się w powietrzu, psy wyły. A wśród ciemności powietrze było parne, i zdawało się, że go do oddychania za mało było. Oświeceńsi, jak nasz Skoczkowski, tłómaczyli sobie to zjawisko, że księżyc przechodząc między słońcem a ziemią, zakrywa całą, lub cząstkowie, tę gwiazdę dziennego światła; ale wpośród tych pięknych fizycznych tłumaczeń, nie byli spokojni. My tylko, dzieci, nie czuliśmy żadnego wrażenia, ani bojaźni, chwilowe było tylko nasze zadziwienie, gdyśmy ujrzeli gwiazdy, a słońca nie było ani znaku. Jak stopniowo rozjaśniało się, jak długo to rozjaśnienie trwało, nie pomnę; to dobrze pamiętam, że Skoczkowski dawał nam patrzeć przez okopcone szkiełka na słońce, jak się z pod czarnego kręgu zwolna dobywało, — zdaje się jednak, że cały proces tego zjawiska musiał trwać więcej kwadransa. Skoro błysnęło słońce, choć dopiero jeszcze w połowie, radość wszystkich ogarnęła, winszowali jedni drugim powrotu dnia, ciesząc się ujrzeniem dziennego światła; wielu jednak z prostoty nie ufali, i bojąc się, ażeby z zachodem nie zniknęło na zawsze, nie śpiąc czekali jego wschodu. Chwilowe zaćmienie słońca, smutne na umysłach sprawiło wrażenie; jakże musi być smutno przez pół roku nie widzieć słońca w krajach polarnych!

Nazajutrz rano schwyciło się słońce i zaraz silnie

grzać zaczęło, ani najmniejszy wietrzyk powietrza nie ochładzał, a około dziewiątej godziny, nasunęły się czarno-czerwone chmury coraz cięższe i cięższe. Huk odległego gromu, bezustannie, zewsząd się rozlegał, ciągła błyskawica raziła oczy i blaskiem swoim słabe dnia światło ćmiła. Około południa zerwał się silny wicher, a wpośród szumu i świstu wichru i gęstych piorunów, ulewny deszcz, głuchym szmerem jeszcze więcej okropności temu wzburzeniu natury dodawał. Nurty Korczyka wzniesioną falą, nie podobne do przeniesienia głazy, jedne za drugiemi toczyły. Wezbrane ulewą rzeki i strumienie szeroko swe wody rozlały. Okropne to i wspaniałe było widowisko! widowisko wzbudzające religijną trwogę, nawet w sercach niedowiarków, których, niestety! już tak wielu naówczas u nas rewolucja francuska natworzyła. Około drugiej z południa burza ucichła, uspokoiło się powietrze, wody do swego koryta wracać poczęły. Pokazało się słońce, i wieczór był tak pięknie pogodny, jak po dniu najpogodniejszym. Tysiące przepowiedni, jedne od drugich smutniejsze, rozchodziły się z tej okoliczności między pospólstwem. Jakoż i smutne następstwa jedne po drugich boleśnie raniły serca biednych naszych rodaków. Gdzie niegdzie jeszcze trzymały się wojska nasze. Wawrzecki objąwszy naczelnictwo po Kościuszce, opierał się, jak mógł, ale obecność Kościuszki nie ożywiała już upadłego w żołnierstwie ducha! Jasiński, z całem męstwem i poświęceniem się walcząc, czyny swe świetne życiem na Pradze zapieczętował. Był to wuj mego ojca, brat o wiele lat młodszy ukochanej babki mojej, która ledwie go dwoma tygodniami przeżyła. Król z Grodna do Warszawy nie wrócił.

Po ostatnim rozbiorze, kazano mającym majątki w dwuch państwach, zamieszkać stale tu, lub wyprzedawszy się w rosyjskim zaborze, przenieść się do dóbr, do Prus lub Austrji odpadłych. Wołyń szczególniej wówczas zaludnił się obywatelami, bo swobody zapewnione przez imperatorowę, zniewoliły wielu i bardzo wielu, którzy

Tomasz Wawrzecki.

piastując urzędy znakomite w Koronie, po stracie kraju opuściwszy stolicę i majątki pod pruskim lub austrjackim rządem będące, w ziemiach swoich na Wołyniu spokojnie osiedli. Rok cały najsmutniej upłynął. W naszej rodzinie była żałoba po dwuch matkach, po babce mojej. Wszyscy obywatele cicho siedzieli po domach swoich, zaledwie pomiędzy najbliższymi sąsiadami były jakieś stosunki. I pan wojewoda podobnie ograniczył się swoją tylko rodziną i oddał się całkiem urządzeniu swoich interesów, a dla zaszłych różnych w ekonomice majątku okoliczności, zarząd dóbr swoich ojcu mojemu wręczył; matkę zaś po powrocie do kraju Abessy Francuskiej, ochmistrzynią swych córek postanowił. Nie umiała matka moja po francusku, potrafiła jednak i wojewodzianki do siebie przywiązać i na p. wojewody szacunek i ufność zupełną zasłużyć.

W domu p. wojewody i polor wieku XVIII widać było i starodawne obyczaje zachowano. Przy córkach jego dla towarzystwa ich, bawiły córki obywatelskie, a te się rezydentkami zwały, a choć to nie były z biednej szlachty, każda z nich jednak na potrzeby swoje po 50 czer. zł. rocznie pobierała. I nic dziwnego: każda z nich miała wydatki na potrzebne codzień uczciwe pokazanie się, a p. wojewoda nie chciał, ażeby poświęcając się kompanji jego córek, rodzicom swoim ciężarem były. Uboższe panienki szlacheckie służyły, a każda wojewodzianka prócz garderobianych, miała i pannę służącą, która i do stołu pańskiego siadała i na pokojach z paniami bawiła. Przy wojewodzicach zbierali się młodzi pokrewni ich blizcy i dalecy i obywatelscy inni synowie. Ci nie byli pensjonowani, ale prezenta imieninowe i kolenda za pensję wystarczały. Towarzystwo więc Tuczyńskie było liczne. Nieznacznie, powoli, zaczęto oswajać się z obecnem położeniem, młodzież potrzebowała rozrywek, i do tego sam wiek ją usposabiał, wracała więc i wesołość i zabawy się zjawiały. Żaden dom na Wołyniu nie był zebraniem tylu młodzieży płci obojej pięknie wychowanych, co dom p.

Jakób Jasiński.

wojewody, ani się równie nie odznaczał wesołością. Senator sam chciał tego, ażeby dzieci się jego rozweselały, zawsze miał twarz wypogodzoną i uśmiech dobroci na twarzy; a jeśli czasem troska jakaś na sercu osiadła, lub też poniesionych strat wspomnienie łzę wycisnęło, tego smutku ojciec mój był tylko świadkiem.

W Tuczynie i w jego okolicy rozłożony był na konsystencję pułk Kimburnski dragonów, szefem jego był brygadjer Karol Baur [1]) znacznej kurlandzkiej familji, pięknem wychowaniem, układnością światową i dziwnie miłemi przymiotami serca celował między współkolegami. W Tuczynie stał sztab jego, a latem obóz pod Szubkowem, wsią do majętności Tuczyńskiej należącą. W niedługim czasie zbliżył się z domem wojewody. Nie wiele od wojewodziców starszy, prędko zaprzyjaźnił się z nimi i wszystkie zatrudnienia ich i zabawy podzielał. P. wojewodę jak ojca kochał, szanował i wolę jego miał sobie za świętą. Całe dnie i wieczory w pałacu przepędzał i tak był z całą rodziną spoufalony, że go nawet nieznajomi za krewnego p. wojewody brali. Majętność Tuczyńska nie czuła ciężaru, jaki kwaterunek wojska przynosić może, bo wszystkie produkta, bądź na potrzeby ludzi, bądź na karm koni brane, płacone były brzęczącą monetą i po dobrej cenie; a za niewielką opłatę miał wojewoda żeńców, robotników w ogrodzie, cieślów i jakich zażądał rze-

---

[1]) O tym Baurze Kostomarow pisze: „Kiedy Igelstrom przeszedł na plac Krasińskich, z sąsiednich domów posypały się strzały. Rosjanie padali od kul. Igelstrom wysłał brygadjera Bauera do wodza polskiego z zapytaniem: czy to nie przez omyłkę strzelają? Pistor odpowiedział na to: po co prosić u Polaków przyjaznych wyjaśnień? Oni zapewne aresztują Bauera". Istotnie nie czas było na przyjazne wyjaśnienia. Bauera zatrzymano. Dał on znać przez oficera Igelstromowi, że Mokronowski odpowiedział: jedynym środkiem do uchylenia nieporozumień jest abyście się oddali na łaskę i niełaskę Polaków. (Kostomarow: **Poślednije gody Rieczipospolitoj polskoj.** Petersburg 1886, t. II).

mieślników. Z taką też pomocą, w jednym roku, stanęły na nowo ogromne młyny na Horyniu, kilka porządnych dworków w mieście, i różne potrzebne budowle po folwarkach, a nawet nowy niewielki teatr w ogrodzie. P. wojewoda bardzo się przywiązał do Baura, a mimo jego namiętności bałamucenia dam, szacował go wysoce. Przeznaczenie jakieś przywiązało go do Tuczyna,, i nieraz jeszcze w dziejach Tuczyńskiego domu napotykać go będziemy.

W Żytomierzu naznaczone było otwarcie gubernji i pierwsze obywatelskie wybory. Ciekawość widzenia tego uroczystego zebrania, potrzeba obrania mających się opiekować obywatelami i ich majątkami marszałków, stanowiących o ich sprawach sędziów, czuwających nad bezpieczeństwem, oraz nad wewnętrznym tak gubernji wogóle, jak i w szczególności każdego powiatu porządkiem, ściągały do Żytomierza magnatów oraz bogatszą i uboższą szlachtę. Wyjechał p. wojewoda, a z nim i mój ojciec, nie jako marszałek dworu wojewodzińskiego, ale jako wybrany od możniejszych obywateli gospodarz wydatków na wystawne obiady i bale w czasie wyborów. Taka bowiem na ten czas była zgodna jedność obywatelska, iż wszyscy ciężar kosztów równo ponosić chcieli, że mało bankietów szczególnych, a ledwie nie wszystkie nosiły nazwę obywatelskich. Baur na te kilka tygodni oddalił się do korpusnej kwatery, ale wyjeżdżając przykazał, ażeby w pałacu na noc zaprowadzono warty dla bezpieczeństwa i spokojności, a pułkowikowi Wernerowi, szanownemu i miłemu staruszkowi, opiekę nad pozostałymi polecił. Nikt z młodzieży bawiącej w Tuczynie nie był na wyborach, zabawy przeto nieustawały, balów tylko nie było.

Tymczasem wojewodzianki, korzystając z przydłuższej niebytności ojca, ułożyły sobie na jego imieniny zrobić mu niespodziankę, a że lubił teatr i nieraz zebrana przyjacielska młodzież komedje mu grywała, postanowiono więc i teraz przedstawić jakąś sztukę, i na ten koniec

operetkę (jak dziś zowią wodewil) Kniaźnina [1]) „Troiste Wesele“ wybrano. Rozpisano role, wojewodzianki, moja matka i ciotka były aktorki. Aktorów nie miały tak udatnych. Wojewodzic Wojciech, Rejentowicze Kor. Wilczyńscy Kryzsztof i Jan, guwerner p. Raduski, oraz Baur podjęli się ról męskich. Ażeby jeszcze skryciej działać i niespodzianiej uweselić ukochanego ojca, wojewodzianki na wszystkie wydatki tego przygotowania ze swoich pensji pieniądze wyliczały. Ładnaż bo to operetka i ładne w niej stroje krakowskie, a p. wojewodzie tak ulubione. Wszystko się dobrze wiodło, p. wojewoda kilka tygodni w Żytomierzu bawił, a tymczasem zbliżał się ś. Michał, imieniny p. wojewody.

Popowracali do domów obywatele, a sąsiedzi zbierali się z żonami i córkami na 29 września z atencją do Tuczyna. Wojewoda kazał robić przygotowanie do uroczystości, ale o przygotowaniach do teatru nic nie wiedział. Na parę dni przed 29-ym, gdy p. wojewoda zwyczajem swoim po obiedzie godzinę spoczywał, aktorowie zebrali się na teatr na próbę, ażeby nim ojciec odpocznie sobie, powtórzyć na miejscach i z muzyką swoje role. Ale nie tak to łatwo idą próby; potrzeba poprawiać, regulować i że tak powiem musztrować, ażeby do ładu jakiegoś przyprowadzić. Aktorom szło jak z płatka, bo już dawniej grywając, znały porządek wchodzenia i wychodzenia, obracania się w potrzebie do widzów lub do współaktorów, użycia głosu i gestów. Ale z aktorami była rzecz inna: gdzie na parter było potrzeba obrócić się do współaktora, oni patrzali i zapominali ról swoich, to znowu od-

---

[1]) Poeta (Franciszek Dionizy) urodził się w Witebsku 1750 r., umarł w Końskowoli, niedaleko Puław w domu przyjaciela Franciszka Zabłockiego, który był tam proboszczem w r. 1807. Był sekretarzem księcia Ad. Czartoryskiego. Umysł sentymentalny. Pod wpływem miłości dla jednej z księżniczek, a następnie wypadków 1794 roku dostał pomięszania zmysłów. **Troiste wesele** napisane było na życzenie księżnej Czartoryskiej.

wracali się od widzów; to po scenie przechadzali się niepotrzebnie lub za kulisy patrzali i rozmawiali. A śpiewyż to! Boże uchowaj! Żaden z kawalerów mających udział w wodewilu nie miał wyobrażenia muzyki, i nie dziw, bo jeszcze w owym czasie jakaż edukacja? szkoły, a za szkołami koń i pałasz. Zaledwie wychowani w stolicy lub od wykwintnie wychowanych matek biorący edukację talentów jakich nabywali. Zapewnie, że zamiar króla w upowszechnieniu i wspieraniu talentów, był nader chwalebny i mający na celu wykrycie genjuszów; ale nieszczęściem nauka ujęta była w leszczoty wyrachowanych godzin i tak zwanych klasycznych prawideł, często nawet zniechęcały, i lubiące swobodę poloty genjuszu zupełnie niszczyły. Ludzie, niewątpliwie rodzą się z talentami, ale talent i wypracować można, ta tylko będzie różnica, że pierwszy nad siebie wznieść się może i genjusz objawić, drugi prawidłami usznurowany, da się najwierniej ująć w przepisane formy i z nich, ani wyżej, ani niżej nie wystąpi. Ale wróćmy do naszego opowiadania. Budziewicz metr muzyki wojewodzianek, drogo opłacany uczeń Hajdena, ale dzielny nauczyciel, dyrygował orkiestrą i śpiewu wyuczał aktorów. Kobiety i głosy miały i ucho dobre, a wojewodzianki i muzykę znały. Ale aktorowie! Ciężko pracował i gorzko cierpiał, nim się udało słuch im otworzyć, a cóż dopiero głos wyprowadzić! Z wielką wprawdzie mozołą dokonał cudu, że wojewodzić i rejentowicze pojęli śpiew, i szło nieźle. Na tej jednak próbie, powtórzenia jeszcze były częstsze, bo do przedstawienia mało już dni zostawało, a w sam dzień, o próbie i myśleć nie można było, to też aktorowie ani się spostrzegli, jak czas uchodził.

Tymczasem p. wojewoda odpocząwszy, wyszedł na dziedziniec i posłał po mojego ojca dla pomówienia ostatecznie o programie uroczystości, ale ojciec zajęty był łówką ryb na Horyniu. Szedł więc sam wojewoda do ogrodu, poświstując sobie nótę nabożnej pieśni: „U drzwi twoich stoję Panie“ — co oznaczało, że w najlepszym był

humorze. Zaledwie kilka kroków za pałac postąpił, uderza go odgłos dobranej muzyki. Słucha, słucha i odgadnąć nie może, skąd go te harmonijne dźwięki dochodzą. P. wojewoda wielce lubił muzykę, i jak powiadał o sobie, to w młodości na amorce melancholiki wygrywał. Nie żałował też na metrów dla córek, i korzystały z amatorstwa ojca i ślicznie na fortepjanie grały. Kiedy tak p. wojewoda przysłuchiwał się i rozpoznawał skąd go ten odgłos dochodzi, z tej właśnie strony zbliża się chłopiec ogrodowy: „Gdzie to grają, chłopcze?“ — „A w komedjalni, jasny panie“. — Któż tam gra?“ — „A zwyczajnie wòjskowa kapela“. — „Na cóż oni grają i komu?“ — „Cha, cha, cha! alboż to jasny pan nie wie?“ — „Nie wiem, nie wiem, mój kochany!“ — „To ja jasnemu panu powiem: tam panna Teresa, p. Karolina, p. marszałkowa i panna Sobińska, i panicze, takie tam komedje wyprawiają, aż strach! a p. Budziewicz, to gra, to śpiewa, to na paniczów swarzy, a oni się śmieją, i ja się śmiał, bo ja tam dopiero przez szparę zaglądał“, — i śmiał się chłopiec i poszedł dalej. Roześmiał się i p. wojewoda, a ciekawością zdjęty poszedł ku teatrowi i pode drzwiami bocznemi dosłyszał część śpiewu i rozmowy i dowiedział się, że ta reprezentacja dla niego na wiązanie. Łzy się starcowi po licu puściły: „dobre, kochane dzieci“ — rzekł zcicha i jeszcze ciszej wrócił do pałacu nie dając poznać nikomu, że sekret dzieci odkryty. Ojcu tylko mojemu zwierzył się i polecił, ażeby żadnych kosztów nie szczędzić na wystawienie pięknie sztuki, którą dzieci jego ukochane dla niego grają. Mój ojciec nawzajem oświadczył, że jeszcze w Żytomierzu był o tem uwiadomiony, i że kwity p. Teresy kupcom i rzemieślnikom potrzebnym wydane, w jego ręku już były. Na imieniny ojca i p. Józef pośpieszył z Warszawy.

Pałac Tuczyński jeszcze i do połowy nie był skończony, dwa tylko pawiljony o piętrze i jedno skrzydło, w którem niewielkie dwa pokoje i ogromna oranżerja, były mieszkalne. Dla niedostatku sposobnej do balów sali, w oranżerji ułożono posadzkę, ubrano ściany w dębowe

girlandy i rzęsiste świeczniki, po kątach zastawiono cytrynami, oleandrami i mirtami, umieszczono porządnie sofy i krzesła, a tam i obiad i tańce odbywać się miały.

Dawniej w wigilję uroczystości już się goście zjeżdżali, nie tak, jak dziś, że w sam dzień imienin około wieczora dopiero się zbierają. Dawniej solenizant uroczystą był osobą, goście z uszanowaniem, w paradnym stroju, przed południem winszować mu przychodzili, damy nawet o południu poubierane na pokoje się zbierały. Około drugiej siadano do stołu, obiad ciągnął się parę i więcej godzin, poczem wracano do bawialnych pokojów, a po czarnej kawie, damy wymykały się dla zmiany stroju na lżejszy, ale może jeszcze wykwintniejszy, poważne matrony stroju nie zmieniały. Po wyjściu damy zostawiały pole szanownym ojcom familji dla uprzejmych wynurzeń, szczerych oświadczeń, od serca życzeń przy gęsto krążących kielichach wiekowego węgrzyna, zapieczętowanych toastem echy narodowego braterstwa: „kochajmy się!“ Tak było i u p. wojewody, a może i weselej, bo rozumna i szczera otwartość, staropolska gościnność i słodycz charakteru gospodarza, wszystkich zobowiązywały i tchnęły we wszystkich ducha jednomyślnej wesołości.

29-ty września podobnym szedł trybem. O jedenastej p. Adamowa Walewska[1]), bratowa p. wojewody, i panna Teresa przyjmowały gości. Zabrzęczały karabele naszych szanownych kontuszowych obywateli przy posuwistych ukłonach powinszowania, starsi i młodsi fraczkowi, modnemi francuskiemi ukłonami szastali. Damy w lewitkach, greczynkach, kabatach z kosztownych materji, w kornetach, tokach, piórach, aksamitach i klejnotach na głowach,

---

[1]) Adam Walewski, młodszy brat Michała wojewody sieradzkiego służył w wojsku francuskiem wraz z księciem Józefem Poniatowskim w pułku Royal-Allemand. Ożenił się z Józefiną Lubomirską. Rozwiódł się dobrowolnie. Żona wyszła za generała en chef, hr. de Witte. Córka z pierwszego małżeństwa wyszła za księcia Gagarina, prezesa Rady ministrów.

poważnem, strojnem ubraniem jeszcze więcej wrażyły uszanowania dla swych wspaniałych postaci. Dziewice w furach, tunikach, w zgrabnych karakach i bogatych szpencerach, z powplatanemi w warkocze perłami, koralami, kwiatami, same, jak śliczne bukiety wyglądały. Dzień był pięknie pogodny i ciepły, okna pokojów były pootwierane. Damy zasiadły węzgłowia i krzesła, panny zebrały się w przyległym gabinecie, mężczyzn wszędzie pełno było. Starsi, poważniejsi, gromadnie gwarzyli o gospodarstwie, o interesach, o nowości wyborów tak dogodnych przywilejom szlachty, obierającej z pośród siebie na urzędników godnych czci powszechnej i zaufania; czasem z ciężkiem westchnieniem dała się słyszeć wzmianka o świeżo i tak smutnie ubiegłej przeszłości!.. Młodzież, naturalnie za panami ciągnęła, bo dawniej młodzi starali się zabawiać damy, i dla fajek, a co gorsza dla kart, kompanji nie porzucali.

Kiedy tak wszystkich zebranych uprzejmi gospodarze z całą staropolską gościnnością starali się zabawiać, dał się słyszeć od dziedzińca odgłos pełnej wojennej muzyki i wszedł mój ojciec oznajmiając, że p. brygadjer Baur z całym sztabem prosi solenizanta, aby raczył wyjść dla przyjęcia od wojskowych powinszowania. Cała kompanja ruszyła na ganek i otoczyła p. wojewodę. P. Baur w pełnym mundurze na czele swojego sztabu oficerów, muzyki pułkowej i pierwszego szwadronu dragonów, podjechał pod ganek salutując szablą solenizanta, muzyka zabrzmiała marsz ceremonjalny, p. brygadjer zakomenderował na prawo, a oficerowie i cały szwadron dobytemi pałaszami i hucznem: „hura!“ solenizanta odsalutowali. Wróciwszy przed ganek brygadjer w kilku słowach wynurzył swoje życzenia, a odpinając od boku jedną szablę (miał ich dwie) — „Nie mogę, rzekł, jw. panie godniejszego nad to zrobić wiązania“, — i lekko zeskoczywszy z konia, ucałował rękę p. wojewody i oddał mu broń ofiarowaną. Spojrzał na dar p. wojewoda, łzy mu się puściły po twarzy, poznał i ucałował pałasz kolegi w konfederacji Bar-

skiej, i uściskiem ojcowskim Baurowi podziękował. Był to pałasz Kazimierza Puławskiego, drogo przez Baura opłacony i bogato oprawny.

Wspaniały obiad długo się przeciągnął, muzyka wojskowa ciągle brzmiała, toasty ogłaszał dźwięk trąb i huk moździerzowych wystrzałów. Po obiedzie aktorowie cichaczem się wymknęli, damy udały się do swoich pokojów dla zmiany stroju. Jeszcze się nie zmierzchło, kiedy gości zaproszono na teatr. Wybornie udała się operetka, na małe uchybienia nie zwracano uwagi. Wojewodzianka starsza i ciotka moja, na swój śpiew piękny otrzymały fora i huczne oklaski. Zadowolenie widzów i głosem i oklaskiem jawnie się okazało. P. wojewoda nie posiadał się z radości, którą pomnożyło, jeszcze przy zaczęciu sztuki, przybycie kuzynów wojewody, jeneralstwa Karwickich, którzy umyślnie, pocztą z Warszawy na ten dzień pośpieszyli. Wesoło wracało towarzystwo z teatru, ogrodem gustownie oświeconym, co było także niespodzianką przez Baura solenizantowi sprawioną. Nim się tańce rozpoczęły, powitano aktorów hucznym toastem. P. wojewoda najczulej im dziękował, a ukochaną Tercię ojcowskiem uściśnieniem pozdrowił, bo też w istocie jej to dla ojca przywiązanie pierwszą myśl tej niespodzianki natchnęło, a drugich życzliwość do wykonania jej pomogła. Tańce trwały do rana; wieczerza pod gołem niebem, mało co tańcom przeszkodziła. Budziewicza, dziękując mu p. wojewoda, piękną złotą tabakierą udarował i nikogo z aktorów piękny upominek nie minął. P. wojewoda każdą zrobioną mu przyjemność umiał ocenić i wywdzięczyć się za nią nie zaniechał.

Nazajutrz wszyscy goście pozostali, bo to był dzień imienin wojewodzica Hieronima, młodego Maciejowickiego bohatera, który na pamiątkę skoków swoich przed Ferzenem, w stroju kozackim, ale nowym, bogatym i do talji zrobionym, z siostrą swoją Karoliną popisywał się kozakiem i przeszedł samego siebie. Ale i tancerkę też miał niepospolitą! Wojewodzianka do kroków wyuczonych

przyłączyła rzadki wdzięk postawy i giestów zachwycających. Przejęci podziwieniem pięknego tańca i rozrzewnieniem, w jak smutnym razie taniec ten stanął wojewodzicowi w przygodzie, ojcowie obywatele, jedni przed drugimi ubiegali się z najserdeczniejszem uściśnieniem dla Hieronima i zdrowie jego spijali — wojewodzianki zdrowie z białego atłasowego jej trzewiczka spełniano. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że wino nalewano w trzewik; sztuka na tem zależała, ażeby kielich nalany postawiwszy w trzewiku, nie trzymając ręką kielicha, wypić co do kropli nie zmoczywszy winem trzewika. Zdarzały się czasem takowe myłki, ale i w owych czasach je wyśmiewano, bo rubaszność narodową miarkowało już staranne wychowanie.

Po trzydniowym balu nie wiele się osób rozjechało, bo rozpoczęło się polowanie, przenosząc się porządkiem puszcz, należących do różnych obywateli sąsiadów, które głęboko w Polsce zachodziły. Ja z ciotką starszą i młodszą siostrą, słabemi na febrę, odjechaliśmy do Korca. W Tuczynie, jesień na polowaniach, zima na uroczystościach i balach szybko i wesoło upłynęły. Na wigilję świąt obchodzono imieniny p. Adama, brata p. wojewody; komedyjka „Troiste Wesele“ powtórzoną została; niektórych z aktorów zmieniono z wielką pociechą Budziewicza, i ta zmiana wielce była korzystną. Na tym balu pokazała się po raz pierwszy sławna nasza młodziuchna piękność wołyńska księżniczka Dorota Sanguszkówna [1]), córka wojewody wołyńskiego. Co tylko natura najszczodrzej wylać mogła na płeć piękną, czem najstaranniejsze wychowanie hojnej naturze dopomódz mogło, to wszystko posiadała księżniczka. W latach ledwie szesnastu była

---

[1]) Córka Eustachego, właściciela Antonin. Nieutulony w żalu po jej śmierci, książę Eustachy wzorem klasyków tu pisał swoje treny i hodował słynną stadninę arabskich koni, sprowadzonych przez koniuszego Moszyńskiego i Świerczyńskiego.

to wzorowa piękność, najświetniejszemi umysłu i serca przymiotami ubogacona. Równej Dorocie Wołyń nie posiadał.

Zgon imperatorowej Katarzyny II wielkie sprawił odmiany. Wstąpienie na tron rosyjski Pawła I rokowało wiele dobrego i dla Rosji i dla krajów do niej przyłączonych. Dzielny umysł, wzniosłe uczucia, prawdziwa mądrąść, cechowały tego monarchę. Ale, niestety! życie jego było zakrótkie! Uwłoczą wiele przymiotom wielkiej duszy Pawła i swoi i obcy historycy najniesprawiedliwiej! Jedyne, może, coby mu zarzucić można, było to, że długo stłumiona swoboda uczuć jego i woli, omierziła mu ród ludzki i zrobiła go ekscentrycznym, że potem wydobywszy się raptem na jaw, okazała się w działaniu nie zawsze odpowiednią oczekiwaniu interesowanych; że nakoniec zegar życia jego szedł zaprędko! Obejście się cesarza Pawła z Kościuszką, przywrócenie wolności tylu naszym współziomkom, wziętym w nieszczęśliwych ostatnich czasach, niedowodząż wielkomylśności tego monarchy? Czynne było i mądre, choć krótkie panowanie Pawła; Polacy w nim, nie pana, nie monarchę, ale ojca znaleźli, i kto z nas jeszcze w owe czasy pamięcią zasięga, z żalem i ze czcią panowanie jego wspomina.

Ale jakiż to był wiek, jakie to były czasy! Na gruzach i na stosach trupów, smutnych niestety rewolucji śladach, Francja obmywała się krwią przelaną w bitwach pod dowództwem Bonapartego, obmywała się ze krwi miljonowych ofiar okrucieństwa Robespiera i Marata. Nie oschły jeszcze strumienie krwi pomazańca Boskiego, Ludwika XVI. Szczątkom nieszczęśliwej Burbonów rodziny dał bratni przytułek Paweł I; książę Kondeusz zamieszkał Dubno. Ale niewiele wzbudzali współczucia wysocy emigranci. Duch rewolucyjny unosił się nad Europą i u nas Francja więcej miała stronników, niż jej książęta tułacze. Wiele ze znakomitych rodzin francuskich za-

mieszkało w Rosji z tych czasów, wielu nawet znaleźli miejsce na kartach dziejów rosyjskich. Ale też razem napłynęło mnóstwo chołoty, pod tytułami diuków, kontów, markizów, baronów, na ziemię naszą, takie mnóstwo, że nie było prawie domu, w którymbyś nie znalazł Francuza, to kapelana, to guwernera, to metra jakiego, to przyjaciela, doradzcę, nie mówiąc już o sługach wszelkiego rodzaju. A wszystko to uczyło nas mowy francuskiej

Uwolnienie Kościuszki.

obyczajów i manier, a zasiewało w młodych sercach, nie zrażonych jeszcze panowaniem Stanisława-Augusta, brudne zepsucie. Tej to powodzi winniśmy rozprzężenie naszej moralności i przeobrażenie się w Francuzów ,ale Francuzów zbiegów, z potrzebującej rąk ich ojczyzny. Ale porzućmy ten ustęp; historja i dokładniej i jaśniej powie o tem potomności.

Roku 1797 z 1 na 2 stycznia w nocy, pożar okropny zniszczył piękną budowę fabryki porcelanowej w Korcu.

Wielkie zapasy materjałów, cały piec wypalającej się pięknej porcelany i drugi fajansu; magazyn napełniony obstalunkami i zapasowem naczyniem, warsztaty, formy, narzędzia, ze wszystkiemi pięknemi wzorami, z przygotowującemi się drogiemi serwisami, wszystko spłonęło. Trudno sobie wyobrazić przestrach i rozpacz fabrykantów i ich przełożonych! Myśmy ocaleli, bo choć nasz dworek blizko sąsiadował z gorejącym magazynem, ale stał za wiatrem i to go ocaliło; u nas więc i dyrektorstwo z dziećmi i z całem swem mieniem przytułek znaleźli. Ten okropny wypadek najwięcej wpłynął na upadek fabryki, zdecydował wyjazd Mezera do Baranówki[1]) i przeniesienie się mego wuja do Tuczyna. P. wojewoda dał mu porządny dworek w samem miasteczku, z dostatnią ordynacją, z opałem i usługą i nie pomnę jaką pensją, a mój wuj uczył p. Teresę malować minjatury. I dobrze nam było w Tuczynie, ja znowu byłem z siostrami, ale starsza, więcej jeszcze niż w Ludwipolu pilnowała, żebym tego, com się przy Skoczkowskim nauczył, nie zapominał. Powtarzając ze mną łacinę, tak pojęła gramatykę, że jej to i we francuskim języku, którego teraz uczyła się od p. wojewodzianki starszej, wielce korzystnem było i nadal wielce się przydało.

Śmierć ks. biskupa Szembeka i spadła po nim sukcesja, powołały p. wojewodę do Krakowa i Warszawy. Wyjeżdżając z córkami, przy matce mojej zostawił tylko siostrzenicę swojego zięcia, księcia Jabłonowskiego, Cecylję Potocką, starościankę Tłumacką. Matka jej nieszczęśliwa cierpiała pomięszanie; Cesię więc księżna wzięła do siebie i z córką swoją wychowywała. Przed ro-

---

[1]) Na Wołyniu, pow. zwiahelski. Stanowiła cząstkę dóbr ks. ks. Lubomirskich. Po Walewskich przeszła do Gagaryna, męża Izabelli Walewskiej, córki Lubomirskiej Józefowej 1-o voto Walewskiej, 2-o de Witte. D-r. Mezer, kierownik fabryki w Korcu założył tu fabrykę porcelany. Po Gagarynach przeszła do Szuwałowych, w końcu sprzedaną została przez nich jakiemuś konsorcjum przedsiębiorców finansowych.

kiem księstwo wyjechali za granicę i księżna zostawiając ją w Tuczynie, dozorowi i staraniom mojej matki powierzyła. Cesia była delikatna, słabowita, ale dziwnie słodkiego charakteru, wszyscy ją lubili, a matka moja, jak do własnego dziecka do niej się przywiązała i my jak siostrę kochaliśmy. P. wojewoda do zarządu dworem ojcu memu i zarząd całego majątku przyłączył, z powiększeniem wynagrodzenia i zapewnieniem nadal funduszu do życia. Zbieg okoliczności zatrzymał p. wojewodę w tej podróży kilka miesięcy. Resztę zimy przepędził w Warszawie, gdzie szczególniej miał na celu ożenienie starszego syna Józefa z p. Teresą Kicką, koniuszanką Kor., damą, urodzeniem, wdziękami, wysoką edukacją i posagiem, znakomitą. P. wojewoda brał się dobrze do interesu, panna nie od tego była, ale kawalerowi co innego w głowie się roiło. Nic jednak po sobie nie pokazywał, owszem oświadczył się pannie wobec ojca i życzliwą jej odpowiedź pozyskał. Ojciec spokojny o los przyszły syna, oprócz majętności w Krakowskiem, zostawiwszy mu jeszcze 40,000 zł., znaczną w owych czasach sumę, na ekwipowanie się do wesela, pełen najsłodszych marzeń o szczęściu przyszłem ukochanego syna, do domu odjechał.

Gdy się to działo w Warszawie, tymczasem ojciec mój rządził pomyślnie. Pszenicę p. Jabczarski zakupił, młyny 120,000 zł. rocznie robiły przychodu, potaż się wyprzedał i interesa p. wojewody kwitnęły: to też z wylaniem najprzyjaźniejszych uczuć dziękował pan przywiązanemu i wiernemu słudze. I do pięknej ciotki mojej młodszej nadarzył się pretendent, wdowiec, niepierwszej młodości, ale czerstwy i miły, p. chorąży p-tu Zwiahelskiego Skirmunt, znajomy nam zdawna i w ścisłej z ojcem moim i wujem przyjaźni będący. Trzymał piękną posesję od ks. Jabłonowskiej, wojewodziny bracławskiej w Berezewszczyźnie i od niej wysoce był poważany, a gdy się dowiedziała o zamiarze p. Skirmunta wstąpienia powtórnie w małżeńskie śluby, przysłała narzeczonej piękne szmaragdowe kolczyki. Z weselem mojej ciotki wstrzymano się

do powrotu p. wojewody, a że ten w poście nastąpił, wesele na dwa tygodnie po świętach odłożono. Wojewodzianki były drużkami, drużbami wojewodzice, z gości był tylko marszałek Borejko, szambelan Monakowski z

Franciszek Szopowicz.

córkami, szambelan Oraczewski, sąsiad i przyjaciel Skirmunta, z rodziną, familja naszego dobrego pana i nasza. Po weselu wkrótce wyjechali p.p. młodzi do domu, a p. wojewoda tymczasem kazał dla nich budować dom, w

blizkiej swej wiosce, którą im na lat dwanaście wydzierżawił. Odtąd los p. Skirmuntowej stał się nieodłącznym od kolei, jakim zacna rodzina p. wojewody podlegała.

Po ostatnim rozbiorze Polski, akademja Krakowska rozwiązana była, członkowie jej rozproszeni po świecie, jedni tułali się poza granicą, inni po domach obywatelskich szukali przytułku. Ks. kanonika Trzcińskiego, p. wojewoda do domu swego zaprosił. P.P. Adamostwo Walewscy w dom swój przyjęli profesora Franciszka Szopowicza, w zamiarze powierzenia mu edukacji syna swego Tadeusza, ale, że pan brygadjer potrzebował wyjechać do wód, a małego jedynaka zostawić nie miał dość serca, p. Szopowicza więc w Tuczynie zostawił. P. Szopowicz celował szczególniej w wydziale nauk przyrodzonych i matematycznych, ale i wszystkie inne nie obce mu były. Kilka języków gruntownie posiadał, grał pięknie na arfie i czasem sam na sam śpiewywał sobie przy arfie psalmy, lub ojczyste śpiewki. Pobyt p. Szopowicza w Tuczynie ważną w mojem życiu stanowi epokę, bo ten znakomity mąż, a moich rodziców prawdziwy przyjaciel, zajął się uczeniem mnie podług zasad wskazanych przez komisję edukacyjną dla szkół narodowych podwydziałowych, czyli, jak dziś zowią, gimnazjów. Pani Szopowiczowa z domu Hamsówna, niegdyś panna służąca stołowa p. wojewodziny Potockiej, jeszcze od Warkowicz znajoma, z matką moją do ścisłej z nią przyszła przyjaźni. Była to osoba wyższego ukształcenia z niepospolitym talentem muzyki, a szczególniej śpiewu. Pobyt tych państwa wpłynął niezmiernie na ożywienie tuczyńskiego towarzystwa. P. wojewoda wielce ich poważał, a wojewodzianki całem sercem przystały do p. Szopowiczowej. Dla mnie, te kilkanaście miesięcy mieszkania ich w Tuczynie były czasem najszczęśliwszej mojej młodości. Dziwnie miły i łatwy sposób wykładania przedmiotów naukowych, jaki posiadał Szopowicz, zachęcał mię i ułatwiał nauczenie się tego wszystkiego, co było potrzebnem do klasy czwartej szkolnej, ażeby w niej czasu napróżno nie tracić. Po-

czątki dane mi od Skoczkowskiego, nie małą były mi pomocą, szło mi więc dobrze, nauczyciel mię lubił, a w nagrodę pilności i postępu, dawał mi początki botaniki, do której z dzieciństwa miałem ochotę. Nieraz, bywało, zadowolony mojem uczeniem się, to na moją prośbę i na arfie mi grywał. Ojciec mój widząc moje przykładanie się do nauk i korzyść z nich odniesioną, wylewał się z całem swem przywiązaniem dla mnie; matka się radowała, a nasz czcigodny pan, łask swoich dla mnie nie szczędził. A wszystko to winienem był Szopowiczowi! Cześć i dzięki popiołom twoim dostojny mężu, któryś tak szczęśliwie rzucił światło na mój umysł! jeżeli dziś co umiem, to wszystko twojem jest dziełem! Siedmdziesięcioletni starzec, młodnieję wspomnieniem i dziś twojej dla mnie życzliwości!

W Tuczynie wesoło było i lato całe nie przerwane żadnem niepomyślnem wydarzeniem upłynęło wesoło. Zbliżał się ze wrześniem św. Michał, ale na ten raz p. wojewoda 30 września chciał mieć uroczystszym, gdyż zamierzył sobie wyprawić imieniny ks. wojewodzie wołyńskiemu, i mnóstwo gości zaprosił. Książę Hieronim Sanguszko z pierwszego małżeństwa z księżniczką Jabłonowską, miał syna Eustachego i córkę za jenerałem Mokronowskim. W powtórnem małżeństwie z panią Kuczkowską z domu Pruszyńską miał dwie córki Dorotę i Teklę i syna Józefa. Księżniczka Dorota, do wdzięków cudnej urody, łączyła jeszcze piękniejszą duszę. Dosia była pieszczotą, skarbem, szczęściem rodziców, uwielbieniem wszystkich, a najstaranniejsze wychowanie dopełniało tę szesnastoletnią doskonałość. Księstwo byli w wysokiem u wszystkich poważaniu, ale Dosia była przedmiotem kochania, admiracji i prawie ubóstwienia dla Wołynianów, ona była matką sług i poddanych. Zbiegano się w dom księstwa, ażeby choć widzieć tę nieziemską istotę: szczęśliwy kto ją poznał; szczęśliwy stokroć, kto jej życzliwe uczucia pozyskał; ale jakieżby szczęście było tego, któryby był jej serce i rękę otrzymał! Lecz w księdze

wyroków czarno zapisaną była jej przyszłość — aniołowie tylko radowali się: bo do ich chorów wielbiących Pana nad pany, jeden głos czysty miał przybyć jeszcze! Księżniczka i z rodu i z fortuny pierwszą partją na Wołyniu była.

28 września wieczorem przyjechał książę wojewoda; księżnej nazajutrz dopiero oczekiwano. Dzień ten zeszedł uroczyście i dość nawet wesoło, księżnej jednak nie było. P. wojewoda niespokojny kazał wysłać na całą noc umyślnego do Sławuty. 30-go książę solenizant odbierał powinszowania od licznie zgromadzonego obywatelstwa i był bardzo wesoły, ale gospodarz i jego rodzina pocierpali w duszy oczekując powrotu posłańca, bo już księżnej przestali się spodziewać i coś okropnego przeczuwali. Wieczorem cały ogród i łąki Horynia wspaniałą iluminacją zajaśniały. Pyszny fajerwerk na górze ogrodowej przedstawiał świątynie, cyfry, piramidy w brylantowych światłach, a ogniowe fontanny walczyły o pierwszeństwo z wytryskiem pięknej masy wody, dolną część ogrodu zdobiącym. Fajerwerk spóźniono do zmroku, i tańce po nim dopiero rozpocząć się miały. Kiedy tak w pośród ochoczych i życzliwych wiwatów zdrowie solenizanta przy cyfrze jego w najlepsze spijano, posłaniec ze Sławuty powrócił. Kajetan Marcinkowski postrzegł go rozmawiającego z moim ojcem i z oczów jego okropną nowinę wyczytał. Ojciec wręczył pokryjomu p. wojewodzinie list p. Pruszyńskiego, brata księżnej, donoszący pokrótce: że Dosia i Józio dostali ospy, która najgorzej się wysypuje, że Kitel, Wykisały i Lernet robią co mogą, ale żadnej nadziei uratowania nie mają, że księżna na miłość Boską księcia zaklina, ażeby wracał. Mój ojciec wysłał natychmiast do Annopola, ażeby tam Schary, miał w pogotowiu kilkanaście koni na przeprząż. P. wojewoda i dla siebie powóz przygotować kazał. Marcinkowski wziął na siebie list księciu przeczytać i tyle tylko przeczytał, że dzieci dostały ospy. Ruszyli wszyscy z ogrodu, p. wojewoda przeprosił gości, że ich opuścić musi, i nikt mu tego

za złe nie poczytał, a z balu tak świetnego smutne się zrobiło zamieszanie. O jedenastej książę i p. wojewoda już byli w drodze. Trzeciego dnia wieczorem przyjechał posłaniec ze Sławuty z listem do wojewodzianek, donoszącym, że Dosia i Józio, jakby tylko czekali przybycia ojca, nazajutrz jedno po drugiem we trzy godziny życie skończyli, że rozpacz rodziców nie do wypowiedzenia, że nikt nie jest w stanie nieść im jaką pociechę, bo żal ciężki wszystkich uciska, bo tylko z rodzicami cierpieć i płakać mogą. Bolesny ten cios księstwa cały Wołyń podzielał, smutek powszechny zamknął domy obywatelskie, i zdawało się, że żałoba wywołana nieszczęściem księstwa cały Wołyń okryła. We trzy dni potem p. wojewoda przywiózł stroskanych rodziców do Tuczyna, z córką ich najmłodszą Teklą, dziś jeszcze żyjącą hrabiną Włodzimierzową Potocką, która wdzięków siostry nie posiadała i tylko duszą była jej podobną. Ale to było jeszcze małoletnie dziecię, nie mające sposobów pocieszenia nieutulonych w żalu rodziców. Wkrótce rozpoczęły się zwyczajne polowania; szukał w nich roztargnienia biedny książę, ale żadne zabawy, jak zwykle bywało w tej porze, nie ożywiały jesiennych wieczorów. Smutnie, leniwo płynęła jesień, nie weselej i zima przechodziła. Księstwo na zimę przenieśli się do dóbr swoich na Ukrainie.

Spokojnie było w kraju za panowania Pawła, a jeżeli były jakie wojny, to się daleko od granic państw jego toczyły. Podług mądrych ustaw jego, wyborowi urzędnicy zasiadali we wszelkich sądownictwach, i wykonanie praw żadnej trudności, ani zwłoce nie podpadało. Gorliwy jednak o dobro tak własnych, jako i nowo przybranych dzieci, monarcha zsyłał wiernych sobie, światłych i zasłużonych mężów, dla rozpoznania, czy wola jego i prawa ściśle były spełniane. A były to czasy dziwnie niespokojne. Konsul Bonaparte stawał się już groźnym Europie. Legje polskie formowały się we Włoszech. Dąbrowski, Liberadzki i inni zbierali pod swoje chorągwie młodzież wymykającą się z naszych prowincji za granicę.

Krążyły wieści o naszych wojakach, a ojcowie i matki ciesząc się walecznością swych synów, ocierali łzy wyciśnięte ich odjazdem, ale się taili. Z wiadomościami ukrywano się, bo cesarz nie sprzyjał Bonapartemu, bo i zaciąganie się pod jego znaki brałby był za złe. W tym to

Iwan Gudowicz.

czasie jenerał adjutant graf Gudowicz wysłany był na Wołyń w pomienionym celu, a może i dla wybadania, czy też duch francuski nie rozszerza się w tych prowincjach. P. wojewoda znał grafa, i gdy ten odwiedził ks. Lubomirskich w Równem, p. wojewoda zrobił mu wizytę i do Tuczyna zaprosił. W kilka dni potem, wieczorem, całe to-

warzystwo domowe tuczyńskie, zebrane było w pokoju p. wojewody. Matka moja czytała w głos nowo wyszłe tłumaczenie „Matki Rywalki“ p. de Genlis. Kiedy wszyscy z zajęciem słuchają, dają się słyszeć na dziedzińcu dzwonki pocztowe i bije łuna od lecących kagańców. P. wojewoda gościa się domyślał, kazał sobie podać szablę, przypasał ją do codziennej szaraczkowej czamarki i zielonego kaszemirowego pasa i tak na spotkanie wysokiego urzędnika ku drzwiom przedpokoju postąpił. Wojewodzice i ich rezydenci byli we francuskich tużurkach, kamizelkach z klapami, włosy po prostu zczesane, ubiór wcale przeciwny, przepisanemu od samego cesarza. Wprowadził p. wojewoda grafa, wszyscy powstali; gospodarz prezentował córki, synów i całe towarzystwo obecne. Zmarszczył się Gudowicz na widok francuskiego ubrania młodych i często na nich z ukosa poglądał. Tymczasem i p. wojewoda i wojewodzianki tak umieli zająć gościa, iż się powoli udobruchał, a gdy p. Teresa śpiewała mu włoskie, francuskie i polskie śpiewy, do zupełnie dobrego przyszedł humoru i z młodzieżą o ich modnym stroju grzecznie i dowcipnie żartował. Po wieczerzy ojciec mój odprowadził gościa do górnych apartamentów, p. wojewoda przy drzwiach przedpokoju pożegnał i uprosił, ażeby dzień jutrzejszy w Tuczynie odpoczął. Nazajutrz p. wojewoda w mundurze swym wojewódzkim, w orderach, przy szabli, synowie z zaczesanemi wercetami i harcapami, upudrowani w mundurach najściślejszej formy, poszli odwiedzić grafa. Gudowicz jeszcze nie był ubrany, zmięszał się więc, gdy wszedł gospodarz w pełnej etykiecie, przepraszał p. wojewodę, ale widać było z oczu, jak był zadowolony tą atencją, żądał jednak, żeby młodzi zdjęli ceremonjalne suknie i tylko sobie w zwyczajnych byli ubraniach. Wzbraniał się p. wojewoda temu uchybieniu etykiety, graf nastawał, i ceremonjalna ta sprzeczka przetrwawszy z kwadrans, zakończyła się dogodzeniem żądaniu Gudowicza. Po obiedzie graf poszedł do siebie na godzinę odpoczynku, obiecując, że wróci na

partję wista, a potem z pannami w żmurki i gotowalnię grać będzie. Tymczasem zjechali się pokryjomu zaproszeni goście z sąsiedztwa i muzyka podstolica Pruszyńskiego z Pustomyt. Zdumiał się Gudowicz zobaczywszy tyle dam, a jeszcze więcej, kiedy p. Teresa podawszy mu rękę wprowadziła go na oświeconą salę.

Zagrzmiała muzyka narodowym tańcem, poszły pary, na czele wojewodzianka Teresa z Gudowiczem. „Pani! — rzeknie graf głosem rozrzewnionym — ojciec pani dziwy ze mną wyrabia!“ — „Ojciec mój chce dowieść, jak jest rad tak dostojnemu gościowi“. — „Ale jakiż ma do tego powód? jaki interes?“ — „Czyż chęć zasłużenia sobie przyjaznych uczuć potrzebuje mieć bodźcem interes? Czyż nas obecne położenie nie zbliża? Czyż senator Polski, nie jest godzien przyjaźni wysokiego ruskiego dygnitarza?“ — „Prawda! wszystko prawda; pani mówisz, jak myślisz, a myślisz tak, jak jej szanowny papa. Ale dobroć wasza nie padła na niewdzięczne serce, ja chcę być godnym waszej przyjaźni, i wysoki dygnitarz ruski dowiedzie jej i dotrzyma senatorowi polskiemu. Mówmy więc otwarcie, po przyjacielsku. Wieści chodzą o tej prowincji, jakoby wysłani z Francji rewolucjoniści krążyli po Wołyniu i rozsiewali swoje szkodliwe, niby to filozoficzne, zasady, że nawet takowi w Tuczynie się znajdują; że młodzież wymyka się ciągle za granicę do legji polskich, że komunikacja między obywatelami tutejszymi, a legjonistami trwa, i ciągle wiadomości stąd i tam i nawzajem bezustannie krążą. Liczna młodzież zebrana w domu państwa daje domysły wspierające rozsiewane wieści. Nie dowierzam doniesieniom, i dlatego wolałem sam być w Tuczynie i przekonać się osobiście o wszystkiem na miejscu. Cóż zastałem? ojca obywatela, otoczonego dziećmi i pokrewnymi, spokojność i uprzejmość w domu, i nawet żadnego podejrzenia powziąć nie mogłem. Miejcie się jednak na ostrożności; żadnych pism, książek, rysunków z zagranicy nie odbierajcie i w domu nie przechowujcie. Ja dam mój raport do monarchy o Tuczynie,

i spodziewam się, że po mnie żadna urzędowa wizyta spokojności waszej nie zakłóci, w jakimby to nie było celu". Czule uścisnęła rękę grafa, polonez się skończył, graf dziękując za taniec, piękną rączkę wojewodzianki ucałował. Zabawa nie ustawała, tańczyli ochoczo, i graf rozochocony, w skocznych nawet tańcach kompanji dotrzymywał, a bal do dnia się przeciągnął.

Nazajutrz Gudowicz odjechał, z rozrzewnieniem żegnając p. wojewodę i jego rodzinę, upewniając o prawdziwej swej przyjaźni, dał p. wojewodzie też same co i p. Teresie przestrogi, i zapewnił, że od wszelkich nieprzyjemności ze strony rządu po jego raporcie jest wolny. P. wojewoda ze swej strony upewnił grafa, że jak on, tak i wszyscy obywatele wołyńscy jednym tchną duchem wierności i przywiązania dla swego monarchy. Te kilka słów p. wojewody, jako zdanie Gudowicza, powtórzone były w raporcie jego i wiele wpłynęły na spokojność Wołynianów. To też dom p. wojewody jeszcze szacowniejszym stał się dla współobywateli i swobodnym dla wszystkich przytułkiem.

Tejże zimy zajęła się wojna między Rosją i Persją, i brygadjer Baur, już jako jenerał dywizji, na czele pułku dragonów, których był szefem, wyprawiony został. Przeznaczenie tego człowieka, tak go powiązało z domem tuczyńskim, że go nieraz jeszcze wspomnieć nam przyjdzie.

P. wojewoda zaproszony od ks. Michała Lubomirskiego na karnawał do Dubna, wyjechał z córkami i z ich ochmistrzynią, a za nimi i wojewodzice pociągnęli. Tam po raz pierwszy w obywatelskiem wołyńskiem gronie hr. Chodkiewicz wszystkich serca sobie pozyskał.

Piękna wiosna wróciła strapionym uspokojenie, i powoli wesołość wracać zaczęła. W Tuczynie znowu zbierała się młodzież, przybyło jeszcze dwuch synowców p. wojewody i kasztelanic Bierzyński, ów Adaś, o którym wspomnieliśmy, celujący między młodymi starannem wychowaniem i piękną urodą. Wzrostu był więcej niż miernego, kształtnej kibici, włosów płowych, oczu niebieskich

pełnych życia, rysów twarzy Antinousa, a uśmiech miał tak pełen wdzięku, że go z uśmiechem anioła porównać można było. I serce tak piękne było jak postać, dla tego też pozyskał sobie miłość u wszystkich i p. wojewodzie przypadł do serca, a historja smutna matki jego jeszcze mu więcej życzliwości jednała. Młody, piękny, dobry, edukowany i bogaty, nie do odrzucenia był u młodych obywatelek i wiele matek projekta sobie na niego robiły. Ale p. Adam, od wstąpienia w progi tuczyńskie tak przylgnął do rodziny Walewskich, że mu się zdawało, że tam się urodził i wychował. Z początku wszyscy mniemali, że o p. Karolinie zamyśla, ale nie miał szczęścia jej się podobać, bo zdaje się, że wojewodzianka, starszym Rejentowiczem Krzysztofem była zajęta. Czy i kasztelanicowi to się zdawało, nikomu się nie zwierzył, ale zaloty swoje do p. Teresy obrócił i nader mile przyjęty został. Niedługo taił się ze swemi uczuciami; p. wojewoda z radością słuchał oświadczenia, z powagą jednak do decyzji córki odwołał się. P. Teresa odpowiedziała, jak zwyczajnie dobre córki odpowiadają: „Jeśli mon cher pere, znajduje ten marjaż odpowiedni życzeniom swoim, ja nic nie mam p. Adamowi do zarzucenia". — „To jest, inaczej mówiąc, że ci się kasztelanic podobał?" — „A tak, mon cher pere", — spuściwszy oczy, odpowiedziała p. Teresa. I pokłonili się oboje do nóg p. wojewodzie, i stanęły układy i wesele naznaczone było na św. Michał; na ten dzień bowiem i ks. biskup naznaczył poświęcenie parafjalnego kościoła w Tuczynie, więc dogodnie było pokrewnemu przy tej ceremonji i błogosławić ślubem kochaną Teresię. To się stało w końcu maja, i do 29 września dość było czasu na przygotowania, kiedy i w pałacu już sala jedna i górne okazałe apartamenta i paradne pokoje ukończone były. Ale ważnej okoliczności niedostawało: księżna Jabłonowska była za granicą, a o p. Józefie ani wieści nie było. Pod koniec lipca p. wojewoda z córkami i moją matką wyjechali z wizytami zapraszającemi na

wesele. Kasztelanic na podobną wędrówkę wybrał się z p. Węgierskim, którego za powrotem swoim do majątku wezwał do siebie i jak ojca szanował. Miesiąc prawie trwała ta wędrówka; p. wojewoda czasem odłączał się od córek, zostawiając je w znajomych domach, i wstępował do innych, a wszędzie zapraszał z rodziną. Nikt nie odmówił, bo każdy z zadowoleniem do jego domu uczęszczał.

Zbierali się więc bliżsi i dalsi, a nawet i bardzo dalecy obywatele; a jakto zwyczajnie bywa jedni ze szczerej życzliwości, ci przez ciekawość, a niektórzy dla smacznego kąska i puharu. Sławna bo też była kuchnia wojewodzińska, a piwnica na cały Wołyń słynęła, i niejeden antał nie dzisiejszego tokaju na tę uroczystość dobyty został. Ojciec mój ciągle temi przygotowaniami zajęty, w parę dni po wyjeździe pańskim, siedział wieczorem na ganku swego mieszkania, dysponując ekonomom dyspartymenta potrzebne na rozchody balowe, gdy w tem przybiega sztafeta z Warszawy. Zdawało się ojcu, że z tem miastem żadnych stosunków nie było, niecierpliwie zatem rozerwał pieczęć i te słowa z przerażeniem wyczytał: „Ratuj kochany panie Łukaszu! Nieszczęście zewsząd mię ogarnęło. Ożenienie moje z p. koniuszanką nie doszło z mojej przyczyny, szczerze ci się przyznaję! Niegodzien byłem tej zacnej damy, bo serce moje uwięzło w stosunkach z kobietą, dla której nic świętego niema. Opuściła najlepszego męża dla amantów, z których ja dziesiątym już byłem. Dom jej dla wszystkich nienajprzykładniejszego życia otwarty, był zbiegowiskiem gry i swawoli. W czasie bytności ojca mojego już te związki egzystowały, ale potrafiłem się ukryć i na pozór do woli się ojcowskiej zastosowałem. Bywałem nawet u mojej narzeczonej, udawałem zaloty, i długo mi wierzono. Dowiedziano się wreszcie o mojem postępowaniu, poznano komedię, którą odgrywałem, i p. Teresa odesłała mi pierścionek. Dotknęło mię to głęboko, bałem się ażeby wia-

domość o tem do ojca nie doszła, chciałem widzieć p. Teresę, ale mi to odmówiono. Mój Czapliński mimo całą surowość zasad swych moralnych, potrafił jakoś wkręcić się do domu pp. koniuszostwa, ale nic się nie dowiedział, później tylko dowiedziałem się, że ojcu o tem nie donosili, snadź chcieli, ażeby cała kara zgryzoty na mojem tylko sumieniu leżała. Wkrótce wyjechali do Drezna, ja odetchnąłem, wróciłem do mojej Cyrce i z większym jeszcze zapałem wylałem się na romanse i gry azardowe. Przedałem Niemanowice, a ta suma i zostawione mi od ojca 40,000 zł. na weselne ekwipowanie się, stopiły się na zielonym stoliku lub przeszły do kieszeni mojej kochanki. Żyłem więc na kredyt, grałem na honor, i ani postrzegłem się jak w długi wlazłem. Sprzedane moje ruchomości mało mi pomocy zrobiły, i dwadzieścia tysięcy zł. mają na mnie wierzyciele. Kochanka moja widząc mię w niedostatku i zadłużonym, z jakimś oficerem ruskim wyniosła się z Warszawy; mnie kredytorowie w areszcie trzymają. Jestem zgubiony! Zawiodłem zaufanie najlepszego ojca, zasłużyłem na wzgardę tej, którąby mię prawdziwie uszczęśliwić mogła! Niemam przyjaciela, któryby mi rękę podał, a wstyd mi moją po wsparcie wyciągać. Sam sobie obrzydłem i pewniebym dotąd już nieżył, gdyby mię tak ściśle nie strzeżono. O! ratuj przyjacielu! ratuj! Nadewszystko nic nie mów ojcu mojemu, drogiemu ojcu! ta wiadomość życieby mu zatruła, a on tak spokojny! tak szczęśliwy! Tercia kochana idzie za mąż, a ja jej na weselu usłużyć nie mogę! Jeśli się dowiedzą o tem, co się ze mną stało, ileż goryczy w ich serca wleję! Radzić sobie nie umiem, znosić nieszczęścia nie mam cierpliwości, a żyć muszę, żyć okryty wstydem, ażebym powoli umierał. Ratuj! jeżeli możesz nieszczęśliwego Józefa.“

Silne wrażenie list ten zrobił na moim ojcu, śpiesznie odprawił oficjalistów, ażeby bez przeszkody zająć się interesem nie cierpiącym zwłoki. Rzewnie był przy-

wiązanym do całej rodziny p. wojewody, bo go jak ojca kochał, bo go jak obywatela uwielbiał, a w p. Józefie choć błądzącym wysoko cenił szlachetność serca, na której nieraz patrzał dowody. Ale cóż tu robić? 20,000 zł. w owych czasach, suma była niepospolita. Miał wprawdzie ojciec w kasie wojewodzińskiej złożone 10,000 zł. wzięte za dom, które w każdym czasie wolno mu było podnieść, ale to dopiero była połowa tego co mu potrzebnem było. Na szczęście p. Libory Wroczyński plenipotent p. wojewody znajdował się w Tuczynie, w ścisłej był przyjaźni z moim ojcem i do starszej siostry mojej konkurował. Kazał ojciec prosić go; gdy wszedł, bez ogródki powiedział mu: „P. Libory, ufny w twej przyjaźni, proszę pożycz mi 500 czer. zł. zaraz, mam pilną potrzebę, ale jaka? nie pytaj, kiedyś dowiesz się może. Termin wypłaty na kontrakty, procent sam sobie oznaczysz". — „P. Łukaszu! — odpowie zacny prawnik, — worek mój równie jak i serce dla przyjaciół otwarte: bierz ile potrzebujesz, sekretu wiedzieć nie chcę, a w twoim ręku złe użycie tej sumy być nie może. Warunków żadnych nie kładnę, a wspomnieniem procentu obrażasz uczucie prawdziwej przyjaźni". Uścisnęli się dwaj przyjaciele; p. Libory przyniósł 500 dukatów w pięknem złocie obrączkowem, a ojciec dał mu na prostym papierze *pro memoria*. Nazajutrz potem pieniądze leciały sztafetą do Warszawy z takim listem mojego ojca: „Nie do mnie należy sądzić pana i czynić mu wyrzuty, kiedy ci własne przekonanie tak srodze je czyni. Ja mam sobie za szczęście, że śpieszną pomocą usłużyć mu mogę; jw. pan o niczem nie wie, ale pan przyjeżdżaj niezwłocznie. Ojciec choć zagniewany zawsze jest ojcem, a pański jest pierwszym z najlepszych ojców. Wracaj więc, a Bóg nam dopomoże i wszystko pójdzie najlepiej. Moje mieszkanie, zawsze po prawej stronie od wjazdu w oficynie; tam pana z upragnieniem oczekuję. Najżyczliwszy Detiuk".

Kamień z serca zsunął się poczciwemu mojemu ojcu

i błogo mu było na duszy, i był wesół, i mnie swoim Antośkiem i towarzyszem kawalerji nazywał i Kościuszkę przypominał, ale zachowanie sekretu najmocniej zalecał. Umiałem już uczuć i ocenić zacny postępek mojego ojca; ze łzami całowałem jego ręce, a moje rozrzewnienie i jego rozczuliło i serdecznie mię do swego ojcowskiego łona przycisnął. Uczułem na mojem czole łzę szacowną cnotliwego sumienia i byłem szczęśliwy!

Wrócił p. wojewoda zdrożony i zaraz udał się do swego pokoju. Wojewodzianki z moją matką udały się do swoich, ażeby się otrząsnąć z kurzawy i odetchnąć po trzytygodniowej podróży. Pan uwolnił je od przyjścia na wieczerzę i sam zaraz wszedł do kąpieli, a potem na spoczynek; ojciec mój tylko mu towarzyszył. — „Cóż tu u ciebie słychać mój p. Łukaszu?" — „Wszystko jak najlepiej jw. panie". — „Widzę żeś wesół, musi tu iść wszystko jak należy". — „Cieszę się z powrotu jw. pana, i że wszystko co się robi, będzie z jego zadowoleniem". — „Tego pewny jestem. A listów jakich nie było do mnie?" — „Nie było żadnych". — „Ani z Warszawy? Ten Józef! zabija mię swojem milczeniem! Nikt mi nic nie donosi, a on już blisko rok jak nie pisuje. Nie wiem co się stało z jego ożenieniem, i nie jedną noc myśląc o nim, bezsennie przepędzam. Ach! to dziecko moje pierworodne! mojego serca! i ty go z moich synów najlepiej lubisz? wszak prawda?" — „Niezawodnie jw. panie. Ale posłałem dziś na pocztę do Równego, w nocy posłaniec wrócić powinien". — „Cokolwiek będzie, proszę cię p. Łukaszu, nie ukrywaj nic przedemną!" — „Spełnię najwierniej rozkazy jw. pana". Potem p. wojewoda położył się w łóżku, uściskał mego ojca i rozstali się.

P. wojewoda wstawał latem i zimą o piątej godzinie, i mój ojciec także i zaraz szedł do pana, tam do ósmej trwały narady o interesach, o gospodarstwie, o domowych potrzebach, o dzieciach pańskich, poczem pili sobie razem kawę, potem p. wojewoda ekspedjował z sekreta-

rzem Janickim jeśli miał jaką korespondencję, a o dziesiątej ubrany już był na pokojach, i o tejże godzinie córki z ochmistrzynią na pokoje zejść były powinne. O pół do pierwszej podawano do stołu, a po obiedzie i czarnej kawie rozchodzili się wszyscy po swoich kątach, gdzie kto na fajkę, gdzie kto przedrzymać się, a przynajmniej rozebrawszy się w chłódku odpocząć. P. wojewoda szedł do siebie na całogodzinny spoczynek, po którym najczęściej konno lub karyolką, z moim ojcem wyjeżdżał na oglądanie gospodarstwa. Czasem i damy tę przejażdżkę podzielały, natenczas, zaprzęgano sześć koni do sześciomiejscowej dorożki, tam siadały damy, a woźnicami byli wojewodzice. Niekiedy jeżdżono tak do Szubkowa, gdzie był ogród fruktowy wyborem owoców słynący. Nabierano duże kosze fruktów, i jadąc przez wieś, rozrzucał pan pomiędzy dzieci włościańskie, które wiedząc co ich czeka, w porządku uszykowane, powrotu pańskiego czekały. Za powrotem z przejażdżki, podawano kawę, bo herbatę mało kto jeszcze pijał, a p. wojewoda wcale jej nie lubił; poczem w ogrodzie lub na ganku pałacowym bawiono się aż do ósmej, to jest do wieczerzy; o dziesiątej wszyscy się rozchodzili, jeśli gości nie było. Taki tryb życia był latem, zima mniej była ożywiona, a jednak się nie nudzili. Zebrawszy się o piątej na kawę, cały wieczór zabawiano się czytaniem książek, co zwyczajnie mojej matce się dostawało, bo na podziw pięknie czytała. Czasem zbierała się partja wista, w której już panu, ojciec mój kompanji dotrzymywał; a jeśli nie było partji, to we dwóch sobie w rumla grali, gra jednak tak była cicha, że czytaniu nie przeszkadzało.

Następnego dnia po powrocie z podróży, p. wojewoda później się obudził, mój ojciec czekał już w gabinecie. „Prosić p. Detiuka!“ rzekł pan do kamerdynera. — „Jestem jw. panie!“ odpowiedział wchodząc. — „A dobry dzień! A cóż to p. namiestniku! coś nie w tak wesołym humorze jak wczoraj?“ — „Ciężko zmartwiony jestem“.

„Pewnie nie dość masz jeszcze zwierzyny, albo niegrzeczny Horyń, łówką ryb ci nie dopisał, — rzekł żartobliwie pan, — to ciężkie zmartwienie!“ — „I to byłaby dla mnie nieprzyjemność, bo chciałbym wystąpić, jak na jw. pana przystoi. Ale dzięki Bogu, wszystko nam idzie jak z płatka, i nie o to chodzi! Niemiły, smutny list odebrałem“. — „Skądże? czy nie z Maniatyna, może nasza kochana Skirmuntowa niezdrowa?“ bo p. wojewoda wiedział, że mój ojciec tę siostrę, jak własną córkę kochał. „O! nie, zdrowa, i w tych dniach oboje jw. panu służyć będą; mój list zdaleka!“ — „Może od swoich z Litwy?“ — „I to nie, moi bogaci pokrewni zapomnieli o mnie!“ — Czy nie z Warszawy? — zawołał pan zrywając się z łóżka“ — „mów! mów! cóż tam mój Józef?“ — „Ciężko chorował!“ — „Umarł? czy żyje? nie dręcz ojcowskiego serca, mów tak, jak jest!“ — „Żyje, i powoli do zdrowia przychodzi“. — „Czemuż tu do mnie nie przyjeżdża? czyżby mu u ojca nie było lepiej!“ — „Nie śmie“. — Cóż zrobił? — „Cały majątek stracił, zadłużył się“. — „Marnotrawny!“ — „Ożenienie jego rozeszło się!“ — „Co! ożenienie? O! niegodny! mniejsza o majątek, rzecz nabyta. Ale mnie serce srodze boli, że tak godnej kochania osoby nie zaślubił! Jam mu zawierzył, a on! on mnie tak oszukiwał! To było ukochane moje dziecko, dziecko tak dobre! jam mu zaufał, a on mię! niech mię miljon set... on mię na dudka wystrychnął! O! nie, ani na oczy! Napisz mu pan, ażeby nie ważył mi się nigdy pokazywać!“ — „A jeśli ten wyrok biednego do grobu wpędzi?“ — mówił zcicha niby do siebie mój ojciec. — „Co wmpan mówisz?“ zapytał p. wojewoda wzruszony. — „Nic, ja to sobie tak głośno myślę!“ — „Wmpan coś taisz przedemną?“ — „Wszak wszystko powiedziałem“. — „Może on w biedzie? może potrzebuje pieniędzy? poszlij mu ile chcesz z mojej kasy, ale mu napisz, żeby się nie ważył nigdy przedemną pokazać, bo go odepchnę, przeklnę! tyle mi wstydu, tyle zmartwienia narobił!“ — To mó-

wiąc, oparł ręce na kolanach i oczy zakrył. Ojciec mój skinął na kamerdynera, żeby panu dawał się ubierać, i dla przerwania tak przykrego dla obu położenia, ucałowawszy rękę ukochanego pana, wyszedł.

Ważny krok był już zrobiony, czytał ojciec w sercu swojego dobrego pana, że przeciw wyrokowi surowego sędziego, serce najczulszego ojca w obronie stanęło. Wypadł jakiś interes, że p. wojewoda zażądał, ażeby mój ojciec sam pojechał do Równego. Rad z dobrego przygotowania w sprawie syna przed ojcem, wyjechał mając nazajutrz powrócić. Ale rzeczy inny zupełnie obrót wzięły. P. starosta Turno, brat drugiej żony p. wojewody, wuj p. Teresy, wracając z Warszawy wstąpił do Tuczyna, i wszystkie awantury biednego Józefa, ze szczegółami opowiadał. Złośliwie to było ze strony starosty, bo potrzebującemu nie przyniósł pomocy, a przed ojcem go oskarżył, ale już tego cofnąć nie można było. Szczęściem, że p. Turno, dawniej nieco wyjechawszy z Warszawy, najpóźniejszych wiadomości panu wojewodzie o synu dać nie mógł. P. starosta rano wyjechał i mój ojciec wróciwszy już go nie zastał. Interes w Równem najpomyślniej był zrobiony i p. wojewoda serdecznym uściskiem dziękował mojemu ojcu, ale mu z żalem ukrytą prawdę wymówił, na syna się srożył, obiecywał go wydziedziczyć, wyrzec się, przeklnąć. Mój ojciec milczał, a gdy pan, wyburzywszy się, w oczach sługi szukał odpowiedzi: „Zostawmy to czasowi, — rzekł mój ojciec, — gniew jw. pana, jest sprawiedliwy, choć może za srogi, aleś ojciec! a Bóg nam w Ewangelii, powieść o marnotrawnym synu na przykład zostawił". W tem ktoś z sąsiadów nadiechał, rozmowa się przerwała, i mój ojciec wyszedł pełen dobrej otuchy.

W kilka dni potem, p. wojewoda mając jeszcze kilku bliższych sąsiadów do zaproszenia, na parę dni z domu wyjechał. Mój ojciec siedział przy swoim kantorku przeglądając spis zaproszonych gości i rozporządzając gdzie

komu, jakie dać mieszkanie, ja pisałem kartki z numerami dla wręczenia ich margrabiemu pałacu, — w tem turkot zajeżdżającego powozu obudził moję ciekawość, ojciec go nawet nie zauważył. Wyskoczyłem na ganek i ujrzałem wysiadającego mężczyznę, pięknej postawy, który mię zapytał: „Jest p. Detiuk?“ — „Mój ojciec? — odpowiedziałem, — służę panu!“ i wprowadziłem go do pokoju. Obrócił się ojciec od kantorka, a ujrzawszy przybyłego wykrzyknął: „P. rotmistrz!“ i oba serdecznie się uścisnęli. Domyślałem się kto to jest, i wyszedłem, żeby im nie przeszkadzać rozmowy. W kilkanaście minut zawołał mię ojciec i p. rotmistrzowi przedstawił. Był to najstarszy syn naszego pana, p. Józef, wracający pod strzechę ojcowską; uściskał mię i o czemś tam ze mną mówił, nie pamiętam, wiem tylko, żem się na niego napatrzeć nie mógł, i że moje młode serce od tej chwili, nazawsze do niego przylgnęło. Ojciec gościa umieścił w swoim pokoju, sam się wyniósł do drugiego gdzie ja sypiałem. Tego wieczora, nikomu nie dano wiedzieć o przyjeździe wojewodzica, bo mój ojciec chciał, ażeby zdrożony i tylu uczuciami miotany, wcześnie udał się na spoczynek.

Około północy wrócił p. wojewoda z kagańcami, wyszedł na spotkanie pana mój ojciec, ale nic po sobie nie pokazał i wszystko do jutra odłożonem zostało. Jakoż o piątej jak zwykle był już u p. wojewody. Mówili długo o przygotowaniach do zbliżającej się uroczystości, i mój ojciec szczegółowie okazywał, jak wszystko ładem idzie. Zadowolony pan zacierał ręce i poświstywał ulubione: *U drzwi twoich.* Widząc ojciec dobre usposobienie humoru pańskiego, postanowił z chwili przyjaznej korzystać, a wyliczając osoby z familji, rzekł: „Szkoda! dwoje z rodzeństwa nie będą asystować p. Teresie do ślubu i błogosławić, ale cóż? księżna za granicą, a p. Józef...“ — Cóż ten p. Józef? wmpan go z ust nie wypuszcza, za cóż go tak kochasz?“ — „Bo do pana mojego i twarzą i duszą podobny!“ — „To tylko chyba w twoich oczach. No cóż

ten p. Józef?" „Możeby zjechał na wesele siostry, ale..." - „Cóż, ale?" - „Ale nie śmie". — „Dla czegóż nie śmie?" „Czyż jw. pan nie kazałeś mu napisać, ażeby się nie ważył jw. panu na oczy pokazywać?" „I wmpan mu to napisałeś?" - - „Miałżebym być nieposłusznym rozkazom mojego pana?" — „Hm!" mruknął p. wojewoda i zaczął chodzić zadumany po pokoju i ulubionej nuty nie poświstywał. Milczenie trwało chwil kilka, ojciec śledził poruszenia pana, i w chwilowo rzuconych wzajemnie wejrzeniach, śledził walkę i grę uczuć ojcowskiego serca. Czy więcej nic nie pisał do wmpana?" - „Nie." - - „I myślisz, że on mógłby się jeszcze poprawić?" — „Kto do win swoich najrzetelniej się przyznaje, wstydzi się za nie, i cierpieniem duszy pokutuje, czy ten od poprawienia się jest daleki?" — „I chciałbyś może, ażeby w ojczyste progi powrócił? ale nie, nie, jabym go widzieć nie mógł; nie! oh! on mi tyle zawinił!" mówił p. wojewoda, ale głos jego wzruszony zdradzał i surowość słów i serca uczucia. „Odpuść nam nasze winy! wymówił ojciec mój z czułością". — „Odpuszczam mu! cóż chcesz? odpuszczam, ale widzieć go! o! nie, nie mogę nigdy", — i głos coraz więcej był drżącym. „A gdyby p. Józef był tu już w domu?" to rzekłszy, przez okno od którego pan był odwrócony, ojciec dał mi znak, na który czekałem na ganku i dałem znać wojewodzicowi. — „Co! niech mię miljon set!... Co? Józef tu w moim domu?!" — zawołał p. wojewoda głosem, w którym jeszcze był krzyk, ale już zwycięstwo przywiązania nad gniewem rozpoznać można było! — „Jak on śmiał?... to już zapewnie wmpana robota?" — „Tak jest jw. panie! moja! a jeśli ten mój postępek zasługuje na naganę, to mię ukarz, to jest od usług swoich oddal, bo to byłaby dla mnie najsroższa kara!" — Nie! mój drogi przyjacielu, - - odpowie p. wojewoda wyciągając rękę do mego ojca, — czyż mógłbym mieć ci za złe tyle przywiązania do mojej rodziny? Pozwól mi tylko nabrać nieco męstwa po-

trzebnego na takie spotkanie!“ — Zaledwie tych słów domówił, drzwi się otworzyły, i syn marnotrawny był u nóg ojca. W sercu p. wojewody już gniewu nie było, ani nawet w oczach ślad jego pozostał. Przycisnął do łona ukochane dziecko, całował czoło i twarz jego, wpatrywał się w zmienione oblicze, a nic mówić nie mógł; łza tylko gorąca, łza czułości ojcowskiej, łza przebaczenia z oczu ojca na lice powróconego syna spłynęła. Ojciec mój stał na boku i oczy zapłakane ocierał; p. wojewoda wyciągnął ku niemu rękę, którą ojciec z rozrzewnieniem do ust przycisnął. „O! dziękuję ci! dziękuję, ani wiem nawet jak ci odwdzięczę za tę rozkoszną niespodziankę! Jam jednak przeczuwał, marzył, że ty ją dla mnie przygotujesz. Patrzaj! jak teraz jestem szczęśliwy! tu przy sercu syn mój ukochany; a tu uściśnienie dłoni prawdziwego przyjaciela!“ to mówiąc, przycisnął ojca mego do serca i szczerze ucałował.

— „Czy Józio widział się już z siostrami?“ — „Nikt dotąd jeszcze niewie o przyjeździe p. rotmistrza“. — „Ani p. Detiukowa?“ — „Zacóżby moja żona miała wiedzieć wcześniej od wszystkich?“ — „No! wieszże co p. Łukaszu! poszlij prosić twojej żony, żeby tu do mnie z Tercią i z Karolką na kawę przyszły, a potem poszlij za moimi chłopcami“. — Odszedł mój ojciec i syna z ojcem sam na sam zostawił. Była tam najszczersza spowiedź winowajcy, i najuroczystsze odpuszczenie sędziego. Niezwykłe tak ranne zaproszenie zdziwiło wojewodzianki, wypytywały kamerdynera: „coby to było tak pilnego, i czy niema kogo u pana?“ — „Nie wiem“, — odpowiedział ze spokojną twarzą kamerdyner. Narzuciwszy więc ranne ubranie, wojewodzianki z moją matką pośpieszyły na wezwanie p. wojewody. Jaśniało radością oblicze szczęśliwego ojca, nucił pieśń ulubioną, wesoło przyjął dobry dzień od przychodzących, ale p. Józefa ukrył wprzód w gabinecie. „Terciu! — rzecze do starszej córki — miłego dziś mamy gościa“. — „Będziemy mu z serca rade,

mon cher pere!“ — „Ale ten gość i na weselu twojem zostanie“. — „Jeżeli tak miłym jest papie, to i nam obojętnym nie będzie“. — „Kogóżbyś żądała mieć w tym gościu?“ — „O! siostrę Teonię chciałabym mieć około siebie i jej błogosławieństwo otrzymać!“ — „A tegoż?“ — zapytał p. wojewoda, otwierając drzwi gabinetu. — „Józio! Józio!“ — krzyknęły razem obie wojewodzianki i uwiesiły się na szyi brata; p .wojewodzie łzy, ani mówić, ani poświstywać ulubione „U drzwi twoich“, nie dopuściły. Tkliwa to była scena; płakali łzami radości i śmiech radości te łzy osuszał.

Nadeszli młodzi wojewodzice i kasztelanic, czułe było braci powitanie. Śniadanie było wesołe, p. wojewoda nikomu nie powiedział wmpan, wmpani, wszyscy byli: ty, wszyscy kochani. U obiadu, pił ojciec zdrowie powróconego syna; mieszkanie naznaczył mu obok swojego pokoju, bo go długo nie widział, bo nie jedną noc bezsennie o nim przemyślał, bo całą przeszłość jego zapomniał i tylko czuł potrzebę wylania uczuć ojcowskiego serca. Dzień ten był prawdziwą uroczystością, był prawdziwem świętem familijnem. P. wojewoda opowiadał swoje konfederacyjne wypadki, p. Józef smutną swoją historję, p. Karolina grała nową sztukę Bethowena, p. Teresa śpiewała włoskie arje i ulubione ojcu polskie piosneczki, bo obie pod dyrekcją Budziewicza wysoko w muzyce postąpiły, już nawet długi fortepjan, czyli pantalon Waltera z Wiednia miały.

Kasztelanic im dłużej bawił w Tuczynie, tem więcej odkrywano w nim pięknych przymiotów i coraz więcej serca wszystkich ku sobie pociągał. Wiele anegdotek o jego dobroci krążyło w Tuczynie. Te które pod mojemi oczami zaszły, wymienię. Był w Tuczynie mularz Justycki, doskonały majster i wielce od architekta Merka uważany; miał żonę, ale pani Justycka więcej lubiła kieliszek, niż dom i męża, stąd i częste nieporozumienia zachodziły pomiędzy małżeństwem. Zdarzyło się, że jed-

nego wieczora, p. Adam, słuchając muzyki w słodkich dźwiękach z pod pięknej i biegłej ręki p. Teresy wychodzącej, opóźnił się, sam do stancji aż na stajniach powracał. Ledwie wyszedł na drogę przedzielającą dwa dziedzińce, aliści słyszy jakiś głos swarliwy, niby jęczący, niby groźny, zbliża się w to miejsce, i mimo noc dość ciemną, rozeznaje kobietę, na wpół leżącą nade droga. — „Kto to?" — zapyta kobieta. — „Co wmpani tu robisz?" — zapyta kasztelanic. „A, idę do domu". — „A gdzież wasz dom?" — „Oś tut, niedaleko, ale coś mnie się w oczach kręci, a wmpan kto? pewnie pachołik którego z paniczów? bo to i młode i ładne jak paniątko. Pomóż mi wasan wstać, bo mi się coś nogi pocierpły". — „Może wmpanią do domu odprowadzić?" — „A co to: ja sama nie potrafię?" — „Ale noc ciemna i nogi nie służą, a może i złe psy na drodze". — „Ha! prawda, psy, o tam u popadi, ale ona jeszcze od psów gorsza. No chodźmy! Ale wara odemnie, żadnej podufałości, bo jakem majstrowa, jakem Justycka, zęby powybijam". — Śmiał się po cichu kasztelanic i podał ramię p. majstrowej, i ciężkie niepewne jej stąpanie silnie podtrzymywał. W domku ich jeszcze się świeciło, weszli: mularz siedział przy stole i modlił się na książce, poznał kasztelanica, i zerwawszy się z siedzenia, kłaniał się, całował ręce młodego pana i nie wiedział jak za tyle dobroci dziękować, ale p. majstrowa nic już ani mówiła, ani pamiętała. Ciepło izdebne, w moment ją objęło i cały spirytus do głowy popędziło. Zalecił p. Adam Justyckiemu, ażeby mieli oko na kobietę skłonną do napicia się, bo może być kiedyś okropny przypadek. Justycki przeprowadził p. Adama aż do pałacu, i za to został nagrodzony. Nazajutrz, nocna awantura z Justycką, była nowiną bawiącą towarzystwo pałacowe, pikowano kasztelanica: ale mularz i jego żona obsypywali błogosławieństwem młodego pana.

Potrzeba było p. wojewodzie posłać do Dubna dla Bessona 50 czer. zł. na jakiś przysłany sprawunek: oj-

ciec mój nie mógł oderwać się od zatrudnień mnogich przed bliską już bardzo uroczystością, — p. wojewoda kazał posłać pisarza Ankwicza, którego wierność i poczciwość znane już były z wielu dowodów. Do Dubna było mil ośm; wysłany wieczorem na pół drogi między Równem i Warkowiczami zanocować musiał. Nieszczęście chciało, ażeby biedak nie dopilnował się, i czy zgubił, czy mu je ukradli, dość że rano z noclegu opatrzył się że niema pieniędzy. W strachu i rozpaczy, wraca nazad do Tuczyna. Rano kasztelanic przyszedł do mojego ojca, bo z nim miał wszelkie narady o swoje przygotowania. Wtem wchodzi Ankwicz blady, chwiejący się, ledwie mówić może, rzuca się ojcu memu do nóg i z płaczem nieszczęście swoje wyznaje. Ojciec rozgniewany ostro mu wyrzuca jego niebalstwo, a niewie sam co tu w takim razie poradzić. Kasztelanic bierze go do drugiego pokoju, dobywa zwitek 50 czer. zł. i dając rzeknie: „Kochany p. Detiuk! ratujmy tego poczciwego człowieka! Niech p. wojewoda o niczem nie wie; mnie ta bagatela różnicy nie zrobi, weź to, i wypraw natychmiast pisarza mojemi końmi. Zwłokę powrotu można będzie jakoś wyekskuzować, a interes zrobi się tak, jak papa żąda". Ojcu memu łzy w oczach stanęły, uściskał kasztelanica, wyszedł do pisarza, i surowo zalecił więcej pilności i ostrożności w podobnych poleceniach: „Tysiąc złotych mój panie, to summa, to trzy lata twej służby, którąbyś utracił, gdyby nie wspaniałość jw. kasztelanica. On to łaską swoją i ciebie i dzieci uratował". Rzucił się do nóg p. Adamowi pisarz, podniósł go kasztelanic i rzekł z uśmiechem: „Ale bądź ostrożnym p. Ankwicz, bo ja na drugi raz i grosza nie dam". Pisarz odjechał śpiesznie końmi kasztelanica, i tym razem już lepiej się sprawił. a z całą rodziną swoją gorąco modlił się o szczęście tak dobrego pana.

Kasztelanic wiedział od p. Węgierskiego o pobycie moich rodziców w Ludwipolu. i był dla nich z naiszczer-

szą życzliwością i szacunkiem, a ojca szczególniejszą uniesością zaszczycał. W chwilach poobiednich, kiedy się wszyscy po swoich kątach rozchodzili, Adam najlepiej lubił ten czas spędzać u mojego ojca. Jednego dnia, p. Węgierski, kasztelanic i wojewodzic siedzieli sobie na ganku naszym z fajkami, p. Adam opowiadał figle swoje szkolne, p. Węgierski pobyt Adasia przy nim, stąd poszła rozmowa o Bystrzycach, o Ludwipolu, zasępiła się piękna twarz p. Adama, bo w sercu jego smutne wspomnienia wywołała. Służący mego ojca, słuchając ze drzwi sieunych, przez łzy spoglądał na kasztelanica; ale ten sługa, był to ów Szełest kozak, którego odesłano z Warszawy, ani mu na najusilniejsze prośby przy paniczu zostać nie pozwolono. Nie w kozackim już ubiorze, ale w wojewodzińskiej liberji strojny przystojny lokaj, po imieniu Janem był zwany. Ale w sercu poczciwego włościanina odzywała się przeszłość i przywiązanie do swoich panów. Rozrzewnienie jego zauważano, i średni wojewodzic Wojciech z drwinkami do niego przemówił: „A, p. Jan, jaki czuły! jak łaskaw! nasze rozmowy podsłuchuje!" — „Nie podsłuchałem ja jw. panie; co mi do rozmów pańskich? ale oderwać oczu nie mogę od oblicza mojego prawego pana... Jw. panie! — mówił dalej upadłszy do nóg kasztelanica — mnie tu w służbie, jak u ojca, alem ja twój poddany! Nie dano mi być przy jasnym panu w Warszawie, to pozwól odtąd służyć tobie, póki w Szeleście ducha stanie". Szczerze objął go i ucałował kasztelanic. — „O mój dobry Szeleście! twoje takie wynurzenie się, zasługuje na moją wzajemność. Wiem jak poczciwie służyłeś mojej biednej matce, a dzisiejsze położenie twoje pokazuje, że tu wierności, statku i zdolności dowodzisz. P. Detiuk pozwoli że cię znowu do osobistych moich usług biorę, rodzinę twoją całą i ciebie od poddaństwa zupełnie uwalniam; a panu, — rzecze do mego ojca, — innego usposobionego na miejsce dam człowieka. Szczęśliwym! jeśli ten poczciwy chłopiec, zawdzięczo-

mym jest odemnie, tak, jak zasługuje!" Odtąd Szelest nieodstępnym był swojego dobrego pana, a w r. 1809, zgonem swoim, życie pana swego ocalił. Szlachetna, wielka dusza była w pięknym Adamie i życie też jego piękne było!

Tymczasem zbliżały się i uroczystości i tydzień już tylko do terminu zostawał. Damy wielce były zajęte. Krojcy, krawcy, szwaczki, haftarki i różni rzemieślnicy, dniem i nocą snuli się po pałacu; ci dostawiali towarów, ci towary przerabiali na suknie, bieliznę, sprzęty i różne potrzeby sutej wyprawy. Wszystko płaciło się gotówką i ciągle ważne holenderskie dukaty z rąk przechodziły. I narzeczona nie próżnowała: razem z siostrą siedziała przy jednych krosnach, przy drugich moja matka i p. Wodińska, wyśpieszały ślubnej sukni przybory. Robota odbywała się na pokojach, bo p. wojewoda lubił patrzeć na córki igłą zajęte. Kawalerowie asystowali damom, a narzeczony nieodstępnym był swojej p. Teresy. I warta też była tej miłości i tego uwielbienia z jakiemi był dla niej piękny kasztelanic. P. Teresa nie była tak piękna jak p. Karolina, ale ileż to najpiękniejszych serca i umysłu przymiotów, ile talentów, wdzięki oblicza podwyższało! Miernego była wzrostu, i dość miała ciała, ale kibić kształtną. Włosy ciemne, rysy twarzy mniej regularne, familijne Turnów, nosek nieco zadarty, oczy pełne życia i wyrazu słodyczy, usta piękne, świeże i cudnej piękności zęby, białość twarzy, gorsu i rąk czysta i delikatna, ręka i noga malutkie i dziwnie kształtne. P. wojewoda oprócz ojcowskiego przywiązania, miał dla jej rozumu wielki szacunek, w ważnych interesach jej się powierzał, rady nawet zasięgał. Całe życie tej damy wzorowe było! A w szczęściu i niedoli umiała zachować umiarkowanie, wiarę i tę słodycz charakteru, którą od lat młodych, wszystkich życzliwość ziednać sobie umiała. Radował się ojciec pięknem jej zamężciem, odpowiednem jego życzeniu, ale czuł, że bez Terci będzie mu smutno i tęskno.

To go tylko pocieszało, że córkę niedaleką sąsiadką mieć będzie.

*

* *

Najpierwsi na wesele p. Teresy zaczęli się zjeżdżać swoi. Brat p. wojewody p. brygadjer z żoną, z dwoma synowicami Marją i Ludwiką, z kuchnią, kredensem, cukiernikiem i usługą; pp. jeneralstwo Karwiccy, p. starosta Turno, p.p. Skirmuntowie, p.p. Ksawery, Antoni i Feliks synowcowie, p. Ślaski, siostrzeniec p. wojewody, p. Zawisza z Litwy, także koligat jakiś bawiący i wprzódy w Tuczynie, wielce w salonach ceniony, a zwłaszcza z tańca. P. młody dotąd mieszkał z wojewodzicami na stajniach, ale na tydzień przed weselem przeniósł się do kamienicy w miasteczku, gdzie i dwór jego i wszystkie weselne przygotowania miały swe stanowisko. Ruch był wielki w pałacu i w miasteczku, ale nieładu nigdzie nie było. Każdy miał swój zakres, za który nie wychodził i każdy swoje porządnie spełniał.

D. 28 młodzi byli u spowiedzi. Pannie młodej towarzyszyły przybrana matka p. brygadjerowa i moja matka. Panna młoda i dwie drużki biało skromnie ubrane, a młoda obszerną zasłoną okryta była. Od południa i dalsi zjeżdżać się zaczynali. Dla ks. biskupa obiadującego u księstwa w Równem, na pół drogi wysłano powóz wojewodziński i konie, i szanowny nasz pasterz o czwartej zajechał przed ganek. Wyszedł p. wojewoda z całą rodziną na spotkanie; mój ojciec karetę otworzył i wysiadającemu ramię podstawił; wojewodzice podprowadzili na wschody; na ganku p. wojewoda i rodzina jego przyjęli błogosławieństwo i ucałowali ręce pokrewnego pasterza i na pokoje wprowadzili. Chciał mu p. wojewoda ustąpić swój pokój, ale świętobliwy kapłan obrał już sobie mieszkanie na probostwie, bo i porządne były pokoje i blisko kościoła, gdzie mu o 7 rano już być potrzeba, gdzie też i wyżsi z duchowieństwa i kler pomieszczeni

byli. Po ks. biskupie, nieustannie już przyjeżdżali goście, nie schodziłem z ganku pałacowego, bo nie powiem, że mię to bawiło, ale zachwycało. Tegoż wieczora przyjechali książęta Sanguszkowie, w-da Wołyński i strażnik Lit. z żonami, ks. Sapieha w-da Smoleński i z nim razem Ludwik Raciborowski starosta Czerwonogrodzki i podczaszy Podolski Józef Witosławski, właściciel sławnego pięknością swoją w Podolu Krzywczyka, którego położenie z siebie już okazałe, gustem swoim jeszcze więcej przyozdobił. P. wojewodzina Bełzka Potocka, kasztelaństwo Rzewuscy, Potocki star. Szczyrzecki, który, wracając od wód, wstąpił odwiedzić koligata i na ten akt uroczysty zatrzymanym został. Wszyscy domowi, na ciasnych byli kwaterach. Wojewodzice, ich krewni i rezydenci zajmowali jedną austerję w miasteczku, drugą taką przygotowano dla kawalerów przyjezdnych. W pałacu i na stajniach było 19 apartamentów dla dam. Na komisarji dla trzech domów były pokoje, a dwa porządne dworki oficjaliści na te dni kilka dla gości ustąpili. Mój ojciec ze mną mieścił się w małej izdebce przy kuchennej oficynie, a w jego mieszkaniu ks. Sanguszkowie mieścili się. Każdy dom zajezdny w miasteczku wyporządzony był dla gości. Dalej jeszcze tego wieczora przyjechał ks. Eustachy Sanguszko z żoną, niedawno zaślubioną sobie piękną księżniczką stol. kor. Czartoryską, kasztelaństwo Platerowie z Beresteczka z córką Adelą i synem pięknym Edwardem, kasztelaństwo Tarnowscy z Podberezia, starosta Denysko, generał Bobr z żoną, podkomorzy Piniński, podstolina kor. Karszyna, wojewodzina Ledóchowska, starosta Zagórski, szwagier chor. kor., strażnikowa kor. Czacka z córkami, ks. Lubomirscy Józefostwo z Równego z piękną córką Heleną, gubernator Glazenap, marszałek gub., Worcell, podkomorzy Gostyński. Stary margrabia pałacowy Urzędowski w paradnej liberji, w trzewikach z brylantowemi sprzączkami, z kapelusikiem pod pachą, zwijał się to tędy to owędy,

ale się nie pomylił i każdego na swojem miejscu ulokował, dwuch młodych zręcznych froterów miał do pomocy. Ja dosiedziałem prawie do północy przypatrując się zajeżdżającym powozom i wysiadającym z nich gościom. Uprzejma gościnność p. wojewody i ta wziętość, jakiej słusznie używał w obywatelstwie, ściągały gości do jego domu, a zaprowadzony przez ojca mego porządek, że nietylko panowie, ugoszczeni byli, ale i sługom na niczem nie zbywało, i za karm koni płacić nie mieli potrzeby, żadnego uskarżenia się, ani panów, ani sług nigdy nie wywołał.

Już tego wieczora p. Teresa pięknie ubrana, w towarzystwie drużek, nie gospodarowała na ojcowskich pokojach; p. Adamowa Walewska spełniała w domu brata obowiązek gospodyni, i gości przyjmowała. Tańców nie było, a gdy już rozchodzić się mieli, dwuch drużbów podali ręce pannie młodej, ta pożegnała czule ojca, pięknym ukłonem pozdrowiła całe zgromadzenie, i w towarzystwie tylko sióstr i mojej matki, do swego panieńskiego apartamentu odprowadzona była. Ks. biskup wcześnie udał się na spoczynek, damy także nie dosiadywały, i starsi panowie, młodzież rozsypała się po swoich kwaterach, na dwuch tylko czy trzech stolikach dogrywano wista. P. wojewoda najpóźniej się położył. Mój ojciec zdawszy panu sprawę ze stanu przygotowań na dzień jutrzejszy, obejrzawszy wszystkie kąty i dawszy zlecenia na jutro zebranym dworskim, sam także udał się na spoczynek.

Cel tych wszystkich przygotowań i trudów, i kres ich, było oczekiwane jutro! to wielkie jutro, dla domu p. wojewody, już tylko o kilka godzin było odległe. Myśl o niem, różne w różnych budziła uczucia i wrażenia. Narzeczeni niecierpliwie go pragnęli i lękali się jego nadejścia, bo jutro będzie dla nich zaczęciem nowego życia. Pojmiemy to łatwo, przypomniawszy sobie w ich położeniu. Jest to bowiem w naturze ludzkiej, że gdy czego

wielce pragniemy, wszystkie usiłowania łożymy, ażeby dopiąć naszego celu, a gdy już chwila spełnienia żądań zbliża się, radzi temu spełnieniu, chcielibyśmy jednak tę chwilę jeszcze nieco oddalić. Szczęśliwy! kto dobrze trafił, ale niestety! jak często nadzieja zawodzi! — P. wojewoda zajęty przyjęciem jak najuprzejmiej swych gości, i pewien, że ład, obfitość i porządek we wszystkiem będzie, zadowolony spokojnie zasypiał marząc o przyszłem szczęściu swej lubej Teresi. O! bo niemasz słodszej myśli dla rodziców jak myśl o szczęściu dzieci, a jeszcze dobrych dzieci! Haneczko moja! pociecho jedyna starości mojej! kreśląc te wyrazy, ojciec twój o tobie, o twej przyszłości marzy, i takiego ci szczęścia życzy, jakie było Teresy i Adama, których wesele tu opisuję! Rodzice zebrani na wesele wojewodzianki, o weselach córek swych także marzyli. Młodzież płci obojej, zazdroszcząc może państwu młodym, snuła w swych marzeniach i swoich wesel obrazy, a może i zamki na lodzie budowała. Piękna i cicha noc wrześniowa sprzyjała snom, które rozsiewając makówki swoje, słodkie marzenia spiącym nasyłały; kucharze tylko i lukiernicy tej słodyczy kosztować nie mogli.

Pałac p. wojewody nie był jeszcze wewnątrz zupełnie ukończony. Najpiękniejsza część jego, okrągła sala, zastawiona rusztowaniami, na których sztukatorowie Probst z czeladzią około sklepienia pracowali. Ale po prawej stronie, były paradne bawialne pokoje, po lewej ogromna sala jadalna, która na ten raz i za salę do tańców służyła. Wspaniałe to były, i prawdziwe senatorskie komnaty! Główny bawialny pokój, biały mozajkowy z drzwiami i oknami, suto złocistą rzeźbą ozdobionemi. Błękitne adamaszkowe firanki u drzwi i okien, i takąż materją okrytą meble biało-lakierowane ze złotą rzeźbą. Między oknami od gzymsu do posadzki zwierciadła i zwierciadło ogromne nad wspaniałym mozaikowym kominem. Przyległy gabinet o trzech parapetach, sztuczne-

mi marmurami wyłożony z takimże kominkiem. Firanek u okien nie było, meble złocistą materją okryte, a naprzeciw środkowego okna wielkie weneckie zwierciadło pięknie odbijało widok na Horyń i malownicze jego okolice. Drugi pokój bawialny, był obok pierwszego, ale już w skrzydle pałacowem i z niego przechodziło się do pokoju p. wojewody. Niższym był od głównego, ale obszerny, wesoły i ozdobny obiciem i firankami adamaszkowemi, amarantowemi i takim pokryte meble. Styczny z obydwoma bawialnemi, był bilardowy, malowany w pejzaże przez Burkiewicza, i z niego wychodziło się do głównej sieni. Sala jadalna ozdobna w arabeski naśladujące płaskorzeźby na tle szafirowem, nazywała się szafirową. Oddzielała ją od paradnego pokoju nieukończona jeszcze okrągła sala, przez którą na teraźniejszą uroczystość, architekt Merk zręcznie urządził, wygodny, elegancki nawet, płótnem wybity, wybielony i w girlandy dębowe i wazony przystrojony przechód. Nad temi pokojami na piętrze były dwa wielkie apartamenta. Po prawej od wschodów, świeżo wymalowany, pięknemi obiciami wyklejony, z firankami u okien i gustownie umeblowany, z pięciu pokojów i wielkiego przedpokoju złożony przeznaczony był dla państwa młodych. Po lewej podobnyż zajęła ks. wojewodzina Wołyńska i jej synowa. Piękne wschody wiodące do tych komnat, na ten dzień ponsowem suknem pokryto, sień drzewami przystrojono. Przy oranżerji przystawiony był ogromny namiot, gdzie stoły przyrządzano. Pokój karmazynowy i p. wojewody, do ubierania się panny młodej naznaczono. Damy zaproszone rozmieszczono jużto w pawilonach, już w apartamentach nad stajniami, a kareta zaprzężona, ciągle stojąca przed pałacem, do przewożenia dam gotową była. Sześciu lokajów i tyluż froterów naznaczono do usługi po apartamentach. Konie gościnne stały we czterech austerjach na karmie p. wojewody. Wszystko było obmyślane i opatrzone nietylko dla panów, ale i dla sług. Dla panien garderobnych i loka-

jów, był stół, gdzie uczciwe szlacheckie jadło, w czasie tych balów, więcej sześćdziesięciu osób karmiło, a w dzień ślubu i kilkanaście butelek stołowego wina zastawiono.

Nastąpił nareszcie i 29 września, pięknie pogodny i jak na jesień bardzo ciepły. Ks. biskup o ósmej już był w kościele, bo poświęcenie kościoła jest uroczystym obrzędem i wiele czasu zabiera, a szanowny pasterz chciał przy nowo poświęconym ołtarzu mieć pierwszą mszę solenną i po niej błogosławić państwu młodym. Zapowiedział więc, że na dwunastą czeka z sumą. Do tego więc wyroku stosować się musiano ze wszystkiemi ceremonjami weselnemi, które chciał p. wojewoda, ażeby obyczajem staropolskim najuroczyściej spełnione były. Rano więc wszyscy powstawać musieli i rano być postrojeni. O dziewiątej panna młoda w strojnem ubraniu z sześciu drużkami, siostrą swoją Karoliną, ks. Heleną, dwoma stryjecznemi Marją i Ludwiką, Marją Mossakowską i Adelą Platerówną do p. wojewody udała się, gdzie już przybrana matka p. Adamowa Walewska i p. Karwicka jej oczekiwały. Pokłoniwszy się do nóg ojca, otoczona drużkami usiadła przy gotowalni i panny ubierać ją na głowie zaczęły. Tymczasem damy wczoraj przybyłe zbierały się na pokoje, nowe przyjeżdżały, a wszystkie postrojone, jak na taki akt solenny przystało. Przybyli z gości marszałkowie, Rakowski, Borejko, Nowowiejski, p.p. Jełowieccy— Paweł, Mikołaj i Tomasz z żonami, starosta Zakrzewski z córką, Pruszyńscy, Czarnieccy, Lenkiewiczowa z Huszczy, Grocholski Antoni z Tereszek z piękną żoną, siostrą stryjeczną p. młodego, podkomorzy Mołodecki, chor. Kor. Stecki z dwoma synami i synowemi, wojewoda Wilga z synem i synową piękną starościanką Tłumacką siostrą małej Cesi Potockiej i innych wiele, których nie znałem i nie pamiętam. Było tak nawet, że wielu sam p. wojewoda nie przypomniał sobie; powitawszy tylko gościa, pytał ojca mego: „kto to jest?“, ale nic mu nie chybił, witał wszystkich uprzejmie i powinszowania odbierał. Całe zgromadzenie zebrało się już na pokoje, obszerne

komnaty nie były jednak za obszerne dla tylu osób, mieszczono się przecież wygodnie. W owych bowiem czasach nie było jak dzisiaj mody, żeby na wielkiej sali wywijając się, kilkanaście osób na ciasnotę narzekały. W szczupłej izdebce częstokroć więcej było wesołości, już dziś w ogromnych gmachach, bo była jedność i otwartość szczera w szlacheckich stosunkach.

Bytność gubernatora wymagała formy; ale gubernator oddawna przyjaciel, zaraz oświadczył, że od tej urzędowej etykiety uwalnia, urzędnicy jednak byli w mundurach. P. wojewoda miał żupan ze srebrzystej materji, rubinową spinką pod szyją spięty, kontusz granatowy z sajety z aksamitnemi ponsowemi wyłogami i srebrnym garniturem, mundur Sieradzkiego województwa; do tego stosownie buty safjanowe czerwone ze srebrnemi podkówkami, pyszny pas lity i bogato oprawny pałasz Puławskiego przy boku, na szyi order ś. Stanisława, przez ramię po wierzchu kontusza i pasa błękitna wstęga Orła białego, na lewej piersi dwie gwiazdy, w ręku czapeczka biała rogata z kosztownym barankiem. Śliczna to była i poważna postać p. wojewody! miał już lat sześćdziesiąt i sześć, ale można było o nim z Wirgiliuszem powiedzieć: *Jam senior, sed cruda viridisque senatus.* Wzrost słuszny ze stosowną otyłością, trzymał się prosto, chód miał śmiały i poważny, a w tańcu polskim i chód i postać majestatyczne. A twarz! nigdy tych pięknych, wspaniałych rysów nie zapomnę! Czoło wysokie i oczy pełne życia, pełne rozumu, nie przygaszone namiętnościami i zużyciem; nos wydatny, ale foremny i do dużej twarzy proporcjonalny, usta kształtne i pełne przyjemnego uśmiechu, a zęby tak jeszcze zdrowe i białe, że wielu młodych chętnie mieniałyby na swoje. Włosy znacznie posiwiałe, nosił okrągło podstrzyżone, na świeżej twarzy mało miał zmarszczków, a i te wtedy się tylko pokazywały widoczniej, kiedy silniejsze uczucie smutku lub gniewu sercem owładło.

Taka była powierzchowność tego dostojnego pana,

a pod tą piękną postacią, jeszcze piękniejsza ukrywała się dusza. P. wojewoda był krwistego temperamentu, i posiadał jego łagodność i żywość aż do uniesień; nigdy jednak nikogo w gniewie nie ukrzywdził; a wspierać bliźnich i łzy cierpiących ocierać miał sobie za powinność, jak codzienną modlitwę, za potrzebę życia, jak chleb powszedni. *Odpuść nam nasze winy,* było świętem jego prawidłem, to też urazy łatwo przebaczał, z tymi nawet, z którymi z interesu proces mieć musiał, w niezachwianej żył przyjaźni. Pobożny bez przesady, hojny bez rozrzutności, rachunkowy bez chciwości, wierny w danem słowie, wytrwały w pracy, nie zachwiany w przeciwności, nie dumny w szczęściu, arystokrata z równymi, przystępny i uprzejmy dla niższych, szacował tych, co uczciwą pracą dorobili się majątków, a czy magnat z przodków, czy szlachcic dorobkowy, byle uczciwy człowiek, zarówno u niego miał cenę. Dla poddanych był ojcem, dla sług najlepszym panem, ale był sprawiedliwym, zasługę nagradzał, przestępstwom nie pobłażał. Rzadko był w złym humorze, co poznać można było po milczeniu i zasępionej twarzy. W uniesieniu pierwszem wyrażeniem było: „niech mię miljon set!“, ale to po chwili ustawało, a udobruchany uśmiechał się i nucił, lub poświstywał „U drzwi twoich“. Pięknie a nawet wymownie tłumaczył się i pisał ojczystą mową i po łacinie łatwo rozmawiał; francuski język rozumiał tylko. Wesołym był i lubił w drugich wesółość, to też dom jego sławił się zabawami, bez nadużycia, bez nadwerężenia majątku. Jakim był gospodarzem, poświadczała wzorowa uprawa roli, bogate gumna, zamożny byt poddanych, porządne zabudowania gospodarskie, i porządnie utrzymane drogi. Za słabe jest pióro moje na oddanie wszystkich zalet, któremi świetniał ten mąż znakomity! Był to wzorowy przykład ojca, pana i obywatela, był to magnat, o jakich nam tylko dzieje wspominają, a o jakich następne pokolenia wyobrażenia nawet sobie zrobić nie potrafią. Wymowniejsze stokroć od moich usta, oddały mu hołd należny, a w historji naszej imię

jego piękną zajmuje kartę. Z prawdziwą rozkoszą szczycę się tem, że mój ojciec służył takiemu panu, że jego szacunek i ufność pozyskał; i tem się szczycę, żem w tak zacnym domu wziął wychowanie.

Już prawie wszyscy goście byli na pokojach, gdy wszedł pan młody, a z nim dwunastu druhów. P. młody z całą na wesele zaproszoną młodzieżą umówił się, aby mieć jednakowe przyjacielskie mundury, a chcąc jeszcze więcej zaskarbić sobie przywiązanie przyszłego teścia, wybrał mundur województwa Sieradzkiego. Wszyscy mieli fraki granatowe z ponsowemi wyłogami, spodnie i kamizelki białe, buty węgierskie z ostrogami i okrągłe kapelusze z białemi kokardami. Solenizant mile przyjął powinszowania zacnej młodzieży, a przyszłego zięcia serdecznie uściskał. Drużbami byli: trzech braci rodzonych p. młodej i trzech stryjecznych, dwaj książęta Lubomirscy, dwuch rejentów, p. Edward Plater i p. Zawisza. Było ich wszystkich do trzydziestu, ale czyż podobna wszystkich spamiętać? bliżej tylko znajomych wymieniłem.

Tymczasem, kiedy panna młoda ubrana już na głowie, wyszła do ojcowskiego pokoju dla przywdziania sukni, sześć panienek i tyleż chłopczyków z pokrewnych lub zażyłszych sąsiadów, wnieśli sześć ogromnych tac srebrnych z bukietami, przy każdym bukiecie była iglica złota z wyrytym rokiem i dniem ślubu. Cztery drużki: p. Karolina, ks. Helena i dwie stryjeczne panny młodej wzięły się do przypinania bukietów, biorąc dla dam od chłopczyków, od panienek dla mężczyzn. Dwieście iglic nie wystarczyło dla wszystkich, choć duchownym bukietów nie dawano. W ciągu tej ceremonji w głównym bawialnym pokoju rozścielono pyszny perski dywan p. młodego i postawiono na nim wspaniałe krzesło. Obok krzesła stał stolik nakryty białą jedwabną złotem przerabianą serwetą, na nim na srebrnej tacy chleb i sól, a na drugiej starożytnej złotej, leżała korona ślubna, zrobiona z zielonego aksamitu na drótach i o sześciu zębach zaokrąglonych,

otoczonych sznurem z brylantów, na płaszczyźnie każdego zęba astor brylantowy, a podług ówczesnej mody, osobna opaska na głowę. Znakomite matrony zbliżyły się dla oplecenia korony mirtem i rozmarynem z pięknych drzew przez p. młodego przywiezionych. Przypięcie korony zostawiono stryjence, zastępującej matkę, i najbliższej kuzynie p. Karwickiej. Pierwsza miała na zielonej atłasowej takąż krepową, złotem haftowaną suknię, na głowie strój z drogich koronek ze złotemi kłosami. Druga, na atłasowej białej srebrną koronką obszytej, w aksamitną amarantową greczynkę djamentami obszytą i usznurowaną odziana była na głowie z takiegoż aksamitu opięcie z brylantami i białem piórem.

Gdy już panna młoda zupełnie ubraną była, dwaj bracia wprowadzili ją do salonu. Suknia jej była biała krepowa, bogato srebrem haftowana, na białej atłasowej; kryza koronkowa, włosy pięknie utrefione, pół warkocza w pukle upięto, połowa w kształtnych kędziorach na piękną szyję spadała. Wszyscy wchodzącą uprzejmym powitali ukłonem, ojciec ją uściskał i wskazał na krzesło, dokąd ją bracia doprowadziwszy na bok się usunęli. Przystąpiły matrony, drużki bukiet przypięły, a dwie matki przybrane uwieńczyły koroną. Podeszli dwaj drużbowie bracia, podali ręce pannie młodej; p. młodego prowadziły wojewodziaka Karolina i księżniczka Helena, obie w różowych krepowych sukniach ze srebrem, na atłasie, w różach na głowie i same jak róże. Zaproszono p. wojewodę na krzesło. Dotąd szanowny starzec rozmawiał wesoło, zcicha nucił śpiew ulubiony, ale w tej uroczystej chwili silne uczucie sercem owładło. Milcząc usiadł na krzesło, i usiadł sam tylko, bo nie było matki, którąby z nim tę uroczystą radość dzieliła; a kiedy córka i zięć do nóg mu upadli, głośno się rozpłakał, głośno, wzniosłszy ręce i oczy, z psalmistą modły do Boga zanosił i głośno, położywszy ręce na głowach dzieci, ze łzami zlał na nich serdeczne ojcowskie błogosławieństwo. Nie było nikogo z przytomnych, coby się tym widokiem nie wzruszył.

Wstał p. wojewoda z krzesła, ale przybrana matka miejsca jego nie zajęła, ani młodym pokłonić się dopuściwszy, szczerem uściśnieniem im błogosławiła; przed poważnemi jednak matronami kłaniali się i za błogosławieństwo ucałowaniem ręki dziękowali, ojcowie familji uściskiem ojcowskim błogosławili. Gdy młodzi całe koło wiekiem poważnych obywateli obeszli, p. wojewoda wziąwszy ojca mego za rękę — „Terciu, rzecze, i Adasiu! oto jeszcze najżyczliwszy i najszczerszy nasz przyjaciel, a jemuż się nie pokłonicie?“ Rzucili się oboje państwo młodzi w objęcie mojego ojca, a cicha łza i uścik braterski, wiernie tłumaczyły uczucia i błogosławiącego i odbierających błogosławieństwo. W tem wszedł p. Burski, koniuszy, także w drużbowskiej barwie, dając znać, że jw. pasterz czeka ze mszą. I mnie p. wojewoda ślicznie na wesele p. Teresy przystroił: miałem białe majtki, czamarkę granatową z ponsowym aksamitnym kołnierzem i srebrnemi potrzebami, czapeczkę szafirową aksamitną i białe rękawiczki, bo ja tacę z koroną za jw. panem do salonu wniosłem i przy niej, dopóki damy się nie zbliżyły, jak na warcie stałem. Miałem już naówczas lat dwanaście.

Ruszono się do odjazdu: dwuch braci stryjecznych podali pannie młodej ręce do karety zupełnie odkrytej; usiadła z nią przybrana matka i cztery drużki. Pan młody i trzydziestu drużbów asystowali konno przy powozie panny młodej. Kościół od pałacu odległy na parę tysięcy kroków; a kiedy panna młoda wysiadła przed kościołem, ostatnie powozy ledwie z pałacu wyruszyły. Ślicznież to było patrzeć na ten długi szereg paradnych karet, w bogatej uprzęży dzielnych koni i strojno przyodzianej służby. Nic już podobnego później widzieć mi się nie zdarzyło i nikt już może nie zobaczy, i to nawet, co świadek naoczny tu opisuje, za lat niewiele zmyśloną tylko powieścią zdawać się będzie. Zmieniły się zwyczaje, stroje i obyczaje nasze starodawne: wiek postępu wyśmiałby je może dzisiaj; wyśmianoby może obrzędy weselne wojewodzianki, i tę szlachecką poczciwą rubaszność, i tę

łączność obywatelską sąsiedzką, jaka wiązała szlachtę w złym i dobrym razie. Było to życie powszechne, wspólne! Rozprzęgało je powoli panowanie Stanisława - Augusta, dzisiejsze ucywilizowanie zupełnie rozprzęgło. Zrodził się nieznany ojcom naszym egoizm i silnie wzrasta. Zdaje się nawet, że z czasem i rodzinne krwi związki rozwiążą się, i tylko spekulacyjne stosunki zostaną. Wyśmieje mnie może z mojemi mniemaniami, oświecone dzisiejsze pokolenie, jako starego, ciemnego stronnika przeszłości, jako nieprzyjaznego postępowi, a przyjaznego starodawnym uprzedzeniom; ale ja, nie zaprzeczam nieocenionym korzyściom dzisiejszego oświecenia, szanuję wykształcenie obyczajów, uwielbiam mężów, pod których wpływem krzewią się nauki i użyteczne wynalazki, i umysłowe udoskonalenie, lecz żądam uczuć, szukam serc! „Miej serce i patrzaj w serce!“ święte słowa naszego nieśmiertelnego wieszcza!

Do kościoła wprowadzili pannę młodą ks. Lubomirscy, p. młodemu towarzyszyły dwie stryjeczne. Msza św. już się była zaczęła, goście zajęli ławki i krzesła. Pierwsza msza w nowo poświęconej świątyni Pańskiej celebrowana przez pasterza djecezji, była na intencję solenizanta fundatora i nowożeńców. Wyborna muzyka chorążego kor. grała na chórze; panie Dydyńska i Szopowiczowa, w towarzystwie p.p. Zwierzchowskiego, Szopowicza, mego wuja i śpiewaków Międzyrzeckich, harmonijnemi głosy, zachwycały modlących się Chrześcijan, przejmując ich serca wiarą, miłością i nadzieją, wraz z ich modłami wznosiły się w niebieskie sklepienia. O! bo nic tak nie wzbudza ducha czystej pobożności, jak piękny śpiew w czasie spełnienia świętej ofiary ołtarza. Ale ileż to z nas, ciekawych słyszenia pięknej muzyki, dla niej tylko idziemy do kościoła, i ani nas obchodzi, co się przed ołtarzem dzieje! Za naszych ojców tak nie było!!!

Po mszy świętej ks. Piaskowski oficjał wstąpił na kazalnicę; a tymczasem ks. biskup odszedł do zakrystji i tam posiliwszy się kawą, i zmieniwszy obłóczenie, miał

czas odpocząć od trudu długiej i nużącej ceremonji poświęcenia kościoła i celebrowanej solennie sumy. Bo też i kazanie było długie; do trzech ważnych okoliczności zastosować je było potrzeba; naszpikowane było jw. i jośw. tytułami domów spokrewnionych z państwem młodemi. Pięknie jednak mówił i chwalono go, a niosąc i solenizantowi i nowożeńcom najprzyjaźniejsze życzenia, zakończył temi słowy: *„ad multos annos, ad multos annos“*. Skończyło się kazanie, ruch się zrobił w kościele, bracia p. młodej podali ręce p. Teresie i raz jeszcze powiedli ją do nóg ojcowskich i raz jeszcze ojciec ją pobłogosławił; potem żegnała się z pannami i wszystkich głębokim ukłonem pozdrowiła. Otworzono balustradę ołtarza, pasterz siedział już na krześle przed ołtarzem w paradnej asystencji djecezalnych dygnitarzy; młodzi upadli mu do nóg jako pasterza i bliskiego krewnego, podniósł ich, do serca przycisnął i łzą miłości chrześcijańskiej czoło ich skropił; krótko i wymownie wskazawszy im obowiązki małżeństwa, połączył ich ręce, wstał i z odkrytą głową słuchał ich przysięgi. Cóż to była za piękna, jak święta postać naszego pasterza! W oczach jaśniała wiara i ewangieliczna słodycz, uśmiech był anielski, a wymowa ś. Pawła i Chyzostoma. Po ślubie zaintonował „Te Deum“, zabrzmiała muzyka z trąbkami i kotłami, uderzono w kościele i po cerkwiach we dzwony i dwadzieścia cztery razy na wiwat z moździerzów wypalono. Panna młoda witała mężatki i odbierała przyjazne ich powinszowania.

W prowadzeniu p.p. młodych wielka zaszła odmiana: usunęły się drużki i drużbowie odstąpili, miejsce ich poważne matrony i sędziwi ojcowie zajęli. Pannie młodej podał ręce Glazenap i ks. wojewoda Wołyński; p. młodego prowadziły przybrana matka i ks. Józefowa Lubomirska. Oglądał się p. młody w stronę tylko pięknej matki, mającej na ten dzień córkę równych lat z sobą, a mównej, lecz podeszłej i już nie pięknej, ze spuszczonemi oczyma odpowiadał. Jadąc do pałacu w tejże co i wprzód karecie siedziała panna młoda z przybraną matką i z p. Kar-

wicką, i panu młodemu z zaślubioną usiąść kazali. Sami więc drużbowie bez naczelnika, z mniejszą już gorliwością pannie młodej, a z większą ochotą drużkom asystowali. Między pałacem a kościołem jest piękny staw, a na nim porządna grobla. Przy wjeździe na groblę wielka gromada włościan z dóbr p. wojewody czekała państwa młodych z chlebem i solą, a Jakób dziesiętnik pałacowy powitał ich pięknemi ruskiemi słowami, niosąc im życzenia i błogosławieństwo poddanych, i podarek, znalezioną w wałach Tuczyńskich starodawną jakąś srebrną tacę, dość nawet kosztowną. Mile przyjęli życzenia i podarek, a pan młody coś im ofiarował, bo nizkim pokłonem i głośnem wykrzyknikiem swoje zadowolenie okazali. Tymczasem ojciec mój i muzyka pośpieszyli przodem; powozy sunęły się zwolna i p. wojewoda wszystkich wyminął, ażeby dzieci na swoim progu powitać. Pannę młodą wysadzili z karety stryj i p. Karwicki, pana młodego wprowadziły na ganek, siostra jego, p. Grocholska, i pani Walewska. Na ganku powitała ich muzyka chórem, którego stosowne słowa ułożył Kajetan Marcinkowski, a muzykę Budziewicz; p .wojewoda podał im chleb i sól i ojcowskiem rzewnem uściśnieniem błogosławił. Wszyscy goście zbierali się w szafirowej sali, gdzie przygotowano lekkie śniadanie, nim wszyscy goście się zbiorą.

Stół w oranżerji 60 łokci długiej, 20 szerokiej, w łuk zagiętej, w całej jej długości był przygotowany z trzema bocznemi wystawami. Sześć drzew pomarańczowych w stół wprawionych, rozpościerały nad stołem piękne swoje gałęzie, a każdej pień okryty był kwiatami. W pośród tych klombów srebrne serwisy z ogromnemi wazami, figury z saskiej porcelany, piramidy z ciast i cukrów, kosztowne kryształowe na srebrnych podstawkach, do napojów przybory, tworzyły całość bogatą, okazałą, rozmaitą i gustowną. Stół w oranżerji miał sto sześćdziesiąt nakryć, w namiocie mieściło się jeszcze dwa stoły, każdy na pięćdziesiąt osób. Dano znać do stołu, ruszył ks. biskup, za nim panna młoda prowadzona przez gubernatora

i ks. wojewodę wołyńskiego, p. młody podał rękę ks. wojewodzinie i p. kasztelanowej Tarnowskiej. P. wojewoda i drudzy obywatele prowadzili pierwsze damy i długim szeregiem szły pary za parami. Prócz ks. biskupa i pierwszych prałatów, reszta duchowieństwa zajmowali cały jeden stół pod namiotem. U głównego stołu na pierwszem miejscu posadzono państwa młodych, ks. biskup i wojewodzina wołyń. najbliżej nich zajęli miejsca, nikomu z gości w rozmieszczeniu u stołu nie uchybiono. Panny wszystkie siedziały u wielkiego stołu, kawalerowie poza stołem damom asystowali, a jednak wszystkie trzy stoły zajęte były. P. Salukiewicz niegdyś księcia prymasa Poniatowskiego, dziś p. wojewody kuchmistrz, wszedł paradnie wystrojony we fraku aksamitnym, złocistej kamizeli, ufryzowany, upudrowany, w trzewikach z batystowym przed sobą fartuchem i z nożem w złoto i perłową macicę oprawnym (dar ks. prymasa), i pokłoniwszy się państwu młodym, podał im na srebrnej tacy opleciony rozmarynem, z cyframi ich marcepan, potem wziął się do częstowania potrawami i francuskiemi i krajowemi, w których dnia tego najwyższy dowód dał swojej doskonałości w sztuce kucharskiej. Weszły kielichy, szampan nie był jeszcze tak upowszechniony, jak teraz, podawano go jednak równie jak i inne wyborne francuskie i reńskie wina, jak porter i piwo angielskie, ale podawano po pewnych potrawach systematycznie i nieskąpo, i tem już rozporządzał Salukiewicz, bo pan jego dawny i gastronomem był i win wyborowych używać umiał. Ale, gdy przyszło zdrowie państwa młodych, piwniczy Remański wniósł na złotej tacy kryształowy kielich z herbem p. wojewody na obstalunek w Czechach zrobiony, prawie kwartowej miary; lecz po sutym obiedzie półtorawiekowy węgrzyn nie zastraszał w tej ogromnej mierze i owszem zachęcał do spełnienia wiwatu. P. wojewoda skinął na mego ojca, ten wstał, i pokłoniwszy się ks. biskupowi kielich mu podał. Powstał szanowny starzec, a podniósłszy nalany złocistym tokajem kielich, błogosławił mło-

dym, którzy aż do nóg jego się pokłonili. Przeszedł kielich do p. wojewody, od niego do gubernatora i krążył dalej z rąk do rąk poważnych obywateli. Gubernator wniósł toast solenizanta, solenizant ks. biskupa i gubernatora, po kolei ojców familji, dam stanu duchownego, pięknych drużek i t. p. za każdym toastem zmieniano kielich, a każdy był dobrej miary, za każdym toastem brzmiały trąby i kotły, huczały moździerze.

Długo przeciągnął się obiad, słońce jednak jeszcze nie zaszło, jak się skończył. Wstających od stołu pan Adam Walewski, stryj panny młodej zaprosił na wety na górne pokoje. Co tylko najwyborniejszego z owoców, co najwykwintniejszego z cukrów, co najdroższego z win, wszystko to tam się znajdowało. Stół wielki okrągły, zasłany obrusem, złotem przerabianym, na środku ogromny kosz srebrny prześlicznej roboty, a w nim malowniczo ułożone brzoskwinie, pomarańcze, banany, melony drzewne, winogrona i wiśnie, uwieńczone ananasami; w czterech koszach kryształowych, były melony, kawony, rozmaite śliwki, bery i inne; na misach kryształowych podobneż owoce z lodów, oszukiwały patrzących doskonałością naśladowania, — wszystko, nawet cukry w malowniczym porządku ułożone były. Wokoło stół otaczały kosztowne talerze z francuskiej porcelany i złote sztuce, a do napojów angielskie i czeskie kryształy. Było tam czem i oczy nasycić, i wykwintne podniebienie zadowolić i najwyborniejszych win zagranicznych dosyta się napić. Uprzejmy gospodarz hojnie częstował gości. Weszły puhary, lały się obficie wyborne napoje, i tu dopiero wszedł obficie kosztowny prawdziwy szampan, i owe wysmukłe kielichy, które tak miło na brzegach Wilji nasz szacowny Chodźko odmalował. Szampanem zdrowie państwa młodych spijano. Wiele jednak osób, po utrudzeniu i rzęsistych przy obiedzie wiwatach, potrzebowali odpoczynku; ks. biskup nawet od deseru się wymówił. Liczni jednak byli biesiadnicy, gospodarz rozweselał, zachęcał, goście nie żałowali ni sobie, ni siebie, a wesołość rosła.

Glazenap, ujęty miłem przyjęciem i uprzejmą otwartością wojewodzińskiej rodziny, pijąc może po raz dziesiąty zdrowie solenizanta, w wylaniu serca, wśród najczulszych oświadczeń, ugiął przed nim kolano. Podchwycił klękającego i z rozrzewnieniem uściskał. P. Adam kazał podać węgrzyna, ale jakiego! pięć dukatów butelka! i kielich spory z napisem „kochajmy się", — i spełniano ten toast w pośród najserdeczniejszych braterskich uścisków. Tymczasem dwuch ich stryjecznych podnieśli krzesło, i gdy gubernator zabierał się schodzić na dół, posadzili go i niosąc na ramionach i śpiewając stosowne chóry, spijali zdrowie jego i tłukli po wschodkach kieliszki. Gdy tak nasi obywatele raczyli się u kochanego p. Adama, damy wymknęły się, starsze dla odpoczynku, młodsze dla zmienienia stroju na lżejszy do tańców, niektóre zaś czując, że choć przyciężki, ale do twarzy, i do tańców go nie zmieniły. Drużbowie także poszli zamienić buty na trzewiki, bo etykieta ówczesna wymagała na wielkim balu być chaussé. A mógłże być bal uroczystszy nad imieniny i wesele w domu takiego magnata?

Nie wiele było czasu między deserem i tańcami, bo i wtedy kończyły się przy świecach, w licznych bronzowych i srebrnych świecznikach, misternie i gustownie ustawionych. Kiedy więc damy od siebie wracały, sala szafirowa już była wspaniale oświecona, równie i inne pokoje. Muzyka stroiła instrumenta, lokaje i frotery jeszcze przymiatali salę i ustawiali krzesła, wpośród których pod główną ścianą było wyższe siedzenie dla ks. biskupa. O ósmej zaproszono gości na salę. Ks. wojewoda smoleński, najstarszy wiekiem, poprowadził pannę młodą; skoro weszli, muzyka hucznie zabrzmiała narodowego. P. wojewoda szepnął na ucho księciu, ten się posunął, ale par więcej nie postąpiło; bo to był taniec ceremonjalny weselny. Książę oddał p. młodą gubernatorowi, następnie inni poważni ojcowie podali rękę p. młodej, ostatni oddał ją stryjowi, stryj bratu starszemu, ten pokłoniwszy się oddał ją ojcu. P. wojewoda obszedłszy z córką salę i przez

wszystkie pokoje, jakby dla pożegnania ojcowskich progów, oddał ją p. młodemu. Pokłonili się oboje do nóg ojcu, zatrzymawszy się potem z pokłonem przed ks. biskupem, poszli w taniec, a za nimi nieprzeliczone posunęły się pary. Po pierwszem obejściu sali, poważni obywatele zatrzymali taniec, i zdrowie pierwszej pary spijali. Po kilku polskich, które już p. wojewoda, już inni dostojni panowie z pierwszemi damami zaczynali, nastąpiły skoczne tańce: już to cudzoziemskie kadryle, anglezy, tampety, alagrelli i walce, już to nasze narodowe mazury i krakowiaki. Były i tańce popisujące się. Uproszono ks. Eustachową, że z ks. Fryderykiem Lubomirskim tańczyła menueta ,a z jakimże wdziękiem i powagą piękna księżna wykonała ten okazały taniec! Księżniczka Helena popisywała się z nieznanym jeszcze na prowincji szalem, i wszystkich zachwyciła i serca ku sobie pociągała. Ale nic podobnego wrażenia zrobić nie mogło, jak kozak p. wojewodzicowej Wilżyny z Hieronimem. Nie odda pióro moje tych zalet, jakiemi taniec ten się odznaczył. Kibić, ręce, nóżka, wybór kroków i na wszystko rozlany wdzięk czarodziejski, opisać się nie dadzą, zapomnieć ich jednak nie podobna. Wstrzęsły się mury pałacu oklaskami, zdrowie wojewodzicowej z trzewiczka spełniano.

Po północy odprowadzono państwa młodych z muzyką do ich apartamentów, gdzie pan młody wystąpił z cukrową kolacją, równającą się deserowi stryjaszka; ale nie było komu nią się delektować. Pannom nie pozwolono być na tym bankiecie, młodzież panien odstąpić nie chciała, to tańcując z niemi, to im znosząc z góry łakocie, były więc same poważne osoby, i krążyły kielichy win wybornych, ale już nie z takim zapałem, jak przy obiedzie i na wetach. Po godzinie wrócili i starsi na salę, wesołość nieustawała, hulała młodzież i nie mało z poważniejszych w tańcu im dotrzymali. Światło dnia, wpadając przez ogromne okna i mięszając się ze światłem świec po raz drugi dogorywających, nie miłym odblaskiem raziło oczy, i wielce nie korzystnie odbijało się na licach niespaniem i tań-

cem znużonych; nareszcie przyszła przecie komuś uwaga, że to już dzień, i rozeszli się.

Nazajutrz nikt ani myślał o rannem wstawaniu, wszyscy dosypiali wydartych chwil nocy, i starali się wynagrodzić tyle niedospanych godzin. O dziesiątej p. wojewoda dowiedział się do państwa młodych, ale jeszcze spali. O pół do dwunastej p. młoda z moją matką tylko pojechała do kościoła, i z gości nikt im nie towarzyszył. Około drugiej dopiero zaczęto się zbierać na pokoje. P. młoda w paradnej różowej materjalnej sukni, we włosach utrefionych tylko oczekiwała czepka, bo p. wojewoda chciał, aby równie ceremonjalnie był włożony jak i korona. Czepek ten, był to upominek p. młodego, umyślnie od pierwszej modniarki w Warszawie Lazarewiczowej sprowadzony. Gdy się już damy zebrały, p. służąca wypakowała go z pudła. Był on z drogich koronek z różowemi wstążkami i kwiatami, a pod niem podług ówczesnej mody djadem djamentowy. Mimowolny okrzyk dał się słyszeć między damami, nic bowiem podobnie bogato strojnego, a razem tak gustownego nie widziano tu na prowincji. Przybrana matka z kilką poważnemi damami oczepiły tym pysznym strojem panią młodą i do swojego grona zabrały.

Prócz duchowieństwa mało co z wczorajszych gości ubyło. Dzień drugi wesela, jako imieniny ks. wojewody Woł. i wojewodzica Hieronima obchodzono, ale książę równo z dniem wyjechał, księżna z synową zostały. I tego dnia nie mniej okazała była uroczystość. Dla urozmaicenia zabawy ułożono tego dnia płynąć Horyniem do Holenderni, za rzeką leżącej. Była to w istocie krowiarnia, gdzie kilkadziesiąt sztuk wybornego bydła starannie utrzymywano. Na spadzistości pagórka stał domek o trzech pokojach drewnianych, biało i zielono pod lakier malowanych, ze złoconemi obwódkami; po drugiej stronie miała mieszkanie zasłużona staruszka, p. Siewrukowa, doskonale znająca się na chowie bydła i urządzaniu nabiału, dozorczyni Holenderni. Przed domem obszerny aż

do wody dziedziniec, za domem rozciągał się piękny gaj, gdzie rozmaicie rozrzucone drogi, z wdziękiem rozdzielały się i schodziły. Ogromny bat o maszcie i drugi mniejszy, ośm par pozbijanych czółen przygotowane do tej żeglugi, oczekiwały na łasze Horyniowej pod górą pałacową. Dla bojących się wody były powozy i najstarsi je zajęli, młodzi i młodzież woleli wodną przejażdżkę i falom się Horynia powierzyli. Dwie pary największych czółen zajęła muzyka, i przygrywając płynęła przed większym batem, na którym p.p. młodzi w pięknem gronie płci obojej żeglowali. Krótko przed zachodem słońca przypłynęli do Holenderni, gdzie ich przyjemna czekała niespodzianka. Drużbowie cichaczem wystąpili z podwieczórkiem, nieustępującym okazałością i wyborem traktamentu, ani deserowi p. brygadjera, ani cukrowej kolacji p. młodego. Gdy przypłynęła kompanja, p. Siewrukowa wyszła do młodych z chlebem, solą i błogosławieństwem, a za nią przypędzono prześlicznych sześć krów tyrolskich z przychówkiem na nowe gospodarstwo Terci od ojca. Potem wybiegło z gaju ośm dam i tyleż kawalerów, ubranych po krakowsku i zaprosili całą kompanję na pierogi i kurczęta. Uczta długo się przeciągnęła, i zmrok był już ciemny, gdy się do powrotu zabierano, ale, że noc była cicha i pogodna, całe więc towarzystwo wodą wracać wolało. Po brzegach rzeki paliły się beczki smolne, statki pięknie lampami ozdobione płynęły zwolna, a żeglarze w miłej biesiadzie i przy dźwiękach muzyki, ani się postrzegli, jak czas uleciał i do przystani przybyli.

Na górze zebrani oficjaliści i słudzy oczekiwali powracających państwa, powitali hucznym wystrzałem z moździerzów i wnet cała droga do pałacu zajaśniała kolorowemi lampami i palącemi się cyframi. Na górze palił się wspaniały fajerwerk, za którym ukryta muzyka i śpiewacy zabrzmieli chórem, ułożonym przez ks. Żebrowskiego, rektora szkół Międzyrzeckich, od wiernych i życzliwych sług, najlepszym panom. Muzyka była Budziewicza, który i talentem swoim i kieszenią do składki oficja-

listów na to przyjęcie należał. Zebrani potem na salę goście do rana się bawili i z rozwidnieniem zupełnem Tuczyn opuszczali.

Na trzeci dzień zostali tylko pokrewni i ściśli przyjaciele. Chorąży kor. na następny dzień wszystkich do siebie zaprosił, muzykę odesłał, i sam na obiad tylko pozostał. Pili po obiedzie jeszcze może więcej, niż dni poprzedzających, i w słodkiem rozmarzeniu, z najprzyjaźniejszemi wynurzali się uczuciami. Chor. Stecki chciał się cichaczem wymknąć, kareta stała przed pawiljonem, więc o ile mu wiek pozwolił, pośpieszał, wsiadł do karety i kazał ruszyć z kopyta. Byłem na ganku, a że mi się nie zdawało, ażeby nasz pan pozwolił na taki odjazd sąsiada i powinowatego, jednym skokiem byłem na sali i znać p. wojewodzie dałem. Z żywością dwudziestoletniego młodzieńca dognawszy karetę, chwycił za koło i wstrzymał sześć koni kłusem bieżących. „A panie Janie!" — zawołał: — „niech mię miljon set..." Także to ty mnie kochasz? a godzisz się najprzyjaźniejszego ci sąsiada tak ukradkiem opuszczać?" — Nie było co mówić: i reszta kompanji z kielichami nadbiegła, wyciągając z karety, prowadzą pod ręce i na ganku nasze narodowe „kochajmy się" spełniają. Ja widząc ten dziwny dowód siły p. wojewody, osłupiałem, nie mogłem się opamiętać i do dziś jeszcze z podziwieniem wspominam. Wieczorem młodzież niesyta dwudniowych tańców, uprosiła Budziewicza, że im grał i tańcowali, a nawet p. wojewodę i chorążego koronnego do mazurka wciągnęli. Tego dnia po wszystkich folwarkach p. wojewody wyprawiono bankiety dla włościan i dla ubogich na uczczenie wesela panny Teresy, którą wszyscy, jak anioła opiekuna kochali i czcili.

Takie to było wesele p. Teresy Walewskiej; opisałem je z wielu szczegółami, które tak mi świeżo w pamięci zostały, a których trudno zapomnieć. Nie wzbudza to opisanie może interesu we względzie osoby, po której dzieci tylko zostały i dalsza rodzina, która jej nie pamięta, albo nawet jej nie znała; ale może zainteresować obraz oby-

czajów ówczesnych, i wspomnienie tej braterskiej jedności, tej szczerej wzajemnej życzliwości, tej sprawiedliwości w ocenieniu zasługi drugich i osobistej godności, jakie cechowały poczciwych ojców naszych. Przywykły od dzieciństwa patrzeć na tyle rodzin najznakomitszych naszego kraju, nauczyłem się poznawać, co jest arystokracja naszych magnatów, jakie są ich charaktery, uczucia, sposoby myślenia i wzajemne ich między sobą stosunki, ale nauczyłem się razem i oceniać ich wartość! Nie dziw więc, że z taką życzliwością, z taką czcią, wspominam p. wojewodę i jego rodzinę, bo zostawili po sobie zaszczytną pamięć u wszystkich, a jeszcze droższą dla mojego serca!

Po weselu pp. Bieżyńscy wybrali się do domu w Bystrzycach, bo p. Adam w Ludwipolu mieszkać nie lubił. Wyjeżdżając hojnemi upominkami odpłacał się za oddane mu w czasie wesela usługi i wszystkich zadowolił. Żegnając się z moim ojcem, przy dziękczynnem uściskaniu i upominku, oświadczył, że aż do skończenia szkół w Międzyrzeczu, corocznie na utrzymanie moje po trzysta złotych wypłacać będzie, i zaraz na rękę ojca piętnaście dukatów za pierwszy rok wyliczył. Dobroczynna ta suma dostateczną była na uczciwe utrzymanie szlacheckiego dziecka, jeżeli na prywatnej stał kwaterze. Mnie umieszczono u staruszki szlachcianki Rembiszewskiej, bardzo porządnie, i za dozorcę miałem Skoczkowskiego, młodszego brata mojego pierwszego nauczyciela. Nie miał on tyle nauki co Józef, ani tyle był ogładzony, ale był moralny chłopiec i celujący w szóstej klasie. Nie wiele miał ze mną do roboty, bo przygotowanie moje przy Szpowiczu wszystko mi ułatwiło. I dobrze mi szło w Międzyrzeczu i miałem łaskę u ks. rektora, któremu polecił mię Szopowicz. Nie mam co opisywać pobytu mego w szkołach, bo ten sam dla wszystkich uczących się. Nie świetniałem nadzwyczajnemi zdolnościami, ale się i wyprzedzić nie dałem, a że byłem więcej wesoły niż swawolny, to i bez

kar szkodliwych się obeszło i promocję do piątej klasy otrzymałem. Przez ten rok żadnych stosunków z uczniami nie zabrałem, w wielu bowiem nie znalazłem tego ogładzenia, jakie przywykłem widzieć w młodzieży bywającej w Tuczynie. Z dwoma się tylko zbliżyłem; Ignacy Wyliżyński najmłodszy z rejentowiczów, i Dominik Starzyński, oba z klasy 6, ale znajomość nasza zrobiła się w Tuczynie. Z Ignacym bywaliśmy razem, Dominika nigdzie spotkać nie zdarzyło się. Konwiktorowie, panicze, jeszcze dumniejsi tem, że co niedziela u chorążego kor. na pokojach bawili się, z góry na mnie poglądali, i ja unikałem ich. Ale raz p. wojewoda będąc u chorążego, pytał o ks. rektora i zadowalniającą odpowiedź odebrał. Chorąży przytomny rozmowie, zapytał o kogo chodzi? P. wojewoda mu o mnie opowiedział; a że p. Chorąży znał dobrze mego ojca i bardzo go cenił, oświadczył więc ks. rektorowi, że skoro cały tydzień nie będę mieć *malam notam,* żeby mię brał ze sobą w niedzielę do pałacu. Cóż to za zdziwienie było paniczów, konwiktorów, gdy mię obaczyli na pokojach międzyrzeckich, w mojej eleganckiej czamarce, i gdy przy prezentacji p. chorąży w czoło mię pocałował. Rozpoczęły się jesienne polowania, do których przybył dom kasztelanostwa z ogromnemi lasami pełnemi grubego zwierza. 16 października obchodzono w Bystrzycach imieniny pani samej, na które zjechał p. wojewoda z rodziną i sąsiedztwo, bo razem obchodzono przenosiny państwa Bieżyńskich. Już tego nie byłem świadkiem i dopiero na święta do Tuczyna przyjechałem. Kasztelanic odebrał od Trzebuchowskich brata swego Julka, i pani Teresa z pomocą siostry mojej starszej, którą dowodząc ojcu memu życzliwości za tyloletnią jego przychylność, wzięła na opiekę i kształcili go. P. Węgierski nieodstępnym już został domu kosztelanostwa i domowe towarzystwo było przyjemne. Na święta zjechali pp. Bieżyńscy do Tuczyna i p. wojewoda przybranemu synowi sute wyprawił imieniny. W Tuczynie zawsze młodzieży

dużo było i gość częsty, bawiono się więc wesoło, bo interesa szły ładem, pomyślnie i z intrat dokładały się córek posagi.

Dobre to były czasy! lata urodzajne i handlowe. P. łowczy Jabczarski, coraz na większą stopę szyprując, u połowy prawie obywateli wołyńskich zakupywał pszenicę, płacił gotówką po dukacie korzec na miejscu, a jeśli produktami gdańskiemi, to i wyżej. P. wojewoda i wielu innych zadowoleni akuratnością i rzetelnością p. Jabczarskiego, trwali w niezmiennych z nim stosunkach. Ale niektórym zdawało się, że p. łowczy za wiele na nich zarabia i postanowili wyprawić się sami z pszenicą swoją do Gdańska. Tak więc p. podczaszy kor. Czacki, brat jego stryjeczny strażnikowicz, książę Eustachy Sanguszko, Józef Stecki syn chorążego kor. i kilku jeszcze, odprowadziwszy pszenicę do Buga w Korytnicy, wyruszyli do Gdańska razem. Łowczy nie tylko, że im za złe nie miał zajęcia się osobiście swoim frjorem, ale owszem jako biegły szyper, wiele im radą swoją pomagał. Jakiś mały wypadek zatrzymał łowczego w drodze i panowie pierwiej od niego do Gdańska stanęli. Wieść runęła po całem mieście o przybyciu naszych magnatów; ponajmowane magazyny tysiące łasztów pszenicy mieściły, ale nikt z kupców, ani przez faktorów, ani osobiście o cenie tych zapasów nie dowiadywał się. W tydzień dopiero nadjechał p. łowczy i natychmiast ruch wielki zrobił się w mieście, a drzwi jego mieszkania po całych dniach się nie zamykały, taki był natłok spekulantów. Cena była wysoka i obieg złota ogromny. W dziesięciu dniach p. Jabczarski ukończył swoje targi po siedem czer. zł. korzec, trzecią część szacunku zboża biorąc jak zawsze w towarach, co kupcom było bardzo na rękę. U naszych panów, ledwie kto zapyta o pszenicę, a że ją chcieli zbyć po cenie p. Jabczarskiego statki już ruszały nazad naładowane cukrem, kawą, bakaljami, trunkami, bielizną stołową, srebrami, meblami i t. p. pokupnemi towarami, a na-

wet sam łowczy do wyjazdu się zabierał, kiedy nasi panowie nie doczekawszy się zbycia swego frjoru, zrzucili pychę z serca, i dalej w prośby do p. łowczego. Nie odmówił zacny szlachcic swojej pomocy, i za jego wpływem panowie przedali swoją pszenicę po 110 zł. korzec gotówką.

Po ukończeniu targów pszennych, pierwszy z kupców i jakiś urzędnik municypalny, nie pomnę już dobrze, ale zdaje się Zellerman, bo i podczaszy kor. z którego ust całą tę historję słyszałem, niepewnie tak go nazywał, zaprosił naszych magnatów na wielki obiad, dawany w imieniu kupiectwa gdańskiego, dla p. Jabczarskiego. Niewypowiedziany był przepych w potrawach, najrzadsze i najwyborniejsze wina wystąpiły w niepospolitej obfitości; a pierwszy toast wniósł gospodarz bankietu; „za zdrowie tego, który nas od lat dwunastu karmi i handel nasz pszenicą swoją wzbogaca! p. łowczego Jabczarskiego zdrowie", i muzyka grająca w czasie obiadu, hucznie w trąby i kotły uderzyła. Osiwiały nasz szyper Wołyński, pierwsze miejsce przed magnatami u stołu zajmował i wszystkie honory bankietu dla niego były. Drugi toast wnieśli kupcy, zdrowie w ogólności obywateli wołyńskich, a obecni, i za siebie, i za całą prowincję dziękować musieli. Po obiedzie, panowie wołyńscy odprowadzili p. Jabczarskiego do jego mieszkania i prosili, aby ich komis przyjąć raczył, albo podawnemu pszenicę u nich zakupował; ale staruszek od wszystkiego się wymówił, obiecując pomagać im wpływem swoim i radą, i wspólnika niegdyś swego p. Chodakowskiego im zarekomendował.

Taż sama wiosna pamiętna i nadzwyczajnem wód wezbraniem. W Tuczynie Horyń zalał wszystkie łąki i utworzył jezioro, więcej kwadratowej mili rozległe, a z pałacu do Holenderni po wierzchu wierzb i topoli nadbrzeżnych czółna pływały. Wspaniały to był widok, ale trwał tylko trzy dni, poczem dość raptownie wody opadły. Wylew ten żadnych znacznych szkód nie narobił,

i tylko młyny tuczyńskie przez dwa tygodnie intraty zwykłej nie przyniosły.

Roboty około ukończenia pałacu, zimą nawet nieustawały. P. wojewoda jakby przeczuwał jakąś konieczną potrzebę tego pośpiechu, i sztukatorów, jakiemi tylko mógł sposobami ujmował, ażeby z robotą pośpieszali. Pobłażanie, i że tak powiem nadskakiwanie pana, ozuchwalało zarozumiałych Niemców, tak, że już i pałacowym i miasteczka mieszkańcom, nieznośnymi się stawali. Dwa wielkie pokoje naprzeciw stancji mego ojca, oddano im na skład form i odlewanie sztukaterji. Nadchodziła Wielkanoc i od Kwietnej niedzieli Niemcy-Katolicy porzuciwszy robotę, oddali się nabożeństwu. P. wojewoda podług zwyczaju na rannej sekcji naradzał się z moim ojcem względem następujących świąt, bo spodziewając się oprócz rodziny wiele gości, chciał więc jeszcze okazalej wystąpić: polecał więc mojemu ojcu, ażeby i dla sług, równie jak dla panów, święcone i porządnie, i obficie przygotowane było. Apartamenta pałacowe wszystkie miały już swoje przeznaczenie. Na święcone pańskie naznaczono salę szafirową, na stół marszałkowski salę dolną w lewym pawilonie, chodziło tylko o miejsce obszerne dla liberji, i mój ojciec wielce się biedził, gdzie się z ich stołem podziać. Kamerdyner Makarewicz i piwniczy Romański, przypomnieli się, że tamtych lat pod bokiem mego ojca, właśnie w izbach przez Probsta zajętych, bywało dla służby dworskiej święcone, i że teraz można je przez święta na ten użytek obrócić. Przyjął mój ojciec radę, tem więcej, że pod jego bokiem, i że przez to zapobiegało się mogącym wypaść nadużyciom, i kazał jaknajostrzej z większego do mniejszego pokoju wszystko powynosić. Rozgniewany Probst, że bez jego zezwolenia noszono formy i narzędzia, wleciał zaperzony do p. wojewody ze skargami na mego ojca, że mu wszystko zrujnował i że niema już czem kończyć swojej roboty. Było to w Wielki piątek, ojciec mój wyszedł dla dalszych rozporządzeń i spotkał się

z panem, który w największem poruszeniu gniewu, od zwykłego: Niech mię i t. d. zaczął. Po kilku zamienionych ostrych z obu stron wyrazach, p. wojewoda rzuciwszy czapkę o ziemię: „Niech to miljon set djabłów weźmie takich sług!“ wyrzeknie; a mój ojciec równie żywy i unoszący się, w toż, rzuciwszy czapkę i temże samem wyrażeniem oddając złym duchom taką służbę, za obowiązek podziękował; potem milcząc rozeszli się i żaden czapki nie podjął, ojciec jednak zajmować się przygotowaniami nie przestał. Kamerdyner, podjąwszy czapkę pańską, odniósł ją do pokoju, zastał pana siedzącego przy stole z głową spuszczoną na obu rękach opartą. „Kto tam?“ zapytał pan nie obracając się. „Przyniosłem czapkę jw. panu“. „Możesz pójść sobie“. Wszyscy dworscy kochali ojca mego jak ojca, a Makarewicz, który całą scenę widział i wiedział z jakiego powodu zaszło poróżnienie, nie mógł wytrzymać i do pana przemówił. „Jw. pan był w izbie gdzie przygotowano święcone dla liberji?“ — „I pocóż miałem iść, żeby widzieć całą robotę moich sztukatorów wniwecz obróconą?“ — Jw. pan usłuchał Niemca, który najniegodziwiej nałgał przed jw. panem“. — „Idź waść do miljon set!“ i zamilkł, ale w głosie nie widać już było uniesienia gniewu z jakim przed chwilą wybuchnął; kamerdyner wyszedł.

Rodzina już się była zjechała, wszyscy chcieli nadąsanych pokombinować; ale mój ojciec nie dał się niczem nakłonić, a pan ni tem, ni owem pośredników zbywał. Wieczorem p. wojewoda idąc do spowiedzi, kazał ojca prosić do siebie i po chrześcijańsku przepraszał, — przepraszał podobnież mój ojciec pana; ale to była scena sucha, zimna i tylko obowiązkom obrzędu religijnego zadość czyniąca. Mój ojciec trwał w swojem postanowieniu, p. wojewoda ani namienił, że chce mego ojca nadal w obowiązku jego utrzymać, i znowu się jak obcy sobie rozeszli.

Wiosna była prześliczna, wszystko odżyło i nowem

uśmiechało się życiem. Przeszła Wielka sobota, zjechali się zaproszeni goście, p. wojewoda uprzejmie ich wita, ale widno, że ciężka troska jakaś na sercu mu osiadła, ani się uśmiechnie, ani ulubionego śpiewu nie zanuci, a smutek ojca i na rodzinie się odbija. Nadszedł i dzień pierwszy świąt, pogodny i ciepły, wszyscy piechotą poszli do kościoła.

Mój ojciec równie jak i pan jego będąc miłośnikiem dawnych zwyczajów, zaprowadził taki porządek. Cała kompanja zebrana pierwszego dnia świąt na pokojach, oczekiwała wezwania na święcone. Gdy wszystko już było przygotowane, kamerdyner w paradnym stroju dawał znać, lokaje otwierali podwoje i cała kompanja wchodziła do sali, a mój ojciec spotykał pana z jajkiem święconem i winszował mu szczęśliwie doczekanego *Alleluja*, i dopiero p. wojewoda wziąwszy od niego talerz obracał się do dzieci i do zaproszonych gości. Tak było już przez lat sześć, i terazby tak było, gdyby poróżnienie pana ze sługą nie było na przeszkodzie. Wszystko jednak było przygotowane jak dawniej i kamerdyner oznajmił, że gotowe. Wszedł p. wojewoda z całą drużyną, ale nikt nie podszedł naprzeciw niego; bolesny wyraz twarzy malował bolesne uczucie serca naszego zacnego pana. „Prosić p. Detiuka!“ rzeknie smutno, wszyscy czekają, kamerdyner wraca i odpowiada, że p. marszałek dziękuje. „To ja sam pójdę!“ — „Nie mon cher pere! niech papa pozwoli, ja z Józefem pójdę“, — ozwała się p. Karolina. — „Idź moje dziecię! idź!“ Mój ojciec chodził smutny po pokoju, widać w nim było walkę obrażonej dumy szlacheckiej, z przywiązaniem synowskiem do dobrego pana. Weszli deputowani, wojewodzianka rzuciła się na szyję memu ojcu, zaklinając ażeby poszedł, bo p. wojewoda niczego tknąć się niechce bez niego, i ciężkie zmartwienie zachmurzyło twarz ojca, ani się nawet do dzieci uśmiechnie. „Mój luby! drogi mój Detiukuniu! — mówiła dalej ze łzami — chodź! chodź! jak nas kochasz!“ Nie mógł

się ojciec mój oprzeć czułemu wezwaniu tych dwojga młodych ludzi, których całem swem sercem kochał, wzięli go więc pod ręce i powiedli do sali.

P. wojewoda podszedł ku niemu z rozstawionemi rękami mówiąc: „A p. Łukaszu! i tyż mię w takim dniu odstąpić chciałeś? I toż mi krewkości mojej nie przebaczysz? Któż mi poda ten święcony pokarm, który przez lat tyle nawykłem z twojej życzliwej przyjmować ręki?" Za całą odpowiedź, chwycił rękę kochanego pana mój ojciec i do ust poniósł. P. wojewoda objął go po bratersku, a te ciche uściśnienie i łzy zmięszane, były najpiękniejszem pojednaniem i ślubem nierozstania się aż do zgonu. Potem, wszystko szło już dawnym porządkiem, a cała rodzina wojewodzińska dziękowała ojcu memu, że pozostał. P. wojewoda odtąd jeszcze więcej był wylanym do mego ojca, i wobec wszystkich wyznał, że bez niego jużby się obejść nie mógł. Do Probsta taką niechęć powziął, że chciał nawet przemienić sztukatora, ale mój ojciec tego nie dopuścił, i nie tylko, że Niemca na miejscu utrzymał, ale mu jeszcze to na dziedzictwo wyrobił, i uprosił, że p. wojewoda z matką moją Probstowi syna do chrztu trzymał.

Po pięknej wiośnie, piękne nastąpiło lato. Bujnem zbożem okryte łany, zbiór obiecywały bogaty. Cieszyli się właściciele ziem nadzieją sutej intraty, włościanie błogosławili imię Wszechmocnego za bogaty zapas chleba! Zboża dojrzewały, żniwa już bliskie były, — kiedy pamięcią starców nie zasiągnięta na Wołyniu szarańcza, ogromnemi chmurami przeciągała nad krajem i po całych godzinach wśród dnia nocnym cieniem ziemię okrywała. Przestrach ją poprzedzał, a po niej zostawało zniszczenie. Szczęśliwe pole, które ominęła, lecz gdziekolwiek ta klęska padła na niwach przed chwil niewielą zbożem okrytych, zostawała czarna tylko ziemia, kryjąca we wnętrzu swojem zarodki tych strasznych pustoszycieli. Łan Szubkowski wcześniejszy od innych, na dniach za-

powiadał już żniwo, a na żadnym folwarku tak pięknej pszenicy nie było, kiedy w nocy z 3 na 4 lipca osiadła na nim szarańcza, ale stwardłego już ziarna pozrzeć nie mogła. Przededniem ekonom przyleciał dać znać mojemu ojcu, i on i włościanie radzili spędzać, mój ojciec kazał się wstrzymać, bo już to, co popsuła, poprawić było trudno, a że na całą dobę osiadła, był więc czas namyśleć się jakby ją na miejscu wygubić, i udał się do p. wojewody.

„Bóg łaskaw na jw. pana! błogosławi nam we wszystkiem, ale złe równie jak i dobre, z pokorą z jego ojcowskiej ręki przyjąć potrzeba! Wszystkiego doświadczyć musimy". — „Cóż to jest? cóż mi tak okropnego zwiastujesz?" — „Jeszcześmy tej klęski nie mieli: szarańcza na łan Szubkowski padła!" — „Niech mię miljon set! nieszczęście! spędzać!" — „Spędzać, to nie trudno, i odpędzić można, ale to zakopaniu się jej nie przeszkodzi, a ta, która odleci, klęskę dalej rozniesie". — „Cóż więc robić?" — „Poświęcić swój łan, i tem przeciąć dalsze szerzenie się". — „To chyba spalić?" — „Nieinaczej, tym tylko sposobem i lecąca się zniszczy i nasion swych zgubnych w ziemi nie pozostawi". — „Kochany mój p. Łukaszu! leć! weź się natychmiast do tej roboty, niech wożą słomę ze wszystkich folwarków! Spal moją pszenicę, niech się zniszczy ten straszny nieprzyjaciel obecny i przyszły". Mój ojciec wsiadł na konia i cwałem puścił się na łan napadnięty, a w parę godzin obszernie wznoszące się dymy zwiastowały pożar na łanie. P. wojewoda patrzał z okien salonu na pożar i głośno śpiewał: *U drzwi twoich*. Czynność ta prawdziwie obywatelska, przerwała dalsze napady, i zdaje się, że następne hordy przerażone takiem przyjęciem, zwróciły kierunek na lasy poleskie i tam swą zgubę znalazły. Nagrodził Bóg sowicie poświęcenie dalszych widoków powszechnemu dobru, bo na drugich folwarkach tak omłotna okazała się pszenica, że ilością swoją wynagrodziła utratę jednego łanu i w bilansie przychód nie okazał się mniejszym od prze-

szłorocznego, i p. Jabczarski znowu pięknem złotem pszenicę zapłacił.

Następowała jesień. Pp. generalstwo Karwiccy chcieli, ażeby św. Michał u nich w Mizoczu [1]) był obchodzony. Zgodził się na to p. wojewoda pod warunkiem, że generalstwo na całą jesień zjadą do Tuczyna. Huczny był bal w Mizoczu, i pokazały się na nim nowe osoby. Pani wojewodzina Szwejkowska, siostra generała z córką Anną i synem Adamem. Zacna to, czcigodna była dama, przykład żywy wzorowych cnót ojczystych. Syn! i któż go niezna na Wołyniu z jego obywatelskiej poczciwości? A panna Anna! Co natura ujęła jej we wdziękach lica, to stokrotnie nagrodziła najszlachetniejszemi uczuciami, wysokim rozumem i mnóstwem pięknych talentów! Nową także i ważną osobą był młody hrabia Aleksander Chodkiewicz. Wspaniała postać, wysoka uczoność, świetne serca przymioty i wielkie historyczne imię, jednały mu życzliwość i szacunek powszechny. Hrabia część tylko ojcowizny posiadał, bo matka p. starościna Żmujdzka resztą majątku władała, ale i tego co miał hrabia, używał na wsparcie nauk i ulgę cierpiącej ludzkości. Nie był żonaty i wszystkie nasze wołyńskie magnatki, zięcia w nim sobie marzyły. Pani Karwicka powiedziała sobie, że go z wojewodzianką Karoliną ożeni. Poznał był wojewodziankę hrabia jeszcze przeszłego roku w Dubnie na karnawale u księcia Michała Lubomirskiego, ale pobyt na Litwie całoroczny nie dozwolił jej częściej oglądać. Utkwiła mu jednak w pamięci i chętnie zaproszenie generalstwa na św. Michał przyjął, bo tam znowu miał zobaczyć, obecną w pamięci, a może i w sercu osobę. P. Karolina miała lat dziewiętnaście, wzrostem, kształtną kibicią i wdziękami oblicza, przewyższała wszystkie rówienice, a pięknej powierzchowności odpowiadała piękna du-

[1]) M-stko na Wołyniu, p. Dubieński. Dotychczas w posiadaniu rodziny Karwickich.

sza i męski rozum. Wielu było ubiegających się o jej rękę, ale żaden jeszcze wyobrażeniom jej o zamęzciu i mężu nie odpowiadał. W marzeniach swoich szukała czegoś wyższego, a bal mizocki zdecydował o jej losie; swatowstwo p. generałowej szczęśliwy wzięło skutek i spełniły się marzenia.

Na tym balu ułożono, że cała kompanja generalstwa zjedzie do Tuczyna na oktawę św. Michała, na bal maskowy i na polowanie, — i w samej rzeczy p. wojewoda wróciwszy do domu, oznajmił ojcu memu o projekcie. Chwalił bardzo hrabiego i dał to poznać, że wielceby sobie życzył mieć go za zięcia. Tydzień prędko upłynął. W domu zamożnym przygotowania nie były trudne; goście się zjeżdżali, a było ich co niemiara, każdy jednak jak zwykle u p. wojewody bywało, znalazł uprzejme i miłe przyjęcie. Nastąpił dzień festynu; w pysznie oświeconych salach okazały się licznie zebrane rozmaite narody: Kamczadale i Murzyni, Peruwianie i Morlaki, starożytni Rzymianie i czasów Ludwika XIV Francuzi, Turcy i Hiszpanie, nawet Cyganie i Żydzi. Wojewodzianka z generałową ubrane były za Morlaczki, a piękny ten z siebie ubiór podnosiły jeszcze bogate klejnoty generałowej. Hr. Chodkiewicz, był w stroju polskich bolesławowskich czasów; do twarzy i kibici ten strój potomkowi wielkiego imienia! Patrząc na niego, wyobraźnia mimowolnie przenosiła się w wieki ubiegłe i przypominała Jana-Karola w chwili, gdy po ślubie z Anną z Ostroga, na wojną Chocimską się wybierał. Wesołość szczera panowała w całem zebraniu, a wspaniały staropolski senator w niejednym tańcu z piękną Morlaczką oddawał w cichej rozmowie hołd jej wdziękom i przymiotom. Miłe były te rozmowy wojewodziance, a odpowiedzi jej tchnęły szacunkiem i rozumną zalotnością. Bawiono się wybornie, a wstające słońce powitało tańcujące jeszcze rozmaite narody.

Spali długo dnia następnego, a nawet p. wojewoda zaspał zwyczajną swoją godzinę. O ósmej radzili sobie

z moim ojcem, a wtem wszedł kamerdyner i zwiastował odwiedziny p. hrabiego. „Proś!“, rzekł p. wojewoda, i sam ruszył ku drzwiom na spotkanie dostojnego gościa; ojciec mój chciał wyjść, ale go hrabia zatrzymał: „Przed panem, tak przywiązanym do p. wojewody, sekretu niema, proszę zostać z nami“. Pokłoniwszy się potem do kolan p. wojewodzie, o rękę p. Karoliny prosił. „P. hrabio! — rzeknie p. wojewoda — twoje imię, twojej duszy świetne przymioty, dają ci pierwszeństwo przed wszystkimi synami naszych obywateli. Nie taję się z tem, że szczęście jakie w połączeniu z tobą córki mojej znajduję, marzenia moje przewyższa. Oddaję ci moją Karolinę i o los jej spokojny, spokojnie do grobu zstąpię“. Uściskali się czule, a o południu wobec wszystkich gości, hrabia i wojewodzianka zamienili obrączki i błogosławieństwo ojca otrzymali. P. Karwicka może najwięcej się cieszyła, bo połączenie zaręczonych, istotnem swatostwa jej było dziełem. I ten dzień uroczyście obchodzono, a hrabia nazajutrz wyjechał mając na 16 t. m. powrócić. Wesele postanowiono wyprawić na ś. Jędrzej z równą jak i p. Teresy okazałością.

Z wyprawionego tak szczęśliwie maskowego balu, wielu jeszcze gości na polowanie zostało, a ciepła i dziwnie pogodna jesień sprzyjała tej rozrywce, a przy niej i innym zabawom. Wędrówki wodne na Horyniu, podwieczorki po różnych pięknych okolicach Tuczyna przerywały łowy, z których znowu wracając myśliwi, spotykani byli to przez chłopskie wesele, to przez krakowskie, to przez jakichś rycerzów i współczesne im damy, to przez Żydów z towarami, rozdających bez zapłaty różne ładne bagatele. Między innemi, szczególniej udał się tabor cygański. Pani Karwicka, dusza tych zabaw, pomysł o cyganach podała i swoim kosztem całą bandę, pod sekretem dla myśliwych, przystroiła. Niedaleko za pałacami wznosił się las stary sosnowy, a w pośród niego gdzie-niegdzie piękne polanki. Na jednej z takowych nad drogą, którą

myśliwi wracać mieli, rozłożył się tabor ze swemi ogniami i szatrami. Już się zmierzchało, kiedy myśliwi zadowoleni ubiciem dzika i łosia, zbliżali się wesoło ku końcowi lasu. Nagle uderza ich blask jakiś i odgłos nieznajomej muzyki. P. wojewoda pyta mojego ojca: „Co to jest?“ — „Nie wiem jw. panie“, — i puścił się koniem ku miejscu skąd łuna i odgłos dochodziły. Tymczasem kompanja polujących zbliżywszy się, rozpoznaje Cyganów tańcujących w najlepszą swojego kadryla. „Niech mię miljon set djabłów! — wykrzyknie p. wojewoda, — Cyganie!“ a cierpieć nie mógł koczujących, choć całe przedmieście osiadłymi miał zamieszkane. Już gotował się na ostre wymówki mojemu ojcu, kiedy cała gromada cygańska w skokach i pląsach, zastąpiła myśliwym drogę, obiecując im wróżyć i zapraszając na cygański bankiet. Poznano niespodziankę, pozsiadali z koni i z powozów, witali starszą (p. Karwicką) taboru, i pomięszawszy się z cyganami, pod ralnianym szatrem, znaleźli wyborną wieczerzę i poźno na tańce wrócili do pałacu.

Tak jesień wesoło upływała, a tymczasem przygotowano wyprawę. Wrócił hrabia na dzień oznaczony, było to święto kasztelanicowej, której Bóg pobłogosławił już córeczką, a której ojciec uroczyste sprawiał imieniny. Wróciła i najstarsza córka, księżna Jabłonowska, z ledwo wyszłą z dzieciństwa śliczną córeczką Dosią. Chorąży kor. radował się z powrotu córki tak pięknej, ale o projektach dla niej myśleć jeszcze nie można było, bo Dosia rok dopiero 14 miała. Na tych imieninach odebrał p. wojewoda kurjera od generała Baura z listem przepraszającym, że na uroczystości tuczyńskie zjechać nie mógł, bo asystował N. cesarzewiczowi w. ks. Konstantemu będącemu w Dubnie i bytność jego w Tuczynie zapowiadał. Nazajutrz więc p. wojewoda odjechał do Dubna, ażeby się N. cesarzewiczowi prezentować, nim swą bytnością dom p. wojewody zaszczycić raczy. Niebytność gospodarza nie przerwała zabaw, ale do przyjęcia monarchiczne-

go gościa wielkie przygotowania czyniono. Trzeciego dnia wrócił p. wojewoda pełen radości z łaskawego przyjęcia u cesarskiego syna. Na dzień naznaczony przybył wielki książę, otoczony wielkim pocztem generałów, z pośród których Baur najlepiej był uważany, i wiele miał wpływu u cesarzewicza. Wielki książę młody, wesoły bawił w Tuczynie trzy dni. Niewymuszona uprzejmość p. wojewody, ten ton przyzwoity w zachowaniu się z tak wysoką osobą, piękny dobór towarzystwa, rozmaitość zabaw, tak ujęły księcia, że po trzydniowem bawieniu w Tuczynie, przy najprzyjaźniejszem pożegnaniu z p. wojewodą, oświadczył, że Tuczyn mu będzie wspomnieniem, i że mieć się będzie za szczęśliwego, jeśli p. wojewoda jakim interesem jego ks. m. obarczyć zechce; i wyjechał z Tuczyna do Równego. Zapewnie, że bytność takiego gościa, niemałym zaszczytem dla domu obywatelskiego, ale wyznać potrzeba, że po jego wyjeździe swobodniej się bawiono.

Wypadły hrabiemu jakiś interes, zmusił go prosić o przyśpieszenie wesela; nie czekając więc oznaczonego wprzódy dnia, wesele odbyło się 9 listop. na dzień imienin księżnej Jabłonowskiej. Dżdżysty był czas i błotny, biskup jednak zjechał błogosławić ostatnią córkę przyjaciela i krewnego, ale z zaproszonych gości ani połowy, nie było też i okazałości o jakich myślano, wesele jednak odbyło się tak, jak na senatorski dom przystało. Ślub odbył się na szafirowej sali świetnie przybranej w pomarańczowe drzewa i oświeconej. Księżna Jabłonowska jako siostra najstarsza, zastępowała matkę i koronę pannie młodej przypięła. Skrzywiły się na to niektóre z obecnych, że księżna raz się rozwiodłszy z mężem, za drugiego wyszedłszy, niepowinna była spełniać tego obrzędu, ale to było żądaniem panny młodej i tak być musiało. Różne stąd na przyszłość niepomyślne robiono wnioski, niestety z czasem sprawdzone! Ale o tem potem. Niemam co ze szczegółami opisywać uroczystości wesela panny

Karoliny, bo to byłoby powtórzeniem tylekroć już opisanych. Smutno było ojcu z ostatnią już córką rozstawać się; tydzień jeszcze hrabstwo zabawiwszy w Tuczynie do domu swego w Pekałowie o pół milki od Młynowa [1]), gdzie matka pana młodego mieszkała. Pani starościna Żmujdzka dla wieku i niedomagania, na wesele syna nie zjechała, napisała tylko list pełen najprzyjaźniejszych wyrażeń do p. wojewody, a dla przyszłej synowej z błogosławieństwem, wysokiego szacunku klejnoty przysłała. Nazajutrz po przybyciu do Pekałowa państwo młodzi odwiedzili panią starościnę, mile matka przyjęła synową i nie dozwoliwszy jej nawet upaść sobie do nóg, czule ją uściskała, nazwała córką i trzy dni od siebie hrabstwa nie puściła. Wkrótce i p. wojewoda za dziećmi pośpieszył i zaraz pani starościnie złożył winne uszanowanie. Wizyta tak znakomitego obywatela, którego p. starościna wysoko ceniła, uradowała tę panią zacną, ale dumną, przyjęła go najuprzejmiej i na nadchodzące święta ze wszystkiemi dziećmi zaprosiła. Zjechała się cała rodzina wojewodzińska do Młynowa, a pani starościna występując hojnie i okazale, cały prawie tydzień u siebie zatrzymała. Na Nowy Rok, chorąży kor. chcąc także ufetować nowe małżeństwo, wszystkich z Młynowa do Międzyrzecza zaprosił. Tak się zakończył ten rok, p. wojewoda osamotniał, bo już nie było przy kim zbierać się córkom obywatelskim w Tuczynie, a choć jeszcze towarzystwo liczne zostało, bez dam życia nie miało. Pp. Bierzyńscy tylko dla przyjemności ojca więcej w Tuczynie, niż w Bystrzycy [2]) bawili.

---

[1]) M-stko na Wołyniu, p. Dubieńskiego.

[2]) Starożytna osada nad Słuczą, w pow. Rowieńskim. W końcu XVIII w. był jej posiadaczem kasztelan Adam Bierzyński, który się ożenił z Teresą Walewską, wojewodzianką sieradzką.

ROZDZIAŁ V.

Rok 1801 wielką w Europie rozpoczął się epoką. Aleksander I osiadł na rosyjskim tronie; Bonaparte został dożywotnim dyktatorem Francji i do osiągnięcia cesarskiej władzy, olbrzymim szedł krokiem. Ale Napoleon był bohaterem wojownikiem, Aleksandra bohaterstwo objawiło się ojcowskiem sercem dla tylu miljonów ludów, podległych berłu jego. Gwiazda Arkturów wzniosła się nad inne i stała się dobroczynnem słońcem dla krajów północy. Napoleon był pogromcą, Aleksander cierpiącą podźwignął ludzkość. Wielki ten Monarcha z równem uczuciem podawał dłoń ojcowską ruskim rodzinom, jak i plemionom innego szczepu i innego wyznania. Wieść o wstąpieniu na tron Aleksandra, rozlała wesele na serca tak licznych pod berło jego zebranych różnorodnych narodów, i jeden odgłos, odgłos radośny serca, wznosił dziękczynne modły za pomazańca Pańskiego.

Ale ten rok tak pomyślnie dla kraju zaczęty, dla naszej rodziny stał się rokiem ciężkiej żałoby. Ojciec mój namiętnie lubił polowanie, i w wigilję nowego roku próbując myśliwskiego szczęścia, wywrótem z sanek putłukł się i silnie zaniemógł. Mocując się jednak ze swojem cierpieniem, kilka dni trzymał się na nogach i obowiązkiem swoim zajmował, ale 7-go stycznia obległ zupełnie. Pan wojewoda zwołał okolicznych lekarzy, starania były usilne, pilność w dozorze najsilniejsza, ale nic nie pomagało. Niezbyt silna budowa i pracą jeszcze zwątlona, podołać nie mogła mocnemu uderzeniu pleury zamienionej w nerwową gorączkę. Dniem i nocą nie odstępowałem jego łoża, a kiedy matka i siostry spoczywały, ja czuwałem niosąc moje usługi Widząc mię tak nieodstępnym, ojciec w chwilach nie wielu wolnych od gorączkowego bredzenia, brał mię za głowę, przyciskał do piersi, coś mówił, ale trudno było uchwycić wątek i te słowa nie chwytały się wowczas mojej myśli zajętej cierpieniem ojca.

Doktorowie zdecydowali niebezpieczeństwo, matka i siostry nie wiedziały o tem, bo decydowali łaciną nie obcą dla mnie. P. wojewoda każdego dnia po kilkakrotnie odwiedzał chorego i długo w noc z nim siadywał, a ostatniego dnia do wyjścia ducha, z nami go nie odstąpił. Dnia 13 stycznia, zakończył życie mój drogi ojciec, życie nieskalane żadnym brudnym postępkiem, życie przepędzone w poczciwej pracy. Moc żalu naszego, napróżnobym chciał opisać; jest to uczucie, na którego oddanie język ludzki nie ma dostatecznych wyrazów. Więcej pół stulecia od tego dnia boleści upłynęło, a łza synowskiego przywiązania, szacunku współrodaka, spada na tę kartkę, poświęconą drogiemu wspomnieniu. Spełniło się przyrzeczenie jakie sobie dali mój ojciec i jego zacny pan, nierozłączenia się do grobowej deski, ale też długo nic pocieszyć nie mogło pana po stracie sługi; już więcej sobie takiego nie dobrał. Nie puścił osierociałych dobry pan, zapewniając matce mojej dożywotnią pensię jaką ojciec pobierał z wygodami życia jakich dotąd używała. Starsza siostra moja została przy kasztelanicowej na jej opiece.

W mojem położeniu wielka zaszła odmiana. Po wyjeździe Szopowicza, oddano mię do Międzyrzecza do szkół, gdzie czwartą klasę ukończywszy, z promocją do piątej przyjechałem do domu na wakacje i po zaszłych wspomnianych okolicznościach pozostałem aż do zgonu ojca mego w Tuczynie. Odtąd dalsze mną rozporządzenie, od hrabiego Chodkiewicza jedynie zależało, jakoż wyjeżdżając na wiosnę do Wilna i mnie z sobą zabrali. Bolesno było rozstawać się z rodziną, smutno było opuszczać dom pod którego opieką wyrosłem, piękne okolice w których przeskakałem wiek mój dziecinny. Myśl, że sam w pośród obcych mam zostać i to Bóg wie na jak długo, że przestrzeń mil 80 oddzielać mię będzie od sióstr i matki, że wśród ogromnego miasta, ani będzie do kogo głowy przytulić, uciskała moje młodociane serce.

Podróż szła zwolna, a choć piękne były dni majowe, dla złych dróg jednak pośpieszyć nie można było. Nowość atoli okolic, śliczna pora, odmiana ludzi, wpływały wiele na młody umysł, rozrywały mię o tyle, że została tylko tęsknota za domem, częste westchnienia i niekiedy w ukryciu cicha łza dziecinna.

W Słonimie spoczywaliśmy dni kilka. Hrabia chciał, ażebym oglądał wszystkie osobliwości pałacu Ogińskich. Podziwiałem wszystkiemu, ale nic mię tak nie zachwyciło, jak zbiór wypchanych pięknie zamorskich rzadkich ptaków i zwierząt i okazały teatr na którym prawdziwa sadzawka, nosząc prawdziwe statki, czarowny sprawiała widok. Tu i mój ojciec wiek swój młody przepędził, i dopiero mi przyszło na myśl, że blizki zgonu między innemi i Słonim wspominał — ale w jakim celu? to dla mnie na zawsze zagadką zostało. Stary niegdyś marszałek dworu, Pelikan, gdym mu moje nazwisko wymienił, przypomniał sobie, że mój ojciec oddanym był przez ojca swego, pana rotmistrza, na dwór ś. p. J. W. hetmana, dla promocji, że interesa konfederacyjne, po kilku latach pobytu w Słonimie, odwołały młodego człowieka i że już odtąd tam nie wrócił. Stanęły mi wówczas na myśli niezrozumiałe słowa mojego ojca, przypomniałem sobie, jak nieraz babka wspominała spokrewnienia swoje na Litwie, ale nic stąd wywikłać nie zdołałem, ani było kogo o to zapytać.

Sławnym był i podówczas dom Nieświeżski, ale domu Ogińskich sława świetniejszą była. Tu przy wyższej cywilizacji 18-go stulecia, zachowały się wiernie obyczaje i bogobojność czasów dawniejszych. Słonim był kolebką i przybytkiem nauk i sztuk pięknych, błogim przytułkiem uciśnionej ludzkości. Muzyka Ogińskiego składała się z mistrzów znakomitych. Peszka i Rustem tu wykształcali swoje talenta. Była tu okazałość, wytworność, hojność, ale nad wszystkim miały władzę umiarkowanie i wiara. Rzadki to był dom, i dotąd na Litwie ze czcią wspominany.

Dojechaliśmy nareszcie do Wilna, ale widok jego zdala nie zrobił na mnie żadnego wrażenia, i dopiero wjeżdżając w Ostrą Bramę, widok po obu stronach ulicy ludu na kolanach korzącego się przed obrazem Królowej nieba i ziemi, Opiekunki Giedyminowego miasta, wzbudził w sercu mojem silne uczucie wiary i nadziei. Hrabstwo i dwór cały wysiadłszy z powozów, szli piechotą. Msza była przed Ostrobramską Marją solenna, bo to była sobota, z muzyką i dobranemi głosami śpiewaków. Wszyscy uklękli oddać cześć Opiekunce Litwy i wezwać jej łask i błogosławieństwa na dalsze sprawy. Ukląkłem i ja i gorąco modliłem się za matkę, za siostry, za duszę ojca bo o sobie jeszczem myśleć nie umiał i tylko wszczepiona od dzieciństwa pobożność w całej swej sile się odezwała.

Hrabstwo zamieszkali na Rudnickiej ulicy w domu Zejdlera, mistrza nie pomnę jakiego cechu. Tegoż dnia i moje dalsze kierowanie się rozstrzygnionem zostało. Hrabia wyegzaminowawszy moje usposobienie naukowe, chciał ażebym szedł tą samą drogą, aż do osiągnięcia stopnia w uniwersytecie. Hrabina wyśmiała tę *naukowość* i żądała, abym się przykładał do jakiego *talentu*. Na biedę moją, poduczałem się trochę rysować przy moim wuju, postanowiono więc umieścić mię przy sławnym Smuglewiczu. Ale ten profesor bawił natenczas w Petersburgu, potrzeba więc było szukać kogo innego, mnie zabłysła nadzieja drogi naukowej, i hrabia znowu tentował prowadzić mię podług swego zamiaru, ale hrabina ani słyszeć o tem nie chciała. Namyślano się więc zostawić mię u p. Rustema i hrabia wybierał się nazajutrz być u niego, gdy Zejdler oznajmił hrabiemu, że jest w Wilnie młody artysta z wielkim talentem i wielkich nadziei Oleszkiewicz [1]). Nazajutrz zaraz hrabia odwiedził

---

[1]) Oleszkiewicz Józef (1777 — 1830). Znakomity malarz. Kształcił się w Dreźnie i Paryżu. Do r. 1810 pracował przeważnie w Wilnie lub dla malowania portretów na wieś wy-

artystę, widział jego malowidła, mówił z nim i okrył go swoją protekcją. W parę dni oddał mię w ręce Oleszkiewicza, tylem sobie tylko wyprosił u hrabiego, żeby mi wolno było chodzić na jakie lekcje. Po trzech dniach przeniosłem się zupełnie do kardynalji do mego nauczy

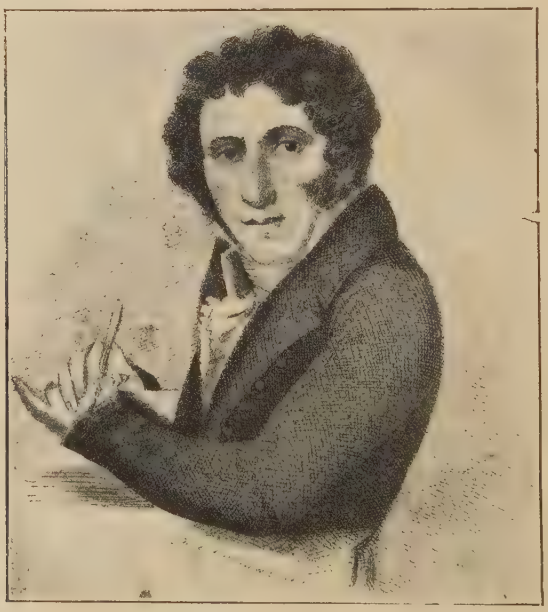

Józef Peszka
ur. 1767 r., zm. 1831 r.
Według rysunku Józefa Cholewicza.

ciela, stół umówiono dla mnie w pałacu Chodkiewiczowskim u chirurga Bigulskiego, a w wypadku jakich po-

---

jeżdżał. W 1810 r. został mianowany członkiem Akademji sztuk pięknych w Petersburgu i tu życie zakończył. (Szczegóły: Rasławicki: Słownik malarzy polskich; Fr. Rawita-Gawroński: Studya i szkice historyczne. Serja I. Lwów 1903, str. 271. Józef Oleszkiewicz, malarz i mistyk.

trzeb, kazano mi odnosić się do pełnomocnego hrabiów w Wilnie, p. Przegalińskiego.

W tydzień po tem wyjechali hrabstwo, a ja uczułem

Jan Rustem

ur. 1761 r., zm. 1835 r.

Według litografji J. Piwarskiego, wykonanej z autoportretu.

dopiero moją samotność. Nic mi nawet na fraszki nie zostawiono, a całem bogactwem mojem było: sto złotych dane mi z błogosławieństwem przy wyjeździe czcigod-

nego dobroczyńcy mojego p. wojewody, dukat poświęcony od matki, a od wuja rewersik majora Murawjewa, o którym wiedzieliśmy już, że jest generał-inspektorem wszystkich zachodnich komor granicznych. Szanowałem te pieniądze, bo mi się zdawało, że to jakieś świętości, których pozbyć się nie wolno mi było, a zapisanych na rewersiku, ani sobie marzyłem odebrania. Oporządzony z domu, przyzwoicie, chędogo się odziewałem i wieiu, miało mię za jakieś paniątko z korony. Miałem też i listy od doktora Barszcza do profesora Śniadeckiego i Maleskiego, a od matki mojej do p. Śniadeckiej ściśle z nią znajomej gdy była jeszcze Mikułowską.

W kilkanaście dni po wyjeździe hrabstwa ośmieliłem się pójść do pp. Śniadeckich. Malec, sierota, zostawiony tak daleko w obcej stronie, trwożliwie wstępowałem na wschody mieszkania znakomitego w kraju męża. Wszedłem na górę, pierwszą osobą którą spotkałem była dama skromnie ubrana, nie piękna, ale ujmujących rysów twarzy i okazałej postawy. Kogo szukasz moje dziecię? spytała głosem łagodnym. — To macierzyńskie wyrażenie natchnęło mię śmiałością, skłoniłem się i zapytałem o pp. Śniadeckich. Proszę z sobą, rzekła, ja jestem Śniadecka, mój mąż wyszedł z domu, ale moje dziecię, maszli do niego interes? Mam listy z Wołynia, i to mówiąc listy Barszcza i mojej matki wręczyłem. Skoro p. Śniadecka przebiegła list oczyma, powstała, ucałowała mię w czoło i odrazu po imieniu nazywając nie zmieniła dla mniej swej uprzejmości. O ileż to pociechy ta wizyta wlała do serca mego! mówiliśmy o naszych stronach, bo i p. Śniadecka było wołynianka, o mojej matce, o siostrach, o p. wojewodzie i jego rodzinie i miły nam był ten język ,choć nie wiele dla drugich zrozumiały. Niedługo zabawiwszy, pożegnałem szanowną damę, a ta kazała mi przyjść jutro o pół do ósmej z rana dla zaprezentowania się panu profesorowi.

Nieomieszkałem stawić się nazajutrz, a przyjęcie

u tego wielkiego męża, nigdy z serca mojego, ani z pamięci nie wyjdzie. Oboje pp. Śniadeccy polecili mi swój dom jakby rodzinny i kazali codziennie o tej porze przychodzić na śniadanie. Dzieci pp. Śniadeckich bardzo jeszcze małe były: Zosia ledwie rok czwarty liczyła, Józiowi dwa lata były skończone, prędko przystały do mnie, bawiłem je wystrzygając i klejąc z papieru i kart różne figurki, odmawiałem z niemi pacierz i opowiadałem im coś o Wołyniu, lub o kraju naszym. Pp. Śniadeccy coraz łaskawsi na mnie byli i wreszcie weszło we zwyczaj, że po śniadaniu zostawałem godzinę lub dwie z dziećmi; p. Śniadecki na lekcję lub do pacjentów, sama wyjeżdżała do kościoła, lub do miasta za potrzebnemi sprawunkami. Tam poznałem hr. Filipa Platera, młodzieńca wielkich nadziei, syna podkomorstwa Platerów z Dąbrowicy na Wołyniu. Mimo kilka lat różnicy wieku, miałem szczęście pozyskać hrabiego życzliwość i nieraz w miłej nam obu o Wołyniu pogadance, miła nam upłynęła godzina. O! błogo mi było w domu tych zacnych ludzi i bodajbym był w Wilnie towarzystwa innego nie znał!

Oleszkiewicz (Józef), mój nauczyciel, miał pod ten czas lat 25; piękny był mężczyzna, wzrostu słusznego, kształtnej budowy ciała, brunet, rysów twarzy wydatnych, ale proporcjonalnych, a w oczach jego czarnych tyle było słodyczy i życia, a razem taka wyrazistość, że z wejrzenia łatwo było poznać jakie uczucie sercem owładło. Urodził się z talentem i sobie samemu winien był swoje ukształcenie, w latach 18 już malował. Później kształcił swój talent w domu Prozorów, gdzie bogaty zbiór pięknych malowideł, naprowadził młodego artystę na drogę prawideł sztuki. Ale najwięcej przyczyniła się do rozwinięcia talentu Oleszkiewicza, pani Mostowska, jedna z pierwszych magnatek litewskich, wysoce uczona i utalentowana dama. Pod jej okiem młody artysta miał pole obszerne doskonalenia się w malarstwie i nabycia

nauk i wiadomości potrzebnych prawdziwemu artyście; p. Mostowska zarekomendowała go Smuglewiczowi, a mistrz ten, lubo nieco zawistnym okiem poglądał na wiele obiecujący talent młodego człowieka, rad mu jednak swoich nie odmawiał, i Oleszkiewicz umiał z nich korzystać. Stąd też go niektórzy uczniem Smuglewicza

Józef Oleszkiewicz
ur. 1777 r., zm. 1830 r.
Według litografji współczesnej.

mianowali. Oleszkiewicz utrzymywał się w Wilnie z lekcji rysunków w znakomitych domach, a jeszcze więcej z portretów, które pięknie malował. Portrety mężczyzn oddawał z całą prawdą i z wdziękiem biegłego pędzla, ale dam portrety malował z cudnym urokiem. Nie pięk-

ne nawet, znajdowały i podobieństwo i wdzięki; na których im zbywało. Stąd też u dam miał wielką wziętość i był od nich poszukiwany. Z dawniejszych jego malowideł, żadnego widzieć nie zdarzyło mi się, a obraz który hr. Chodkiewicz zastał u niego pod pędzlem, wyobrażał Olimp ze wszystkiemi bogami. Ogromny ten obraz bogatą kompozycją, wybornym rysunkiem, żywością kolorytu i prześlicznym wykończeniem, okazywał i wysoki talent i duszę artystyczną swojego twórcy. Hr. Chodkiewicz zamówił ten obraz dla siebie za 600 dukatów, a artystę swoim kosztem przedsięwziął wysłać za granicę.

Oleszkiewicz przy najzacniejszych serca przymiotach, poszedł drogą świata, jaką mu oddanie się talentowi wskazało. Olbrzymim krokiem postępował do sławy artystycznej i powszechne pozyskał sobie uważanie. Ale Oleszkiewicz bez przewodnika w młodzieńczym wieku, chwycił się ówczesnych mniemań francuskich i wolnych obyczajów panowania Stanisława Augusta. We Francji rewolucja obaliła religię, ale w sercach wzdychano do ołtarzów Zbawiciela! U nas były kościoły, były nabożeństwa, ale mało kto szedł tam na modlitwę. Oleszkiewicz znał te tylko, w których były obrazy mistrzów naszych, lub obcych jakkolwiek sławnych, lub gdzie się zbierał świat elegancki i nie jedna piękna twarzyczka widzieć się dała. U Oleszkiewicza zbierali się zwykle les ésprits forts Bychowiec, Tomaszewski, Cejzik, Niemczewski młody, Liboszyc, Korwell, Petrusiewicz, Damel i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. Rozmowy ich były tak wolne, jak ich obyczaje; a filozofja, wspomnieć dziś straszno; a czytania, wszyscy co przeciw moralności religijnej i zasadom religji samej pisali, najulubieńszymi ich byli autorami. O dziejach narodowej Litwy ani słyszałem! Słuchałem i ja i nie mogłem nie zachwycać się czarującym sposobem, jakim ci pisarze umysły i serca owładnąć umieli.

Oleszkiewicz nie lubił powagi p. Śniadeckiego, krzywo patrzał na moje uczęszczanie do ich domu, zabronić mi jednak tego nie mógł, bo w tem była wola mojej matki i mojego dostojnego protektora. Ale za to, i on i jego towarzystwo naśmiewali się ze mnie, żem się klęczący modlił i żem się spowiadał. Kryłem się więc z moim pacierzem i najczęściej odmawiałem go u pp. Śniadeckich z ich dziećmi.

Wyprosiłem sobie u p. Śniadeckiego pozwolenie bywania na jego prelekcjach chemji. Przedstawił mię ks. Jundziłłowi, od którego otrzymałem pozwolenie uczęszczania na lekcje zoologji i botaniki. P. Lobenwein, prof. przyjaciel pp. Śniadeckich, poznał mię u nich, polubił, wprowadził na lekcje anatomji potrzebną dla sposobiących się do malarstwa i obok swej katedry posadził, a tak czternastoletni dziecina, prawie bez żadnych poprzedniczych przygotowań, z własnej chęci, słuchałem ważnych przedmiotów i nie bez korzyści, bom je pojmował, bo łatwe, jeszcze i wymowne tłómaczenie się prof. Śniadeckiego, każdemu, kto tylko chciał korzystać, ułatwiało naukę. Pod szczęśliwym darem zajmującego tłumaczenia się, w suchej nawet nauce terminologji botanicznej i w wymownym wykładzie systemu Linneusza, jaki mieliśmy w ks. Jundzille, można było wiele się nauczyć. Z najczulszą wdzięcznością myślałem sobie o Szopowiczu, który i gust do botaniki i jakie takie nauki tej wyobrażenie we mnie zaszczepił. Łatwo mi więc szło rozpoznanie cech charakteryzujących rodzaje i gatunki roślin i wkrótce takem w nich postąpił, żem wielu starszym, w determinowaniu roślin był pomocą. To mi zjednało przychylność wielu współuczniów, a że nie uczyłem się dla stopnia, to postęp mój i zazdrości nie wzbudzał.

Ale kiedy mi tak miło i lekko przychodziły nauki przyrodzone, postęp mój w rysunkach szedł bardzo opieszale. Marszczył się na to Oleszkiewicz, czyniąc mi gorzkie wyrzuty napróżno straconego czasu, i to też

tylko miał mi do zarzucenia, bo zupełnie zresztą zostawiony sobie, nie zdawałem nikomu sprawy z mojego postępowania. Tak nawet bywało, że Oleszkiewicz wezwany na wieś dla robienia portretów, zostawiał mię samemu sobie bez czyjegokolwiek nademną dozoru, po całych tygodniach.

Robiłem więc, co mi się podobało, starając się tylko wykonać naznaczone mi rysunki, zresztą chodziłem gdzie chciałem, czytałem, co mi w ręce padało. Takowe czytania i nabyte mimowolnie z nasłuchania się zdań tych wyższych rozumów maksymy, rozlewały słodką truciznę po moim sercu i umyśle i podkopywały zasady moralności religji w jakich wychowany byłem; nawykłem do wolnych mniemań naszych filozofów i nawet w nich smakowałem. Ostygłem w mojej pobożności i ledwie kiedy niekiedy pomodliłem się w kościele. Taiłem się jednak z tym mojem usposobieniem, a nadewszystko strzegłem się z czem wymówić u pp. Śniadeckich, mniej nawet do nich uczęszczałem, składając się odległością mieszkania do któregośmy się przenieśli. Niechybnie upadłbym był zupełnie, gdyby Opatrzność nie czuwała nad zbłąkanym sierotą!

U pp. Śniadeckich bywał p. Odachowski sekretarz komisji edukacyjnej, człowiek już nie młody, rzadkich serca i umysłu przymiotów. Polubił mię i widząc, że mam niezłe początki języka francuskiego i chęć postąpienia w nim, kazał mi przychodzić w wolnych godzinach na czytanie. O! jakże różne od bywających u Oleszkiewicza, znalazłem towarzystwo! Widziałem się w pośród ludzi rozsądnych, światłych i bogobojnych. Odachowski łatwo zbadał tajniki mojego serca. Po ojcowsku naprowadził mię na drogę prostą, niszczył niebezpieczny zaród nachwytanych mniemań, wskazał korzyści i szkody z czytania, a nadewszystko obudzał ducha wiary. Nie zrażając mię dla Oleszkiewicza, jego błędy wpływowi innych przypisywał, a mnie zalecał szanować w nim nauczycie-

la. Pokój wieczny twoim popiołom! pokój twej duszy mężu czcigodny! Tyś mi oczy otworzył nad brzegiem przepaści! wdzięczność moja dla ciebie zstąpi ze mną do grobu! W rzeczy samej odrodziłem się, stałem się innym. Wróciła moja dawna pobożność. U pp. Śniadeckich znowu częściej bywałem, uczęszczałem na opuszczane przez czas jakiś prelekcje, bywałem w kilku domach, gdzie mię wprowadził Odachowski, w których wesołości towarzyszyła moralna obyczajność i było mi dobrze, bo nawet rysunki naznaczone na swój czas i porządnie wykończone były, i Oleszkiewicz był mną zadowolony.

W kilka miesięcy po mojem przybyciu, w początku zimy, jednego wieczoru, Oleszkiewicz wróciwszy do domu, oznajmił mi, że generał-inspektor Murawjew jest w Wilnie, mieszka w pałacu Millerowej i zachęcał mię probować szczęścia i przypomnieć się generałowi. Całą noc przemyślałem nad tem, jak się stawić przed tak wysokim urzędnikiem i przypomnieć mu przeszłość, może niezbyt mu miłą. Rano jednak wstawszy, porządnie ubrany, szczerze pomodliłem się Bogu i poszedłem. Nieśmiało wstępowałem po wschodach, tam pokazano mi apartament generała. W przedpokoju siedział lokaj w bogatej liberji i z góry na mnie poglądał. Na szczęście moje wszedł staruszek, ale nie w liberji i z ujmującą grzecznością zapytał: „czto wam ugodno?“ Widzieć się z p. generałem“. „Proszę zaczekać chwilkę, on jeszcze nie wyszedł z swojej sypialni“. Ośmielony uprzejmem obejściem się staruszka, zapytałem, jak dawno w służbie u generała?“ „20 lat“ „To byłeś i w Korcu z nim?“ „Byłem nianią jego syna pokojnika“. „Jakto? Aleksander nie żyje?“ „Od lat trzech, odpowiedział, ocierając łzę z oka“ „a wy znali mojego Saszę?“ „Jakże nie, i bardzośmy się lubili“. „Nieużli wy plemiennik Kazimira Warftołomicza Sobińskaho?“ „Ja sam w istocie“. „Antosza! drug moj lubiezny! zawołał ściskając mię z rozrzewnieniem, ty

zdieś? czto ty tak daleko od swoich? żywy-li oni wsie, czy zdorowy? kak ja rad czto tiebia uwidił, czto ty mojego Saszu drużno wospominajesz. Pójdziemy do generała on ciebie mile przyjmie". „Czy i Darja Michajłowna jest tutaj, zapytałem". „O! nie, ona poszła za swoim Saszą, a generał żonaty z drugą wielką damą". W tym odezwał się dzwonek, stary niania wprowadził mię do salonu i zaanonsował. Generał w pysznym chałacie siedział przy stoliku. Skoro mu niania powiedział kto jestem, wstał, uprzejmie mię uściskał, posadził koło siebie i mnóstwo dawał mi zapytań o mojej rodzinie, o Korcu. Musiałem mu opowiadać o wszystkich okolicznościach od czasu wyjazdu jego z Korca. Słuchał z uwagą i współczuciem, potem rzekł do mnie tonem chwytającym za serce. Słuchajno Antosiu! jedną okoliczność opuściłeś. Ja jestem dłużnikiem p. Sobińskiego i ciężko mi, że w mojem tak dostatniem położeniu, dotąd się nie uiściłem. Czy p. Kazimierz Sobiński nie polecił ci tego interesu? Mam rewers p. majora Murawjewa, a j. w. pan jesteś generałem. Ale zawsze jestem ten sam Murawjew, co był w Korcu, przyjaciel twojej rodziny. Tyle było szlachetnego uczucia w tych słowach, żem się rozpłakał i ucałował rękę generała. Wziął ode mnie rewers, odczytał popatrzał na mnie i pocałowawszy w czoło rzekł: odbierzesz twoje, ale wprzódy z nami herbaty się napijesz. Żona moja zaraz wyjdzie; zaprezentuję cię i o twoich jej wspomnę. Wyszedł generał, a ja ośmielony tak niespodziewanem przyjęciem rozmawiałem sobie o Korcu ze starym nianią, a tymczasem służba zastawiała stół do herbaty, z całym przepychem zamożnego magnata. Weszli generalstwo, generał przedstawił mię żonie, a ja przez cały czas śniadania oka z niej spuścić nie mogłem, bo piękną była generałowa i dystyngowanej postawy. Po herbacie generał wyszedł, generałowa wypytywała mię po francusku o Wołyń, o sposób życia obywateli, odpowiadałem jak mo-

głem, słuchała mię z zajęciem, usterki języka z całą delikatnością poprawiała. Mówiliśmy o Oleszkiewiczu, generałowa wzięła jego adres.

Wrócił generał, wręczył mi rulonik, uściskał znowu i polecił, ażebym co dzień o tej porze przychodził do nich póki w Wilnie zabawią. O południu generał odwiedził Oleszkiewicza i wezwał go do malowania portretu generałowej za 100 rubli. W moim ruloniku było 30, chciałem zaraz oddać 15, ale generał śmiał się ze mnie i tak mówił: „źle cię moje dziecię uczono arytmetyki, kiedy reguły procentu nie znasz. Pieniądze pożyczone były w nagłej potrzebie i lichwiarz więcej byłby wziął za połowę tyle czasu. Rewersowi lat siedm, obrachowałem należny procent i z takim ci je oddaję. Nie jest to ani omyłka, ani jałmużna, możesz to śmiało przyjąć z przyjaznej ręki". Wielką mi były pomocą te pieniądze, podzieliłem się niemi z moim nauczycielem, bo choć miał znaczne dochody, zawsze jednak był w potrzebie. Do wuja napisałem najczulszy list z podziękowaniem za pomoc prawie niespodziewaną. Im więcej rozpatrywałem się w Wilnie, tym mocniejsze na mnie robiło wrażenie. Starożytne miasto, tyle przechowujące ojczystych pamiątek, wspaniałe świątynie Pańskie, w nich wzniosłe, religijne obrzędy, uroczystości miejscowe, rozmaitość ludzi, ruch, to życie wielkiego miasta, nie mogły nie zachwycić młodocianego umysłu. Okazała Katedra, kościoły św. Anny, św. Piotra, rozwaliny zamku Jagiełłów i pałacu kr. Barbary, pałac Sapieżyński na Antokolu zarysowały się wiecznie w mojej pamięci. Ponary, Antokol, Markucie i Rybiszki botanicznie, Werki, Trynapol i Zakret malownicze i dziś jeszcze żywo przedstawiają się mojej wyobraźni. Werki swoim pałacem, korytem Wilji, przypominały mi Tuczyn w mniejszych nieco rozmiarach. Ale nic mię tak nie pociągało, jak romantyczna samotność Zakretu. Nie raz pod temi opuszczonemi jeszcze naówczas murami, nad brze-

giem Wilji, przedumałem całe godziny, o swoich... o sobie... i nieraz łza moja zmieszała się z falami rzeki!

Na wiele okazałych uroczystości napatrzyłem się w Wilnie. Poświęcenie Katedralnego Kościoła, na którym prócz diecezalnego ks. Kosakowskiego, Dederko miński, Pilchowski in partibus i emigrant francuz biskupi asystowali. Tamże Rezurekcja. Uroczyste procesje: na św. Kazimierz, na Boże Ciało przez całe miasto, do kościoła św. Jana; św. Kazimierza w rynku, Dominikańskiego i św. Trójcy. Ile to konwentów ciągnęło po przed biskupem, jak cechmistrze salutowali chorągwiami cechowymi każdą z odwiedzanych świątyń, jak brzmiało w ustach tylu tysięcy uroczyste „twoja cześć chwała!“ Kto raz widział te okazałe święte obrzędy, nigdy zapomnieć ich nie może, a wspomina je ze czcią religijną.

Ale nic tak nie utkwiło w mojej młodej pamięci, jak bytność w Wilnie, nieodżałowanej pamięci monarchy Aleksandra I-go. Oleszkiewicz wezwany na kilka dni od urzędników grodzieńskich dla robienia ich portretów, nie był natenczas w Wilnie, a ja miałem zupełną swobodę być gdzie zechcę i widzieć co mi się podoba. O! jakże mi ta wolność była teraz na rękę!

Dzień przyjazdu N. Cesarza był naznaczony Całe miasto wyszło na piękną równinę, na zachód od Wilna, Pohulanka zwaną, ograniczoną górami Ponarskiemi, Zakretem, Wilją i miastem. Tam wszystkie władze rządowe w całej formie oczekiwały świetnej, szczęśliwej chwili, ujrzenia błogosławionego oblicza. Od gór Ponarskich wzbił się tuman kurzawy, goniec lotem ptaka lecąc oznajmił przybycie Monarchy. Zatrzymał się powóz, władze rządowe witały Pana, a prezydent miasta, Karner w pięknych słowach wyraził szczęśliwość Wilna, że w murach swoich ogląda ojca, tylu, miłością dla niego połączonych, ludów. Tymczasem obywatele miasta wyłożywszy konie z powozu cesarskiego i zaprzągłszy się sami ponieśli lo-

tem ptaka ukochanego Monarchę do miasta. Zmrok już padał, noc czerwcowa piękna i cicha rozciągnęła swe cienie nad miastem, ale miljony świateł sztucznych zwyciężyły ciemność nocy i Wilno, jak we dnie zajaśniało. Nieprzeliczone przezrocza, jedne od drugich piękniejsze, wyobrażały allegorycznie i szczęśliwość miasta i uwielbienie Monarchy. Przy bramie Trockiej u wejścia do kościoła Franciszkanów, czekał ks. biskup Pilchowski w pysznem obłoczeniu, z całem wyższem duchowieństwem wileńskiem. Zatrzymał się cesarz, wysiadł z powozu, przyjął powitanie katolickiego pasterza i pokropienie wodą i podany krzyż ucałował. Z Trockiej udali się do uniwersytetu, obok pięknego przezrocza w bramie umieszczonego, cały senat akademicki w togach, pożądanego oczekiwał gościa i krótką ale piękną mową powitał. Stamtąd po pod ratusz wspaniale iluminowany, skąd przez Niemiecką ulicę i Pocztową do pałacu biskupiego, gdzie była rezydencja generał-gubernatora, obywatele cesarza zanieśli. Z dziwnym wdziękiem pożegnał miasto do jutrzejszego widzenia, a Brzostowski, starosta piński, marszałek gub. imieniem szlachty litewskiej i obywateli miasta, zaprosił cesarza nazajutrz na bal, i Monarcha zaproszenie łaskawie przyjąć raczył.

Obywatele litewscy biedzili się jakąby pamiątką odznaczyć dzień w którym Wilno zaszczycone zostało bytnością swojego Monarchy. Mnóstwo było pomysłów, ale wszystkie zdawały się albo niedostateczne, albo do śmieszności przesadzone. Księżna Pelagja z Potockich Sapieżyna podała myśl, tę wszyscy przyjęli, bo wszystkim do serca przypadła, wykonano ją szczęśliwie. Był w Wilnie instytut wychowania sierot i podrzutków pod okiem sióstr miłosierdzia, wspierany najwięcej szczodrobliwością litewskich matek obywatelek i te biedne istoty, odbierały tam przyzwoite wychowanie. Dwanaście takich panienek czternasto i piętnastoletnich wybrała księżna, dwunastu znakomitych obywateli przyjęli je do imienia

i herbu i posagi im naznaczyli. Nowe te obywatelki, witać miały cesarza wchodzącego na bal i rzucać pod jego stopy gałązki dębowe i z róż bukiety. Śliczneż to były dziewczątka! wszystkie w białych sukniach zielonym barwinkiem gustownie obszytych, w wieńcach zielonych na głowach. Przedstawił je cesarzowi marszałek gub. i cesarz powitał je jako nowe obywatelki i szlachectwo ich zatwierdzić raczył. Bal był w salach ratuszowych pysznie oświeconych; na dwuch chórach, dwie muzyki umieszczono, dla przemiany w tańcach, prócz polskiego, w którym obedwie grały, pod dyrekcją Skorupackiego katedralnego i Nejmałowskiego teatrowego i miejskiego kapelmistrzów. Dwa pierwsze polonezy za wejściem Monarchy na salę, miały śpiewy stosowne do okoliczności przez trzydziestu śpiewaków wykonane; jeden z nich przez artystę naszego Kozłowskiego w Petersburgu, który *requiem* na pogrzeb króla Stanisława Augusta ułożył. Drugi ze słowami polskiemi, podobno Szahina, umyślnie na tę uroczystość przez Nejmałowskiego skomponowany. Lubo polonez Kozłowskiego modnym był w stolicy a przeto i w Wilnie w ustach wszystkich, harmonja wspaniała, narodowość i śpiew do serca idący Nejmałowskiego, na ten raz i u znawców i u publiczności, wyższość swojemu twórcy zjednały.

Gospodyniami na balu, były ks. Pelagja Sapieżyna i p. wojewodzina Chomińska; gospodarzami: p. Brzostowski, p. Obożny lit. Pociej i p. Karner pierwszy kupiec i prezydent miasta Wilna. Uprzedzony od generał-gubernatora Benigsena marszałek gub., że cesarz nie zechce na balu tańcować, pokłoniwszy się Monarsze z ks. Sapieżyną bal otworzył. Aleksander I, młody, piękny, dobry i wesoły, z największą delikatnością, zapytał przez szambelana swego ks. Golicyna, czy obywatele przyjmą go, do uczęstnictwa w swych tańcach. W tym momencie p. marszałek Brzostowski przystąpiwszy z nizkim pokłonem przepraszał Najjaśniejszego gościa, składając się

ostrzeżeniem Benigsena, że cesarz tańczyć nie będzie i niewiele chwil na balu zabawi. „Omylił się staruszek“ rzekł śmiejąc się Monarcha i stanął z księżną do polskiego, po którym, ani jednego tańca nie opuścił i żadnej damy nie ominął. Były i popisujące się tańce. Piękna panna Anna d'Abry, z niewypowiedzianym wdziękiem wykonała wielkie tamburina i otrzymała zasłużone pochwały Monarchy i całego zgromadzenia. Ale nic tak nie zajęło wszystkich, jak kozak tańcowany przez dwoje dzieci. córeczkę dziewięcioletnią p. Śledzińskiej pierwszej modniarki w Wilnie, z dwunastoletnim synem Karnera. Śliczne to były dzieci i śliczny ich taniec. Gdy po skończonym kozaku mała tanecznica ukłoniła się cesarzowi, cesarz chwycił ją na ręce, podszedłszy do matki winszował jej tak milutkiej córeczki i z tąż malutką rozpoczął polskiego. Mówią, że cesarz ściskając malutką tanecznicę miał łzy w oczach; to być mogło, bo mu piękna dziecina przypomniała, że miał także córeczkę, którą cieszyć się niebo nie pozwoliło! Podczas wieczerzy śpiewała artystka pani de Roche i grał koncert na klarnecie p. Steiniger, wielkiego talentu, gustu i biegłości wirtuoz. Urodził się w Warszawie; w Wiedniu i Rzymie w muzyce się doskonalił. W drugim solo przeszedł samego siebie, Monarcha podzielał powszechne zachwycenie tą czarującą muzyką, kazał sobie przedstawić artystę, dziękował za przyjemność jaką sprawił swem graniem i oddawał sprawiedliwość talentowi i gustowi p. Steinigera i mówią, że piękną tabakierę z portretem swoim dał mu w upominku. Nie długo po wieczerzy cesarz pożegnał zgromadzenie, ale bal trwał aż do dnia. W czasie balu, na placu ratuszowym wyprawiono bankiet dla pospólstwa, kosztem obywateli. Dwa woły całkowite i mnóstwo baranów i drobiu upieczono, a piwa, miodu i wódki, to i miary nie było.

Nazajutrz na Pohulance cesarz miał przegląd wojska, a wracając, był w katedrze, zwiedził uniwersytet i wszelkie naukowe, przemysłowe i dobroczynne zakła-

dy. Benigsen uprzedził, ażeby żadnemi suplikami cesarza nie trudzić. Ale była jedna nieszczęśliwa wdowa, której mąż jeszcze za panowania Pawła, skazany na wygnanie, na Syberji życie zakończył. Fundusz biednej wdowy pokrewni zagrabili, fortunę zaś, jaka po mężu została, skonfiskowano. Nieszczęśliwa rozpoczęła z krewnemi proces o swoje, o mężowskie dopominała się u rządu, ale wszystko szło jej oporem, a kiedy ani protekcji nie miała i nie było resursów na popieranie interesu, proces się przeciągał i biedna wdowa do ostatniej nędzy doprowadzoną była. Przybycie Monarchy ożywiło nadzieję wdowy, ale jakże do panującego dostąpić? Pani wojewodzina Chomińska [1]) wzięła na siebie obowiązek pomagania biednej. Cesarz miał wracać od katedry, umieściła więc wojewodzina wdowę przy samem wejściu w zamkową bramę i sama obok stanęła. Matka i troje dziatek okryci żałobą klęczeli, najmniejsza z nich trzymała prośbę. Cesarz zdaleka zobaczył tę malowniczą grupę, niezapytawszy nikogo, co to znaczy, przypuścił konia i zatrzymał się przed bramą. Przez uszanowanie dla wojewodziny, nikt nie śmiał ani usunąć wdowy, ani jej ukryć przed okiem Monarchy. Aleksander poznał p. Chomińską, zsiadł z konia podniósł klęczącą, prośbę przeczytał i proszącą ojcowskiemi słowy pocieszał. Potem, ze zwykłym sobie wdziękiem pozdrowił wojewodzinę i zapytał: Est-ce votre protegée, madame? „Oui sire! mais le coeur magnanime de son Souverain, la protegera aussi, car sa cause est juste.“ „Vous serez satisfaite madame!“ to rzekłszy zagiął róg prośby i oddał ją księciu Golicynowi, skłonił się damom i spiąwszy konia ostrogami, wcwał puścił się dalej.

---

[1]) Chomiński Ksawery należał do tej grupy obywatelstwa na Litwie, która z Adamem Czartoryskim i Jul. Niemcewiczem rozpoczęła akcję antinapoleońską, niemającą wielkiego powodzenia śród obywatelstwa na Litwie.

Nazajutrz bardzo rano z żalem mieszkańców Wilno opuścił, a w kilka dni wdowa otrzymała ukaz wracający jej i to co mąż posiadał i to co jej krewni wydarli, błogosławiła wspomnienie wielkiego, ukochanego Monarchy. W przejeździe tym przez Litwę, każda chwila, każdy krok cesarza, oznaczały się dobrodziejstwami i wszędzie wznosiły się odgłosy wdzięczności ludów, które go uwielbiały i błogosławiły. Przystępność Monarchy, pozwala każdemu zblizka napatrzeć się na jego piękne oblicze i zostawić w pamięci niezatarte rysy pomazańca Boskiego — ja go zblizka widziałem! i dziś jeszcze zdaje mi się, że widzę to nadobne oblicze, przez które przemawiała, jeszcze nadobniejsza dusza. Na pamiątkę bytności cesarza, miasto kazało odmalować piękny portret cesarza i w salach ratuszowych umieścić. Nim jednak stanął na miejscu, inaugurowany był z wielką okazałością.

Na ten cel wybrano dzień 30 sierpnia, dzień imienin najukochańszego Monarchy. W katedralnym kościele umieszczono portret na tronie, ks. biskup w wielkiej asystencji duchowieństwa uroczystą Mszę celebrował. Wszystkie władze rządowe, senat akademicki i znakomitsi obywatele w formie paradnej, asystowali przy tronie, a gdy pasterz zaintonował *Te deum,* procesja ruszyła do ratusza. Szły naprzód cechy ze swojemi chorągwiami, za niemi wojenna muzyka, następnie prezydent magistratu, niosąc na bogatej poduszcze klucze od miasta, szły potem władze rządowe, senat akademicki, za którym ks. biskup poprzedzał portret, niesiony przez dwunastu znakomitych obywateli miasta, pod baldachimem umyślnie na to przyrządzonym, na noszach wieńcami dębowemi i purpurowemi festonami ozdobionych. Za portretem ciągnęła się długa procesja rozmaitego stanu, płci i wieku, osób asystujących inauguracji obrazu ojca ludu. Cechy i pospólstwo pozostali na placu, duchowieństwo, urzędnicy i obywatele weszli do sali, gdzie przybrany był tron dla portretu, w tem samem miejscu,

gdzie przed dwoma miesiącami dla samego cesarza był przygotowany. Liczna orkiestra i chór dobranych śpiewaków, stosownym hymnem powitały uwielbianego Monarchy rysy. Ks. biskup poświęcił cały przybytek i portret na tronie postawiono. Wieczorem ratusz i miasto okazale oświecono, a w salach pałacu Millerowej okazałym balem uroczystość tę marszałek gub. zakończył. I na przyjęciu Monarchy i na tem obchodzie wszędzie mię wprowadził szanowny mentor p. Odachowski.

Postęp mój w botanice, otworzył mi wstęp do botanicznego ogrodu, a zaskarbiwszy sobie życzliwość starego ogrodnika, miałem wolność uzbierania sobie nasion, z czego korzystając, zebrałem wiele pięknych roślin, nieznanych jeszcze w naszych stronach. Uśmiechnął się ks. Jundziłł, zastawszy mię przy tej robocie, pochwalił cel i kazał zbiór mój powiększyć. Rysowałem sobie widoki reszty zamku dolnego Jagiełłów, rozwaliny górnego, pałac Sapieżyński na Antokolu, pojezuickie w Zakręcie z za Wilji, ale Oleszkiewicz ledwie że spojrzał na nie, bo widoków malować nie lubił, a sztukę pejzażową miał za najniższy stopień artystyczności malarskiej. Pobyt mój w Wilnie otworzył mój umysł, ukształcił nieco, dał mi potrochu znać ludzi i ludzi, dojrzałem więcej niż można było na lat szesnaście.

Pod jesień wezwał hrabia Oleszkiewicza i mnie z nim powracać kazał. Oznajmiłem pp. Śniadeckim mój blizki wyjazd i usłyszałem od nich oświadczenie, że jeżelibym pozostał w Wilnie, zostanę pod protekcją i opieką p. Śniadeckiego i że o tem hrabiego sam uwiadomi. Silna walka wszczęła się w sercu mojem. Czułem już całą wartość kierowania się naukowego, pojmowałem korzyści i zaszczyt ofiarowanej mi protekcji; z jednej więc strony widok świetny przyszłości pociągał, z drugiej, przemagała tęsknota za strzechą rodzinną, za matką, za siostrami! Dziecinne przywiązanie ciągnęło do domu, rozsądek kazał to uczucie poświęcić widokom przyszłego losu. P. O-

dachowski silnie popierał stronę rozsądku; dobroć pp. Śniadeckich brała przewagę. Biedziłem się, wahałem, bo mi jeszcze lat nawet szesnaście spełna nie było i tak chodząc bez celu, zaszedłem do katedry. Nie było w kościele nikogo, cicha tylko msza zaczęła się w kaplicy św. Kazimierza. Ukląkłem i gorąco modliłem się do św. Patrona naszej krainy. Dziwne usposobienie owładło mą duszę, jakiś głos wewnętrzny odzywał się „zostań!“ i po mszy wstałem umocniony na duchu, ze stałem przedsięwzięciem niewracania na Wołyń. Pewny nawet byłem, że to się hrabiemu podoba i matka chętnie się zgodzi na kilkoletnie niewidzenie jedynaka, zapewniające jego przyszłość, oświadczyłem więc mój zamiar Oleszkiewiczowi. Jaką to burzę zwaliło na moją głowę, ani chcę opisywać, ani mogę. Gdybym miał lat więcej, lub więcej tęgości charakteru, mógłbym się był uprzeć przy mojem przedsięwzięciu, ale zalękniony, uległem i musiałem jechać z Oleszkiewiczem. Bolesne było dla mnie opuszczenie miejsca, w którem nadzieja kreśliła mi błogi obraz przyszłości, gdzie doznałem jak Opatrzność czuwa nad sierotą, gdzie tak łaskawych na mnie znalazłem. Z rzewnym płaczem żegnałem moich czcigodnych dobroczyńców, a od ich miłych dziatek oderwać się nie mogłem. Zosia mi dała woreczek ładnie na drutach robiony, od Józia miałem srebrny rajsteder. A ja? ja nic im nie dałem, prócz najserdeczniejszego uściskania i łez najżyczliwszych. Pobłogosławili mię oboje profesorstwo na drogę, a ja, za łzami, progu nawet który po raz ostatni przestępowałem, nie widziałem. Szanowny Odachowski odprowadził mię aż do stancji, długo coś z Oleszkiewiczem w drugim pokoju mówili, ale odmyślam się że o mnie, bo Oleszkiewicz daleko łagodniej do mnie mówił. Płakałem żegnając Odachowskiego, ale i jego łzy, przy ostatniem uściśnieniu, na czoło moje spadły. Wyjechaliśmy z Wilna, mego smutku nic rozerwać nie mogło, kryłem się z mojemi łzami i towarzystwo młodego Oleszkiewicza

z którym żyliśmy przyjaźnie tyle czasu, nieznośne mi się stało. Jedyną pociechą uciśnionego serca była myśl, rzucenia się do nóg drogiej matki i uściskania sióstr ukochanych.

W Możejkowie parę dni spędzonych w pośród czcigodnej rodziny Markiewiczów, podziałały na mój smutek bo ileż to mi współczucia okazywali, a pan Onufry po prostu powiedział mi, że gdyby był obecnym przy naszem wybieraniu, byłby mię w Wilnie zostawił, cały interes u p. hrabiego wziąłby był na swoją odpowiedzialność. Pokochałem całem sercem p. Onufrego za takie pocieszające słowa. Stamtąd wstąpiliśmy do Dereczyna, majętności ks. Franciszka Sapiehy, jednego z najmożniejszych panów litewskich. Fraszka, że książę nieprzemierzone ziemie posiadał, że intraty na miljony liczył, ale książę umiał bogactw swoich używać, ale pomagał *talentom, protegował nauki i szukając po skrytych zakątkach cierpiącej ludzkości* skryte i hojne przynosił jej wsparcie. Dom dereczyński nie celował wspaniałą powierzchownością, ale jakie skarby wewnątrz zawierał! Pominę bogate obicia, meble, narzędzia, naczynia srebrne lub złote, bronzowe, chiński gabinet, pyszne z Pompei i Herkulanu etruski, postęp szkła od pierwszego wyrobu, aż do wydoskonalenia kryształów w Czechach i Anglji i inne osobliwości, ale galerja obrazów, o której tyle tylko powiem, że Oleszkiewicz nie mógł się nasycić rozpatrywaniem się w niej przez trzy dni i z żalem ją opuszczał.

Potrzeba tu powiedzieć i z pokorą wyznać, że Litwini, o wiele nas mieszkańców południowej części kraju, wykształceniem smaku i obyczajów, podniesieniem się w naukach, wyprzedzili. Litwa przed połową przeszłego stulecia jeszcze, liczyła kilkadziesiąt znamienitych domów posiadających bogate bibljoteki, obfite zbiory wybornych malowideł i innych osobliwości. Na Wołyniu w ostatnich prawie latach XVIII wieku ks. Kacper Lubomirski, Grocholski Antoni, senator Gliński i Krzysztof

Urbanowski posiadali zbiory obrazów. W innych domach ledwie gdzie jakie lepsze widzieć można było malowidło, a i o tem nie wiedziano skąd się wzięło. Toż było na Podolu i Ukrainie. Tulczyn posiadał zbiór wielki, sławne imiona artystów widać było pod obrazami, ale gruntowny znawca, niewiele do tych świadectw przykładał wiary. Z bibljotekami toż samo prawie było. Nie można powiedzieć, że Wołyń i Podole nie posiadały zbiorów ksiąg Czackich, Mniszchów, Chodkiewiczów, Jabłonowskich, Glińskich, Urbanowskich na Wołyniu, Makowieckich i Raciborskich na Podolu, godne wspomnienia. Ale takich bogatych mało było, a najwięcej może przechowujące materjałów, klasztorne, w nieładzie rozrzucone, żadnego użytku nie przynosiły. Inne obywatelskie, nie różniły sie od klasztornych, a i tych liczba ograniczona. Za Sasów, Wołyń nie świetniał oświeceniem, kiedy Litwa już się szczyciła naukowemi zbiorami Sapiehów, Tyszkiewiczów, Chreptowiczów, Platerów, Ogińskich, Prozorów i tylu innych znakomitych rodzin.

Wołyń, Podole i Ukraina, razem wzięte, ledwie dziesięć szkół liczyły, Litwa miała ich prawie w trójnasób tyle. Prawda, że litewscy obywatele więcej się trzymali ojczystych ziem swoich i umieli czas swój mądrze rozdzielić, na pobyt w stolicy lub za granicą i na domowe sprawy; kiedy południowe Polski prowincje zalane nieprzejrzanemi okiem, podziwiającemi obszernością i zamożnością magnatów majętnościami, rzadko kiedy właścicieli ich widywały. Szlachta, choć i dostatniejszej wiele było w tych prowincjach, niewiele się naukom oddawała, możniejsi rzadko nawet dzieci do szkół posyłali, przestając na cudzoziemcach, którzy, Bóg wie czego i jak uczyli. Ubożsi odbywali nauki w szkołach, może i z korzyścią odbywali, ale nadal wojskową, albo prawniczą mając przed sobą drogę, ledwie że pamiętali to czego ich w szkołach uczono; albo w roli zagrzebawszy zdolności, rdzawieli umysłem i sercem! Zaledwie koniec

XVIII stulecia ujrzał więcej zamieszkane możnemi Wołyń, Podole i Ukrainę, i smutno powiedzieć, że upadek dopiero kraju obudził ducha naukowego. Czyż te ziemie, mlekiem i miodem płynące, nie mogły na żyznych niwach swoich, dać wcześniej wschodzić, krzewić się i kwitnąć, wydać owoce, oświeceniu!

Litwo! błogosławiona Litwo! Kolebko rodu mojego! ty! na biednej glebie twojej, z ciężkiem trudem, w pocie czoła, wydobywając chleb twój powszedni, kształciłaś umysły, zbierałaś naukowe skarby i wyrabiałaś w sobie polor i zaszczytne uczucia, któremi tak świetnie w dziejach naszych jaśniejesz, i zostawiłaś nas daleko za sobą! daleko!

W końcu września przyjechaliśmy do Pekałowa. Nader miło hrabstwo powitali Oleszkiewicza, na mnie się zakrzywili za mój mały postęp w rysunkach; ale kiedy hrabia dowiedział się o mojem uczęszczaniu na uniwersyteckie lekcje i wyegzaminował z tego, czegom się nauczył, zadowolony, odezwał się do hrabiny: „Widzisz, ma chère! że mój projekt na Antosia był lepszy". „Rób sobie co chcesz, odrzekła, niech sobie będzie i uczonym głupcem, tak jak wielu". Na tem słowie ucięła, hrabia niby nie zrozumiał... machnął ręką... i polecił mi, ażebym codzień ranek przy rysunku, od obiadu zaś czas w bibljotece przepędzał. W kilka dni posłał mię do Tuczyna, gdzie u pana wojewody ojcowskie znalazłem przyjęcie. Matka rada była z mego powrotu, ale kiedy dowiedziała się o żądaniu pp. Śniadeckich, żałowała, tak, jakem przewidział, że nie zostałem w Wilnie. Niejeden wieczór w kółku rodzinnem przeszedł na opowiadaniu o Wilnie i o wszystkiem, co tam widzieć mogłem i zauważać potrafiłem, a co jeszcze tak świeżem było w pamięci. Nieraz i sam p. wojewoda rad słuchał moich opowiadań. Zebrane w ogrodzie botanicznym nasiona ofiarowałem p. wojewodzie, co mi uważenie naszego czcigodnego pana zjednało, a dar, darem odpłacając, kupił mi botaniczne.

Pałac

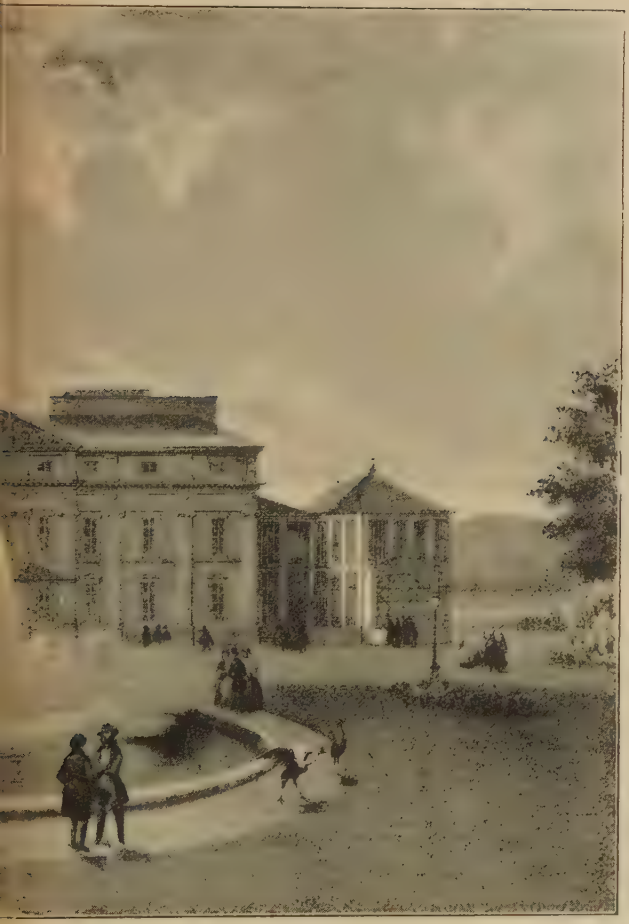

Verkach

jakie dzieła podówczas w języku naszym istniały Kluka i Jundziłła.

Wiele też odmian zastałem w Tuczynie. Wojewodzice Józef i Heronim pożenili się, starszy z Czacką strażnikówną kor., młodszy ze strościanką Tłumacką Potocką, ową Cesią delikatną, słabowitą i dobrą jak anioł, o której już wyżej mówiliśmy. P. Józefowi, wypuścił ojciec Drohobuż, Ilin i Podolany, Heronim pozostał przy ojcu, bo tę synowę p. wojewoda jak własną córkę kochał, i od niej najczulszego doznawał przywiązania. Skirmuntowie przenieśli się do dzierżawy wypuszczonej im od p. wojewody, o milę tylko od Tuczyna odległej, i często w Tuczynie bywali. Matka moja pozostała przy naszym panu, mieszkała w ładnym domku blizko pałacu, ale najwięcej panu po całych dniach kompanji dotrzymywała. Z młodzieży, bawili w Tuczynie młody i piękny Antoni Potocki brat p. Hieronimowej i p. Linowski kuzyn p. wojewody. Ale już, nie ten to był Tuczyn, co dawniej. Wesołość jaka cechowała towarzystwo i zabawy, rozdzieliła się na trzy domy, a najmilej gościła w Bystrzycach u kasztelanicowstwa, u których kilka dni miło mi uleciały. Zastałem tam panią Antoniowę Grocholską, siostrę stryjeczną pana Adama, o której mówiłem, że na wesele brata zjechała. Rozstała się z mężem i poszli do rozwodu. Interesującą historję tej damy, pokrótce tu opiszę:

P. podkomorzy Bierzyński, młodą tę i piękną córkę, wydał samowolnie za człowieka, nie dla niej stworzonego, człowieka, do którego żadnej skłonności nie miała. P. Grocholski piękny z postaci, nie miał zasad skrupulatnych religji i moralności, ale za to świetniał wielką foremną błyszczącą edukacją i szczęśliwem w miłostkach powodzeniem. Miły w obcowaniu, gładki w tłumaczeniu się i swoim i obcemi językami, posiadał nauki, wpłynął silnie na podkomorzego, zyskał u niego opinję światłego obywatela, i można powiedzieć tak mu głowę zawrócił,

że podkomorzy nie zważając, czy córka ma skłonność, czy odrazę, wydał ją za p. Antoniego. Ale z tą piękną i tak ogładzoną powierzchownością, charakter się nie zgadzał; bo w tem sercu zużytem delikatnych uczuć nie było. Ten człowiek nietylko nie pojmował swojej żony, ale nawet jej materjalnie nie kochał. Z takim mężem, Eleonora, ta godna, czuła, delikatna, może i trochę egzaltowana, wyżyć nie mogła. Szukała przytułku w domu ojcowskim, ale ojciec rozgniewany, że tak pięknego, rozumnego męża opuściła, dom jej swój zupełnie wymówił. Biedna Eleonora osiadła w Dubnie i bardzo skromnie i prywatnie żyła z zasiłków przez macochę jej udzielonych.

Konsystujący podówczas w tem mieście znajomy już generał Baur widział p. Grocholską na spacerze, spotkał ją później u Igielsztromów, tam się zrobiła znajomość i generał otrzymał pozwolenie odwiedzania p. Eleonory. Ciągnęło się to z pół roku blizko — generał coraz więcej przywiązywał się do pięknej seperatki i ona nieznacznie nawykała do miłego z nim towarzystwa. Generał oczekiwany był z upragnieniem, przyjmowany z braterską uprzejmością. Poznał Baur niedogodne wcale położenie Eleonory przedstawiając jej, że trudnienie się drobiazgowemi szczegółami gospodarstwa, za ciężkie dla niej i wcale niepotrzebne, polecił swemu dworeckiemu, zająć się wszelkiemi pokupkami dla domu p. Grocholskiej podług rozporządzenia, a ten krok delikatny znacznie polepszył byt jej w Dubnie.

Jakoś w tym czasie p. Bierzyńskiemu wypadł interes do Dubna, jako ściśle znajomy, natychmiast odwiedził Baura. Po powitaniu, miła pomiędzy przyjaciółmi wszczęła się pogadanka i Baur zapytał kasztelanica, czy zna p. Grocholską Antoniową? „Jakże nie, to moja siostra, gdzież ją poznałeś? — „Tu w Dubnie". „Kiedy?" „Odtąd, jak rozłączywszy się z mężem, tu osiadła". „Jakto? poznałeś przecie? Gdzież mieszka? Będę ci zaraz

do niej towarzyszyć, ale pozwól mi pierwej kilka słów z tobą pomówić. P. Eleonora od kilku miesięcy tu zamieszkała; wkrótce poznałem po jej przybyciu, poznałem ją i odtąd stałem się codziennym u niej gościem. Częste przebywanie z tak piękną i tak pięknie wychowaną osobą, nie mogło nie podziałać na moje serce. Ten Baur, bałamut, pędziwicher, znalazł przecie osobę, która go na statecznego człowieka zmienić potrafi, której i miłość prawdziwą, i rękę swoją radby poświęcić. Dotąd jednak kroku stanowczego nie zrobiłem, a mimo moje uprzedzenia o kobietach, cnoty p. Eleonory tyle panowania mają nade mną, żem jej uczuć moich odkryć nie poważył się.

Nie śmiem sobie pochlebiać, ażebym już jej serca wzajemność pozyskał, ale nie mam dość męztwa pozbawiać się słodkiej nadziei zasłużenia na jej przychylność. Bóg cię tu sprowadził Adasiu! ty wyrozumiej stan rzeczy i działaj, a co wypadnie, z rezygnacją, choć może z boleścią przyjmę. Słuchał z uwagę kasztelanic i miło mu było, że człowiek, którego cenił wysoce, mógłby się stać jego pokrewnym. Nic ci generale teraz nie odpowiadam, idźmy do Leosi, tam z kilku słów, poznam i stan serca mojej siostry i twoją przyszłość.

W kilka chwil potem, kasztelanic i generał byli u p. Antoniowej. Prawdziwie braterskie było powitanie rodzeństwa, p. Adam wymawiał siostrze, że po rozłączeniu się z mężem pod bratnią strzechą nie szukała przytułku, gdzie i on i Tercia sercem by ją przyjęli. Wymawiała się biedna Eleonora bojaźnią, ażeby i oni, tak jak ojciec nie poczytali za złe jej postępku. Serdeczne uściśnienie braterskie zakończyło wymówki, rozmowa stała się ogólną, ożywioną, a o interesie, ani kto wspomniał. Wieczorem podano herbatę, ludzie generała i serwisy były na usłudze. Widząc p. Eleonora na twarzy brata zadziwienie, powstała z miejsca, a wziąwszy Baura za rękę. „Bracie!“ rzecze „oto jest człowiek, który chęci moje uprze-

dza i z największą delikatnością we wszystkiem mi pomaga: a lubo od pół roku blizko znamy się, i nie mogę niepoznawać stanu jego serca, wyznaję, że tyle szanował moje położenie, iż najmniejszem pozorem, żadnem słówkiem, uczuć swoich poznać mi nie dał. Z prawdziwą sercu pociechą widzę wasze przyjazne stosunki, i usprawiedliwiam serce moje z przywiązania, jakie powzięłam ku temu zacnemu człowiekowi". „Kiedy pani raczyłaś tyle powiedzieć, ozwał się Baur, pozwólże mi dokończyć. P. Adamie! zwierzyłem ci się z moich uczuć i życzeń, ale je kryłem przed panią, bo szanowałem smutne jej położenie, ale dziś, w przytomności twojej Adasiu, ośmielam się prosić twej siostry aby pozwoliła los jej z moim połączyć, oddając mi swą rękę. Czułe uściśnienie ręki generała, było całą odpowiedzią Eleonory, ale w tem wymownem uściśnieniu, zatwierdziło się szczęście obojga kochanków. P. Adam z radością zatwierdził ten akt, i wesołość okryła serca tej rodziny.

Ułożono, że p. Grocholska zaraz z bratem odjedzie do Bystrzyc, tymczasem prośba do konsystorza wysłaną będzie o rozwód, a kierowanie sprawy, wpływem swoim generał ma popierać. Kasztelanic wysłał natychmiast umyślnego do Bystrzyc, donosząc o wszystkiem ze szczegółami, z tegoż listu i tu wypisanymi. Długo jeszcze wróciwszy do siebie rozmawiali dwaj przyjaciele, nakoniec zadowolenie z pomyślnie ułożonego interesu, sen błogi na nich zesłało. P. Grocholska nie była tyle spokojna, a lubo pragnęła wytłumaczenia się z Baurem i zaślubienie jego nieraz jej marzeń było celem, zmiana ta jednak położenia silnie podziałała na jej nerwy, i długo marząc o swej przeszłości i przyszłości, długo zasnąć nie mogła.

Nazajutrz p. Adam sam odwiedził siostrę, Baur zajęty przygotowaniami do podróży p. Leonory został u siebie, bo trzebaż było rodzeństwu dozwolić rozmowy między niemi samemi. Szczęśliwa z bytności brata, który

i uczucia jej i wyobrażenia pojmował, opowiadała mu smutne pożycie z człowiekiem, którego nie kochała, a którego wolne i dziwaczne postępowanie, szacunku nawet wzbudzić nie zdołało. „Ileż to ubliżeń! ileż nawet upokorzeń znosić musiałam. Odosobniona zupełnie z boleścią serca patrzałam jak p. Antoni faworytkami otoczony, zwyczajnej, nawet pozornej przyzwoitości nie zachował. Cierpiałam, ani było komu cierpień się moich użalić.

Nakoniec przebrała się miara! trzy lata wycierpiawszy, ośmieliłam się nakoniec powiedzieć p. Antoniemu, że już „dłużej takiego brzemienia ucisku znosić nie zdołam". „Więc pani możesz się uwolnić i wyjechać dokąd się podoba. Ekwipaż jest na jej zawołanie". „Tyle bezczelności, obojętności i szyderstwo z jakim te słowa wymówił i jakie wyryte były na jego twarzy, obudziły moje męztwo. Nic nie mówiąc spojrzałem tylko na niego, ale tego spojrzenia ostatniej pogardy nie mógł wytrzymać, spuścił oczy; wyszłam i tegoż dnia opuściłam Tereszki. Gdzież się udać? naturalnie do ojca, w nadziei, że jeżeli listy moje nie mogły przemówić do jego serca, to może łzy córki rozbroją surowość ojca. Ale się zawiodłam!" „Wracaj wmpani do męża, a jeżeli chcesz go koniecznie porzucić, to i dom mój dla niej na zawsze zamknięty". „Nie wiem co się ze mną stało i jak długo trwało to moje odrętwienie, ale przyszedłszy do siebie, dowiedziałam się, że ojciec wyjechał do Berdyczowa i nie wróci, aż po moim wyjeździe". „A podkomorzyna, przerwał p. Adam, która zdawała się tak ciebie kochać, cóż na to?" „Macocha, od kilku dni wyjechała do swoich, i niewiadomo było kiedy powróci. Pierwszą myślą było jechać za ojcem i wezwać pośrednictwa księżnej Radziwiłłowej, ale rozważywszy i moje położenie i upór ojca, zaniechałam tego zamiaru, i napisawszy do ojca list najtkliwszy, błagając, ażeby, jeśli mię już nie chce przyjąć do swego domu, nie chował przynajmniej w swem sercu gniewu na

nieszczęśliwą córkę; i odjechałam do Dubna. W miesiąc odebrałam list od mamy pełen najprzyjaźniejszego współczucia, zaklinający, ażebym się niepodawała rozpaczy i miała w Bogu nadzieję, a czasowi udobruchanie się ojca zostawiła. Przysłała mi dwieście dukatów, które ojciec z kasy swojej wziąć pozwolił, i odtąd pisujemy do siebie, i zapewnia mię, że wkrótce będę mogła ojca odwiedzić". „Odwiedzisz go!" zawołał kasztelanic: „odwiedzisz go ze mną i z moją żoną. Dawnośmy byli u stryja, zadowolony więc będzie z naszych odwiedzin i spodziewam się, że wszystko pomyślny obrót weźmie.

Gdy tych słów domawia, wszedł lokaj i pakiet z poczty oddał p. Grocholskiej. „Od p. Antoniego!" czytaj Adasiu, bo moje wzruszenie czytać mi nie dozwala, list był w tych słowach: „Nie dobrane było nasze stadło, nie dla siebieśmy stworzeni! Silna tylko wola ojca pani, ten związek żadnemi uczućmi nie wzmocniony, skleić mogła. Ślicznieś pani zrobiła opuszczając mój dom, lepiej pani odwdzięczyć się nie mogę za wróconą mi wolność, jak donosząc, że sprawę rozwodową rozpocząłem. Pani masz po sobie najważniejszą i najprawniejszą w tym gatunku spraw przyczynę, przymus od ojca. Spodziewam się, że pani nie trudno będzie znaleźć przyjaciół, chcących popierać tę sprawę, której stanowczego dekretu z upragnieniem wyglądać będę". „Doskonale! zawoła kasztelanic, uprzedził nas p. Antoni, więc tem pewniejszy skutek". Nie posiadała się z radości Eleonora, „będę wolną" i „będziesz moją" odezwał się generał, który, cicho wszedłszy, i list i te słowa p. Grocholskiej słyszał. „Będę twoją, tak, i to dopiero będzie ślub serc prawdziwie sobie oddanych". „Będziem szczęśliwi!" — zawołali razem kochankowie, — „bądźcie szczęśliwi!" — rzekł rozczulony p. Adam. W parę dni potem p. Eleonora z kasztelanicem opuścili Dubno, generał ich tylko do Warkowicz odprowadził, pożegnał do widzenia i wrócił dla zajęcia się przyśpieszeniem swojego szczęścia.

W Bystrzycach oczekiwano już przybycia p. Grocholskiej; mile przyjęła ją kasztelanowa i od pierwszego dnia były zsobą jak siostry. Słodycz charakteru, wyższe ukształcenie, mnóstwo talentów, zachwycająca pięknością powierzchowność, wszystkich serca dla niej jednały. W krótkim czasie, p. Eleonora, stała się duszą domu pp. Adamostwa, wszyscy ubiegali się w uprzedzeniu jej myśli, ona, myśli swoje i chęci stosowała do wszystkich. P. Grocholska, wzrostu była słusznego, kibici kształtnej, owal twarzy miała regularny, rysy greckich piękności, białość kararskiego marmuru, usta i zęby prześliczne, a błękitne oczy, z pod ciemnych rzęsów, anielskiem wejrzeniem jaśniały. Włosy (blond) płowe w długich kędziorkach spadały na śnieżną szyję, rumieniec rzadko kiedy skrasił to lice nadobne, bo tyle przeniesionych cierpień zniszczyły zdrowie tego anioła; ale taż sama bladość, taki wdzięk na całą postać rozlewała, a do tego ulubione jej białe ubranie, tak ją jakąś nadpowietrzną, nieziemską wystawiały, że każdy widział w niej anioła, i tego anioła pojąć i ocenić nie umiał ten, co los swój z jej losem połączył. Pan wojewoda, znając p. Grocholskiego, jako obywatela światłego, a nie wiedząc jakim był w pożyciu domowem, miał za złe p. Eleonorze, że takiego znakomitego człowieka, poprzysiągłszy mu wiarę, opuścić mogła; ale rozpatrzywszy się bliżej w przymiotach i postępowaniu Eleonory, nie znajdował słów na oddanie jej sprawiedliwości. Do podkomorzego sam napisał, wymawiając mu zbytnie uprzedzenie się względem zięcia i nieojcowską surowość dla córki. Im dłuższy był pobyt Eleonory w Bystrzycach, im więcej ją poznawano, tem mocniej szacunek dla niej i uwielbienie wzrastały. Baur bywał często i przesiadywał u kasztelanicostwa i wszyscy winszowali ożenienia, jakie czekało go z Eleonorą. W tym właśnie czasie byłem w Bystrzycach i widziałem tę piękność, i od siostry mojej, którą p. Grocholska bardzo lubiła, te szczegóły

słyszałem, następnie całą historję Eleonory, taż siostra moja zanotowała.

Sprawa rozwodowa rozpoczęła się, ale nim koniec weźmie, kazano p. Grocholskiej mieszkać w klasztorze, albo u Brigidek w Łucku, albo u Karmelitanek w Dubnie; p. Eleonora wolała pozostać w Dubnie, lecz nim się tam przeniosła, kasztelanicostwo powieźli ją do ojca, dokąd i p. wojewoda im towarzyszył, bo się przekonał o moralnem prowadzeniu się p. Eleonory i w pożyciu z mężem i po zerwaniu tych związków, i przed ojcem protekcją swoją bronić postanowił. Pora była jesienna, wilgotna i chłodna, podróżnym wypadł nocleg w Piatce, lichem i nędznie zabudowanem miasteczku. W nocy wszczęty niedaleko domostwa, w którem nocowali, pożar, podróżnych rozbudził. Eleonora, marząc o przyjęciu, jakie ją czeka u ojca, nie spała, i pierwsza usłyszawszy rozruch, w przestrachu krzyknąwszy: „gore!“ nieodziana wyskoczyła na dwór; szczęściem lokaj p. wojewody postrzegłszy wybiegającą, chwycił na ręce i zziębniętą wniósł do pokoju. Wiatr, wiejąc w przeciwną stronę, odnosił niebezpieczeństwo od domu, gdzie nocowali podróżni; położono więc Eleonorę w ciepłą pościel, gdzie prędko i spokojne zasnęła i zdawało się, że ogrzanie i sen zapobiegły złemu, bo nazajutrz wstała spokojna i rzeźwa. Nad wieczorem drugiego dnia stanęli w Andruszówce. Podkomorzy nie spodziewał się nikogo i zadziwił się widząc tyle ekwipażów wjeżdżających w dziedziniec, ale poznawszy karetę p. wojewody, wyszedł na ganek powitać kolligata. P. wojewoda, nie czekając aż reszta podróżnych wysiądą, wziął podkomorzego za rękę i prawie gwałtem wciągnął do pokoju. „Ależ kochany wojewodo! pozwól mi i resztę gości powitać i wprowadzić, tam widzę są i damy“. „Jest tam Adaś, i on je wprowadzi, a powitanie później nastąpi. Słuchaj p. Józefie! stary przyjaciel, turbował swoje stare kości o kilkanaście mil do ciebie, spodziewam się, żeś mu rad?“ „Tak, jestem szczęśli-

wy z odwiedzin twoich, że co tylko każesz robić będę, choćby i koziołki przewracać". „Trzymam cię za słowo i pewny jestem, że słowa dotrzymasz, ale tu nie o koziołki chodzi. Misja moja jest ważna!.. Przywożę ci twoją Leosię!" „Leosię? Leosia tu?" zawołał pomieszany podkomorzy „któż ją ośmielił przestąpić moje progi?" „Ja! a jeżeli córkę odepchniesz od twego łona, odepchniesz i starego towarzysza broni, który dziś błaga ciebie za twojem dziecięciem!" „Panie Michale! wykrzyknął podkomorzy, rzucając się w objęcia p. wojewody, dla miłości Pana Boga! dla twojej przyjaźni, przebaczam! odpuszczam!" jeszcze tych słów nie domówił, jeszcze p. wojewoda trzymał go w uściśnieniu, a już Eleonora oblewała łzami stopy ojcowskie; wyrwał się podkomorzy z rąk przyjaciela, chciał się cofnąć, ale wejrzenie klęczącego przed nim anioła, rozbroiło surowość i wywołało z serca ojcowskie uczucia. Z głośnym płaczem chwycił córkę na ręce i serdecznie do piersi przycisnął. Wszystkich oczy zalały się łzami, i p. wojewoda płakał, ale przez łzy, oczy jego jaśniały takim blaskiem, takim tryumfem, że cała postać jego nadludzką się zdawała. Podkomorzy posadziwszy córkę, uprzejmie witał kasztelanicostwo, a chwyciwszy rękę p. wojewody i niosąc do ust: „P. Michale!" zawoła „bracie! ojcze! to coś ty dziś dla mnie zrobił jest dobrodziejstwem, na odwdzięczenie którego, całego życia za mało! Tem pojednaniem z córką, ostatnim chwilom moim spokojność wróciłeś. Nieraz zgryzota srodze trawiła serce ojcowskie wyrzutami nieludzkiej srogości, odsuwającej od mego łona moją Leosię. Nieraz zacna małżonka przemawiała po macierzyńsku nie za swojem dziecięciem. Ale ani zgryzoty, ani łzy żony nie mogły wzruszyć zakamieniałego serca! Tyś wszystko zwyciężył! tyś przebaczył zbłąkanemu synowi! szczęśliwym! że z twego przykładu korzystać mogę!" „Mój Józef w istocie był winnym" rzekł p. wojewoda: „a córka twoja niewinnie nieszczęśliwą była! Czy-

taj listy jej męża, na którym, niestety! takeśmy się zawiedli!“

Podkomorzy przebiegł szybko listy p. Grocholskiego i boleśnie wykrzyknął: „Ty byłaś tak nieszczęśliwą, a twój ojciec cierpieniom twoim wiary dać nie chciał. O! przebacz! przebacz!“ i płakał rzewnie i tulił do serca ukochane dziecię. Wtem nadjechała podkomorzyna i nie po macierzyńsku powitała Eleonorę. Długo w tkliwem wciśnieniu płakały dwie przyjaciółki ni słowa nie mówiąc i wszyscy rozrzewnieni milczenia przerwać im nie śmieli. Szczęśliwy to był wieczór w tej zacnej i pięknej rodzinie, wesoło, błogo było wszystkim, każdy miał co do powiedzenia, a nikt nikogo nie słuchał. Pan wojewoda poprawiał wyloty u kontusza, zacierał ręce i poświstywał ulubione *U drzwi twoich;* — przy wieczerzy spełniono kielich zgody, a kiedy przyszło zdrowie p. wojewody, podkomorzy przykląkł przed przyjacielem; p. wojewoda rzucił się także na kolana, i w najszczerszem wylaniu uczuć, ściskali się dwaj szanowni weterani! Długo jeszcze po wieczerzy biesiadowali, a nakoniec podkomorzyna oznajmiła, że podróżnym wczasu potrzeba. Podkomorzy odprowadził p. wojewodę i pp. Adamostwo do ich pokojów, podkomorzyna Eleonorę do siebie zabrała i tam jeszcze dwie przyjaciółki długo nagadać się nie mogły.

Drugiego dnia córka opowiedziała podkomorzemu wszystkie swoje cierpienia, wyjazd z domu męża i pobyt w Dubnie. Dowiedział się i o tem, że aż do czasu otrzymania rozwodowego dekretu, Eleonora ma bawić w klasztorze, a p. wojewoda ostrożnie wspomniał o ułożonem wyjściu jej za Baura; nie zdziwiło to podkomorzego, znał generała, bardzo go lubił i nie znalazł nic przeciwnego w oddaniu mu ręki córki, owszem rokował sobie, że może z nim szczęśliwszą będzie. „Bawienie Leosi w klasztorze“ mówił „można będzie przerobić na dom ojcowski i tu ją aż do terminu zatrzymać“. Ale p.

wojewoda radził, ażeby się nie sprzeciwiać woli konsystorza i rozporządzeniu szanownego i ukochanego pasterza. Stanęło więc na tem, że podkomorstwo sami odwiozą córkę do Dubna, że podkomorzy wracając, drogę na Tuczyn obróci, a podkomorzyna zostanie z Eleonorą i tam, jeśli jaka ważna okoliczność nie wezwie ją do domu, do końca rozwodu zabawi. Tydzień cały podkomorstwo nie puścili swych gości, odwiedzali ich sąsiedzi i wesoło czas upływał. Ale najprzyjemniej płynęły chwile, kiedy trzy damy i pan Adam zasiedli razem na pogadankę, a starzy ojcowie przy kielichu równoletniego z niemi węgrzyna przypominali sobie młodych lat figle, wojenne wyprawy i konfederacyjne działania. Przeminął tydzień, jak jedna chwila i o wyjeździe myśleć potrzeba było.

Silne działanie uczuć przy tylu wzruszeniach, wstrząśnienie nerwów przy witaniu z ojcem, a do tego przeziębienie w czasie pożaru w podróży, nie mogły nie wywrzeć szkodliwych skutków na wątłe zdrowie Eleonory, krew pokazała się z piersi, ale cierpiąca nic o tem nikomu nie mówiła, a z twarzy zwykle bladej nikt się niczego nie domyślał. Nakoniec p. wojewoda wyjechał, podkomorstwo i pp. Adamostwo odwieźli rozwódkę do Dubna. W Warkowiczach spotkał ich generał, z najgłębszem uszanowaniem powitał podkomorzego, który go od razu po ojcowsku uściskał i przyszłe szczęście swej córki jego sercu polecił. Baur całą rodzinę na nocleg zatrzymał i hojnie i panów i sług podejmował. Szczęśliwy był Baur, szczęśliwa Eleonora, bo byli swobodni w miłości, bo chwila połączenia się na zawsze tak się niedaleka zdawała.

Radował się podkomorzy szczęściem córki, kasztelanicostwo radość jego podzielali, wszyscy się cieszyli dobrem obecnem, i takąż przyszłość sobie marzyli, ale złe postępowało swoją koleją. Jedna tylko podkomorzyna dostrzegła groźne oznaki rozwijającej się w pier-

siach pasierbicy choroby, nie miała jednak odwagi przestrzedz o tem biednego ojca i tylko kasztelanicowej postrzeżeń swoich udzieliła; uradziły więc, ażeby skoro do Dubna przyjadą, wezwać rady wielką nauką słynnego doktora Lerneta i pocieszały się nadzieją, że ten hipokrat wołyński złemu zaradzić potrafi. Nazajutrz o południu stanęli w Dubnie, wieczorem Lernet, po długim egzaminie, oświadczył, że nic jeszcze zagrażającego nie widzi, przepisał sposób życia, pokarmy, rozrywki, a lekarstw najmniej, a dla zupełnej spokojności, wziął chorą zupełnie w swoją kurację. Po kilku dniach bardzo się polepszyło p. Grocholskiej, przeniosła się z podkomorzyną do klasztoru, podkomorzy wrócił do domu, kasztelanicostwo wyjechali do Pekałowa dla ostatecznego naradzenia się z hrabstwem względem ułożonego wyjazdu na całą zimę do Wilna, który wkrótce nastąpił.

Ja także wróciłem do Pekałowa po miło przepędzonych świętach w Tuczynie. Często widywałem p. Grocholską, bo generał przysyłał po mnie, zawsze dawał mi co do rysowania dla tej damy i zawsze jakimś użytecznym upominkiem pracę moją nagradzał. W ciągu tej zimy Oleszkiewicz prócz kilku portretów, wypracował dla hrabiego cztery obrazy w niewielkich rozmiarach: śmierć Katona, dwa z historji Harmodjusa i Arystogitona i obronę Trembowli. O rysunku niema co i mówić, bo ten był tak prawidłowy, że mu nawet Smuglewicz oddawał sprawiedliwość. Koloryt, kompozycja, postawy osób, charaktery twarzy, wykończenie i wdzięk szczególny pędzla, dawały w tych obrazach poznać wielki talent, wytworny gest i doskonałą znajomość sztuki. Ale jeden z historji Harmodjusa nocny obraz, cudnym efektem światła i kolorytu zachwycał znawców i nieznawców Cztery te malowidła, zdaje mi się, że dzieje sztuki w kraju naszym, policzą do arcydzieł pierwszych mistrzów malarstwa i do pomników sławy naszego wcześnie nam wydartego artysty.

Nie przykrzył się p. Grocholskiej pobyt w klasztorze, towarzystwo podkomorzynej, słodki charakter i wyższe ukształcenie przełożonej, częste widywanie ulubionego, a nadewszystko nadzieja szczęśliwego rozwiązania przyszłego losu, uprzyjemniały jej życie i wpływ miały na zdrowie. Tak było jej lepiej, że Lernet pozwalał przejażdżki i niedługich odwiedzin w mieście, a widząc taki stan polepszenia pacjentki, największą nadzieję budował na kuracji wiosennej, której plan już sobie ułożył. Zima łagodna sprowadziła liczne obywatelstwo na kontraktowe zabawy, bo choć kontrakty przeniesiono już do Kijowa, Wołynianie nawykli do Dubna, tu się i dla interesów i na zabawy zbierali. Książę Michał Lubomirski, właściciel Dubna, odwiedzał często rozwódkę, widząc polepszenie jej zdrowia, zachęcał do uczestnictwa w zabawach i wymógł na Lernecie, że pozwolił Eleonorze być na balu, który książę umyślnie dla niej dawał. Uradowana tem pozwoleniem zajęła się przygotowaniem stosownego ubrania. I nie dziw, piękna, zaledwie lat 22 mająca, ukształcona do świetnienia w wyższych towarzystwach, znała swoje zalety, lubiła rozrywki, których w domu męża długo pozbawioną była. Bal księcia był bardzo świetny. Eleonora w ulubionym sobie białym stroju, w białych kwiatach i sama jak śnieg biała, z rozlanym na twarzy i całej postaci uroczym wdziękiem, zachwyciła i wzrok i serca całego zebrania. Książę bal z nią otworzył, ale Lernet skocznych tańców zabronił. Baur nie posiadał się z radości, patrząc na tę królowę swojego serca, w pośród pięknych najpiękniejszą, i marzył, że ta królowa, niezadługo małżonką jego będzie i szczęściem się swojem upajał. Na silne prośby księcia, Lernet pozwolił Eleonorze jednego mazura, a książę sam jej wybrał tancerza. Młody i piękny Trokin, syn ociemniałego polskiego generała, mieszkającego z familją w Dubnie, był tym szczęśliwym wybranym. Piękna para, w pięknym tym naszym tańcu, wszystkich zachwyciła; całe

zgromadzenie obstąpiło koło mazurowe i głośno zadowolenie swe okazywali. Po trzech figurach p. Eleonora oczuła się zmordowaną i z żalem patrzących taniec się przerwał. Wyszła z podkomorzyną do dalszych pokojów, a usiadłszy dla wypocznienia, kaszlnęła i krew z piersi chustkę jej zbroczyła; podkomorzyna przyzwała Lerneta „a widzisz pani“ rzekł doktór, „że pani tańce nie służą, ale to nic, nie trwóżcie się panie!“ i kazał wypić szklankę ciepłej orżady. Lepiej się zrobiło Eleonorze, ale już więcej nie tańczyła. Ani Baur, ani nikt wydarzenia tego nie widział; ale, wróciwszy do siebie miała podobne rzucenie się krwi. Nazajutrz Lernet, nietylko zabronił tańca, ale i wyjeżdżać nie pozwolił i największą spokojność zalecił. A tak resztę karnawału za kratą klasztorną przepędzić potrzeba było.

Matka hr. Chodkiewicza p. starościna żmujdzka, dla wieku mało kiedy z domu wyjeżdżała; do tego, prócz ks. Michała w Dubnie nikogo z magnatów w sąsiedztwie nie miała, a szlachtę chociaż w domu swoim nawet dość uprzejmie podejmowała, trudna była w odwiedzaniu szlacheckich progów, i szczęśliwy szlachcic, którego wywód z przodków zyskał u niej zatwierdzenie; cokolwiek nieupoważnionej dawnością szlachcie dziwne dawała nazwiska. P. starościna z domu była Rzewuska siostra hetmana i starosty Drohobuskiego, miała siostrę za ks. Radziwiłłem, ale ta rozwiódłszy się, czy owdowiawszy, już nie pamiętam, wyszła sobie, za Chobrzyńskiego, ot tak sobie szlachcica, ale starościna zawsze ją po dawnym tytule nazywała. P. starościnę wszyscy, dzieci jej nawet panią nazywali. Przeciwnie to wydawało się, jak hr. Aleksander, zamiast tak miłego dzieciom wyrażenia „mama“ mówił np. „Może pani będzie łaskawa nas odwiedzi“. Hrabina Aleksandrowa często jednak używała francuskiego: *„Ma chere Maman“* i z podziwieniem wszystkich starościna się tem nie obrażała. Dom p. starościnej na stopie wysokiej, jak mówiono w tamtych

czasach, po senatorsku, był utrzymany, ale po staroświecku; sama nawet trzymała się w ubraniu mody, jak na dworze Stanisława króla, jeszcze przed konfederacją barską zachowywano. Zawsze ufryzowana, upudrowana, z warkoczem na grzebień zapiętym i niebieską kokardą związanym, czepka nie nosiła, chyba w jakiejś nadzwyczajnej okoliczności. Wyśmiewała mowy obecne i obyczaje i zupełnie w wyobrażeniach swoich i zwyczajach, za połową XVIII stulecia została. Była to jednak pani mądra i nauki cenić umiejąca. Względem domowników i sług była dumną, ale łagodną i sprawiedliwą to też kochali ją i widzieć tam można było dwór z osiwiałych w usłudze jej domu służących, w całej paradzie staroświeckiej liberji, ufryzowanych, w trzewikach, na codzień nawet, złożony. Nieprzyjaciółka wszelkich nowości, dzieciom jednak najstaranniejsze dała wychowanie. Córka jej Rozalja księżna Aleksandrowa Lubomirska i pięknością i wysokiem ukształceniem na dworze Marji Antoniny świetniała i wraz z tą królową podzielając nieszczęścia rodziny Burbonów haniebnym zgonem piękne swe życie skończyła. Uczoność hr. Aleksandra i świetne serca przymioty na ziemi naszej osobną kartę mieć będą. Ks. kasztelanowa wileńska, Radziwiłłowa, nie posiadała wprawdzie wdzięków siostry, ale wielkie jej moralne zalety, zaszczytne jej na Litwie wspomnienie zostawiły. Nie była jednak p. starościna czułą matką. Kiedy jej ktoś w rozmowie wspominał o ks. Aleksandrowej, z zupełną obojętnością odpowiedziała: „jak kto sobie pościele, tak się wyśpi". Nie wiele widać było żalu i po drugiej córce. Wnuki swoje lubiła, ale po pańsku, jedną tylko Zofję, córkę hr. Aleksandra, czule kochała.

Pani starościna rzadko wyprawiała bale, tej zimy jednak chciała, żeby szlachta zabawiła się u niej w zapusty. Kazała więc zaprosić sąsiedztwo. Sąsiedzi przywykli już byli do jej przyjęcia i nie rachowali się z magnatką na wizyty, a że w takich zebraniach w domu jej w ni-

czem nie żenowano się, a tem samem i zabawy ożywione były, więc chętnie się zjeżdżali. Dom prezesostwa Dąbrowskich, żyjący w bliskich sąsiedzkich stosunkach z hrabstwem w Pekałowie, Leduchowscy ze Smordwy, p. Miączyńska, Tarszeńscy, generałowa Trokinowa z córkami i synem, hr. Krasiccy z Morawicy, zarządzający majątkiem hr. Aleksandra p. Gliniecki, Oleszkiewicz i ja otrzymaliśmy także wezwanie. P. starościna znała dziada mojego, jakoś szczęśliwie naszemu szlachectwu żadnego epitetu nie przyczyniła i na mnie tyle łaskawą była, że miałem pozwolenie, przy powitaniu p. starościnę w rękę pocałować, co nie każdemu wolno było. Ja trzymałem się z Dąbrowskim i ułożyliśmy niespodziankę dla starościny, mazur z czterech par zamaskowanych. Dwie Trokinówny, panny Dąbrowska i Liśniowska, Trokin, Dąbrowski, Falkowski, kuzyn Krasickich i ja, dziwacznokomicznie, ale lekko ubrani, wpadliśmy parami do sali, pokłonili się pani, wieńcem w około jej krzesła okręciliśmy się, wylecieliśmy nazad; ale starościna prosiła, żebyśmy się wrócili i tańczyli. Stało się zadość jej woli, ale często wymykaliśmy się i znowu inaczej przebrani wracali. Mnie wzięła pustota ubrać się za damę z czasów starościnej, wolno nam było brać jakie chcieć nawet kosztowne suknie i szale, i wybrałem robron czarny atłasowy z całym garniturem. Dla tem komiczniejszego zaprezentowania się, Falkowskiego znacznie wyższego odemnie, ubrałem za moją córeczkę w krótkie i obcisłe ubranie. Ustroiwszy się, wymalowawszy i wymuszkowawszy twarz, w wysokim kornecie z rozmaitości na wyfryzowanej peruce, z półtorałokciowym wachlarzem w ręku, zaprezentowałem się jako p. cześnikowa Wszędobylska, przyjeżdżająca z winną submisją od jw. starościny, suplikując, ażeby córeczkę jej Hermenegildzię raczyła przyjąć na rezydentkę. Cała ta przemowa w języku staroświecko-parafjańskim, tak mi się udała dobrze, że zadowoliła starościnę, że śmiała się do rozpuku. Trze-

ba jednak było skończyć tę scenę, bo mężczyzn do tańca mało było i my oba byliśmy do następującego angleza potrzebni, wymknęliśmy się więc i starościna nie wiedziała kto udawał cześnikowę. Podejrzewając, że to któraś z dam rodziny Dąbrowskich i nie wypytywała się o to. Po północy zastawiono paradną wieczerzę, starościna tak była w dobrym humorze, że wszystkich zachęcała do używania darów Bożych, a nam kawalerom tańcującym, własną rękę po kieliszku wybornego węgrzyna nalała. Po wieczerzy pożegnawszy całe towarzystwo i prosząc, ażeby zabawy kontynowali, na spoczynek odeszła. Na trzeci dzień zapust wyprawiała zapusty dla oficjalistów, ale tylko do północy, żeby w post hulając nie dawać zgorszenia.

We środę wstępną, kiedyśmy sobie, Oleszkiewicz, Gliniecki i ja, wróciwszy z popielca z Koblina, o ubiegłych zapustach rozmawiali, kozak z Młynowa oddaje list marszałka dworu do p. Glinieckiego, ażeby natychmiast do p. starościnej przyjeżdżał i mnie ze sobą przywoził. Zdziwiliśmy się; Oleszkiewicz wnosił, że musi być obrażona za cześnikowę, ja struchlałem. Bo cóż? popaść w niełaskę p. starościny, to i hrabiego łaskę utracić można było. Wszedłszy, mzkim ukłonem powitaliśmy jw. panię, ale starościna wskazując na mnie, odzywa się: „A no moja p. cześnikowa, jak się wasani masz?“ podsunąłem się skromnie, ale ze śmiechem, i wyciągniętą do mnie rękę z uszanowaniem ucałowałem. „Ale wybornie waść udajesz. Już to tak u p. Aleksandra grając komedje, wyuczyłeś się udawać; zda się to na świecie, ale twoja cześnikowa zapomniała tu swoich sukień, proszę zabrać, proszę! może to matce przydać się na co. Mosanie Gliniecki, jeśli wy pościcie, to proszę u mnie zjeść obiad, a jeśli może po modnemu, to z Panem Bogiem, u mnie do niedzieli w kuchni nawet nie widać mięsa“. Po obiedzie p. służąca wyniosła mi zawinienie. dziękując p. starościnie pocałowałem ją w kolano, co ją tak zadowolniło, że pogłaskaw-

szy mię po głowie, rzekła do przytomnych pokazując na mnie; „jakto zaraz znać szlacheckie dziecko, wie komu się co należy i na pańskich pokojach przystojnie się znajduje". Wróciwszy do Pekałowa, cieszyłem się, że tak dobrze poszedł interes. W zawinieniu znajdował się cały ten bogaty strój, jaki miałem na sobie, i nic więcej, tylko z tego przyboru matka moja miała paradną czarną atłasową salopę, a siostra młodsza takąż przyjaciółkę, coś nakształt dzisiejszych burnusów.

Sprawa rozwodowa p. Grocholskiej przeciągała się, chociaż starania wielkie były, bo i p. wojewoda u ks. biskupa Cieciszewskiego szczerze się nią interesował i Baur, pragnąc przyśpieszyć pożądaną chwilę, latał do Łucka i do Kamieńca, sypał pieniędzmi, błagał i groził. Biedny generał nie znał rzeczywistego stanu choroby swojej narzeczonej. Zwłoka srodze ją dręczyła i silnie działała na pogorszenie. Dostrzegło tego niepokoju oko przyjaciółki, podkomorzyna z macierzyńską troskliwością uspakajała i pocieszała cierpiącą. Ale choroba rozwinęła się w całym swoim charakterze. Lernet odkrył podkomorzynie stan zagrażający choroby, kazał strzedz wszelkich poruszeń moralnych i otoczyć chorą największą troskliwością w utrzymaniu regularnego życia i spokojności umysłu. Ale złe brało górę, wątła z natury budowa i silne uczucia działały w pomoc chorobie, którą tak nieszczęśliwie ostatni bal u księcia rozwinął. Wróciła nakoniec wiosna wczesna i piękna, ale nadzieja uleczenia nie wróciła. Eleonora poznała swój stan, z rezygnacją poddała się woli Boga, pragnęła tylko dożyć dekretu. Przyszedł nareszcie w końcu kwietnia ten pożądany dekret, uradowała się Eleonora i znacznie orzeźwiała, pocieszyło to podkomorzynę, bo jeszcze nadziei nie straciła, sztafeta dała znać mężowi, aby na ślub córki pośpieszył. P. Eleonora tak się uczuła lepiej, że tegoż dnia pożegnawszy przełożoną i zakonnice, z podkomorzyną do domu generała się przeniosła. Polepszenie to iednak nie było

naturalne i nie cieszyło Lerneta, bo to był stan gorączkowy, podsycany marzeniem o przyszłem szczęściu.

Pośpieszył podkomorzy i wzdrygnął się, widząc okropną zmianę w obliczu córki, nie dał jednak tego jej poznać. Nastąpił i ślub we własnym ich domu. Trzymała się dzielnie Eleonora, ale wstając od ślubu, rzuciła się w objęcie męża i omdlała. Wytrzymując ucisk i zmartwienia, chwili szczęścia wytrzymać nie mogła. Złożono zemdloną na łóżku, Lernet rzucił się do ratowania, ale ocuconej krew obficiej niż kiedy rzuciła się z piersi i niebezpieczeństwo objawiło się zupełnie, ani Lernet starał się robić jakąkolwiek nadzieję. Stan choroby ciała częstokroć podnosi działanie duszy, aż do egzaltacji. Eleonora i ze swego cierpienia i z oczu otaczających osób czytała swój wyrok, ale na duchu nie upadała. Z religijną rezygnacją przyjmując swoje przeznaczenie, pocieszała męża, ojca i przyjaciółkę, a szczęśliwa, że umiera żoną ulubionego, swej ostatniej chwili spokojnie czekała. Dwadzieścia dni jeszcze przedłużała się choroba, olbrzymim postępując krokiem, ale cierpień prawie żadnych nie było, chora odgadła dzień swój ostatni, stałość i spokojność jej nie odstępowały; usprawiedliwiwszy się przed Bogiem, z anielskim uśmiechem na ustach, żegnając przyjaciółkę, ojca i męża, na ich ręku snem sprawiedliwych w Bogu zasnęła. Nie potrafię oddać słowami żalu przyjaciółki, boleści ojca i rozpaczy męża, łatwo je pojmie ten, co już niejedną stratę bolesną w swem życiu poniósł, niejedną okrył się żałobą. Rokiem przed tem, siostra p. Baurowej, młoda panna, z tejże choroby wcześnie ze świata zeszła. Oddawszy ostatnią posługę zwłokom pięknej Eleonory podkomorstwo ciężko zasmuceni odjechali do domu. Baur niczem niepocieszony, kazawszy sprzedać dom i tę sumę na biednych oddać, wyjechał do Petersburga i ledwie w rok potem na Wołyń powrócił.

ROZDZIAŁ VI.

W maju wrócili pp. Chodkiewiczowie z Wilna, kasztelanicostwo stamtąd jeszcze do Warszawy i w Poznańskie pojechali. Z powrotem hrabstwa ożywił się Pekałów, i ożywił cichą spokojność sąsiadów. Wkrótce Oleszkiewicza hrabia wyprawił do Paryża, gdzie na ówczas znajdowały się wszystkie arcydzieła sztuki, niegdyś po całej zachodniej Europie rozrzucone, a mieczem Bonapartego zgromadzone w Paryżu. Tam Oleszkiewicz doskonalił się w szkole sławnego Dawida i przejął jego metodę. Dla hrabiego kopjował Rafaela Przemienienie w tychże samych rozmiarach, co i oryginał, i pierwszy od tylu wieków w kopjowaniu Rafaela, duchem jego przejąć się umiał i wiernie naśladować to arcydzieło malarstwa. Ja pozostałem, Oleszkiewicz, jadąc sam dla poświęcenia się pracy, a mając brata młodszego przy sobie, nie chciał mnie brać na swoją odpowiedzialność, a chłopca szesnastoletniego rzucić w odmęt Paryża i hrabia nie chciał; ale mi próżnować nie dał, bo i rysować musiałem i w językach się ćwiczyć.

Dom hrabiego Aleksandra Chodkiewicza [1]) był można powiedzieć małem muzeum; bogata bibljoteka, zbiór już piękny obrazów, liczne i najświeższe narzędzia i aparaty astronomiczne i fizyczne, zamożne laboratorjum chemiczne, w którem hrabia biegły w tej nauce, lubił pracować, sprawdzając nowe odkrycia i nowe coraz robiąc spostrzeżenia. Do tego niewielki, ale dobrze urządzony teatr, wyborna orkiestra pod dyrekcją wirtuoza i kompozytora p. Karszmidta, słowem wszystko tam było, co tylko zmysły przyjemnością nasycić i umysłowi dać ży-

---

1) Aleks. hr. Chodkiewicz (1776—1838). Kasztelan, zamiłowany w chemji, przesiadywał często w Krzemieńcu i z prof. Zienowiczem poświęcał się badaniom. W Młynowie posiadał piękną bibljotekę i laboratorjum chemiczne. Wydał: Chemja t. t. 7. Warszawa 1816—1820.

cie może. Dodajmy do tego tę narodową uprzejmość przy okazałości życia prawdziwie pańskiej, jaką słynął Pekałow, a można sobie wyobrazić, jak pobyt w domu hrabstwa każdemu był miłym.

Aleksander hr. Chodkiewicz
ur. 1776 r., zm. 1838 r.
Według litografji współczesnej.

Ale!... i dla czegóż wszędzie to *ale* wcisnąć się musi? ale mówmy tak jak było w istocie. Hrabia że był uczonym, znakomicie uczonym, to nic dziwnego, z dzieciń-

stwa wyrobił w sobie tego ducha, to zamiłowanie nauk i szedł już tą drogą całe swe życie. Ale hrabia miał serce, w którem tlały najszlachetniejsze uczucia wiary, miłości ojczyzny i miłości bliźnich. Kto go raz poznał, kochać go i wysoko szacować musiał. Aleksander Chodkiewicz, nieodrodny potomek wielkich przodków swoich, zostawił pamięć swego imienia, mającą kartę w dziejach naszych i we łzie wdzięczności serc tych, tak licznych, dobrodziejstwami jego na ludzi wyszłych ludzi. O! nie, znając hrabiego tak zblizka, nic mu zarzucić nie znajduję; nawet nadwerężenie majątku okolicznościom, a nie jemu przypisać trzeba. A jeśli potrzeba koniecznie znaleźć plamy na słońcu, to zarzucimy hrabiemu to jedno, że zbytnio kochając żonę, niekiedy panować jej nad sobą pozwalał. Otóż jest odwrotna strona tego medalu szacownego, ale i ta nie szpeci całości i nie narusza blasku, którym tak zasłużenie jaśnieje.

Ale, i tu dopiero jest to ale, bez którego nic! Ale hrabina nie to była co hrabia. Znałem ją panną Karoliną i znałem hrabiną Chodkiewiczową. Dwie siostry Teresa i Karolina były pociechą szanownego ojca i kochaniem całego domu, ale te dwie siostry mimo to, że w obydwóch najszlachetniejsze biły serca, różniły się między sobą. Dałem już obraz p. Teresy, dodam tylko to, że ta słodycz charakteru, jaką się od lat dziecinnych odznaczała, że takt niepospolity w postępowaniu, w zdaniu sprawiedliwości, poświęcenie się dla cierpiących, dotrzymanie wiary, spełnienie najświętsze obowiązków żony, matki i obywatelki, w całem jej życiu niezmiennie jej towarzyszyły. Panny Karoliny serce było podobnież dobre, szlachetne, ale z dzieciństwa już w żywym swoim temperamencie, chowała zarodek chęci panowania, który tylko powaga ojca ograniczała. Zostawszy hrabiną Chodkiewiczową, p. Karolina nie hamowała niczem swej namiętności, chęć panowania rozwinęła się w niej zupełnie pod wpływem nieograniczonej dobroci hrabiego. Do tego

przywiązała się duma swojego rodu i przybranego małżeństwem wielkiego imienia. Hrabina stała się nieodstępną prawie arystokratką: ani znakomity rozum, ani wrodzona dobroć serca nie przytłumiły tej żądzy. Duma wywołała rozrzutność i przyprowadziła do zbytków. Niczem dla niej było za jednym razem, w Dubnie u Beszona lub Ekielta zrobić sprawunki za tysiąc czerw. złotych i takowe w ciągu roku wielokrotnie się powtarzały, podane rejestra od kupców hrabia nie użalając się płacił. Hojną była hrabina, ale nie zawsze datek płacił zasługę, nie zawsze potrzebnemu się dostał. Dobroć hrabiego i te uchybienia prostowała. I ta to dobroć bez granic przywiodła hrabinę do zapomnienia co winna takiemu mężowi, co sobie samej winna. Rozłączyła się z hrabią, w tym samym prawie czasie, kiedy siostra jej, dobrowolnie idąc za mężem zesłanym na wygnanie, sama jedna, na wszystkie wysługi wygnańcowi poświęciła się. O! pamięć Teresy żyje dotąd w sercach wszystkich co ją znali i wszyscy tę pamięć błogosławią. O Karolinie ledwie w jej dzieciach wspomnienie zostało!...

Za nadto może i za wcześnie, rozwodzę się nad tem, o czem mi sądzić nie należało. Ale człowiekiem jestem i jako człowiek pobłądzić muszę. Otworzyłem myśl moją, ale może ta myśl jest powszechną, może zdanie moje o tych dwóch siostrach jest zdaniem opinji publicznej, *vox populi, vox Dei,* mówi łacińskie przysłowie. W ciągu dalszym mych ramot okaże się faktami, czy słusznie sądziłem.

W końcu lata hrabstwo osiedzieli się w domu. Przy hrabim bawili pp. Meliton Korsak, Jan Markiewicz i Śliwiński Ignacy, litwini, to dość powiedzieć na ich pochwałę, i hrabina miała swoje rezydentki. Wzięliśmy się do teatru i jakoś tak wypadały uroczystości po uroczystościach, to samego hrabiego, to pierworodnej ich Zosi, to p. wojewody, żeśmy kilka komedji, grali i ja mimo wiedzy hrabiego zrobiłem mu dekorację ruchomego morza

z latarnią na wieży i jaskinię czyli grotę Sybilli, za co z wielkiem zadowoleniem dziękował hrabia i na więcej dekoracji zamówił. Po wesoło spędzonej jesieni, hrabstwo wyjechali na zimę do Lwowa i do Wiednia, na wesele hr. Wacława Rzewuskiego, z księżniczką Aleksandrówną Lubomirską, siostrzenicą p. Chodkiewicza. Ja miło w Tuczynie przepędziwszy święta, wracając do Pekałowa przeziębiłem się i dostałem nerwowej gorączki. Zarządzający dworem ani wierzył mojej chorobie, i gdyby nie oddany na naukę muzyki od p. Józefa Walewskiego chłopak, nie byłoby komu nawet i wody mi podać. Źle było koło mnie, silne nosem płynienie krwi już od doby nie ustawało, ani kto pomyślał co mnie radzić. Jakoś sekretarz hrabiego i bibljotekarz Ginet nie widząc mię od dni kilku, zapytał i odebrawszy wiadomość, żem chory, odwiedził mię i dopiero sprowadzono z Młynowa Bartolozzego, lepszego poetę panegiryka, niż medyka, uspokoił on płynienie krwi, ale groźne symptomata tyfusu rozwinęły się i p. Bartolozzi ręce opuścił, i mnie było coraz to gorzej. Opatrzność zesłała pomoc. Synek hrabstwa, Karolek, został z boną w Pekałowie, hrabstwo p. Józefowi polecili opiekę nad dzieckiem, a że i Lernet uproszony był do czuwania nad zdrowiem Karolka, przywiózł go z sobą wojewodzic. Dziecię było zdrowe, p. Józef o mnie zapytał; marszałek dworu obojętnie odpowiada, że słaby; „gdzie? prowadź mię waćpan“. „A to nie tu, na folwarku“. „Jakto na folwarku? czy dom moich braterstwa nie ma dość pokojów na umieszczenie dziecka na ich opiece będącego? Idźmy, rzeknie do Lerneta, zobaczyć co się z tym biednym chłopcem dzieje.“ Ale zastali mię zupełnie bez przytomności i niepodobnego do życia. Lernet nic nie przepisał, felczerowi pałacowemu przykazał ani na chwilę nie odstępować. Oświadczył p. Walewskiemu, że jest niebezpieczeństwo życia, ale że młodość zdrowa może także podziałać. P. Walewski kazał postawić kozaka przy mojej stancji, drugiego któryby w Dub-

nie czekał u p. Lerneta; felczerowi zaś polecono, czy, jeżeli życie skończę, czy gorączka opuści po północy, żeby natychmiast dawać znać do Dubna. Inny zaraz był dozór koło mnie, p. Ginet nie odstępował od mego łóżka, na usłudze było kilku chłopców, z pałacu wszystko, bo p. Józef zapowiedział marszałkowi i dał słowo, że jeżeli ja umrę, on miejsce straci. W istocie, po północy ocknąłem się, gorączki zupełnie nie było, gorący pot całe oblał ciało, ale sił nie było do przemówienia. Ale mi jakoś tak błogo było! poznałem siedzących koło mnie i do p. Gineta uśmiechając się powiedziałem zcicha jeszcze: p. Ginet! Nie dopuścił Ginet pisać felczerowi, sam do Lerneta napisał i bardzo dokładnie kryzys mój oznaczył. Posłaniec poleciał, a ja prosiłem czem się posilić. Dano mi filiżankę kleiku, a ten mi jakimś specjałem wydał się. Wrócił kozak z lekarstwem i z przepisaniem pokarmów i całej regularności życia. Trzeciego dnia siedziałem na łóżku, i p. Gineta ani na krok od siebie puścić nie chciałem. Piątego dnia p. Lernet mię odwiedził, pozwolił wstać z łóżka, ale na dwór nie wychodzić, i mnie też ochota nie brała, bo to był czas najbrzydszy rozpuszczania śniegów, błota i mglistego powietrza, zaledwo więc na Wielkanoc wychodzić mogłem. Po świętach hrabstwo wrócili i przelękli się, zobaczywszy mnie tak zmienionego. Maj następował, hrabstwo kupili dom Baura i tam na maj z dziećmi zamieszkać mieli, ledwie że hrabstwo wyjechali ja dostałem szkarlatyny. Było polecenie hrabstwa, żebym i ja na maj przyjechał do Dubna. Wsadzili mię na odkrytą bryczkę i w deszcz rzęsisty półtory godziny wieźli. Można sobie wyobrazić co się ze mną zrobiło. Jak mnie z bryczki zsadzili, jak zaprowadzili do stancji w domu zajezdnym żydowskim, czy też zanieśli, nic nie wiem. Trzeciego dnia, opamiętawszy się nieco, siadłem w oknie ogrzać się na słońcu, bo dzień był prześliczny. Ulica to była główna, zwana Szeroka, ciągły był przejazd, ale mię ten widok mordował, że miałem już odejść od okna, kie-

dy mignął mi powóz hrabiny, zostałem w oknie, aż i powóz zawraca i staje przed domostwem, gdzie mieszkałem i p. hrabina z rezydentką p. Dobrowolską weszły do pokoju. Hrabina zapytała „co ty tu robisz?“ za całą odpowiedź pocałowałem rękę hrabiny i rzewnie się rozpłakałem. Ale żydówka, nie oszczędzając marszałka, rozpowiedziała jak mnie kazał u niej zrzucić, jak cyrulik Nepomucki zrobił mnie jakieś lekarstwo, i od trzech dni nikt się ani dowiedział o mnie czy żyję. Hrabina mocno była rozgniewana, pocieszała mię jednak bardzo łaskawie, że dziś jeszcze mię przeniosą do domu hrabstwa i p. Lernet będzie mię widział. Odjechały damy, wieczorem tymże samym powozem przewieziono i mnie, ale ruch powozu nie był mi sprzyjający i ledwie mię dwuch ludzi z powozu wysadziwszy do pokoju wprowadzili. P. Lernet dał mi sól powąchać, potem egzaminował mię z całego życia. Nic mi nie przepisał, ale jutro kazał wstać rano i przed piątą przyjść do niego po receptę. Państwu zaś powiedział, że źle koło mnie i że jeśli po północy lepiej nie będzie, żeby mu dawać znać. Tę noc jeszcze przepędziłem w żydowskim domu niedaleko Bernardynów, Lernet mieszkał w zamku, cóż to za ogromną drogę potrzeba mi było zrobić! Wróciłem od hrabstwa po dziesiątej, i zaraz do łóżka i smaczno zasnąłem. Na ulicy tak publicznej długo spać nie można, wstałem więc przed piątą i powlokłem się na moją wędrówkę. Długo szedłem, często spoczywałem, nakoniec zawlokłem się, ale na schody ani sposobu. Siadłem i dumam, co z sobą zrobić, aż Bóg nadniósł aptekarza znajomego, i tak był dobry, że pomógł mi wejść na górę. Lokaj uprzedzony, że przyjdę, wprowadził mię do gabinetu doktora. Wielkie zadowolenie widać było na twarzy Lerneta, posadził mię na wygodnej kanapie, kazał wypić filiżankę czekolady z grzaneczką, a po tym traktamencie kazał na tej samej kanapie dać poduszkę, pozasłaniawszy okna życzył mi dobrego spoczynku i zamknął w gabinecie. Błogi mój sen był i obudziłem

się daleko rzeźwiejszym. Dał mi receptę i kazał za trzy dni przyjść znowu do siebie. Chciałem mu ofiarować 5 dukatów, które mi wczoraj na to dał hrabia, ale nie przyjął doktór, jeszcze naśmiał się ze mnie i kazał schować peniądze na pomarańcze, których po cztery na dzień jadać, przytem dużo chodzić zalecił. Dobrze szła moja kuracja. Wiosna i młodość jeszcze skuteczniejszemi lekarstwa robiły. W końcu maja, przyszedłszy zupełnie do zdrowia, podziękowałem łaskawym opiekunom moim za ich świadczone dla mnie łaski, za ojcowską opiekę i poszedłem na swój chleb, a pracując z jaką taką znajomością malarstwa, mogłem się utrzymać, nie będąc nikomu ciężarem.

Lato całe przemieszkałem w Tuczynie. P. wojewodzie przemalowałem gabinet i ciągle byłem zajęty, p. wojewodzie podobała się moja pracowitość, lubił mię i dom jego stał się moim przytułkiem. Kazał mi nawet dać osobny ładny pokój obok oranżerji i jednego z froterów do usługi wyznaczył. Mówił, że mu kochanego p. Łukasza bardzo przypominam. Nieraz po godzin parę, chodząc z moim panem po ogrodzie, nazywałem drzewa i kwiaty botanicznie, lub o Wilnie rozpowiadałem. Raz pamiętam, wracając z trejbhauzu, spotkałem p. wojewodę z moją matką idących do ogrodu. „Skąd idziesz Antosiu?“ zapytał. „Z trejbhauzu jw. panie“. „Cóż tam?“ „Śliwki dojrzewają, ananasy kwitną. „Co? Ananasy kwitną?“ „A kwitną jw. panie“. „Słyszysz wmpani, liznął trochę botaniki i już fanfaronuje! Niech mię miljon set! sześćdziesiąt sześć lat żyję na świecie, od dwudziestu lat mam ananasy, ani widziałem żeby kwitły“. „Może jw.pan zechce się ze mną założyć?“ „Choćby o Tuczyn“ matka ściśnie na mnie ramionami, żebym się nie sprzeczał, ale ja pewny swego: „o sto złotych“ rzeknę. „Choćby i o tysiąc“, i założyliśmy się—wchodzimy do trejbhauzu, pięćdziesiąt stanów pięknie obfitym okrytych kwiatem uderzyło wzrok p. wojewody, zastanowił się, patrzał, patrzał i milczał; po

chwili „wygrałeś“ zawołał i w głowę mię pocałował“. Patrz moja pani Detiukowa, młodzieniaszek, a mnie staremu dał naukę. Chodź ze mną mój botaniku! winienem ci dług mój wypłacić“. Szedłem za naszym dobrym panem, on poświstywał „u drzwi twoich“, a mnie jakże wesoło, jak błogo było! Przyszliśmy do jego gabinetu, odliczył mi 5 dukatów i rzekł: „oto masz twoje wygrane poczciwie sto złotych a to drugie sto na książki, i to na letnie ubranie“ dodał, biorąc z bocznego stolika dwie sztuki Ostendeńskiego nankinu. Ucałowałem kolana p. wojewody, on pocałowawszy mię znowu, krzyż nad moją głową uczynił. I matkę to uradowało, że się sprzeczka tak dobrze skończyła. O! dobry to był ten nasz pan ukochany i nie było mu podobnego, i nie będzie!.. Wkrótce nadjechał marszałek Borejko botanik i kultywator, słynący i cnotami swojemi i bogactwem ogrodu swego w Samostrzałach. P. wojewoda zaprezentował mię temu czcigodnemu obywatelowi, który znał ojca mego, mnie mile przywitał i trochę egzaminował, a zadowolony mojem tłumaczeniem się, wezwał mię do Samostrzał, gdzie mię p. wojewoda sam zawiózł i tam przez trzy dni bawiąc skarby ogrodu p. Borejki z rozkoszą rozpatrywaliśmy.

W lipcu hr. Chodkiewicz przysłał po mnie, niebardzo mi się chciało jechać z Tuczyna, ale wezwaniu mego dobroczyńcy odmówić nie należało. Mile hrabstwo przywitali i hrabia poprowadził mię do bibljoteki i wyjąwszy z pomiędzy sztychów ledwie pół ćwiartkowy widok wnętrza jakiegoś więzienia: „co ty na to Antosiu?“ zapyta, „śliczny widok mój hrabio“, „ale jakby on się na teatrze wydał?“ „będziemy próbować mój hrabio!“ Natychmiast poszliśmy na teatr, rozmierzyliśmy kortynę, kazałem nadwornemu malarczukowi wygruntować płótno i przygotować farby i we trzy dni wziąłem się do roboty. Po rozrzuceniu pierwszych linji, poznał hrabia, że rozmiary trafione i mocno się uradował. Następowały imieniny hrabiego, przygotowywaliśmy się grać dramat „Cheniera“

Fenelon, do którego ta dekoracja potrzebną była. Hrabstwo wyjechali na przedimieninowe wizyty na długo, ja tymczasem od wschodu słońca do zachodu pracowałem około mojej kortyny, ale dla ukompletowania dekoracji, w środku sceny dodałem pilastr z opartemi na nim arkadami, w tym samym stylu i kolorycie, co kortyna. We trzy tygodnie wrócili państwo, dekoracja już ukończona była, ale uprosiłem hrabiego, żeby ją dopiero przy świetle lamp obejrzał. Ustawiłem i kortynę i środkowy pilastr, oświeciłem obficie i zaprosiłem państwo. Miło mi było widzieć zachwycenie z jakiem ujrzał wykonanie i dopełnienie dekoracji. Hrabina nawet: „mais c'est magnifique" zawołała. Uściskał mię hrabia i nie mógł się nacieszyć dekoracją. Na imieniny gości było mnóstwo, dramat doskonale się udał, nas aktorów oklaskiwano, pochwalono, a mnie nazajutrz hrabia 50 czer. z ucałowaniem i tysiącznemi podziękowaniem wręczył. A nasz czcigodny p. wojewoda nacieszyć się mną nie mógł. Po tej i jeszcze następnych fetach, rozjechali się goście, hrabstwo wyjechali do Podhorzec, gdzie byli naówczas hetmanostwo Rzewuscy, ja wróciłem do Tuczyna.

Dobrze mi było na świecie. Miałem lat ośmnaście, trochę towarzyskiego ogładzenia, wesoły i pełno roiło mi się pomysłów do zabaw i uroczystości. Kasztelanicostwo szczególniej mię lubili, zabrali mię do siebie i u nich resztę jesieni i całą zimę przepędziłem. W dzień z samą panią malowaliśmy pejzaże, wieczorem zaś bywały gry, czytania, czasem tańce. Kasztelanicowa grywała na fortepjanie, śpiewała, nam dobierała łatwiejsze śpiewy i chórem śpiewać uczyła. Często zostawiwszy p. Bieżeńskę przy fortepjanie, wymykaliśmy się do sali i tam ułożywszy jaki historyczny obraz z naszej kompanji, wzywaliśmy naszą ukochaną panią, która każdą niespodziankę ze zwyczajną sobie słodyczą i czułością przyjmowała. Bo też i towarzystwo było piękne w Bystrzycy i dawny Tuczyn

przypominało. W Pekałowie okazałe były zabawy, ale w Bystrzycach taka słodka panowała wesołość, że ją nad okazałość hrabskich festynów przekładano, bo duszą domu była p. Teresa, bo p. Adam wszystkich do domu swego przywiązać umiał. Kilka córek obywatelskich bawiło w Bystrzycach; p. Marja Mosakowska ścisłą przyjaźnią od lat kilku z kasztelanicową złączona, ostatnią już zimę w domu jej bawiła. Młodsza jej siostra Anna wydaną była za p. Koźmiana tak znanego u nas i ze wzniosłych przymiotów serca i umysłu i z zachwycających pism swoich. Anna rok tylko podobno żyła z mężem, i zostawiając mu syna, zaklęła, ażeby temu dziecku ciotkę za matkę przybrał. Dotrzymał danego żonie słowa p. Koźmian, pisywał do Marji, a po skończonej żałobie, przyjechawszy na Wołyń, w domu kasztelanicostwa Marji się oświadczył i przyrzeczenie odebrał. W kilka miesięcy odbyło się wesele w Błudowie, p. wojewoda z całą swoją rodziną był na weselu i córkę przyjaciela błogosławił. W miesiąc po ślubie p. Koźmianowa wyjechała w Mazowsze, gdzie mąż jej miał swój majątek. Zacna to była osoba! i gdym ją w kilkanaście lat później widział w Warszawie, znalazłem ją takąż samą jak była panną, bo ani znaczenie wysokie w jakiem byli, ani pożycie w pośród wielkiego świata tej duszy zmienić nie mogły.

Nadeszła zima, na święta zjechała się familja kasztelanicowej i całe sąsiedztwo, bo w wigilję były imieniny p. Adama i uroczyście je obchodzono. Na tem licznem zebraniu pokazała się nowa, mało komu znana dama, a w domu kasztelanicostwa po raz pierwszy widziana. p. szambelanowa Płotnicka, nie pierwszej młodości, ale piękna jeszcze i ubrać się do twarzy umiejąca. Dla złej drogi, opóźniła się w dzień imienin i uprzejmi gospodarze zmienić jej podróżnego ubrania nie dozwolili. Ale ten negliż, tak był piękny, tak starannie wytworny, że nic nie tracił przy okazałych strojach dam innych. Ciekawa jej

była historja i taką, jaką słyszałem z opowiadania jej samej, p. Płotnickiego i p. Koniuszewskiego jej szwagra, tu umieszczam.

ROZDZIAŁ VII.

Pani kasztelanowa Przyłuska, z domu Urbanowska, umiała w sobie połączyć wyższe ukształcenie czasów Stanisławowskich z powagą bogobojności i staropolskich obyczajów. Czy więc, jako senatorowa bawiła w Warszawie, czy jak prywatna obywatelka mieszkała w swoich Butowcach, zawsze była na swojem miejscu, zawsze miła ludziom i powszechnie szanowana. Przytułek miały przy niej ubogie szlacheckie panienki, a szczególniej pokrewne. Wszystkie były na tonie panien stołowych, a nad niemi, jakby ochmistrzynią panna wyprawna kasztelanowej panna Urbańska. Pomiędzy niemi najpiękniejszą była Ludwika Słomczyńska, daleka powinowata Urbanowskich. Młode to było dziewczę, żywe, wesołe, sprytne, ale wychowanie jej było ubogie, szlacheckie. Obca jej była etykieta domów wyższych, ale się prędko z nią oswoiła, bo u p. kasztelanowej wszystkie panienki na pokojach, pod jej okiem z robotami siedziały, i p. Ludwika wiele korzystała z towarzystwa, jakie dom p. Przyłuskiej napełniało. Bracia p. kasztelanowej odwiedzali ją często, a osobliwie p. Michał, który się do niej i uczuciami i sposobem myślenia przybliżył. Majątek pp. Urbanowskich, był jak na owe czasy ogromny, bo każden z nich więcej miljona złotych w ziemi posiadał, ale żaden się nie żenił. P. kasztelanowa bezdzietna pragnęła, aby który z braci miał potomstwo i przemyślała nad wyszukaniem dla nich żon pomiędzy obywatelskiemi córkami, ale szło trudno.

Pan Michał, odwiedzając siostrę zauważył p. Ludwikę, lubił się z nią bawić, światłą rozmową ukształcił jej

umysł, rozwijał wyobrażenia i wprawiał do porządnego tłumaczenia się językiem lepszego towarzystwa. Dawał jej dobre książki do czytania, co z wielką dla młodej było korzyścią. Ale im więcej władze jej się rozwijały, im więcej umysł się oświecił, tem więcej rozwijała się zarozumiałość i zalotność, lecz że serce było dobre, to umiała czuć interesowanie się nią p. Michała i przywiązała się do niego. Postrzegając coraz więcej życzliwości dla siebie w p. Urbanowskim, przystroiła zalotność swoją w naiwną wesołość, i coraz więcej przywiązując go do siebie, w marzeniu o przyszłości, powiedziała sobie: „będę p. Urbanowską". Panna Urbańska, widząc i przywiązanie p. Michała do Ludwiki i poznawszy jej zamiary, postanowiła sobie pomagać Ludwice. P. kasztelanowa często prześladowała brata p. Słomczyńską, ten się nie bronił, uśmiechał się i powiedział nakoniec siostrze, że gdyby poślubił Ludwikę, niby w tem złego nie było. P. Przyłuska, lubo w duszy arystokratka i pragnęła jakiegoś znakomitego połączenia się, bratowej ze starego i możnego szlacheckiego domu, widząc jednak, że brat nie żartem o Ludwice zamyśla, odpowiedziała, że i jej to przeciwnem się nie zdaje. P. Urbańska wpływem swoim na kasztelanowę potrafiła przekonać, że panna dobrego szlacheckiego rodu, choć uboga, warta p. Michała. Udało się więc jej uprojektowane swatostwo, p. Ludwika, tak jak sobie zamierzyła, została panią Urbanowską. Wesele odbyło się u kasztelanowej w Butowcach, i w kilka dni pp. młodzi do swego majątku wyjechali.

Lubo w Polesiu, piękne jednak położenie Cepcewicz. Na wzniosłym pagórku nad Horyniem, stał ładny pałac, z dziedzińcem, otoczonym od wyższej strony podziemiami, od wsi szeroką fossą, na której most długi, porządny, łączył dziedziniec pałacowy z ulicą, z dworków oficjalistów i dworskich złożoną. Po za pałacem rozciągał się ogród częścią w dawnym sposobie ze szpalerami strzyżonemi, częścią, z dziką promenadą (jak w ów czas zwano),

w dobrym angielskim guście wykonaną. Środek pałacu z piękną facjatą, łączyły z pawilonami dwie galerje z krytemi dachami, ułatwiającemi przejście górne z pawilonów. Pokoje były obszerne i jak na owe czasy paradnie umeblowane. Nowa pani tych gmachów, nie mogła się nacieszyć posiadaniem tak pięknego i wspaniałego domu. Mąż, coraz więcej przywiązujący się do pięknej Ludwiki, obsypał ją tem wszystkiem, co jego bogactwo pozwalało. P. Urbanowska, stroje, bieliznę, meble i wszystkie zbytkowe drobnostki, miała sprowadzone z Warszawy, dokąd co miesiąc posyłano, dla otrzymania nowości od pierwszych kupców i modniarek. Nie mógł szał nie objąć młodej i niezbyt starannie uorganizowanej głowy, a kiedy jeszcze okazała się nadzieja potomstwa, p. Michał nie znał granic swojej hojności, a p. Ludwika nie znała granic swoich kaprysów i coraz nowych wymagań.

Rok tak przeszedł, p. Urbanowska powiła syna, którego starsi z całej majętności do chrztu trzymali. Piękny to był i uroczysty obchód. Pomiędzy kolumnami pałacowego ganku, wznosił się wspaniały ołtarz; w środku, dwuch złożonych na krzyż półsetków pięknego krajowego płótna, na bogatej poduszce leżało pańskie dziecię, a starce i podeszłe niewiasty trzymały brzegi płótna od końców, aż do poduszki i dwieście głosów pawtarzały słowa sakramentalnego obrzędu. Zamożni kmiecie sumiennie i umiejętnie rządzonego majątku, na krzyżmo, złożyli kosztowne srebrne stołowe naczynia. Wszystko najpiękniej się składało, Ludwika opływała szczęściem. Ale szczęśliwość jak błyskawica mignęła. Od urodzenia syna, p. Michał zaczął mocno zapadać na zdrowiu, a jeszcze mały Teodorek lat dwuch nie miał, kiedy ojciec jego u wód za granicą życie zakończył.

Z rozpaczą przyjęła Ludwika wiadomość o zgonie męża, bo i przywiązaną do niego była i zgon p. Michała bez testamentu, stawiał ją w bardzo niepomyślnem położeniu. Bracia p. Michała, a osobliwie p. Krzysztof, czło-

wiek światły, uczony, ale trochę dziwak, niewiele do bratowej ceny przywiązywał, bo znał jej usposobienia i jej nieustalony charakter. Temu przyznaną była opieka nad majątkiem, nad synem i nad wdową po bracie. Odpowiedzialny i przed światem i przed własnem sumeniem za całość majątku i wychowanie synowca, zamieszkał w Cepcewiczach, i nie ujmując przyzwoitego utrzymania, ograniczył zbytki p. bratowej. Nie podobała się wdowie taka zmiana, ale ufna w swą piękność, wszelkich środków używała dla osiągnięcia przywiązania p. Krzysztofa. Ale, aby zająć człowieka tak wyższego umysłowem usposobieniem, potrzeba było czegoś więcej jak pięknego lica, a właśnie tego czegoś w p. Ludwice nie znajdował, wszystkie więc zaloty wdowy rozbijały się o serce zimnego filozofa, jak o głaz jaki, często nawet w uszczypliwym jego żarciku przebijało się coś nakształt pogardy.

Starsza siostra Ludwiki była za p. cześnikiem Koniuszewskim, pełnomocnym Urbanowskich; ten jako szwagier pomagał zamiarom siostry, ale widząc, że wszystko napróżno, tak rzeczy nastroił, że wdowa zabrawszy syna, którego dotąd jej nie odbierano, skrycie wybrała się do Warszawy. Nie dopuścił tej ucieczki stryjaszek, odebrano p. wdowie syna, a dla niektórych nierozsądnych trzpiotstw, wzięto jejmość pod ścisły dozór w kuratelę. Srożyła się, groziła, ale p. brat z zimną obojętnością słuchał gróźb i wyrzutów, i postępowania swego nie zmienił. Radby był p. Koniuszewski pomagać Ludwice i przemyśliwał nad sposobami ratunku, ale bojąc się narazić pryncypałowi, działał tak skrycie, że i wdowa o niczem nie wiedziała. Tymczasem dni upływały, Ludwika zmieniła postępowanie, mniej się burzyła, p. Krzysztof był delikatniejszym. Wdowa uzyskała wolność widywania codzień syna i wyjeżdżania w sąsiedztwo. P. Koniuszewski tego tylko oczekiwał. Razu jednego p. Ludwika wyjechała niby do Stepania z wizytą i stamtąd już nie wróciła. Młodszy Koniuszewski czekał tam z karetą podróżną i z rze-

czami, a dowiózłszy do Dubna, dniem i nocą, stamtąd powiózł do Warszawy.

Widząc, że bratowa nie wraca był markotny, ale znając dom zacny, do którego w odwiedziny pojechała, uspokoił się zupełnie pewny, że nazajutrz powróci; ale kiedy konie i powóz odwożące do Stepania wróciły i ludzie donieśli, że pani przesiadłszy tylko do innego powozu, dalej w stronę Międzyrzecza udała się, zmieszał się mocno, myśląc jednak, że do Butowiec zawróciła, wysłał wiernego sługę za uciekającą, z listem do kąsztelanowej, a drugich w inne strony porozsyłał. Stracili gońce ślad, i z niczem powrócili. Zadrżał z gniewu p. Krzysztof, wszystkch otaczających obwiniał, na winnego jednak nie miał żadnego podejrzenia. P. Koniuszewski wymawiał mu, że niepotrzeba było jejmości cuglów popuszczać i tyle swobody pozwalać. Trapił się i gniewał p. Krzysztof, a wdowa tymczasem szczęśliwe w Warszawie stanęła.

W komisji cywilno-wojskowej, złożonej ze światłych mężów, zasiadał znany ze swych zasług w kraju Tadeusz Czacki, p. Krzysztof był także tej komisji członkiem, ztąd i znajomość blizka i obywatelskie stosunki tych dwuch urzędników łączyły. Znała i p. Urbanowska p. starostę i przybywszy do Warszawy, jego się opiece polecić postanowiła. Nie tracąc czasu, nazajutrz zaraz starała się wywiedzieć o mieszkaniu p. starosty, a trzeciego dnia do niego z wizytą pojechała. P. Czacki pracował w swoim gabinecie, gdy mu dano znać, że dama jakaś żąda się z nim widzieć. Zerwał się od biura, i na prędce jak mogąc ubrawszy się, wyszedł do salonu na przyjęcie przybyłej damy. P. Urbanowska w grubej żałobie, osłonięta czarną krepową florą, z pod której jeszcze więcej jaśniały jej wdzięki, postąpiła parę kroków i rzuciwszy się na kolana: „Ratuj nieszczęśliwą wdowę!“ zawołała z płaczem. Podniósł ją p. Czacki i w krześle posadził, a sam usiadłszy obok, z uprzejmością wypytywał o interes, jaki ją sprowadza. Tu dopiero Ludwika, nie oszczędzając mę-

żowskiego brata, narzekała, że jej wydarto wszystko, nawet syna, że ją jak w więzieniu trzymają, że doznała ucisku i pokrzywdzeń na jakie nie zasłużyła. Pan starosta słuchał z uwagą, nie wszystkiemu może i wierzył, ale w tem złotem sercu przeważała litość nad cierpieniem bliźnich, i wzruszony rzekł: „wszystko co pani mi mówisz, obruszy każdego czułego na cierpienia drugich człowieka; jeżeli mi pani zaufasz, będę się starał radzić jej to wszystko, co rozum, co sumienie, czynić tu pozwalają". „O zasłoń mię protekcją twoją! Poddaję się woli twojej, a co rozkażesz za najświętsze prawo mieć będę", to mówiąc chwyciła rękę starosty i do ust swoich poniosła, nie dopuścił starosta i piękną rączkę pięknej wdowy z uczuciem pocałował. Przekładał p. Ludwice środki umiarkowane, może polubowne układy, ale wdowa płakała i swoich ciemiężycielów najczarniej malowała. „Interes jest ważny, mówił p. Czacki, i najpiękniej by było, zgodnie go ukończyć, ale kiedy tak o zaciętej nieprzyjaźni dla niej p. Krzysztofa trzymasz, ta sprawa o tron oprzeć się musi. Wypada więc pani, naprzód zaprezentować się królowi i prośbę do niego podać". „Jakże ja będę śmiała sama stanąć przed obliczem monarchy?" „Najjaśniejszy pan jest nader przystępny i nikomu nigdy posłuchania nie odmówił. Dziś będę u dworu i wybadam chwilę, w której król przyjąć nas raczy, bo z najszczerszą chęcią towarzyszyć będę". Odpowiedź ta przeszła nadzieje wdowy, wiedziała, że król Stanisław nie był obojętnym na wdzięki płci pięknej, wiedziała i to, że był zalotny, w tej więc samej chwili, w myśli jej wyrodziły się olbrzymie marzenia, zachwycające pomysły, narzucenia królowi imci rożanych okowów, jej wdziękami uwitych; troskliwość nawet swego protektora na karb tych wdzięków liczyła, ale te p. Czackiego nie zachwyciły, szukał tylko w swej pamięci znajomego tych rysów podobieństwa. Pan starosta wziął adres p. Urbanowskiej, przyrzekł ją uwiadomić o czasie wizyty, i żegnającą go damę aż do karety odprowadził.

Tego wieczora były pokoje na zamku i mnóstwo osób płci obojej pierwszej dystynkcji przechadzało się po salach, damy zasiadły bogate wezgłowia, króla jeszcze nie było. Wszedł Czacki, otoczyli go Ignacy Potocki, Małachowscy, Kołłątaj, Naruszewicz i Tarnowski szwagier i inni, a widząc w twarzy starosty jakieś zakłopotanie, roztargnienie, wypytywali o przyczynę; zbywał ni tem, ni owem zapytania, a wszystko poglądał na drzwi, z których król miał wchodzić. Rozmowa rozmaicie się po różnych gromadach toczyła, wszystkich jednak prawie przedmiotem był zbyt wsześny zgon Julji z Lubomirskich Potockiej, pięknością sławnej w Europie, pięknością duszy uwielbianej w kraju ojczystym. Potrzeba było, ażeby natura podobieństwo uderzające do Julji dała p. Urbanowskiej. Czacki nie mógł się wstrzymać, aby o tem podobieństwie nie wspomnieć, a razem nie okazać niewinnego prześladowania tej cierpiącej piękności. Zainteresowało to wszystkich i każdy żądał poznać tę piękną wdowę i nieść jej jakąś usługę, damy nawet nie bez współczucia wypytywały się o nią.

W tem poziomie oznajmili wejście monarchy. Pani Krakowska po pierwszem powitaniu, oświadczyła bratu, że starosta Czacki ma jakąś nieszczęśliwą klijentkę, piękną i do Julji Potockiej podobną, król zbliżył się do p. Czackiego, zapytując, z jakichże to stron wywiózł tę znakomitą osobliwość? „Z głębokiego Polesia najjaśniejszy panie! Przybyła ona szukać w stolicy wsparcia i obrony przeciw uciskającym ją pokrewnym zeszłego męża". „Znajdzie je u nas" rzekł król tonem mniej lekkim „byleby sprawa jej czystą była". „Wdowa lęka się wszelkiego procesu i w samej tylko wielkomyślnej wspaniałości naszego monarchy całą nadzieję pokłada". „Więc p. starosto! słucham wywodu tej sprawy". „Czy nie raczy w. kr. mość raczej pozwolić, aby wdowa sama interes swój opowiedziała?" „Może to ją biedną zbytnie zażenuje?" „Obecność w. kr. mci i najbojaźliwszego swoi". „Jakże się

zowie wmpana klijentka?“ „P. Urbanowska“. „Więc jutro o dziesiątej czekam“.

Obrócił się król gdzieindziej, i innym osobom dał ucho; p. Czacki tymczasem śpieszył donieść wdowie o pomyślnem wyrobieniu posłuchania. Ludwika nie spodziewała się żadnych odwiedzin; w negliżu wieczornym, pół leżąca na kanapie, rozmawiała z panną Urbańską, o Czackim, o królu, o nietajnych w Warszawie intrygach dworu, lokaj oznajmił p. starostę nowogródzkiego. Zapomniała Ludwika o swoim zaniedbanym stroju i naprzeciw protektorowi aż do przedpokoju wybiegła. „Jutro, o godzinie dziesiątej, masz pani posłuchanie u króla, na tę godzinę chciej być gotową, moja kareta czekać ją będzie“. „Jakto, p. starosta ze mną nie pojedzie?“ „Pani mię tam zastaniesz, oto jest i prośba gotowa, staraj się tylko, o ile można oszczędzać honoru mężowskiego brata. Daruj pani, że ją pożegnam, zatrudnienia moje tak są pilne, że służę jej tylko na chwilę, ażeby dobrą nowinę zwiastować“,—to rzekłszy ucałował rękę wdowy i śpiesznie wyszedł. Nie śmiała Ludwika zatrzymywać, może nawet i nie chciała, bo w uszach jej silnie brzmiały słowa p. Czackiego, bo jej myśl już tylko królem była zajęta. Natychmiast więc zaczęły się narady z p. Urbańską o jutrzejszej prezentacji i długo w noc się ciągnęły i długo jeszcze marzenia słodkie zasnąć wdowie nie dały.

Nazajutrz przed dziesiątą król ubrany oczekiwał ciekawie przybycia zapowiedzianej damy, twarz miał wypogodzoną, a wiadomo i z podania i z portretów, jak ta twarz piękną była i ujmującą. Piękny paź Serafin Płotnicki pełnił dnia tego służbę przy królu. Na pokojach mało się jeszcze zebrało osób, ale starosta nowogródzki już się między nimi znajdował, niespokojnie oczekując swojej klijentki. Płotnicki, młody, żywy dworak, wyglądał także owej piękności, o której wczorajszego wieczora jedynie tylko na pokojach mówiono. Służbie zapowiedziano, żeby przed damą w żałobie, podwoje były otwarte; jakoż o

10-ej otworzyły się podwoje i weszła pani Urbanowska w pełnej żałobie i w całej świetności swych wdzięków. Serce jej gwałtownie biło, interesująca bladość pokryła lica. Płotnicki spotkał ją przy drzwiach, chciał coś przemówić i słowa mu na ustach uwięzły, chcąc ukryć pomięszanie, pośpieszył do króla z oznajmieniem przybycia pięknej wdowy, a tym czasem p. starosta witał ją i ośmielał. W kilka minut Płotnicki zwiastował, że najjaśniejszy pan prosi p. Urbanowskę do swego gabinetu, p. Czacki podał rękę Ludwice i do drzwi królewskich odprowadził. Po kwadransie może wezwał król p. starostę, wdowa siedziała w królewskiem krześle, jeszcze łzy nie oschły na oczach, a już twarz jaśniała radością i dumą. „Interes p. Urbanowskiej jest ważny, polecam go sumieniu i gorliwości wmpana, chciej sam wybadać na miejscu jak się rzecz ma; niech krzywda i ucisk wdowy sprawiedliwie wynagrodzone zostaną. Klijentka twoja, jest moją klijentką, bo król winien ojcowską opiekę wszystkim swoim poddanym, a szczególniej sierocie i wdowie". „A do tego pięknej wdowie", mruknął sobie pod nos Płotnicki. „Serafinie! rzekł król do pazia, „asystuj p. Urbanowskiej do pani Krakowskiej moim ekwipażem". Wstał król, podał rękę Ludwice i do drzwi sali odprowadził, a żegnając do zobaczenia, piękną rączkę ucałował. P. Czacki został u króla i dowiedział się, że w interesie wdowy pośpiechu nie potrzeba.

Płotnicki wprowadził Ludwikę do karety, w której z uszanowaniem na przodzie usiadł; ani na chwilkę oczu swoich odwrócić nie mógł od pięknego oblicza wdowy, ale ta, o czemże się zadumała? Marzyły jej się swoboda, majątek zmarłego męża, życie w stolicy, łaska, może nawet więcej niż łaska zalotnego monarchy. Serafin śledził jej myśli, może po części je odgadywał, milczał biedny i wzdychał. Wdowa nie patrzała na niego, a jeżeli kiedy ich wejrzenia spotkały się, w oczach Ludwiki był chłód i duma, w wejrzeniach Serafina malowały się uczucia ro-

dzącej się w sercu jego miłości. Wejrzeń pazia nie rozumiała piękna pani, bo jej myśl wysoko latała, bo w jej sercu było pusto i zimno. Nie uszła wprawdzie jej uwagi piękna twarz młodzieńca i jego wyższe ukształcenie, ale że to był paź tylko, więc ta uwaga żadnego w pamięci śladu nie zostawiła.

Pani Branicka, kasztelanowa krakowska, mieszkała na Senatorskiej ulicy, podróż więc od zamku nie długo trwała. Płotnicki wprowadził p. Urbanowskę na pokoje i pobiegł oznajmić pani Krakowskiej i oddać bilecik królewski, w którym młodą wdowę jej protekcji polecał. Znaną była przystępność, dobroć i popularność tej nieskażonej obyczajami panującemi w Polsce, tej wzorowej polskiej damy. Ani braterstwo panującego, ani dostojeństwo osobiste ani opinje i obyczaje czasowe nie zmieniły w niej cnót, cechujących nasze starodawne matrony. P. Branicka surowa względem siebie, pobłażającym okiem na świat otaczający ją patrzała. Więcej pół wieku, od tych czasów upłynęło, a jeszcze od Białegostoku do Warszawy i Wilna imię jej z wdzięcznością i uwielbieniem wspominają!—P. Krakowska uprzejmie powitała Ludwikę i ze współczuciem wybadywała jej położenie. Umiała wdowa przybrać postać skromną uciśnionej, a łatwość wysłowienia się podawała do ust wyrażenia tkliwe, silne i ujmujące. P. Krakowska zatrzymała ją na cały dzień u siebie i odprawiła pazia i ekwipaż królewski. Biedny Serafin sam powracał, w ciągu posłuchania układał sobie, co jadącej z nim wdowie ma powiedzieć, jak trafnie uczucie jej wybadać i jakby wyrażeniami pełnemi uszanowania i miłości trafić do serca wdowy zapewne swobodnego jeszcze. Ale cały ten pięknie ułożony djalog z pięknych marzeń wysnuty, kilka słów siostry królewskiej zniweczyło. Jechał smutny i gniewny, a w sercu odzywało się jeszcze inne uczucie, którego nie śmiał rozwinąć, a wyrzucić z serca nie miał odwagi. Stanąwszy przed królem zdał sprawę ze swego posłannictwa, a król klepiąc go po ramieniu:

„a co piękna wdówka?“ rzecze: „Piękna najjaśniejszy panie!“ „A może i do serca p. Serafinowi przypadła?“ Zapłonił się na te słowa Płotnicki, spuścił oczy, król mówił dalej: „staraj się podobać p. Urbanowskiej, wdowa i swobodna; ale cię przestrzegam, że póki w Warszawie, to silnych i możnych współzawodników mieć będziesz. Nie zrażaj się jednak, audaces fortuna juvat“. Serafin ucałował rękę łaskawego pana, wyszedł, i odtąd marzenie pojęcia w małżeństwo pięknej wdowy stało się celem jedynym, jedynym jego żywiołem.

Tymczasem u pani Krakowskiej Ludwika poznała wiele dam pierwszej dystynkcji i wszystkie, a osobliwie poważne matrony niezazdrośne jej wdzięków, okazywały jej swoje współczucie. Pani Branicka tak ją polubiła, że sama woziła ją po wizytach i na wieczory zamkowe wprowadziła. Pochlebiało to dumie naszej wdowy i pomału, pomału zapomniała o swojem położeniu i rada była, że rozwiązanie jej interesu opóźnia się.

Pani Grabowska, szczycąca się już naówczas względami króla, które później tak jawnemi się stały, widziała w p. Urbanowskiej piękną nowość, i lękała się ujrzeć rywalkę, niebezpieczną rywalkę, ale zachowując cały pozór bezinteresowności, zręcznie udając współczucie, nalegała na króla, ażeby nie pozwalał wdowie tak długo cierpieć i rozwiązanie jej sprawy przyśpieszył. Płotnicki najczęściej używany do posłannictwa w stosunkach z królem, a ośmielony szczególną dla siebie p. Grabowskiej protekcją, z zapałem mówił o Ludwice i wydał się mimowolnie z tajonemi dotąd uczuciami. Nie dała poznać po sobie p. Krajczyna, że pojęła stan serca młodego pazia, ale uradowana w duszy, przedsięwzięła nieznacznie pomagać mu i nastawała delikatnie na króla i o wsparcie rychłe dla wdowy i o promocję dla pazia.

Ludwika rzucona w odmęt światowy, zajęta blaskiem, który ją otaczał, ufna we wdzięki swoje i w protekcję p. Krakowskiej, była pełna nadziei panowania nad panu-

jącym, zapomniała o roli, jaką jej wygrywać należało, a nawet o istotnem swojem położeniu. Ani wspomnienia na przyszłość, ani rozsądne przyjacielskie uwagi panny Urbańskiej, nic jej nawrócić nie mogło. Czas upływał, finanse się wyczerpały i coś w złem się świetle przyszłość okazywała.

P. Krzysztof wywiedziawszy się od przyjaciół, że bratowa w Warszawie i że jej się udało zainteresować króla i cały świat wyższy stolicy, wybierał się do Warszawy, ażeby tam użyć środków dla przeszkodzenia działaniom wdowy. P. Koniuszewski, uwolniwszy się z obowiązku u Urbanowskich, posiadacz wioski w sąsiedztwie, miał ciągłe na oku, co się dzieje w Cepcewiczach, a skoro usłyszał o zamiarze p. Krzysztofa, dniem i nocą puścił się do stolicy, ażeby interes siostry jak najśpieszniej do końca doprowadzić i ją samą ztamtąd wydobyć. Mała niedyspozycja opóźniła wyjazd p. Krzysztofa, p. Koniuszewski tymczasem był już w Warszawie, a wiedząc z listów Ludwiki, że p. Czacki interesuje się jej sprawą, do niego najpierwiej się udał. Tymczasem król na naleganie p. Grabowskiej, wezwał p. Czackiego i polecił mu towarzyszyć wdowie na Polesie i tam najpomyślniej interes jej załatwić, bez ujmy w czemkolwiek honorowi szlacheckiemu braci jej męża. Rzecz nie cierpiała zwłoki. Czackiego wszystkie chwile poświęcone były usłudze kraju, tym wyjazdem przerwać je potrzeba było, i na ten raz gorliwość o dobro ojczyzny, prywatnemu interesowi ustąpić musiała.

P. Urbanowska olśniona swem powodzeniem, już nawet o zwleczeniu żałoby zamyślała i właśnie nad wyborem strojów z p. Urbańską naradzała się, kiedy lokaj oznajmił p. Koniuszewskiego. Ludwika oczekiwała go niecierpliwie i z nim pieniężnego zasiłku, na którym już jej bardzo zbywało, pobiegła więc śpiesznie ku wchodzącemu wołając: „Ach bracie kochany, witam cię sercem pełnem radości! zapewne przywozisz mi pieniądze, ach! dawaj prędzej, dawaj! nie uwierzysz jak dziś wielkie są

moje potrzeby". To, co przywiozłem pani siostrze, wystarczy na wygodny powrót". „Dokąd powrót," „Do Cepcewicz, do domu". „Mój dom — Warszawa". „Ale Warszawa daje wydatki, a przychodów żadnych, zkąd więc p. siostra żyć będziesz?" „Alboteż do wmpana nie pisałam, że potrzebuję pieniędzy?" „Z jakichże je miałem czerpać funduszów?" „Było pożyczyć!" „A na jakiej hipotece?" „Czyż majątek mego męża niedostateczny dla zabezpieczenia pożyczki?" „A maszże p. siostra jakie do niego prawo? Czyż p. Michał zrobił jakie rozporządzenie, zabezpieczające fundusz dla jego wdowy?"

Tych kilka słów jak grom uderzyły umysł Ludwiki. Od dwuch miesięcy pobytu w Warszawie, nigdy przez myśl jej nie przeszło zastanowić się nad prawdziwem swojem położeniem; smutna prawda rozwinęła się w całem swem świetle. Zamilkła, załamała ręce i w tej postawie rysy jej charakter rozpaczy przybrały. Ale to jak błyskawica przelsnęło; w moment z żywością rzeknie: „a moje 20,000 u p. Przyłuskiej?" „Podniosłem je, i z sobą przywiozłem". „No! to dawajże prędzej! dawaj!" „Zaraz, niech jednak wprzódy p. siostra zechce spojrzeć na te dwie kartki, są to jej rachunki z kupcami, rzemieślnikami, sługami i gospodarzem domu, w którym masz mieszkanie i ekwipaż". „Czyż to tak wielka suma?" „Proszę zobaczyć". „Urbansiu! przejrzyj, proszę cię te głupstwa i powiedz mi, wiele tam tego wszystkiego". „Oprócz stołu dla nas i trojga ludzi, na robotę strojów, sukien etc. etc. za szal, za tualetę z przyborem, za lokal z meblami, za ekwipaż, pensji dwom lokajom etc. etc.,—ogółem 720 czerw. złot. Kucharz i stół 100 dukatów zostaje więc pani 180, a i p. cześnikowi pani coś winna" dodała p. Urbańska. „Ja mego nie liczę, bo między rodziną rachunków niema. Da Pan Bóg p. siostrze, a będę w potrzebie, wtedy udam się do siostry o pomoc". „Ja niczyjej darowizny nie potrzebuję" zawołała Ludwika i porwawszy pióro napisała szwagrowi rewers na 200 dukatów wzięte, jadąc do Warszawy. Pro-

szę mię ze swej kurateli uwolnić, sama sobie w świecie dać radę potrafię. A do tego proszę wiedzieć, że mię najwyższa okrywa protekcja". To rzekłszy wyszła do gabinetu i drzwi za sobą zatrzasnęła. Z litością p. cześnik poglądał za odchodzącą, p. Urbańska pomięszana nie miała co powiedzieć i chwilę jakąś trwało milczenie, przerwał je cześnik: „I cóż p. Urbańska! także to was zmieniła Warszawa, że i przeszłości nie zapomniały i na przyszłość względów nie macie?" „Ach! p. cześniku! nie opuszczaj nas! Piękność Ludwiki, świetne jej powodzenie zdziałała; wielkości głowę jej zawróciły, ani ją zwrócić na jej drogę nie można!" „Czemuż wmpanna nie starałaś się okazać fałszywego jej położenia?" „Niestetyż p. cześniku! żadnej nad nią nie mam mocy, a jeśli kiedy odważę się zrobić jej jaką uwagę, odpowiada mi z gniewem: „Proszę mię rozumu nie uczyć". „Więc na mnie spada cały ciężar wyrwania jej z tego odmętu? dobrze! działam i działać będę, choćbym się miał narazić na jej gniew, a może i na wyższą niełaskę". „O! nie, o to zdaje się nie ma co się lękać; król już nie jest w tem oczarowaniu względem Ludwiki, samej piękności za mało dla Stanisława Augusta; grzecznym jest dla Ludwiki również jak dla drugich i nic więcej". „Czegoż więc bawić w Warszawie?" „Bawimy się, i w zabawach przeszłość i przyszłość utopić chcemy". Ledwie tych słów domówiła, wszedł p. starosta Nowogródzki nieopowiedziany, bo wizyty jego w każdej porze nie anonsowały się p. Urbanowskiej, cześnika ścisnął za rękę i rzekł mu z cicha: „wszystko skończone, możecie wyjeżdżać, ja za wami pocztą pośpieszę". Zapytał potem głośno o p. Urbanowskę.

Na ten głos śpiesznie wyszła Ludwika z nieco zapłakanemi oczyma i czule witała p. starostę. „Winszuję ci piękna klijentko! Najjaśn. pan kazał oświadczyć ci, że twój interes skończony. Jedź pani spokojna! mnie polecił jechać za tobą i w Cepcewiczach z pp. Urbanowskiemi w imieniu królewskiem traktować. Spełniając rozkaz monar-

chy, twoich pani oczekuję rozkazów". Te słowa, jak grom uderzyły umysł i serce wdowy, zbladła, zachwiała się i głośnym płaczem rozległy się jej pokoje. Uspakajał starosta płaczącą, ale jego wzniosłe uczucia nie pojmowały i pojmować nie mogły stanu duszy Ludwiki. Widziała koniec wymarzonej świetności swojej karjery, uleciały sny pochlebne, znikła nadzieja oczekiwanej zdala wielkości! Była już tylko znowu tąż samą wdową, żebrzącą u ludzi wsparcia, pomocy, ale między temi ludźmi, na żadnym nie jaśniała korona. Poddała się więc zupełnie żałowi, a wśród łez gorących, ledwie słów kilka zimnego podziękowania wybąknęła. P. starosta przypisywał te płacze wzruszeniem serca przepełnionego wdzięcznością i radością, a poleciwszy p. Ludwikę staraniom cześnika i Urbańskiej ucałował rączkę wdowy, i do widzenia w drodze pożegnał. Pozostawszy z domowemi tylko poddała się najsroższym wyrzekaniom, nie szczędząc ani p. starosty, ani samego króla.

W godzinę może potem, oznajmiono p. szambelana Płotnickiego. „Szambelana?" powtórzyły razem Ludwika i Urbańska „prosić!" Wszedł Serafin w stroju szambelańskim i z kluczem złotym u stanu; bogaty ubior dodał wdzięków pięknemu młodzieńcowi, ale wszedł nie śmiało, ledwie odważył się spojrzeć na p. Urbanowską, postąpił ku niej z uszanowaniem, skłonił się i rzekł zcicha. „Najjaśniejszy pan rozkazał mi złożyć pani najczulsze pożegnanie i upewnić ją o jego monarszej życzliwości i protekcji". To mówiąc, złożył na stoliku ponsowe marokinowe w złoto oprawne pudełko. Obrażona duma Ludwiki, że król sam osobiście nie przyjechał ją pożegnać, nadały rysom wdowy wspaniały charakter, z góry więc poglądając na Płotnickiego rzecze: „Nie należy mi przyjmować daru, na który nie zasłużyłam, ani najjaśniejszy pan ma obowiązek obdarzać mię jakim upominkiem; wielkie odebrałam dobrodziejstwa, w protekcji jaką najjaśniejszy pan zaszczycić mię raczył przeciw uciskającym mię krewnym mojego

nieodżałowanego męża, wdzięczność dla najłaskawszego monarchy, poniosę w najodleglejszy zakątek i w sercu na zawsze zachowam, ale daru tego, najjaśniejszy pan niech mi pozwoli nie przyjąć". To mówiąc zalała się łzami, a gdy dla obtarcia oczu podniosła ręce, Płotnicki zręcznie pocisnął sprężynę, pudełko się otworzyło i mimowolne: ach! pobudziło Ludwikę do odkrycia oczu, których wejrzenie, jak magnes żelazo, przyciągnęły brylanty. Ale się pomiarkowała, zamknęła pudełko, i chciała je oddać szambelanowi. „Nie, pani! nic mię nie skłoni, do zwrócenia najjaśn. panu tego, co mi dla oddania pani powierzyć raczył; może kto inny tego się podejmie, a mnie chciej pani pozwolić, na ten raz być nieposłusznym jej rozkazom, całem życiem nagradzać będę to moje uchybienie", i zabierał się do wyjścia.

Jak on jest miły, jak się pięknie tłumaczy, pomyślała wdowa: i obracając się do Serafina, rzeknie; p. szambelan czego tak się śpieszy? czy go służba do skorego powrotu zmusza? „Nie pani! dziś kolej p. Axamitowskiego, a ja to tylko jedno zlecenie od najaśn. pana miałem". „Więc proszę zabawić" rzekła wdowa. „Odurzona światłem, nie korzystałam z częstych odwiedzin pana, ale teraz mając już opuścić Warszawę, miło mi będzie wspomnieć, że i tu kogoś życzliwego mi zostawiłam". „Życzliwego? jakże małemi sądzisz pani i błahemi cenisz uczucia tych, którzy ją w milczeniu uwielbiają". „Jakto w panu widać dwór zalotnego monarchy!" „Czy pani w silniejsze uczucia nie wierzysz". Prawie nie; słowa pana, jest to język dworu Stanisława Augusta, galanterją zwany na wielkim świecie i bardzo tam popłaca, a dla nas prowincjonalnych prostaków niezrozumiały". „Czy pani każesz i po prostu się tłumaczyć". „Uwalniam pana od tej fatygi: parafjanka, mogłabym piękne wyrażenia jego wziąć za szczere". „Alboż pani i w szczerość naszą nie wierzysz? „Na teatrze, tyle nasłuchałam się oświadczeń, wynurzeń, a nawet przysięg, że i na świecie będąc i słysząc piękne

mężczyzn wyrażenia, zdaje mi się, że jestem na komedji. „A jeżeli czas usprawiedliwi te oświadczenia?“ „Więc zostawmy to czasowi“, rzekła Ludwika wstając, Serafin wstał także, zabierając się do pożegnania. „Żegnam pana szambelana“, rzeknie podając rękę, którą Serafin po stokroć ucałował, ani mu jej odjęto. „Czy pani pozwoli pisywać do siebie? „O! czemuż nie! kto tak pięknie ustnie się tłumaczy, tego zapewnie i listy, godne są czytania“. „A jeżeliby w nich silniejsze uczucia przebijać się miały?“ „Okoliczności wskażą, czy je omijać, czy czytać będzie należało“. Uradowany szambelan jeszcze raz ucałował rękę p. Urbanowskiej, uczuł nawet lekkie swojej ściśnięcie, pełen nadziei wyszedł i wdowa do drzwi salonu go odprowadziła.

Szczęście towarzyszące Ludwice wypieściło ją i zepsuło, bo ani religijne, ani ścisłe moralne było jej wychowanie. Serce dotąd złudzeniom tylko dostępne, prawdziwej miłości nie znało, a rozdrażnienie moralne, w jakim ją zbieg okoliczności postawił, usposobiło to serce do zdrowych i silnych wrażeń. Z drugiej strony oczy jej otworzyły się prawdziwie, poznała istotnie obecne swoje położenie i przekonała się, że droga, którą szła dotąd była mylną, i że inny charakter, inny tryb życia przybrać potrzeba; ale nie pokazała jednak po sobie tej zmiany sposobu myślenia i ton swój zachować chciała. Grzeczniej przecież mówiła ze szwagrem, i niby z trudnością na wyjazd przystawała. Oświadczała się, że upominek królewi odeszle, ale Cześnik dał jej poznać, że to byłoby niedorzecznością, i że kiedy już do tego przyszło, że król Imc udarował ją upominkiem, dar ten koniecznie przyjąć należało. Otworzyła Ludwika pudełko, popatrzała, uśmiechnęła się, zamknęła i do szkatułki schowała. Nazajutrz p. Urbanowska pożegnalne wizyty oddawała, p. Koniuszewski rozpłacał się z dłużnikami, panna Urbańska rzeczy do podróży układała.

Ludwika udała się naprzód do pani Krakowskiej i

przyjęcie uprzejme znalazła, ale ją zdziwiło, gdy p. kasztelanowa zaczęła jej pochwalać zamiar opuszczenia Warszawy, gdzie dłuższy pobyt mógłby przynieść szwank jej dobremu imieniowi, zwłaszcza, że Warszawa obfituje w ludzi, mających jedynie za cel życia intrygi i plotki. „Powracaj moje dziecię w twoje strony, tam los jeszcze zrobić możesz. Protekcja króla brata mojego i w najodleglejszym państw jego zakątku dosięgnąć ciebie potrafi. Abyś i o mnie nie zapomniała, to proszę cię, abyś na tych paciorkach codziennie pacierze twe odmawiała i za mnie westchnęła". To mówiąc, zarzuciła na szyję Ludwiki kosztowny różaniec z koralów, z wizerunkiem złotym Zbawiciela, misternej roboty. Uklękła wdowa przed panią Krakowską i z uszanowaniem religijnem przyjęła dar szacowny, całując rękę czcigodnej dawczyni upominku. Nigdy jeszcze podobne uczucie nie obudziło się w sercu wdowy, bo może raz pierwszy w życiu uczuła, że w religii tylko prawdziwą pociechę i męztwo do znoszenia trosk znaleźć można. Lecz to uczucie prędko przeminęło, bo jeszcze myśl za światem ulatywała. Wszędzie p. Urbanowskę grzecznie przyjęto, ale nikt jej nie powiedział: zostań! nie znalazła nawet ani w jednej z dam znajomych, uprzejmości, choć pozór mającej przyjaźni, wszędzie światowo była przyjęta. Znikło zupełnie oczarowanie. Uczuła dopiero wdowa, że dla powodzenia na dworskim świecie potrzeba albo niezmiennej u dworu wziętości, do czego sama piękność nie wystarczała, albo sił umysłu imponujących, pod pozorem pewnej układności; poznała, że być w modzie jest za mało, bo moda zmienna i nie stała. Znużona zimnemi wizytami i z ściśnionem sercem, do siebie wróciła. Panna Urbańska, postrzegłszy na jej szyi okazały różaniec, zapytała u kogoby ten drogi klejnot kupiła? Przypomniała sobie Ludwika szacowny upominek i ucałowała krzyż na nim zawieszony. Nie było w tem uniesieniu światowej próżności, serce uciśnione potrzebowało pociechy i po raz pierwszy może uczucie religijne zstąpi-

ło do uciśnionego serca. Nazajutrz p. Urbanowska z towarzyszami podróży, wysłuchawszy mszy św. u św. Krzyża, Warszawę na zawsze opuściła.

Wróciwszy na Polesie, p. Urbanowska zamieszkała u szwagra. P. Krzysztof uwiadomiony o wszystkiem od starosty nowogródzkiego oczekiwał jego przybycia, odwiedził bratowę i na meszkanie do Cepcewicz zapraszał, ale odrzuciła wezwanie, warując tylko sobie odwiedzanie syna i bywanie jego u matki. Nadjechał p. Czacki i p. Czacki i p. Urbanowska do Cepcewicz przybyła. P. Czacki ułożył pomyślnie dla niej cały interes, wypłacono jej intercyzą zapewnione 20,000 zł. i dano na własność ładną wioskę z Cepcewickiego klucza, gdzie p. Krzysztof zobowiązał się wystawić dom porządny i całe gospodarstwo w przeciągu roku zaprowadzić, a tymczasem p. Urbanowska zamieszkać miała cały jeden pawilon Cepcewickiego pałacu. Zrzekła się pretensji do opieki nad synem, warując sobie, iż skoro zamieszka w swojej wiosce, Teodorek każde święta u niej przepędzi. Stanął pokój i p. starosta zadowolony obu stron powolnością pożegnał Ludwikę i do Warszawy powrócił. W rok potem p. Urbanowska zamieszkała w Trosteńcu, p. Cześnik pomagał jej w gospodarstwie, syna często przywożono i po kilka dni bawił, nawet p. Krzysztof nierzadko i uprzejmie ją odwiedzał; i była zupełnie szczęśliwą, i Warszawa z głowy jej wyszła.

We dwa lata później, zachciało się p. Urbanowskiej pojechać na kontrakty do Dubna. Z dochodów wioski grosz się zebrał, bo go stracić nie było na co, a i 20,000 leżało w całości. Z tych zasobów wypłaciła 100 czer. zł. p. Koniuszewskiemu, ale szwagier procentu nie przyjął. W Dubnie znaleźli się znajomi obywatele z Wołynia i z Warszawy. Ludwika zaraz po przybyciu udała się do p. kasztelanowej Przyłuskiej, której dawno już nie widziała. Mile ją przyjęła kasztelanowa i wymawiała, dlaczego owdowiawszy, u niej przytułku nie szukała; „ale to już

przeszło" mówiła dalej „powiedz-że mi jak ci się w Warszawie powodziło?" Ludwika opisywała cały swój pobyt w stolicy, wiele okliczności opuściła, a o upominku królewskim ani wspomniała. Kasztelanowa zajmowała cały większy dom Urbanowskich i część jego bratowej ustąpiła. Dom kasztelanowej otwarty i mnóstwo bywało u niej codziennie osób dystygowanych płci obojej. P. Urbanowska, której byt dobry i spokojność całą świeżość wdzięków wróciły, zajaśniała znowu w towarzystwach. Żywość naturalną przytłumiło cokolwiek doświadczenie, a zalotność rozwinięta w Warszawie, lubo w przyzwoitości granicach pozostała, zachwycała jednak jeszcze mężczyzn, a dam nie obrażała. Książę Michał Lubomirski, zebranych u siebie kontraktowych obywateli mile przyjmował, zamek rozlegał się dźwiękami wybornej jego muzyki, sale brzmiały hucznemi balami. Pierwszą pięknością Wołynia i Ukrainy była p. Protowa Potocka, synowica księcia, pierwszą po niej mężczyźni przyznawali p. Urbanowskę i książę zdanie ich podzielał. Powodzenie Ludwiki na świecie dubieńskim było wielkie, ale wsparta radami p. Przyłuskiej miała się na ostrożności.

Przy p. kasztelanowej bawił, pokrewny p. Wiktor Urbanowski, młody człowiek, nie piękny, ale bardzo miły z charakteru i prezentowania się w towarzystwie i na wieczorach u p. Przyłuskiej był gospodarzem. Następował takowy wieczór, p. Wiktor, całując rękę kasztelanowej, zapytał: „czy pozwoli ciocia zaprezentować sobie, świeżo tu przybyłego z Warszawy kawalera?" „I owszem, ale któż to jest?" „P. szambelan Płotnicki". „A ha, ha, znajomy Ludwice z Warszawy, ma być piękny i pięknie ukształcony?" „Niezawodnie. Wyznać potrzeba, że piękniejszego nad niego kawalera w naszem zebraniu nie mamy, a o ukształceniu tego, który był paziem naszego króla, czyż wątpić można?" „Więc proszę wprowadź, miło mi będzie poznać p. szambelana". O zmroku zjeżdżali się goście na bal do kasztelanowej, cała wyższa

noblessa opóźniała się, szlachta demokratyczna zebrała się najpierwsza. Ludwika pięknie ubrana w białej atłasowej kwitce z gazową kwiatami obszytą spodnicą, na głowie opaska z aksamitu, spięta fermoarem królewskim i białe pióro, w uszach kolczyki do fermoaru należące. Świetniała tego wieczora i równie pięknej sobie nie miała. Rój młodzieży ją otaczał, każdy rad był choć jedno uchwycić spojrzenie, ale to spojrzenie na nikogo jeszcze nie padło. P. Wiktor wprowadził p. Płotnickiego, uprzejma gospodyni mile powitała gościa, Ludwika zarumieniła się, nieco zmięszała, ale to tylko chwilkę, wnet przyszedłszy do siebie grzecznym ukłonem odpowiedziała na powitanie szambelana. „Pani tak łaskawa raczyłaś mię sobie przypomnieć?“ „Dobrych przyjaciół się nie zapomina“. „Więc pani mię tym drogim tytułem zaszczycać raczysz?“ „Czyż nieznaliśmy się w Warszawie!“ „O w Warszawie rzekł westchnąwszy“, czyżbym śmiał był ubiegać się o względy pani?“ „Zapomnijmy o tem, a teraz bądźmy dobremi przyjaciółmi!“ To rzekłszy podała do poloneza rękę, którą z uczuciem ucałował. „Pani mię nie pytasz o nowiny Warszawskie?“ „Przez lat trzy zamieszkania mego na wsi, pobyt mój w Warszawie poszedł w zapomnienie“. „A jednak pamięć jej dotąd tam pozostała“. Ludwika badawczy wzrok rzuciła na szambelana, i radaby była coś usłyszeć o królu i bała się, ażeby o nim nie wspomniał. Płotnicki dalej rzecz prowadził: „Pani Krakowska zawsze panią wspomina, inne damy rade by cię w wiecznej niepamięci zagrzebać, boś pani nie w jednem sercu drogie wspomnienie zostawiła“. „Nie mam ciekawości wybadywać pana o tem, co się stało po moim wyjeździe z Warszawy, a co było przed wyjazdem z odmianą mojego położenia, w niepamięć poszło. P. staroście nowogródzkiemu dozgonną zachowam wdzięczność, a więcej dla nikogo nie mam obowiązków“. „Dla nikogo?“ „Masz pan słuszność, tak masz pan słuszność, macierzyńska protekcja p. Krakowskiej głęboko w sercu mojem zapisana, a jej upominek do zgo-

nu mię nie odstąpi". „Czy i inne upominki z Warszawy tejże są ceny?" zapytał Serafin, poglądając na klejnoty p. Urbanowskiej. Zmięszała się Ludwika zabierała się na odpowiedź, a tymczasem taniec się zakończył.

Weszły tańce skoczne, Płotnickiemu nikt w nich nie wyrównał. Ile było dam, każda żądała być wybraną przez pięknego tancerza, on udzielał się wszystkim, najwięcej jednak tańczył z p. Urbanowską. Pochlebiało to wdowie i przy podziękowaniu za taniec, nie jednem uściśnieniem ręki dała mu poznać swoje zadowolenie. Na prośbę księcia tańczył z księżną menueta, potem z innemi damami matlota, peregordin, ale kiedy z Ludwiką posunął allemanda, wszyscy zachwyceni byli i pięknością tańca na prowincji nieznanego, a jeszcze więcej pięknością pary tańcującej. Głośny okrzyk malował jawnie zachwycenie całego zgromadzenia, książę dziękował obojgu tancerzom i zamówił sobie powtórzenie tej przyjemności na następnym u siebie balu. Allemand ten zwyciężył wdowę, przypomniała sobie Płotnickiego w Warszawie, poznała jakie były jego podówczas uczucia i życzyła sobie w duszy, ażeby trzy lata rozdzielenia uczuć tych w sercu pięknego Serafina nie zatarły. Szambelanowi również przeszłość stanęła w oczach. Ludwika zawsze piękna, pani swej ręki, o! gdyby uczucia jego podzielać chciała! Ale Płotnicki szczupłego był majątku, liczną miał rodzinę na Litwie, a wioska jedna ledwie wystarczała na skromne szlacheckie utrzymanie. Nie śmiał więc podawać się lubemu marzeniu pojęcia w małżeństwo pięknej wdowy.

Nazajutrz po balu p. Przyłuska zapytała Ludwiki, co sądzi o swoim tancerzu? „A wie ciocia, w Warszawie nie przypatrzyłam się p. Płotnickiemu, paź mało mię interesował". „Bo może wyżej oczy twoje bujały". Zapłoniła się Ludwika i oczy spuściła, kasztelanowa mówiła dalej: „Ale jakże znajdujesz szambelana?" „Bardzo dobrze". „I podobał ci się?" „Możesz nie podobać się człowiek tak dobrze ukształcony?" „I wyszłabyś za niego?" „Nad tem,

kochana ciociu, pomyśleć potrzeba. Nadto byłam szczęśliwą z Michałem, ażebym się mogła spodziewać podobnego szczęścia za drugim". „Ale tak młoda, myślisz-że we wdowieństwie czekać starości?" „A tyż, ciocia, nie jesteś-że szczęśliwą?" Szczęśliwą? bez potomstwa? A po tem, uważ, że ja owdowiałam o wiele lat starszą od ciebie". „Zostawmy to czasowi, co mi przeznaczone, to mię nie minie". Na następnych balach, wszędzie Serafin i Ludwika świetnieli w pośród młodzieży i powszechnem zdaniem było, że dla siebie stworzeni. Szambelan przed wyjazdem z Dubna, na pożegnaniu u p. Przyłuskiej, otrzymał pozwolenie w przejeździe do Litwy odwiedzić p. Urbanowskę w Trosteńcu. Wróciła Ludwika do domu, ale klejnoty przypominające Serafinowi Warszawę ustąpione ks. Józefowej Lubomirskiej za znaczną sumę pozostały w Dubnie. P. szambelan w Trosteńcu oświadczył się, otrzymał przyrzeczenie, a we trzy miesiące po powrocie z Litwy p. Urbanowska została szambelanową, szczęśliwą małżonką pięknego Serafina.

Wiele lat upłynęło od tego czasu, syn jej Urbanowski był już pełnoletni, z Płotnickim miała trzech i najstarszemu było już lat dziesięć. Różnie bywało w ich pożyciu, można jednak oddać sprawiedliwość Ludwice, że mimo wyskoków p. Serafina, kochała go, najlepszą była żoną, chociaż jeszcze pięknej na wielbicielach nie zbywało.

W tej właśnie epoce swego życia i w Bystrzycach pokazała się, a mimo cztery krzyżyki wieku, pięknie wyglądała, a do tego mówna i wesoła, towarzystwa, jak mówiono, nie zakwasiła; wiele mówiła o synu swoim Teodorze, którego powrotu z Paryża codziennie spodziewała się. Z nią była p. Justyna Płotnicka siostra szambelana, o wiele lat od niej młodsza niepiękna, ale miłego ułożenia, wiele rozumu i dobrą dozę zalotności mająca, ztąd też pożądana w towarzystwie. U kasztelanicostwa pierwszy raz się pokazała i wszystkich życzliwości pozyskać sobie potrafiła, a mój poczciwy wujaszek, od tej chwili uczuł

dla niej coś więcej w swem sercu niż powszechną życzliwość.

Pierwszy dzień Świąt postanowiono bawić się w kostiumach. Młodzież ułożyła krakowski kadryl w krakowskich ubiorach, panny Marja Mossakowska, Płotnicka, Anna Lubieniecka, Zofja Oświecimska, krakowianki; krakowiacy, pp. Ignacy i Klemens Walewscy, Ignacy Wyleżyński brat Krzysztofa i Jana i Konopka. Damy nawet poważniejsze przybierały ubiory, to narodów rozmaitych, to bóstw pogańskich, a wszystkich ogólnie stroje były charakterystyczne i piękne. Sąsiedzi Lubieniecey nie mało przyczynili się do wesołości tego wieczora, familjną kompanją swoją, poprzebierawszy się za chłopskie wesele, ze skrzypcami, z pieśniami i pysznym tortem w kształcie korowaja zrobionym, wpadli niespodziewanie na salę i najżywszem zadowoleniem gospodarzów napełnili. Wrzała wesołość i kiedy w najlepsze się bawiono, dano znać, że kozak umyślny z Cepcewicz przyjechał z listem do p. szambelanowej. List był od syna Teodora, który wróciwszy z zagranicy śpieszył powitać matkę, ale jej w domu nie zastał, a do nieznajomych jechać nie śmiał, oczekuje więc niecierpliwie powrotu mamy w Cepcewiczach. Nieudana była radość p. Płotnickiej; po trzech latach rozdzielenia, miała syna zobaczyć, niezależnym panem pięknego majątku, z wykształconym umysłem i sercem. Czy w tej chwili, prócz radości macierzyńskiej było jeszcze jakie inne uczucie? czy myśl nie uleciała za jakiemiś marzeniami przeszłości, to trudno odgadnąć. Ale nic już szambelanowej zatrzymać nie mogło, p. Justyna niechętnie się wybierała, żal było balu i tak miłego towarzystwa, bo w Cepcewiczach żadne zabawy nie czekały, bo i dom restauracji potrzebował i młody gospodarz w sąsiedztwie nieznany. Damy więc wśród nocy, nie zmieniając prawie ubiorów wyjechały. P. Płotnicka zaprosiła mego wuja do Cepcewicz, chętnie przyjął wezwanie wujaszek, bo tam miał znaleźć Justynę.

Hrabstwo Chodkiewiczowie zjechali do siostry i dla nich w wilję Nowego roku graliśmy komedyjkę i wybornie nam się udała. Na nowy rok powiększyła się kompanja, bo w Międzyrzeczu, zwyczajnego na to święto obchodu nie było. My z nową zabawą wystąpiliśmy. W mniejszych pokojach przygotowane były dwa obrazki, dwoje drzwi do pobocznych gabinetów zakryte były przezroczami, na jednym był Wezuwjusz, na drugim widok domu Pekałowskiego przy świetle księżyca, oba mojego malowania i nieźle mi się udały. Po usunięciu Wezuwjusza, pokazała się za gazą przy białych i dobrze oświetlonych ścianach gromadka dzieci malowniczo ustawiona, na czele córka pp. Bieżyńskich, śliczna Michalinka, z pięknym bukietem, wierszami powitała ciotkę i wujaszka. Za widokiem Pekałowa odkryły się dwa kramiki różnych ładnych i dość kosztownych bagatelek, w każdym kramiku znajdowała się gospodyni, z niemiecka gustownie ubrana: p. Marja Mossakowska i moja siostra młodsza. Przede drzwiami na półkolumnach stały dwie urny i przy każdej schludnie ubrane dziecko, wyciągające, jedno numer fantu, drugie imiona osób, dla których fanty przeznaczone były. Długo z zadowoleniem wszystkich trwała ta loterja, bo jeśli komu i niestosowny fant dostał się, to jeszcze więcej wesołość obdarzało. Po ukończeniu loterji, cała kompanja przeszła do sali, gdzie tańce i wieczerza i znowu tańce, aż do drugiego stycznia do rana trwały.

ROZDZIAŁ VIII.

Wesoło było wszędzie, bo dobre były czasy. Lata urodzajne, handel kwitnął, grosz za groszem wpływał do skrzyń obywatelskich. I przemysł się rozwijał, różne rękodzieła i fabryki przedsiębrali możniejsi; huta kasztelanica, nietylko wyrabiała piękne szkła na użycie stołowe,

ale i angielskie kryształy naśladowała. Potasz Platerów z Dąbrowicy i Worcella z Podłużnego, z chciwością przez szyprów zakupowany, wielce w Gdańsku popłacał. Już i Odesa zaczynała się podnosić, bo już w niej kompanja polska zawiązała się. Chersońska i Mikołajewska admiralicja szukały drzewa na budowę okrętów w Polesiu. Lasy Lubomirskich i Steckich dostarczały materjałów, ale najwyborniejsze w puszczach kasztelanica znajdowały się; ogromne więc sumy napełniały kasy obywatelskie i interesa wszystkich żadnego niedostatku nie znały. Wołyń był zamożny, spokojny, a zatem wesoły; a czy to w pałacach miljonowych magnatów, czy w skromnych dworach jednowioskowej szlachty, wszędzie panował błogi dostatek i prawdziwa pomyślność, nikt nikomu nie zazdrościł, jednoczyli się wszyscy i cała prowincja szczęśliwą była. O! to był rok złoty! i takich następnie spodziewać się pozwalał! Ojcowska ręka mądrego monarchy, otarła łzy płaczących zgonu ojczyzny, a jego wielkomyślna opieka dla nowych poddanych, ani dawała uczuć, że pod obcem berłem żyjemy. Ustanowienie edukacyjnego rządu sprzyjało rozszerzeniu się oświecenia i zasmakowaniu w naukach. Ministrowanie Zawadowskiego stanowi wielką epokę w dziejach oświecenia Rosji. Wybrani najoświeceńsi mężowie przy sterze oświecenia, gorliwością, poświęceniem się tak ważnej sprawie, zasługiwali względy monarsze, wdzięczność wpsółziomków i uwielbienia potomności; imiona tych mężów dzieje wiecznej pamięci podadzą. Rozmaitość wyznań, języków i ustaw miejscowych, tylu różnorodnych prowincji, nie stanowiły żadnej różnicy w ojcowskiej opiece Aleksandra I-go, zarówno wszystkich był ojcem.

W tych to latach, mąż znakomity wielkiemi cnotami domowemi i publicznemi, wysoką nauką i poświęceniem się dobru powszechnemu, z zupełnem o sobie zapomnieniem, wytrwałością w przedsięwzięciu i dzielną wymową, nasz nieodżałowany Czacki, oddał się gorliwie trudne-

mu i często upokorzającemu zbieraniu funduszów na wzniesienie szkół wyższych na Wołyniu, na Podolu i w Kijowie. Zbierał podpisy po domach obywatelskich i wszędzie ze współczuciem i ze czcią winną takiej ofierze przyjmowany. Zbierał i na kontraktach kijowskich. Większa część obywateli podzielała szlachetne widoki Czackiego i chętnie piękne fundusze porobili; wielu niechętnie dawali, a znalazło się wielu i takich, co krociowe licząc majątki, składki zupełnie odmówili. Imiona pierwszych przejdą do potomności, ostatnich teraźniejsze nawet pokolenie już zapomniało. Wpływ wielki miało poświęcenie się Czackiego. Obywatelskie domy tak niedawno zapchane koczującą hordą napływowych Francuzów, przewodników do edukacji swych dzieci w pośród rodaków szukać zaczynały i sposób wychowania zmieniać się zaczął. Miło wspominać tę wielką epokę, bo ona rzuciła kamień węgielny przyszłej pomyślności krajowej i daleko po za granicą sławą mądrych ustaw zabrzmiała. Pod panowaniem Aleksandra I świetnie zakwitły nauki, dojrzałe owoce wydały i sława ich szeroko po świecie się rozniosła.

Rozjechali się goście z Bystrzyc, wuj na wezwanie pojechał do Cepcewicz, ja wróciłem do Tuczyna, gdzie w domu naszego czcigodnego dobroczyńcy, obok matki i siostr, pobyt był dla mnie najmilszy i tam zapusty przepędziłem. W początkach postu wuj zabrał mię do Cepcewicz do Teodora Urbanowskiego, gdzie od pierwszego poznania, więcej niż światową grzeczność u p. Teodora znalazłem. Wesołość moja i usposobienie w języku francuzkim ujęły mocno Teodora, bo też prócz niego i kuzyna jego Fryderyka Starzyńskiego, nikt po francusku nie mówił, mało kto nawet ten język rozumiał. Po dwuch czy trzech tygodniach p. Teodor i piękną bibliotekę swoją i korespondencję staraniom moim poruczył. Szybko mi czas w tych zatrudnieniach uchodził. Nadeszła wiosna, p. Teodor miał potrzebę wyjechać do Warszawy. P. Płotnicka zajęła się potrzebnemi w domu urządzeniami, a stosując

się do panującej mody w umeblowaniu domu, mojej rady zasięgała. Podałem jej na wzór dom hrabstwa Chodkiewiczów i stosownie do tego wzoru, rysowałem całe umeblowanie, jakie się do pokojów Cepcewickiego pałacu zastosować dało. Robota szła żwawo, bo gotówka na wszystko się sypała i kiedy w czerwcu wrócił p. Teodor, już główne pokoje ukończone były i tak nam się udały, że Teodor był niemi zachwycony i korzystając z nowo przystrojonego pałacu, zawdzięczając oraz trudy matki, postanowił uroczystym balem imieniny jej obchodzić. Ku końcowi zatem lipca, p. Teodor jako nowy obywatel wybrał się w odwiedziny bliższych i dalszych sąsiadów i mnie na tę wędrówkę wziął ze sobą. Objechawszy Dąbrowicę, Stepań i kilka innych pobliższych domów, udaliśmy się do Tuczyna.

Wrócił Teodor do Cepcewicz i zaczęto myśleć o imieninach p. Płotnickiej. Dom już był zupełnie umeblowany. Salon paliowem gładkiem obiciem wyklejony, zawieszono wokoło draperjami z białego muślinu ze sutą frendzlą i sukna ponsowego bramowanego szerokim szlakiem w guście starożytnym, podtrzymywanemi bronzowemi kołami przez lwie paszcze przechodzącemi. Pomiędzy trzema parapetami, wychodzącemi na ogród, dwa od gzymsu do posadzki sięgające zwierciadła, ogromne nad kominem zwierciadło i obok nisza także zwierciadlana z posągiem Wenery medycejskiej obstawionym kwiatami, dopełniały ozdoby tego wspaniałego pokoju. Sofy stopniowe i krzesła na wzór greckich, bogatemi haftami pokryte, gustownie rozstawione, wygodne i malownicze siedzenia dla dam stanowiły. I w dalszych pokojach z mniejszym może przepychem, ale zawsze gustowne było umeblowanie. Liczna zebrała się kompanja; wyborna muzyka p. Antoniego Urbanowskiego, okazały i smaczny obiad, uprzejmość gospodarza jeszcze uprzyjemniała. Pięknie wystąpił p. Teodor i długo o tym balu w sąsiedztwie rozmawiano. Po fecie w kilka dni p. Teodor wy-

jechał do stryja Krzysztofa na Pobereże, p. Płotnicka z mężem i siostrą do Trosteńca. Mnie zostało ogromne zajęcie, przeniesienie bibljoteki i uporządkowanie jej w nowym lokalu. Wiele mi czasu zajęła ta robota, bo i szafy się powoli robiły i powoli w nich układały się książki. Teodor wyjeżdżając z domu, polecał mi zawsze, ażebym przy zatrudnieniach moich szukał rozrywki w sąsiedztwie. Ale niewiele było domów w okolicy pociągających przyjemnością sposobu życia. Krasiccy z Włodzimierca[1]) zacni byli ludzie, ale jeszcze młodzieńcy sami, i towarzystwo ich nie wiele miało pociągu. Hr. Olizar z Rafałówki[2]), stary kawaler, trochę mizantrop, niewiele się sąsiedztwu udzielał i nie każdego co go odwiedzał, uprzejmie przyjął. Izdebscy, Chodakowscy, Moszyńscy, Koniuszewscy, to nasza Cepcewicka koterja. Dom w Stepaniu[3]) nie zalecał się wesołością. Powiadano, że kiedy jeszcze Worcell żył z pierwszą żoną, Morawską z domu, która rozwiódłszy się z nim, za Józefa Wyleżyńskiego wyszła, Stepań odznaczał się zabawami; teraźniejsza Tepperówna, nie miała tych usposobień wesołości i sam Worcell osowiał. Dombrowica[4]) tylko błyszczała jak gwiazda w tej części Polesia. Hr. Plater, prezes, wiekowy mąż, wielkiej zacności i rozumu, lubił swój zakątek. Hrabina sama, pani czcigodna, ale męzkiego ułożenia, wesoła, jeździła konno, polowała, strzelała z pistoletów, ale była pobożną

---

[1]) Wołyń, p. Łucki.

[2]) Wołyń, p. Łucki.

[3]) Wołyń, p. Rowieński.

[4]) Wołyń, p. Rowieński. W XIII w. zwała się Dubrowica. W XV w. należała do książąt Holszańskich, którzy od miejscowości zwać się poczęli ks. Dubrowickimi. Ostatnia z tego rodu, Marja, 3-o voto za Andrzejem Kurbskim wniosła te dobra posagiem mężowi i testamentem zapisała jemu. Była w ręku ks. Dolskich, a ostatecznie przeszła do hr. Wiktora de Broel Platera. Szkoły, pod kierunkiem księży Pijarów były słynne. Tu się kształcili: Alojzy Feliński, Łukasz Gołębiowski, Cyprjan Godebski.

i na cierpienia ludzkości tkliwą. W Dąbrowicy były szkoły pijarskie i dwunastu ubogiej szlachty uczniów, pokryjomo kosztem prezesa utrzymywało się. Na pensji p. Gomalowej sześć biednych panienek hrabina ze swej kieszeni opłacała. Wiem o tem z pewnością, bo jedną z tych panienek była pokrewna ks. Grylewicza proboszcza w Bereznicy [1]), a jeden z uczniów funduszowych hrabiego 1806 r. był w Krzemieńcu Ławecki i nam o tej tajemnicy dobroczynności opowiadał. W Worobinie, gdzie hrabstwo mieszkali, co niedzieli zbierało się sąsiedztwo i młodzież ze szkół i z pensjonu, ale hrabina tych tylko przyjmowała, którzy z całego tygodnia i z obyczajów i z lekcji dobrą notę mieli. Do tego na wieczorach i ks. rektor i para profesorów zawsze bywać musieli. Świetnieli na tych wieczorach między młodzieżą Szczytt, Haas, i Janczycki. Ten ostatni i od obojga prezesostwa był lubiony i każdemu podobać się umiał. Bo to, do ładnej twarzy, zgrabnej figury, łączył szczęśliwy dar przystojnego w towarzystwie obejścia się, dowcip miły z pieprzykiem, wiele taktu i dziwnie łagodny charakter. On swoją miłą żywością ożywiał zabawy, i naiwną wesołością całe towarzystwo rozweselał. Wkrótce z nim przyjazne stosunki mię połączyły, a przez niego i z drugiemi się poznajomiłem. Odnowiła się tu i moja wileńska znajomość, hr. Filip syn prezesostwa był u rodziców. Rzadkim już był gościem, bo Czacki poznawszy wyższe umysłowe zdolności i niepospolitą naukę, w trudach swoich do pomocy go przybrał, czyli, jak hr. prezesowa mówiła: „Czacki sobie naszego Filipa zaarendował". Hr. Filip przypomniał sobie i nader uprzejmie powitał, cały wieczór o Wilnie przegadaliśmy; p. Filip łaskawie o mnie rodzicom swoim wspomniał i odtąd jeszcze lepszy wstęp do Dombrowickiego domu miałem. Następującej niedzieli

1) Wołyń, p. Łucki.

już hr. Filipa nie było i dopiero po nowym roku znowu go zobaczyłem.

Było to jakieś święto samej hrabiny, zebraliśmy się grać komedją i tableau ułożyliśmy. Udało się wszystko bardzo dobrze, stary hrabia każdemu z nas grających coś przyjemnego, nie bez duchownego obroczku powiedział, hrabina z każdym z nas poloneza zaczynała. Ale co godne wspomnienia, na tej fecie znajdowała się córka pp. Platerów hr. Krasicka, ależ piękna! Gdyby żyła ks. Dorota Sanguszkowa, taby tylko z Krasicką na równi stanąć mogła. P. Krasicka była w rozwodzie z mężem. Niedobrane może było to małżeństwo, ależ i z drugim nie lepiej trafiła. Drugi syn prezesostwa, Ignacy, młody chłopczyk, pilnie przysposabiał się do szkół wyższych, ale to nie przeszkadzało mu do dzielenia naszych zabaw. Po reprezentacji nastąpiły tańce, hrabina matka tańczyła także, ale lubiła, żeby tancerze byli w trzewikach i do jej woli wszyscyśmy się stosowali. Mnie się śmieszny na tym wieczorze zdarzył przypadek. Pułkownik ułanów tańczył przedemną w anglezie, w promenadzie zawraca się w połowie i spotykając mię nadeptuje na nogę, ale tak silnie, że ostrogą rozdziera mi pończochę, trzewik i skórę na nodze aż do krwi. Niewiele pomocne w bólu: „izwinitie“ jeszcze przykrzejszem się zdało w ustach człowieka, który prócz pięknej postawy i szlif pułkownikowskich, żadnych zalet nie posiadał. Ale najprzykrzej było wychodzić z tańca i miłą tancerkę panną Chodakowskę porzucić. Nic uszło to oka p. prezesowej i Janczycki całą jej prawdę powiedział. Dano mi zaraz buty p. Ignacego, ale już tańczyć nie mogłem. Na drugi dzień po śniadaniu, gdyśmy się już rozjeżdżać mieli, p. prezes odwołał mię do swego pokoju: „P. Filip mówił mi, że jeszcze od Wilna jest wmpana dłużnikiem, wziąłem ten dług na siebie i oto są pięć dukatów i dziękuję wmpanu za zrobioną synowi memu pomoc“. „Mości hrabio!“ odpowiedziałem—„ani hr. Filip nigdy odemnie nie pożyczał pieniędzy,

ani położenie moje było takie, ażebym w potrzebie mógł usłużyć. Widzę w tem tylko jawny dowód łaskawej dla mnie życzliwości hrabiego. Niech jw. daruje", dodałem, całując rękę prezesa, „że tego przyjąć nie mogę"; „to się tam za widzeniem z Filipem sprawicie". W kilka dni po powrocie do Cepcewicz, odebrałem w upominku od hrabstwa przez Ganczyckiego pudełko farb paryskich więcej niż 5 dukatów warte, papier angielski do rysunku i polecenie od p. prezesowej, odmalowania jej bukietu z hortensji.

Miłe dla mnie było także sąsiedztwo proboszcza Bereznickiego, to był kapłan wzorowy i prawy człowiek! Na niezamożnej prebendzie żywił przy sobie matkę i brata, z żoną i kilkorgiem dzieci i z pomocą tego brata utrzymywał na swojem wykarmieniu szkółkę z dziesiątka ubogich szlacheckich dzieci złożoną. Miał ładny zbiór książek i nie dlatego, żeby się niemi pochwalić. Humor miał miły, wesoły, niby rubaszny, ale tak pięknie ogładzony, że parafjane kochali go i szanowali i u hr. Platerów miał wielkie zachowanie. Nie nudnie więc rok mi upłynął w Cepcewiczach. Pobyt tam i nadal nader byłby miłym, gdyby nie skrzyżowanie interesów różnych bawiących tam osób. Taki był skład miejscowych okoliczności i nieporozumienia familijne, że, ażeby nienależeć do żadnej strony i nikogo sobie nie narazić, usunąć się wolałem, i rozsądnie postąpiłem. Pół roku nie upłynęło po moim wyjeździe, a wszelkie stosunki rozprzęgły się; z nieporozumień przyszło do poróżnień, kłótni i brudnych wypadków. Rzućmy zasłonę na to pasmo nieprzyjemnych okoliczności: a gdy i aktorów ziemia już pokryła i świat ich bytu zapomniał, zagrzebmy wraz z ich popiołami i czynności ich niezawsze czyste i moralne.

Wróciwszy do Tuczyna znowu wielkie zastałem odmiany. Księżna Stanisławowa Jabłonowska, rozstawszy się z mężem, zamieszkała w Tuczynie, w pięknym dworku komisarją zwanym, który od pałacu ogród tylko od-

dzielał. Gen. Baur wziąwszy dymisję także w Tuczynie osiadł, niezmienny w uczuciach dla domu p. wojewody, usługi swoje szczególniej księżnej poświęcił. P. Wojciech ożenił się z wdową Małachowską z domu Maszkiewiczową, bogatą i bardzo zacną niewiastą i zamieszkali w Pedynkach, majątku wdowy pod Lubarem.

P. wojewody zdrowie niedopisywać już mu zaczęło. Kochał księżnę, miły mu był jej pobyt w Tuczynie, ale rozstanie się jej z mężem goryczą zatruwało serce ojcowskie, a ten niepokój wewnętrzny działał na ciało, którego silna budowa ani wiekowi, ani zgryzotom podołać już nie mogła. Trzymał się jednak na nogach starzec, starał się okazywać twarz wypogodzoną, ale już znikła owa dawna wesołość, nie słyszał już nikt poświstywania ulubionego niegdyś: „U drzwi twoich". Nie żalił się na nic, nikogo nie obwiniał, czasami tylko przed moją matką i p. Skirmuntową z troską się swoją wywnętrzał. „Zmieniły się czasy moja Skirmuntko!" mówił razu jednego: „zmieniły! marzyłem o szczęściu w szczęściu mych dzieci, i gdzież to szczęście? Karolina szczęśliwa, ale swej błogiej doli cenić nie umie i nadużywa dobroci nieocenionego swego męża. Józef dostał piękną i bogatą żonę, ale gdzież w niej uczucia? Zimny Wojciech z zimniejszą jeszcze swoją połowicą, szczęśliwi z siebie, zamknęli się w swoich Pedynkach, gromadzą przychody, a o starym ojcu! — jakby go nie było na świecie! A księżna! ta mię dobija! nie posądzam ją o płochość, bo w tym wieku czyż płochą być już można? ale pozory, pozory! języki ludzkie! Mógłbym Baurowi delikatnie zrobić uwagę, żeby Tuczyn opuścił, ale po tylu odebranych od niego dowodach przyjaźni, po tylu usługach, nie mam serca nic mu powiedzieć." „Może życie już niedługie — docierpię! Daj Boże! żeby choć po mojem zejściu szczęśliwsi byli!" „Ależ p.p. Heronimstwo, p.p. Bieżyńscy" wtrąciła p. Skirmuntowa. „Tak, oni tylko trzymają się podług mojego życzenia i czułości dowodzą; tak Adaś i Tercia kochane, drogie dzieci, a Cesia to druga Tercia!"

Nie było jednak smutno w Tuczynie. Przy księżnej dla kompanji jej córki bawiło kilka panienek. Przy p. wojewodzie bawił synowiec, Feliks Walewski, młodzieniec miły z postaci, serca i ukształcenia, kochany jak syn od wojewody, ścisły przyjaciel p. Józefa; młody Linowski i brat p. Heronimowej Antoni Potocki, piękny postacią i duszą. Sąsiedzi odwiedzali Tuczyn, ale rzadko w pałacu, najczęściej u księżnej na zabawy się zbierano. Feliks, codziennie bywając u księżny, codziennie widząc piękną kuzynkę, nie mógł być nieczułym na jej wdzięki i serca przymioty i wzajemność jej serca pozyskać umiał. P. wojewoda z przyjemnością o połączeniu Feliksa z Dosią przemyślał i księżna tym zamiarom sprzyjać zdawała się. Z chorążym kor. często bardzo ten projekt rozbierali, przyjemnie o szczęściu tych dwojga młodych marzyli, i spełnienie ułożonego połączenia do wiosny odłożono. Do wiosny! — Ale jakże wiele okoliczności, wiele wypadków blizkość tej wiosny odsunęło!

Do najważniejszych tego roku okoliczności należy otwarcie gimnazjum w Krzemieńcu [1]). Nie zatartej w dziejach oświecenia i w sercach rodaków pamięci mąż spełnił to dzieło. Uzyskawszy dyplom cesarski, wezwał urzędników i obywateli wołyńskich Czacki, i odbył z całą uroczystością ten obchód. Opisywały to krajowe i zagraniczne gazety i obszerny opis został w aktach tegoż gimnazjum. Hr. prezes Plater odwożąc sam syna do Krze-

---

[1]) Miasto powiatowe na Wołyniu nad Ikwą. Osada przedhistoryczna. Historyczne życie rozpoczyna się od Kazimierza W., który w r. 1340 dał je w dzierżenie Jerzemu Narymuntowiczowi. Po różnych kolejach dziejowych wybrany został przez Tad. Czackiego siedzibą gimnazjum (1803), później liceum, które ogromną rolę odegrało w naukowem, moralnem i obywatelskiem podniesieniu się społeczeństwa polskiego na Rusi. Uposażone bogato przez szlachtę wołyńską. Zamknięte z rozkazu rządu w r. 1833 wraz z innemi szkołami na Wołyniu, Podolu, Ukrainie. Zbiory i fundusze przeniesione do Uniwersytetu w Kijowie. Szczegóły: Michał Rolle — Ateny wołyńskie. Lwów. 1890.

mieńca, nocował w Cepcewiczach. I my z p. Teodorem mieliśmy jechać, ale jakieś domowe okoliczności zamiaru spełnić nie dozwoliły.

Otwarcie gimnazjum Wołyńskiego stanowi ważną Wołynia epokę. Oświecenie jakby z letargu się ocknęło. Międzyrzecka szkoła, dotąd pierwsza na Wołyniu, nie wystarczała dla przygotowania się dostatecznego do uniwersytetów, okazała się potrzeba obszerniejszego wykładu wyższych nauk i tej potrzebie odpowiadało urządzenie Wołyńskiego gimnazjum. Cisnęła się zewsząd młodzież wszelkiego stanu, bo podwoje tej świątyni, dla biednych równie, jak i dla bogatych otworem stały. W roku drugim od otwarcia, szkoła ta liczyła do siedmiuset uczniów. Los i mnie tam zaprowadził. Zmieniło się moje położenie, zmieniły stosunki i na przeszłe sceny mojego życia zapadła kurtyna.

Ówczesne okoliczności polityczne natchnęły w zawistnych dobrej sławie Czackiego sposobność wystawienia zamiarów jego w złem świetle, a jakiś niewiadomy osobisty nieprzyjaciel, przed ministrem go oskarżył. W r. 1806 odebrał Czacki rozkaz udania się do Charkowa, pod pozorem zbadania stanu nauk w tamecznym uniwersytecie. Z Charkowa wezwany do Petersburga, przed samym cesarzem zdał sprawę ze swoich czynności i oczyścić się potrafił, bo prawdziwa cnota, i przed tronem najpotężniejszego monarchy śmiało przemawiając, wiarę znalazła. Nietylko, że się usprawiedliwił Czacki, ale jeszcze i nowe dobrodziejstwa dla swojej ukochanej szkoły wyjednał. Cesarz najłaskawiej darować raczył na gimnazjum starostwo krzemienieckie, osierocone przez zgon księcia strażnika Sanguszki, i zatwierdził ułożoną przez Czackiego komisję dla wydobycia funduszów edukacyjnych pojezuickich i innych. Ale Czackiego rok cały nie widział Krzemieniec i jak dzieci do ojca, tęsknił do niego.

W tym to właśnie czasie zbiegiem rozmaitych okoliczności dostałem się do Krzemieńca, bez żadnej myśli, bez żadnego istotnie celu. Piękne okolice zachęciły mię

do zdjęcia widoku miasta na papier. Wybrałem miejsce, skąd mi się zdawał najpiękniejszym i codziennie z moją tablicą, farbami i pędzlami po kilka godzin rannych tam przepędzałem. Nie zbywało na ciekawych śledzących mnie i nakoniec kilku uczniów doszli do wzgórka, na którym rysowałem, zaczęła się rozmowa i z rozmowy znajomość. Znajomych trzeba było odwiedzić, odwiedzając uczniów, i nauczycieli u których mieli mieszkanie, poznać wypadało. Znalazłem ludzi, którzy mi Szopowicza przypomnieli, znalazłem młodzież wychowaniem swojem przypominającą mi towarzystwo, w jakiem wyrosłem. Wystarano się dla mnie o lekcje rysunku i zdawało się, że byt mój w Krzemieńcu został zabezpieczony. Nie bez funduszu i przyjechałem, z zapracowanych kilkudziesięciu dukatów oporządziłem się pięknie i coś mi jeszcze w gotówce zostało. Wynaleziono mi stancję u pewnych państwa, którzy mieszkając w Radziwiłłowie, w najętym domu utrzymywali swoje dzieci i za opłatą cudze na stół i stancję przyjmowali. Poznajomiony z nauczycielami, zacząłem uczęszczać na obrane lekcje i nauczycielów moich życzliwość pozyskać sobie potrafiłem. Jakie takie ogładzenie, wesołość i żywość wieku łatwy mi wszędzie przystęp robiły, ale nigdzie nie znalazłem tylu uczniów wyższego ukształcenia, co w domu nauczyciela Malawskiego; tam przylgnąłem i tam przyjaciół znalazłem. Piotrowski Eligi [1]), Chojecki Władysław, Stanisław Proskura, Dionizy Bilski, Plater Ignacy, Dominik Stecki, było to moje codzienne towarzystwo i chlubię się, że tak zacnych młodzieńców przyjaźń Bóg mnie pozyskać pozwolił. Z niektóremi na jedne lekcje chodziłem, a że mi język łaciński i nieobcy już był i łatwy, dobrze mi szło

---

[1]) Piotrowski Eligi(usz) nauki kończył w Krzemieńcu, historyk. Dzieje Kijowszczyzny drukowała Bibl. Warsz. Umarł 1863 r.; Pamiętniki Wawrzyńca Rakowskiego (tytuł opuszczam w. XVIII) wydał... Żytomierz 1861.

i drugim pomocą być mogłem bez żadnej pretensji, bo mając i coś swego zasobu i trzy niezłe lekcje, nie zdawało mi się przyzwoitem, brać co od przyjaciół za tak małą usługę.

W takim składzie rzeczy przeszły miesiące do świąt; w tem tylko zaszła różnica, że zmieniłem mieszkanie, bo mi na przeszłej stancji dobrano kluczyk do szkatułki, do której nie miałem potrzeby często zaglądać i moje 15 dukatów co do jednego wybrano. Apelacja do Pana Boga! milczałem, ani o mojej szkodzie nikt z przyjaciół nie wiedział. Szczęściem stół z góry opłaciłem, pilnych potrzeb nie było, a z lekcji w końcu grudnia powinienem był odebrać ośm dukatów za lekcje. Zniosłem mężnie ten cios, bo młodych nadzieja zawsze pociesza. Napisałem do matki, że mi dobrze w Krzemieńcu, i nikt po mnie położenia mego nie poznawał. Na święta zaczęli się rozjeżdżać uczniowie, z moich lekcjowych jeden tylko zapłacił, drudzy na po świętach wypłatę odłożyli, wierzyłem — nie troszczyłem się, bo mię żadna pilna potrzeba nie naciskała.

Rok to był wielki w całej Europie. Cesarz Francuzów na skrzydłach swych orłów zwycięskich leciał na wschód Europy, Prusy już były zajęte i zbliżył się do polskiej niegdyś stolicy. Krzemieniec, lubo żadnych nie miał stosunków z Warszawą, wszystkie jednak działania wojsk nieobce nam były. Zwierzchność szkolna, ile tylko w jej mocy było, starała się utrzymać młodzież w ciągłych zatrudnieniach szkolnych i usuwać od niej wszelką wiadomość tego, co się w Europie działo. Ale cóż się przed młodemi ukryć potrafi? O ile zwierzchność nasza usiłowała ukrywać wszystko przed nami, o tyle urzędnicy rosyjscy byli nieostrożnymi. Sam policmajster Pryhorowski był gazetą roznoszącą po całem mieście nowiny, o każdym prawie kroku i o każdem powodzeniu wojsk działających.

Od Malawskich nikt nie jechał na święta, zabrali więc i mnie i bardzo w swoim czasie, bo mi termin mie-

sięczny stołu już wyszedł, a dalsza opłata była dopiero w nadziei. W ciągu pobytu mego u Maławskich, starałem się być im jakąś pomocą, jakąś usługą, przez co tak ich ujałem, że mi zaproponowali, ażebym się już od nich nie wynosił. Podziękowałem najczulej, ale nie przyjąłem, bo rachowałem na mój zarobek, bo bardzo niezależność moją lubiłem. Jakże nieraz nieprzyjętej przyjacielskiej uprzejmości żałowałem! Przeszły święta, wracali uczniowie, z moich jeden nie wrócił, drugi pieniędzy nie przywiózł, odkładając wypłatę do powrotu ojca z kontraktów. Zostałem tedy przy jednym płacącym, co wcale nie na rękę mi było; zapałciłem wprawdzie za stancję do końca roku, ale na stół potrzeba było czterdzieści złotych miesięcznie, jakoś jednak za styczeń poszło. Tym czasem uczeń regularnie płacący zapadł na oczy i musiał lekcje rysunku porzucić, na luty więc zostałem bez żadnego przychodu; ale mię to mało obchodziło, ważniejsze mię troski dotykały. Z Tuczyna żadnej nie miałem wiadomości, ani na list do matki żadnej odpowiedzi.

Koniec tomu I-go.

(Spis nazwisk będzie dołączony do III-go tomu wspólny dla wszystkich trzech tomów).